KSIĄDZ JAN POCIEJ
I JEGO DZIEŁO. *)

O Jezusie Chrystusie Odkupicielu, tudzież o pierwotnych Chrześcianach i ich domach modlitwy,

rzecz ze stanowiska historyczno-religijnego w kilku słowach skreślona

przez

Księdza Jana Pocieja,

Mag. teol., kan. kat. chełm., asesora duch. wyzn. gr. unick. przy kom. rząd. spraw wewn. i duchown.

Warszawa, nakładem autora,

w drukarni Adolfa Krethlow, 1852, in 8vo str. 496.

WSTĘP.

Pisarz tego dzieła, jak to już sam wykaz powyższy tytułów jego znać daje, ważne zajmuje stanowisko w kościele grecko-unickim, którego dziś w części kraju naszego pod rządem rosyjskim będącéj, szczątki zaledwie smutne pozostały. Szczątki te tém są świętsze dla nas, im żałośniejszy widok przedstawiają, im zwykle rzewniéj do serca przemawia wszystko co jest święte, niewinne, czcigodne, a złośliwie i zdradziecko na smierć skazane. Tak właśnie do serca przemawia śmierć Zbawiciela. Tak i kościół grecko-unicki u nas, podobnymże losem i żale nasze wywołuje, i troski i spółczucia.

Pisarz tego dzieła jest jednym z postawionych od Boga pasterzy tego kościoła. Jest on mistrzem w Izraelu, że użyjemy nazwiska jakiém

*) O pracy ks. Pocieja uczyniliśmy już wzmiankę ostrożną, jaka świeckim względem dzieła opatrzonego duchowną aprobacyą przystawała. Dziś podajemy obiecany rozbior przez duchownego z całą siłą wymierzony przeciw dążnościom autora, a to tém skwapliwiéj im groźniejsze są niebezpieczeństwa z téj strony.
(*Przypisek Redakcyi.*)

Chrystus Pan Nathanaela nazwał; jest on sługą, bogdajby wiernym i rostropnym, którego Pan postawił nad rodziną swoją, aby jéj dawał żywność czasu swego; jest on ojcem rodziny bogdajby rozumnym, który umie wydobywać ze skarbu swego stare i nowe rzeczy, a szczere i niesfałszowane; jest on pasterzem, bogdajby nie najemnikiem zdradzającym trzodę swoją i opuszczającym ją gdy widzi wilka nadchodzącego, ale bogdajby pasterzem dobrym, kładącym duszę swoję za owce swoje.

Z takiém usposobieniem dla kościoła grecko-unickiego, z takiém oczekiwaniem i nadzieją o autorze, wzięliśmy do rąk jego dzieło. Czemuż niestety! po jego przeczytaniu obawy nasze o ten kościół nieszczęśliwy urość musiały nad miarę, a nadzieje nasze jakiekolwiek o autorze musiały spełznąć ze szczętem?

Przechodzimy odsłonić to nowe zgorszenie jakie w kościele naszym tak już doświadczonym i zewsząd wstrząsanym przynosi niniejsze dzieło ks. Pocieja, a przychodzimy je odsłonić tém słuszniéj i tém potrzebniéj, że to nowe zgorszenie nie ma odwagi i szczerości przyznania się do tego czém jest, że się przykrywa jak wszelka zdrada płaszczykiem poczciwości, że przywdziała jak nas o tém przestrzegł Chrystus, na swoją wilczą drapieżną naturę, owczą skórę niewinności.

Nie chcemy obwiniać zamiarów księdza Pocieja, ani sądzić jego sumienia; to do Boga należy. Tyle zresztą jest powodów ukrytych, które mogą usprawiedliwić i najgorzéj działającego człowieka. Niewiadomość, zaślepienie, jakiś z wiekiem wyrobiony przesąd, to znowu gorączka, zmysł przewrócony, lub téż co innego często bardzo może i najlepiéj życzącego człowieka do niegodziwych popchnąć uczynków. Ileż to razy chory, choć ma najlepszą chęć wyleczenia się, pije truciznę która go zabija, albo ją daje najmilszym swoim w najlepszym zamiarze. Chęci tedy i zamiary nie zawsze są tak złe jak uczynki Otoż do nas należą tylko te ostatnie. Te sądzić powinniśmy, zwłaszcza w takim przypadku jak niniejszy, gdzie idzie o tylu ludzi zbawienie; jest to nasz święty obowiązek i do niego wzywa nas Chrystus Pan: „Z owoców ich poznacie je."

Otoż wilcza istota całéj téj pracy, całego tego dzieła na tém zależy, iż schizmę zupełnie usprawiedliwia. Kto to dzieło przeczyta i za prawdę to jedynie weźmie co tam za prawdę jest wystawione, ten koniecznie w tém zostanie przekonaniu, iż kościół schizmatycki, jaki jest dzisiaj, posiada w sobie to wszystko, co kościół Boży posiadał w samym początku swego istnienia, a tém samém, że kościół schizmatycki, jaki jest dzisiaj jest prawdziwym kościołem Bożym. Owcza zaś skóra tego dzieła na tém zależy znowu, że to wystawienie owéj niby to prawdy pierwotnéj kościoła upstrzone jest pismem świętém i Ojcami kościoła, jakoby szatą świetną a łudzącą, i która ma przekonać, że ten wilk ukryty jest najprawdziwszą owcą, Do tego dwojga dodaje autor trzecią właściwość swojemu dziełu, a ta na tém zależy, że ani słowa nie mówi o tém wszystkiém co w pierwotnym kościele było, a czego nie ma dzisiaj w kosciele schizmatyckim, i co pokazuje właśnie, że ten kościół fałszywym jest, a nie prawdziwym. O tém ani słowa. I tu autor już nie wilkiem się pokazuje, ani

owcą, ale chyba lisem, albo kotem, który cicho się skrada, nie wyda szelestu coby go zdradził, noc całą tak przeciągnie, jak autor przez cały ciąg swego dzieła, aby tém bezpieczniéj się zataił, a ofiara tém pewniéj wpadła mu w pazury.

Taka jest potrójna natura tego dzieła, którą tu odsłonić zamierzamy; i w tym celu przystępujemy teraz bliżéj do jego rozbioru.

I.

Dzieli się to dzieło na trzy części, już w samym tytule wskazane. W pierwszéj rozprawia autor o Chrystusie Zbawicielu, w drugiéj o pierwotném chrześciaństwie, w trzeciéj nareszcie o kościołach pierwszych chrześcian.

W pierwszéj tedy części wystawia autor to, co się tyczy Chrystusa Pana jako Messyasza prawdziwego. Przebiega naprzód naukę o pierwotnym stanie człowieka, jego upadku, przyrzeczeniu Messyasza, jego bóstwie, człowieczeństwie, jego przyjściu, całém jego życiu, nauce, cudach, śmierci, zmartwychwstaniu i t. d. Rzecz swoją wystawia słowami Ojców kościoła, z których daje długie wyciągi z łacińskim pierwowzorem obok. Byłaby to niewinna praca, gdyby nie była podjęta w celu przygotowania do części następujących dzieła. Lecz i bez tego związku, sama w sobie uważana część ta cała dzieła, jakkolwiek wydaje się niewinną, nie jest jednak bez ważnych usterków. Już nic nie mówię o najsmaczniejszym jaki jedno być może sposobie wystawienia rzeczy. Styl, przyznaję nie zależy od dobréj woli pisarza, ani na zawołanie przychodzi, chociaż i tu mógłby był autor wiela złego uniknąć gdyby był nie chiał być uderzającym, górnym, brzęczącym; ale wolał był zostać zwyczajnym i prostym. Zbyt często autor wpada i w pierwszéj téj części w wysłowienie podobne do następnego: „Ażeby bowiem dostateczném światłem nauki „opatrzyć umysł, zdaje się niewystarczać to wszystko co jest na powierz„chni i w łonie ziemi, co mają wody w swych głębokich nurtach (a wo„dy stojące, w których nurtów nie ma, te już nic w sobie nie mają?), co „odkrywają niedostępne krańce zlodowaciałych biegunów ziemi (jeźli „niedostępne jakże odkrywają? a jeźli bieguny, skądże mają krańce? „wszakże autor musi wiedzieć, że bieguny są to punkta tylko, kończące „oś ziemi, że przeto żadnéj rozciągłości nie posiadają, żadnéj przestrzeni „nie zajmują, a tém samém żadnych granic czy tam krańców mieć nie mogą, ani mają), co mieści w sobie niezmierzony przestwór atmosfery (autor nie wiedział że przestwor *atmosfery*, czyli sfery, bani, *kuli powie„trznéj* ziemię otaczającéj dawno już zmierzony|; albo li też jeźli chciał „mówić o przestrzeni niebieskiéj nie wiedział co znaczy *atmosfera*), co „natężone myśli rozumowań (czemuż już nie *natężone rozumowania my„śli;* byłoby to równie nie smaczne, ale przynajmniéj niezupełnie prze„ciw logice) wydać mogą teoryi, i t. d.“ (str. 397). Co tu w kilku wierszach a nawet w kilku słowach złego smaku, nadętości, przesady, żakostwa, a przytém co tu rażących niedorzeczności i jakie grube nieuctwo! Bylibyśmy wszakże tego nie podnosili, gdyby ten sam człowiek nie wła-

ził w swém piśmie na jakieś podnoże mniemanéj uczoności, nie chciał uderzyć innych urojonym jéj pozorem, i nie ważył się w swéj zarozumiałości dawać nauk samemuż kościołowi katolickiemu. Wyświecimy następnie całą tę grę jego, a tymczasem trzeba było pokazać jaki to człowiek śmie się na takie rzeczy targać i jakie prawo może mieć ten, który nie ma zdrowego pojęcia o najprostszych rzeczach, który nie wprowadził do swojéj głowy elementarnych wiadomości, który dwóch myśli porządnie z sobą skleić nie umie, jakie może mieć prawo porywania się na to, co nosi na sobie pieczęć mądrości Bożéj!

Co tu mówimy nie jest żadną osobistością. My. ks. Pocieja nie znamy, ani téż wcale o księdzu Janie mówimy. I owszem gdybyśmy kiedy ks. Jana poznali, bylibyśmy dla niego z najlepszém sercem. Ale mówimy o autorze niedorzecznego i niegodziwego dzieła: „Pierwotne chrześciaństwo." Nie nasza wina, że go nazywają ks. Janem Pociejem; namby wszystko jedno było czyby go nazywali Piotrem czy Pawłem.

Pomijamy więc dalsze podnoszenie podobnych przesad i wyskoków, i zawrotów i wywrotów myśli i stylu, pod względem rozsądku i smaku. *Ab uno disce omnes.* Są one rozsiane po wszystkich trzech częściach. Wracamy teraz do pierwszéj i powtarzamy cośmy powiedzieli, że nietylko jest zła dla tego iż jest przygotowaniem do dalszych dwóch prawdziwie złomyślnych części tego dzieła, ale że i sama w sobie ważne mieści usterki. Usterki te są przeciwko najprostszym zasadom i pojęciom teologicznym i metafizycznym, połączone przytém zbyt często z brakiem porządku w myślach i jakiéjkolwiek logiki.

Od czego zaczniemy? Możemy zacząć od samego początku Na stronnicy 27 po uprzedniém Przedsłowiu i następnym Wstępie, zaczyna się rzecz pod tytułem *Wiadomości przygotowawcze,* a potém paragraf pod literą **A. Początek świata widomego.** Ten początek tak się zaczyna: „Bogu przedwiecznemu i t. d. podobało się *w czasie wolą swoją oznaczonym* wyprowadzić z niczego słowem swojém świat widomy." A na poparcie tego przytacza pismo święte: „Na początku, mówi pismo święte, stworzył Bóg niebo i ziemię." I to napisał magister teologii? Wstydzić się musimy podnosić taką ciężką niedorzeczność, nie już teologiczną, ale wprost metafizyczną. Pan Bóg, powiadasz, stworzył świat w czasie wolą swoją oznaczonym? Ale jakże go mógł stworzyć w czasie, kiedy przed stworzeniem świata czasu nie było? Czas wtedy się rozpoczął, kiedy pierwsze żywioły świata Bóg stworzył. Początek świata i początek czasu, to jedno i to samo: I ta jest przyczyna, dla któréj Pan Bóg stworzył ten świat na początku, i inaczéj stworzyć go nie mógł jedno na początku czasu, jak się mądrze pismo wyraża: *Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię,* a które słowa autor przytacza jak gdyby chciał dobitniéj jeszcze pokazać, że nierozumie ani tego co mówi, ani tego co czyta. Pismo powiada: *w początku czasu,* a więc nie *w czasie,* powiada *na początku,* a więc nie *we środku,* a nasz autor powiada że *w czasie* i to jeszcze *w czasie wolą swoją oznaczonym,* to jest: że były chwile poprzednie i następne, z których Pan Bóg wybrał tę, która mu się podo-

bała, a więc *we środku,* i myśli, że to samo co *na początku.* Tak więc autor nie rozumie prostego znaczenia słów. Lecz tém bardziéj nie rozumie przyczyny dla któréj Pan Bóg musiał świat stworzyć na początku a nie we środku czasu, a nie w chwili wolą swoją oznaczonéj, i którąby wybrał podług upodobania. Pan Bóg nie mógł podobnego wyboru czynić: bo do tego potrzeba było, aby czas był przed światem, a przed światem czasu nie było. Pan Bóg czasu osobno bez świata stworzyć nie mógł, ani też sam czas z niczego nie wyskoczył, aby mógł być przed światem; więc nie było czasu przed światem, i czas wtedy istnieć zaczął kiedy świat, a świat kiedy czas.

Co naszego autora do jego błędu przywiodło, to to grube wyobrażenie będące u ludzi, którzy nie zadali sobie pracy w przyjściu do metafizycznego pojęcia rzeczy, wyobrażenia, jakoby czas mógł istnieć bez świata sam w sobie. Czas, jak wiadomo, jest tylko formą pod którą ten świat istnieje, tak jak drugą podobnąż jego formą jest przestrzeń; odejmij rzecz a nie będzie formy, niech nie będzie świata, a nie będzie mogło być ani czasu, ani przestrzeni. Nie było tedy przed stworzeniem świata żadnego czasu, w którymby Pan Bóg mógł był wybrać chwilę jakąś i wolę swoją oznaczyć, aby w niéj świat stworzył. Czy to zaczyna teraz nasz autor rozumieć? Być może; lecz aby mu zrozumienie ułatwić, damy mu wiedzieć o pewnéj argumentacyi innego, mającego się za uczonego obrońcy schizmy, a która jest we wszystkiém podobna do argumentacyi naszego autora. Dowodzi tedy ten uczony między swoimi swiaszczennik i magister teologii, że kościoły powinny być budowane obrócone na wschód, co zresztą i nasz autor twierdzi. Lecz dla czego koniecznie na wschód? Tu magister Seredeński, tak się tamten pisarz nazywa, zaczyna wyliczać rozmaite przywileje wschodu, takie same jakie potém i nasz autor wytacza, ale na czele kładzie przenajszczególniejszy, przez siebie odkryty przywiléj, a z niego argument na korzyść wschodu. „Albowiem tam na wschodzie powiada, Wszechmocny Stwórca stworzył świat i człowieka,"[1]) *Risum teneatis, amici!*

Na wschodzie, powiadasz, Pan Bóg świat stworzył? Ależ uczony magistrze! Gdzież wtedy był wschód, kiedy świata nie było? Czyż nie wiesz, że wschód i zachód są tylko na tym świecie, i to jeszcze na tym świecie podsłonecznym; a przeto kiedy tego świata jeszcze nie było, nie było także i być nie mogło ani wschodu, ani zachodu? Jakże tedy Pan Bóg mógł na wschodzie świat stworzyć, kiedy przed stworzeniem świata wschodu nie było i być nawet nie mogło? To samo i my mówimy do naszego autora: Jakże Pan Bóg mógł w czasie świat stworzyć, kiedy przed stworzeniem świata czasu ani było, ani nawet być mogło? Czy teraz rozumie nasz autor jaką ma wartość teologiczną i filozoficzną to jego dziwne wyrażenie, że Pan Bóg świat stworzył w czasie, wolą swoją oznaczonym?

To jedno, i to od samego początku. Idźmy daléj. Po stworzeniu świata Pan Bóg stworzył człowieka. Jakimże go stworzył? Jaki był stan

---

[1]) Ibo tam Wsiemhuszczyj Tworec sozdał mir i czełowieka. str. 4.

jego pierwotny? tu musimy wrócić do Wstępu, gdzie na str. 13. autor nasz tak mówi: „Człowiek mimo budowę ciała swego arcysztuczną, dogodną i długo-trwałą, otrzymawszy w dobrotliwym udziale od Stwórcy jeszcze i nieśmiertelną ducha Jego cząstkę, z przymiotami zdolnemi do niezakreślonego rozwijania się w dążeniu ku doskonałości i t. d." Co to za mowa! Ani teologiczna, ani chrześciańska, ani nawet ludzka! Chcemy tu jeszcze raz autorowi pokazać ciągłe jego wykroczenia przeciw zdrowemu rozsądkowi i logice, ażeby wiedział że jeźli o nich milczeć później będziemy, to jedynie dla tego, że nie będziemy chcieli nudzić i siebie i czytelników, i że mamy coś ważniejszego do uważania. Otoż naprzód jaki tu użytek czyni autor tego wyrazu *mimo?* Mimo budowę, powiada, ciała swego arcysztuczną i t. d., otrzymał od Stwórcy i ducha, i t. d. Wyraźnie pisarz zupełnie co innego tu mówi, niż to co chciał powiedzieć. Chciał powiedzieć, że człowiek nietylko otrzymał piękną budowę ciała, ale jeszcze i ducha, i t. d; czyli chciał powiedzieć, że człowiek *oprócz* ciała otrzymał i ducha. Ale natomiast cóż mówi przez to swoje nieszczęśliwe *mimo?* Mówi koniecznie, że człowiek otrzymawszy od Boga ciało arcysztuczne, dogodne i długo-trwałe, nie mógł już otrzymać ducha, ale *mimo to* jednak otrzymał. *Mimo budowę ciała swego arcy-sztuczną, dogodną i długo-trwałą, otrzymał i ducha i t. d.* Ten jest tego powiedzenia sens literalny i gramatyczny, ale oczywiście że w nim nie ma żadnego sensu logicznego. Tak zupełnie jak nie byłoby żadnego sensu logicznego w tém mojém powiedzeniu: Mimo pięknych i prawdziwych rzeczy, które się znajdują w jego dziele, autor jest dobrym katolikiem. Czyż tu jest sens? W czémże piękne i prawdziwe rzeczy przeszkadzałyby autorowi być dobrym katolikiem? W czém równie budowa ciała arcysztuczna przeszkadza otrzymaniu ducha? Oczywiście, że tu sensu nie ma. Trzeba albo *mimo* wyrzucić i na to miejsce położyć *oprócz* albo jeźli *mimo* mamy zachować, zmienić wtedy drugą część okresu. Mnie przynajmniéj w mojém powiedzeniu bardzo łatwo to drugie przyjdzie, kiedy powiem: Mimo pięknych i prawdziwych rzeczy, które są w jego dziele, autor jednak jest wierutnym schizmatykiem. Tu i to *mimo* jest właściwie użyte, i sens dokładny i prawda rzeczy saméj, niestety! zupełna.

Lecz nie to jedno *mimo* razi w tych kilku słowach któreśmy przytoczyli. Autor ma szczególny talent w dobieraniu wyrażeń, które się nigdy z sobą nie powinny spotykać. Któż kiedy mówił naprzykład: „zdolnych do niezakreślonego rozwijania się i t. d." Cóż to ma znaczyć: niezakreślone rozwijanie się? O niewłaściwości tego wyrażenia możnaby kilka stronnic napisać; lecz już nie chcemy się gubić w tak jałowéj robocie, a chcemy wrócić raczéj do głównéj rzeczy.

Mówi tedy autor: „że człowiek otrzymał w dobrotliwym udziale od Stwórcy i nieśmiertelną ducha Jego cząstkę." Trzy razy przeczytaliśmy to miejsce nimeśmy mogli uwierzyć, że te słowa rzeczywiście są napisane przez kapłana katolickiego i magistra teologii. I cóż tu z takim teologiem mówić, który podobne rzeczy dobrodusznie pisze? Powiesz mu,

że to panteizm i to jeszcze tak ciężki, iż żaden dowcipniejszy panteista w tak ołowiany sposób formuły swéj panteistycznéj między ludzi nie rzucał; tedy on gotów otworzyć wielkie oczy i spytać cię jeszcze daleko dobroduszniéj: a co to jest panteizm? Lub też jeźli o imieniu panteizmu coś słyszał; jeszcze się więcéj zadziwi, że te jego słowa mają jakiś związek z panteizmem i gotów twierdzić, że panteizm zupełnie co innego. Nie co innego, szanowny magistrze! tylko jest to nauka, która twierdzi, że Pan Bóg jest jedną wielką całością, dzielącą się na cząstki, i że my wszyscy cząstki téj całości; że każdy z nas *otrzymał w dobrotliwym udziale od Stwórcy nieśmiertelną ducha jego cząstkę*. To, a nie co innego jest panteizm, one twoje słowa opisują go najdokładniéj.

Co w téj mierze ludzi nieteologów, a zajmujących się teologią, w błąd wprowadza, i daje im myślić, że Bóg udzielił człowiekowi cząstki swego ducha, jest wyrażenie ono pisma świętego, że Bóg naprzód ulepił z mułu ziemi ciało człowieka, a potém natchnął w oblicze jego dech żywota, i stał się człowiek w duszę żyjącą. (Gen. I.). Więc natychmiast wyobrażają sobie Boga pod postacią ludzką, wspaniałą i szlachetną jak one postacie Rafaela w łożach watykańskich, przed nim człowieka tylko co ulepionego i bezwładnego, i oto ta postać Boża otwiera usta i puszcza dech swój, a ten dech wchodzi w martwą postać ludzką, i rusza się człowiek, i oto żyje! „ożywiony duszą nieśmiertelną, udzieloną mu „*tchnieniem bezpośredniém* (!!!) samego Boga" jak znowu gdzieindziéj (str. 44), podwajając błąd swój wyraża się autor. Ależ tak rzeczy wystawiać wolno tylko malarzom i poetom, którym jednym tylko wszystko wolno:

Pictoribus atque poetis
Quidlibet audendi semper fuit aequa potestas,

lecz nie filozofom ani teologom. Co to mi za teolog albo nawet filozof, który sobie wystawia Boga otwierającego usta i dech bezpośrednio puszczającego, i wlewającego w pierś czyją cząstkę ducha swojego. To byłoby do przepuszczenia rabinom żydowskim i bramanom indyjskim, ale nie uczniom Ewangelii tłómaczonéj przez Ś. Augustyna i Ś. Tomasza.

Lecz odpowie mi: Pismo święte wyraźnie powiada, że Pan Bóg tchnął w pierwszego człowieka dech żywota, a więc rzeczywiście tchnął to jest ze swego ducha dał mu cząstkę. Trzebaż bo brać rzeczy jak są powiedziane. Zgoda na to że trzeba brać rzeczy jak są powiedziane, ale na to nie zgoda, aby tu rzecz podobna była powiedziana. Wszakże kiedy pismo święte przedtém mówi, iż Bóg ulepił z mułu ziemi ciało człowieka, któż rozsądny twierdzić będzie, że Pan Bóg własnemi palcami ten muł ziemi lepił? Więc ma palce Pan Bóg, i ręce, i nogi, i głowę i żołądek? Więc chodzi, i stoi, i leży, i je i pije? Dla Boga! dajmy temu pokój! Nie ma palców Pan Bóg, i mułu palcami nie lepił. Ale cóż to znaczy: ulepił z mułu ciało człowieka? To znaczy, że muł czyli to co pod imieniem mułu ziemskiego jest tu oznaczone, wszystkie owe kilkanaście żywiołów wchodzących do składu ciała ludzkiego, a które teraz wiedza ludzka rozebrała, wszystkie te żywioły zacząwszy od kwasorodu i wodorodu, a idąc aż do wapna, krzemionki i t. d., to jest

jednêm słowem ten tak nazwany muł ziemski, dostarczył swoich cząsteczek ostatnich nierozdzielnych, czyli jak je zowią atomów albo pyłków, a te sposobem Stwórcy wiadomym, ale ni mniéj ni téż więcéj dziwnym od tego sposobu jakim te pyłki biegają niewidomie po stosie woltaicznym, na rozkaz Stwórcy zbiegły się równie niewidomie i równie skutecznie pod postać przez niego naznaczoną, i tym sposobem ulepił Bóg z tego mułu ciało człowieka. Takie jest rozsądne pojmowanie téj rzeczy, zgodne i z teologią i z wiedzą ludzką w têm co ma prawdziwego. Podobnież pojmować trzeba i danie ducha człowiekowi. Nie z ust swoich, ani z piersi swoich, przez oddech, Pan Bóg go wypuścił; ale naprzód stworzył go z niczego, jak i muł on i wszystkie żywioły ziemskie z niczego naprzód Pan Bóg słowem swém stworzył; i tak utworzywszy z jednéj strony istotę człowieka cielesną i ziemską, z drugiéj strony istotę jego duchową, tę istotę duchową, tego ducha połączył z istotą ziemską, z ciałem, i to się nazywa tchnął w oblicze jego dech żywota; a połączył jednę istotę i drugą w têm co właściwie stanowi człowieka, to jest w jego duszy; ta dusza z jednéj strony posiada ciało, z drugiéj strony posiada ducha, łączy dwie istoty w jednę, stanowi osobistość człowieka, i tym sposobem stanowi właściwie jednę i tę samą istotę ludzką; i dla tego kończy pismo, mówiąc: *I stał się człowiek w duszę żyjącą.* To jest prawdziwe, katolickie i teologiczne pojmowanie stworzenia człowieka, ale jakże ono dalekie od przywidzeń autora!

Jeźli autor zechce korzystać z nauki jaką mu tutaj teologia daje, będzie to nas bardzo cieszyło. Tymczasem mógł się przekonać, że to co powiedział o stworzeniu człowieka jest równie przeciwne i prawdzie i teologii, jak to co powiedział o stworzeniu świata.

Idźmy daléj. Objawienie i oparta na niém nauka katolicka uczy nas, że po stworzeniu swojém człowiek upadł ze stanu niewinności i ze stanu nadprzyrodzonego w jakim go Bóg stworzył, upadł zaś przez jeden stanowczy uczynek, przez jeden grzech, źródło wszystkich następnych, i nazwany dla tego pierworodnym. Nasz autor miasto tego prostego i jasnego dogmatu niesłychane rzeczy prawi. Mówi on: „Przykro „zaiste (i bardzo zaiste) dostrzegać (co za zwrot niesmaczny i ckliwy!) „jak *częstokroć* człowiek, mimo budowę ciała swego i t. d. otrzymawszy „i t. d. (jak wyżéj) *nie zawsze* jednak (co za wysłowienie się: *jak czę„stokroć człowiek nie zawsze jednak!!!*) odpowiednio oceniał godność „swoją osobistą, *nie jednokrotnie* spuszczał z oka szczytne przezna„czenie swoje, *nie raz* zniżał się do rzędu pośledniejszych od siebie „stworzeń, a *niekiedy* wpadał nawet w dzikość i srogość drapieżnych „zwierząt!” Na co my odpowiadamy: Przykro zaiste, i bardzo przykro dostrzegać, jak autor, który nie powiemy *mimo*, ale *oprócz* katechizmu, coby go wszystkiego sam mógł nauczyć, otrzymał jeszcze i ukształcenie teologiczne, często jednak i za nadto często nie ocenia odpowiednio tego czém być ma, to jest godności katolika, spuszcza z oka przeznaczenie prostéj wiary, któréj się ma trzymać, zniża się natomiast do rzędu najpośledniejszych rozumków i wpada niekiedy nawet w odmęt, w po-

mięszanie, w głupstwo najniedowarzeńszych filozofków! A jednak na nich gdzieindziéj krzyczy i wymyśla! Tak go mimo niego pcha gdzieby sam nie chciał chętka popisania się stylem, chętka wysłowienia się okrągłego, potoczystego, błyszczącego, brzęczącego! W tym kawałku cośmy go teraz przytoczyli, mamy tego bijący dowód. Autor chciał nam powiedzieć o upadku człowieka, wyłożyć nam co mamy wiedzieć o grzechu pierworodnym. Lecz natomiast cóż uczynił? Przez cztery przecinkowe okresy kłębkowate i kuliste, stoczył się nareszcie w ostatnim do tego, że ludzie żyli niekiedy w dzikości i srogości drapieżnych zwierząt. Lecz to jest przypuszczenie filozofów materyalnych i zmysłowych, o tém przypuszczeniu nic nie wie i wiedzieć nie chce nauka katolicka i historya święta. Zkądże autor przyszedł do tego? Oto bardzo naturalnym sposobem. Nie mając najmniejszego wyobrażenia o grzechu pierworodnym, wiedząc tylko ze słyszenia (o hańbo dla teologa!) że był jakiś grzech i upadek człowieka, a z drugiéj strony nasłuchawszy się także, z trzecich ust, o przypuszczeniu owém niby to bardzo mądrém, że człowiek żył niegdyś w stanie zwierzęcia drapieżnego, przyszło autorowi na myśl pogodzić jedno z drugiém, tak aby wystawiając prawdę z katechizmu, mówił jednak językiem uczonym i na nutę filozoficzną nastrojonym. Ztąd cała owa gadanina, w któréj zamiast grzechu pierworodnego, zależącego na tém iż pierwszy człowiek przestąpił szczególne przykazanie Boże sobie dane, i tém obraził Boga, i wpadł przez to, a z nim cały rodzaj ludzki, w stan odrzucenia czyli w stan śmierci duszy, któréj następstwem jest śmierć ciała; zamiast tego mówię, występują owe rogate twierdzenia, że człowiek częstokroć, niejednokrotnie, nieraz, niekiedy nie ocenial odpowiednio godności swojéj osobistéj i wpadał w dzikość i srogość drapieżnych zwierząt. Taki jest grzech pierworodny szanownego autora. Ni to człowiek, ni to ryba! Może zostać na pamiątkę!

Idźmy tymczasem daléj. Tutaj opuścimy wszystkie waryacye na to samo tema, które autor przyłącza do owéj swojéj powieści o grzechu pierworodnym. Ciągnie się bowiem jeszcze przez całą stronnicę: ***Przykro dostrzegać! Przykro dostrzegać!*** Ale w tych waryacyach nic nie ma nowego, zawsze to samo dno pojmowania pierworodnego grzechu; tylko że się coraz jaśniéj pokazuje jak autor o nim żadnego nie ma wyobrażenia, jak w stanie pierwotnym człowieka nic nie widzi nadprzyrodzonego, a następnie w upadku jego nic innego nie dostrzega jedno to, co się widzi w upadku każdego człowieka dzisiaj na świecie. Nie dostrzega, niestety! autor, czego powinien był dostrzedz i o co chodzi, choć tak przykro dostrzega tego, o co na tém miejscu mógł się wcale nie troszczyć.

Idźmy tedy daléj. W paragrafie **B** pod tytułem: ***Wywyższenie i upadek człowieka,*** autor równie w niczém nie odstępuje od swojéj pierwszéj niewiadomości, strzeże jéj i daléj równie wiernie, i choć tyle przytacza wypisów z Ojców kościoła, zdaje się iż ma oczy aby nie widział, i uszy aby nie słyszał, aby snać nie pojął i nie zrozumiał. A tymczasem wpada w inne usterki i w inne dziwaczne pojmowanie rzeczy.

I tak naprzykład. Czyż nie zabawne to postrzeżenie autora (str. 46): „Ojcowie święci dopuszczają nawet (zamiast *przypuszczają*) mo„żność rozmnażania się ludzi z téj pary pierwszych i jeszcze niewinnych „rodziców naszych." Jak gdyby kto tego nie wiedział, albo też wątpił o tém; lub mógł nie wiedzieć albo też wątpić po owych słowach Stworzyciela: ***Roście i rozmnażajcie się i napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną*** (Gen. 1). Człowiek właśnie na to był stworzony, jak te same oto słowa Stworzyciela pokazują, i dla tego jedna tylko para stworzona była, aby się cały rodzaj ludzki z niéj rozmnożył, z téj pary niewinnéj i w niewinności pozostającéj. Ale autor nasz tak ma ciemne i pomięszane o tém wszystkiém wyobrażenia, że być bardzo może iż sobie wystawiał jakoby sam akt rozmnażania się stanowił grzech pierworodny. Spotkałem w życiu mojém prostaczków którzy tak myślili, ale ci nie byli doktorami w kościele. Autor zaś jest magistrem teologii, więc coś podobnego mu się nie godzi, i zapewne sam nie zechce przyjąć takiego prostactwa na siebie. Zkądże tedy pochodzi że czyni owo postrzeżenie z pewnym rodzajem zadziwienia: „Ojcowie święci, powiada, dopuszczają „*nawet* (to jest przypuszczają) możność rozmnażania się i t. d.?" Rzecz jest sama z siebie najpewniejsza, i jak artykuł wiary; Ojcowie jéj nie przypuszczają, ale twierdzą o niéj z wszelką pewnością; zkądże pochodzi że autor nietylko z zadziwieniem robi postrzeżenie téj rzeczy, ale i tę rzecz samą zostawia w stanie przypuszczenia, prostego przypuszczenia, uczynionego ze strony Ojców, a nie stawi jéj w stanie pewności, i to pewności ze strony swojéj własnéj i ze strony téjże rzeczy saméj? Tak przecie trzeba było postąpić aby nam nie dopuścić czynić tego przypuszczenia, że autor mimo zdania Ojców przez siebie przytoczonego, pozostaje jednak, jeźli nie przy pierwszém swojém zdaniu, że akt wspomniany jest samymże grzechem pierworodnym, tedy przynajmniéj przy wątpliwości, czy też tak nie jest?

Ale tu autor po dopuszczeniu się tego swego postrzeżenia, czyni skok prawdziwie na złamanie szyi. Powiedziawszy, że Ojcowie przypuszczają nawet możność rozmnażania się, mówi daléj: „Podobało się „**jednak** Bogu, w pełném i nieograniczoném prawie Stwórcy do utworów „swoich, dla bliższego oznaczenia zależności od siebie dwojga onych „ludzi, włożyć na nich ten tylko jeden obowiązek, aby używając w raju „wszystkiego, nie jedli jedynie owocu z drzewa wiadomości dobrego i „złego (str. 46)." Co to znaczy? Ojcowie przypuszczają możność rozmnażania się; jednakże Bogu podobało się rozkazać aby nie jedli z owocu drzewa. Co to znaczy? Jaki tu sens? Co za myśl? Albo się mylę bardzo; albo jeźli tu jest sens jaki, ten tylko jeden być może: iż owoc onego drzewa znaczy akt rozmnażania się, jak gdyby mówił: Ojcowie przypuszczają możność rozmnażania się, jednakże Bóg, w pełném i nieograniczoném prawie Stwórcy do utworów swoich, dla bliższego oznaczenia zależności od siebie onych dwojga ludzi, włożył na nich obowiązek aby tego nie czynili. Wtedy tylko, wtedy jest sens, i powiedzenie autora przestaje być złamaniem szyi, przestaje być niedorzeczno-

ścią logiczną. Ale staje się za to stokroć cięższą niedorzecznością moralną i teologiczną. Nie jest to już dziecińslwo, prostactwo, nieuctwo, ale jest to herezya, bluźnierstwo, bezbożność. Jest to bowiem przypuszczać sprzeczność w Bogu, dziwactwo, okrucieństwo; jest to twierdzić że Bóg, który stworzył człowieka na to aby się rozmnażał, i który do człowieka powiedział: *Roście i rozmnażajcie się,* z tego samego uczynił mu grzech, i co mu dał za prawo żywota, to mu rzucił pod nogi jako kamień zgorszenia. Tego zapewne autor nie miał na myśli, przynajmniéj my tego nowego grzechu na jego sumienie wkładać nie chcemy. Zostaje tedy po usunięciu téj moralnéj i teologicznéj, sama tylko niedorzeczność logiczna; zostaje to, że w owém powiedzeniu autora nie ma najmniejszego sensu, i że sam nie wiedział co mówił. Lepsze to niż tamte. Wolimy iż autor szwankuje na logice, do czego nas tak bardzo przyzwyczaił, aniżeli coby miał raz jeszcze więcéj szwankować na sumieniu, od czego pragnęlibyśmy aby był został zupełnie i we wszystkiém wolny.

W tém samém powyższém powiedzeniu autora jest jeszcze mnóstwo rzeczy do podniesienia, do sprostowania, do naganienia, do odrzucenia: zdaje się nie może dwóch słów powiedzieć, żeby się w nich dwa razy tyle błędów nie dopuścił.

1) Powiada autor, że *podobało się Bogu w pełném i nieograniczoném prawie Stwórcy do utworów swoich* włożyć na nich tamten obowiązek. Jak gdyby Pan Bóg wkładał na nich jaki obowiązek (zawsze jednak nie ten, o którym autor myśli) bez racyi, bez powodu, bez przyczyny. Pan Bóg włożył na nich obowiązek posłuszeństwa z najsłuszniejszéj przyczyny, a jeźli autor chce wiedzieć jaka to była przyczyna, powiemy mu, że człowiek dla tego samego iż był wolny, to jest wolną wolą obdarzony, dla tego samego musiał przejść przez pokusę; aby zaś to stać się mogło, Pan Bóg musiał mu położyć jakieś przykazanie. Pan Bóg nie mógł inaczéj uczynić, i musiał na człowieka włożyć taki obowiązek, jak ten o którym mowa. Nie było więc to prawo pełne i nieograniczone Stwórcy do utworów swoich, któregoby mógł Bóg używać i nieużywać, i któreby nie miało innego prawidła i miary oprócz jego upodobania (bo mówi autor: *Podobało się!*); ale było to prawo *ograniczone* ową przyczyną, owym powodem, który leżał w saméjże naturze ludzkiéj, i który zmuszał Pana Boga do uczynienia tego co uczynił. Bo rzecz jest jasna, że wszelka przyczyna i wszelki powód który zmusza do używania prawa i kieruje tém używaniem, tém samém ogranicza to prawo. Myli się przeto autor i bardzo przykro się myli, kiedy mówi, że to w pełném i *nieograniczoném* prawie podobało się Bogu ową rzecz uczynić. To raz.

2) Mówi daléj autor, że Pan Bóg to uczynił *dla bliższego oznaczenia zależności od siebie dwojga onych ludzi.* W jedném słowie dwa usterki! jeden niedorzeczność, a drugi nieprawda. Bo 1) ponieważ przykazanie ma oznaczać zależność, proszę mi powiedzieć przed tém przykazaniem, czy była oznaczona ta zależność, czy téż nie? Jeźli była proszę mi powiedzieć, jakiémżeto inném przykazaniem była ona ozna-

czona? Oczywiście że innego przykazania nie było: a więc nie była oznaczona. Jeźli nie była oznaczona, cóż wtedy znaczy to: *dla bliższego oznaczenia?* Nie można bliżéj oznaczać co nie było nigdy oznaczoném. A zatém jest to naprzód oczywista niedorzeczność. 2) Ale jest i nieprawda. Bo proszę mi powiedzieć czy ta zależność nie była żadną przed przykazaniem? czy nie była nawet bliską? I owszem, bliską i najbliższą. Czy przykazanie zrobiło ją bliższą? Bynajmniéj, bo bliższą być nie mogła, albowiem już przed przykazaniem była zupełną. A teraz proszę mi powiedzieć, czy oni pierwsi ludzie wiedzieli o téj zależności przed przykazaniem czy nie wiedzieli? Nie ma wątpliwości, że wiedzieli, i to jak najdokładniéj; była ona w ich umyśle jak najlepiéj pojęta, opisana, oznaczona. Zależność tedy pierwszych ludzi od Stwórcy była przed przykazaniem i jak najbliższa i jak najdokładniéj oznaczona. Przykazanie tedy było dane nie *dla bliższego oznaczenia*, bo bliżéj się oznacza to tylko co wprzody nie było ani bliskie, ani oznaczone, ale dane było dla *doświadczenia* w danym szczególnym przypadku téj zależności najbliższéj i najlepiéj oznaczonéj przed tém wystawieniem na doświadczenie. Było to, jeżeli autor chce tego, oznaczenie przypadku, w którym ta zależność miała być doświadczoną; ale co innego jest oznaczenie przypadku, co innego zaś oznaczenie saméj zależności, o któréj tu mówi autor. I owszem oznaczenie przypadku nie mogłoby wcale zachodzić, gdyby wprzody nie była dokładnie oznaczona zależność. Kiedy ks. Jan Pociej rozkazywał dwom nieszczęśliwym klerykom z dyecezyi swojéj jechać do akademii schizmatyckiéj w Moskwie, niech mu to sumienie jego przypomni, wtedy pewno nie czynił tego dla bliższego oznaczenia ich zależności od siebie, ale owszem korzystał z ich zależności uprzedniéj od swéj władzy, zależności, niestety! za nadto blisko oznaczonéj, aby nie już doświadczyć w danym przypadku téj zależności od siebie, ale niestety gwałtem przymusić do wykonania tego co rozkazywał. Może ten własny, smutny przykład nauczy autora czynić różnicę między bliższém oznaczeniem zależności, a użyciem zależności już dawno blisko oznaczonéj, i wystawieniem jéj tylko na doświadczenie. Oby to przypomnienie wywarło inny zbawienny skutek na autorze, za który chętnie wszystkobyśmy inne jemu darowali, oby mu pokazało że miał nieszczęście w swojém życiu nakazywać to co Pan Bóg zakazał, nakazywać uczenie się fałszu, to jest pożywanie z drzewa wiadomości złego, i że raz odważywszy się na to, brnie daléj w to złe, i oto dziś gra rolę samego węża: wypuścił z ust swoich całą książkę, aby biednych swoich bliźnich przekonać, że ten owoc zakazany jest piękny na wejrzenie i smaczny do jedzenia. O człowieku! Obyś się upamiętał!

Te kilka głównych usterków podnieśliśmy z pierwszéj części dzieła ks. Pocieja, aby pokazać jaka jego wartość. Wprawdzie w pierwszéj téj części, jakeśmy o tém uprzedzili, zamiar jego schizmatycki jeszcze nie przebija, o którego wyświecenie najbardziéj nam chodzi, jednakże potrzeba było podnieść niektóre główniejsze przynajmniéj niedorzeczno-

ści jego na polu czystéj teologii, a nawet logiki i zdrowego rozsądku, wykazać grubą jego niewiadomość i zupełne nieuctwo, aby tym sposobem odjąć wszelką wagę temu dziełu w szczególności, a w ogólności wszelkiemu podobnemu zamachowi ze strony schizmatyckiéj; bo to pokazuje jak wszystkie, nawet najpoważniejsze z ich strony zamachy, a za taki trzeba uważać niniejsze dzieło, jak wszystkie mówię są błahe, śmieszne, niedorzeczne, nie mające nietylko żadnéj mocy, ale nawet poważnéj powierzchowności. Ah, bo to trudna sprawa z nieśmiertelną prawdą Bożą!

II.

Przejdziemy teraz do drugiéj części, w któréj autor właśnie swoją zdradę knuje.

Już powiedzieliśmy od początku, na czém zbrodnia jego zasadza się. Autor maluje pierwotne chrześciaństwo, to jest kościół chrześciański pierwszych wieków. Czy go maluje takim, jakim był rzeczywiście? Zdawałoby się, że to powinien był uczynić. Obowiązkiem jego było oddać ten obraz we wszystkich jego szczegółach, inaczéj powinien był się spodziewać najzgubniejszych skutków ze strony rzeczy saméj, a ze strony swego sumienia najtwardszych wyrzutów za prawdę zdradzoną. Bo i coby myślił sam autor o takim pisarzu, który chcąc opisać człowieka, rzekłby że to istota żyjąca, że to zwierz, a umyślnie opuściłby, że rozumem obdarzony; albo li też powiedziałby, że to istota złożona z kadłuba, z rąk i nóg, a nicby o głowie nie wspomniał? Oczywista, że sam autor ogłosiłby podobnego pisarza za odstępcę od prawdy; bo kto zamilcza rzecz którą trzeba koniecznie powiedzić, a któréj niepowiedziawszy da się najfałszywsze o téj rzeczy wyobrażenie, ten równie zdradza prawdę jak ów inny, który wręcz kłamie i mówi czego nie ma i nie było; owszem są przypadki w których pierwszy cięż̇éj grzeszy niż drugi. W takim przypadku jest nasz autor. Opisując pierwotny kościół i stan jego, powinien był autor na pierwszém miejscu w tém opisaniu położyć że była głowa w tym kościele, tak jak jest dotychczas, że tą głową był św. Piotr książę apostołów, i następcy jego biskupi rzymscy, bez żadnéj przerwy urząd ten w kościele sprawujący. To powinien był koniecznie nasz autor uczynić, jeźli nie chciał być podobny do owego pisarza opisującego ciało ludzkie bez głowy, istotę ludzką bez rozumu. Więcéj jeszcze: bo nie o prostą logikę tu chodzi, ale i o wiarę. Zgrzeszyłby autor tylko przeciw logice podobném opisaniem, gdyby nie było schizmatyków na świecie; ale że są na nieszczęście schizmatycy utrzymujący, że pierwotny kościół, a tém samém i następny aż do nas, był rzeczywiście bez głowy, autor zaś śród tych schizmatyków żyje i śród nich pisze, grzeszy przeto autor nietylko przeciw logice, ale i przeciwko wierze, podobném nadskubaném i nadciętém opisaniem swojém kościoła pierwotnego. Bo i cóż przez to czyni? Ni mniéj, ni więcéj, tylko daje

wiernym takie same opisanie kościoła, jakie i schizmatycy dają, i to daje w obec tychże schizmatyków, daje je śród ich krzyków i plotek ze wszech stron rozlegających się, że w kościele głowy nie było i nie ma. Czyż takie opisanie kościoła nie jest w tym razie zdradą najwierutniejszą przeciw kościołowi? Czyż nie jest po prostu opuszczeniem prawdy, zaprzaniem się wiary i przejściem do obozu błędu i schizmy?

Taką ma wartość, taką na sobie cechę nosi milczenie autora naszego względem głowy w kościele pierwotnym. Milczenie to, samo w sobie jest zbrodnią przeciwko prawdzie i logice, w danych zaś okolicznościach jest zbrodnią najcięższą przeciw wierze, przeciw kościołowi, przeciw Bogu.

Ale cóż dopiero powiemy, dowiedziawszy się, że autor nietylko milczy o téj głowie, w chwili kiedy o niéj świadectwo wydać był powinien, ale na nią powstaje i targa się, i pożyczywszy kija nietylko u schizmatyków, ale i u protestantów, sposobem wszystkim zdrajcom właściwym, łącząc podstęp ze złością, kij ten pod nogi jéj podstawia, aby ją tém zdradliwiéj o ziemię obalić.

Takiém wystąpieniem przeciwko głowie kościoła, takiém szczególnie podstawieniem kija jest cały paragraf w którym autor mówi o ś. Piotrze. Bo przecie musiał o ś. Piotrze mówić, mówiąc o kościele pierwotnym. — W kościele pierwotnym byli przecie apostołowie, między apostołami był także i Piotr, i to zdaje się nie ostatni; trzeba więc było o nim mówić. Mówi tedy naprzód o wszystkich apostołach w ogólności a potém o ś. Piotrze, o ś. Janie i o ś. Pawle. Owoż co się ś. Piotra tyczy, nie mówi o nim autor ani słowa od siebie; przytacza tylko pięć tekstów z Ojców kościoła, które mają pokazać czém był Piotr święty; z tekstów tych dwa są wzięte ze ś. Jana Złotoustego, chociaż nie oba z prawdziwego Złotoustego: jeden z Leona Wielkiego, jeden ze ś. Ambrożego, a ostatni zaś Hieronima. Udaje się że nie mógł autor stosowniéj postąpić. Lecz niestety, ten sam właśnie postępek jest zdradą, jest onym kijem, jest onym wilkiem w baranim kożuchu. Chwilę cierpliwości a rzecz się cała wykryje.

A naprzód trzeba wiedzieć, że Ojcowie kościoła niekiedy mniéj ściśle wyrażali się w tych przedmiotach, które za ich czasów jeszcze nie były przez heretyków napadnięte. Rzecz to prosta: bo nikt nie przedsiębierze środków ostrożności, kiedy naokoło bezpieczeństwo. Dopiero kiedy jaki dogmat był podany pod wątpliwość i pod zaprzeczenie, wtedy Ojcowie objaśniali go i dokładnie tłómaczyli, i unikali nadal w swoim sposobie mówienia wszelkich wyrażeń mogących dwuznacznie być wykładanemi. Ztąd pochodzi, że wszyscy heretycy, wszyscy przeciwnicy jakiegokolwiek dogmatu znajdują w Ojcach kościoła, którzy ich poprzedzili, wyrażenia które temu dogmatowi zdają się być przeciwne; te podnoszą, nadymają, nastrzępiają i z wielkim hukiem i trzaskiem wytaczają przeciwko onym dogmatom. Atoli téj ich lichéj taktyce podwójny w ogóle można dać opór: naprzód, że zawsze te wyrażenia są wzięte z Ojców, którzy uprzedzili one roztrząsanie, chociaż niestety!

zwykle ci heretycy późniejszych Ojców nie przypuszczają, i że zawsze jednak te wyrażenia nie są przeciwne temu dogmatowi, ale tylko mniéj dokładne, albo co innego mające na celu; powtóre zaś można zawsze w tychże Ojcach znaleźć takie wyrażenia, gdzieindziéj przez nich powiedziane, które temu dogmatowi najjaśniejsze oddają świadectwo; tylko że znowu niestety! ci heretycy na te inne wyrażenia zamykają oczy i uszy. Tak się rzecz ma w ogóle z dowodami czerpanemi w tradycyi, to jest ze świadectwami jakie Ojcowie w swych pismach składają dogmatom wiary.

Dogmat pierwszeństwa ś. Piotra i jego następców w kościele Bożym późno dopiero zaczął być roztrząsanym. Przed swojém roztrząsaniem, tak jak każdy inny dogmat, był on w wierze ogólnéj kościoła zawarty i tą wiarą zawsze wierzony. Ale Ojcowie, którzy to roztrząsanie poprzedzili, nie zawsze dokładnie o niém wyrażali się, nie zawsze tłómaczyli słowa pisma świętego, do tego dogmatu odnoszące się w tém samém znaczeniu, w jakiém je potém statecznie tłómaczono. Co się z innemi dogmatami stało, stało się i z tym także; i w tém nie ma nic dziwnego; a ta sama odpowiedź, która dostatecznie za inne odpowiada, odpowiada i za ten także. Odpowiedź ta jest: 1) że te wyrażenia mogą być niekiedy niedokładne, ale nie są nigdy przeciwne; 2) że w tych samych Ojcach są wyrażenia dokładniejsze, a to zupełnie zgodne z tym dogmatem i dziwnie ten dogmat stwierdzające. — Nic tu już nie mówimy o Ojcach, którzy później nastąpili i którzy najdokładniéj tę rzecz tłómaczą, bo tych Ojców przeciwnicy niewiadomo jakiém prawem nie przyjmują.

Wiedzą teraz nasi czytelnicy, że dwa są rzędy Ojców odnoszących się do naszego dogmatu o pierwszeństwie Piotra i stolicy jego rzymskiéj: jedne jasne i dokładne, które téj rzeczy zupełnie dowodzą i których my używamy, a to czyniąc zdaje nam się, że bardzo słusznie czynimy: bo tylko jasne i dokładne świadectwa mogą jakiéjś rzeczy dowieść; drugie zaś świadectwa są niejasne i niedokładne we względzie tego dogmatu, a których używają nasi przeciwnicy na jego obalenie, lecz to zdaniem naszém bardzo niesłusznie: bo świadectwa niejasne i niedokładne jak nic zbudować nie mogą, tak też z drugiéj strony nic nie mogą obalić.

Pytamy teraz: Autor nasz chcący ze świadectw Ojców kościoła dać poznać czém był ś. Piotr w pierwotnym kościele, jakichże świadectw miał użyć: czy tego drugiego rodzaju, które niczego nie dowodzą, a których używają heretycy i schizmatycy, myśląc niedorzecznie, że przez nie obalą pierwszeństwo ś. Piotra nad całym kościołym już owym pierwotnym; czy też onego pierwszego rodzaju, które przecież pokazują czém był doprawdy ś. Piotr w pierwotnym kościele, i których my katolicy słusznie i dorzecznie w tym celu używamy? Rozumiemy, że na tak położone pytanie, a to pytanie tak tylko położone być może i powinno, sam autor nie będzie miał dwóch odpowiedzi do dania, ani innéj od naszéj.

A tymczasem mimo takiéj oczywistości całéj téj rzeczy, schizmatycka natura autora co innego mu poradziła. Na pięć świadectw, które

przytoczył z Ojców kościoła o Piotrze świętym, cztery wziął z onego rodzaju, który jest własnością heretyków i schizmatyków, i których ci używają zamiast pocisków na nas. To też te cztery teksty znajdują się w każdéj elementarnéj teologii katolickiéj pomiędzy zarzutami przeciwników; i jak to smutna widzieć autora, mieniącego się jednak katolikiem, a kładącego za dowody i za prawdę to, co nauka katolicka zbija jako fałsz i zarzuty. Piąte zaś świadectwo, jedne i jedyne jakie autor bierze z tego rzędu, który nam jest właściwy i nauce katolickiéj, świadectwo to, trzebaż tedy było i na to patrzeć! autor niegodziwie psuje w tłómaczeniu i złomyślnie przekręca. I cóż mógł innego uczynić najzapaleńszy i najprzewrotniejszy schizmatyk?

Przystępujemy do samychże tekstów. Owoż drugi tekst, który autor ze ś. Jana Złotoustego bierze, (bo o pierwszym przekręconym przez niego na końcu mówić będziemy, ten drugi tekst, który jest fałszywego, a nie prawdziwego Złotoustego (warto jednak było przestrzedz o tém) tekst ten mówię jest wyłożeniem onych słów Chrystusowych: ***Iżeś ty jest opoka, a na téj opoce zbuduję kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go.*** Mówi Złotousty (nie Złotousty): „Nie powiedział (Chrystus Pan) na Pio„trze, ale *na téj opoce*, albowiem nie na człowieku, lecz na wierze ko„ściół swój zbudował [2]). Cóż było tą wiarą? Tyś jest Chrystus Syn Boga żywego. Co to jest na opoce? Oto na wyznaniu, na wyrażeniach pobożności." I cóż tym tekstem Złotoustego, (który nie jest Złotoustym), zamierza sobie autor sprawić? Czy dowieść, że Piotr był prawdziwą opoką to jest głową kościoła? Wtedy przytoczyłby jaki inny tekst z tegoż Ojca kościoła dokładny i jasny, któryby téj rzeczy dowodził; a na takichby mu nie zabrakło, i prędzéjby je znalazł niżeli podobne mniéj więcéj wątpliwe i to jeszcze pokręcone, i to jeszcze nie w Złotoustym znalezione. Wtedy np. powiedziałby z prawdziwym Janem Złotoustym nietylko że Piotra wiara jest opoką kościoła i na JEGO ***wyznaniu kościół jest zbudowany i utwierdzony*** [3]) ale że Piotr jest saméjże ***wiary utwierdzeniem***, że Piotr ***podstawą wyznania*** [4]), że Piotr ***podstawą, fundamentem wiary*** [5]). Ale to przytacza nam tekst wątpliwy, i który przez złomyślne przekręcenie czyni na pozor przeciwnym, i w jakimże to wszystko celu jeźli nie w celu spólnym z przeciwnikami?

---

[2]) Autor tu przytoczony. którego choć nie jest Złotoustym, przyjmujemy jednak dla jego starożytności, powiada, że ***na wierze jego*** (t. j. Piotra) kościół swój zbudował. (Ob. Serm. I. in Pentec. inter Chrys. opp. tom III.) Czemuż nasz autor opuścił to JEGO? Co innego jednak jest powiedzieć, że kościół zbudowany na wierze Piotra, co my w zupełności przyjmujemy, a co innego, że zbudowany na wierze w ogólności. Czemu pytamy się raz jeszcze, to opuszczenie? Lecz to początek złego, zobaczymy inne opuszczenia i przeinaczenia, których się autor dopuszcza, a które trudno lub niepodobna uważać za mimowolne.

[3]) Hom. LXXXII. al. III. in Matth. No. 3. Super confessionem ejus (Petri) Ecclesiam ita fundavit et munivit etc.

[4]) Homil. de debitore X. mil. talentorum: Petrus firmamentum fidei, confessionis fundamentum.

[5]) Hom. contra ludos (T. VI). Petrus fundamentum fidei.

Tu czytelnika uprzedzamy, że nie jest naszym zamiarem tłómaczyć i w prawdziwém znaczeniu wyłożyć przytoczone tu przez autora wątpliwe miejsca z Ojców kościoła. Toby nam zajęło bardzo wiele miejsca i czasu, i zamieniłoby rzecz naszą w rozprawę teologiczną; a my tu tylko wytaczamy sprawę ks. Pocieja i mamy go przekonać o zdradę i odstępstwo. Tego aż nadto dokażemy wykazując wprost jego spólnictwo z innymi odstępcami i nieprzyjaciołmi wiary, bez zapuszczania się w powyższą rozprawę. Niech jednak nikt nie myśli, z tych co są mniéj z teologią obeznani, że to czynimy dla uniknienia trudności: bo i owszém, gdybyśmy chcieli poświęcić podobnemu zbijaniu nieco czasu i pracy, znaleźlibyśmy wtedy dopiero piękne pole do pokazania całéj nędzy, lichoty, a zarazem złéj wiary znajdującéj się w rozumowaniu naszych przeciwników. Naprzykład co do tego tłómaczenia *opoki kościelnéj*, o któréj mówi ten Złotousty, iż nią nie jest Piotr, człowiek, ale wiara w Chrystusa, wyznanie pobożności; że następnie te wyrazy Chrystusa obrócone do Piotra: *A ja ci mówię iżeś ty jest opoka, a na téj opoce zbuduję kościół mój*, mają być rozumiane o wierze i o wyznaniu jakie Piotr złożył, a nie o jego osobie; co do tego, powtarzam, tłómaczenia, rzecz jest jasna że ono nie jest wcale przeciwne pierwszeństwu Piotrowemu, i jest mu tylko przeciwne w umysłach tych ludzi, którzy pierwszéj stronnicy, pierwszego wiersza, pierwszéj litery nie przeczytali z tradycyi kościelnéj. Ktokolwiek do téj tradycyi zajrzał, ten wie jak się rzecz ma z tłómaczeniem powyższego tekstu, i jak ta tradycya cała tłómaczy ten tekst na korzyść tegoż pierwszeństwa. A naprzód najważniejsza tradycya jest ta, która jest najstarsza. Owoż wszyscy Ojcowie kościelni pierwszych wieków, aż do końca IV wieku tłómaczą ów tekst Ewangelii: *Iżeś ty jest opoka*, nie o wyznaniu Piotra i wierze w Chrystusa, ale o samejże Piotra osobie; tak iż Piotr św. ma się rozumieć tą opoką na któréj zbudowany jest kościół. Takich Ojców kościoła z owych pierwszych wieków podobnie tłómaczących jest siedmnastu, to jest wszyscy którzy o tém mówią, a między którymi znajdują się pierwsze światła kościoła greckiego: Origenes [6]) Firmilian, jeden z poprzedników Bazylego wielkiego na stolicy Cezarei Kapadockiéj [7]), sam Bazyli wielki [8]), ś. Epifaniusz [9]), ś. Grzegorz Nysseński [10]), ś. Cyril Aleksandryjski [11]) i inni. Takie jest pierwsze świadectwo powszechne, jednomyślne, wspaniałe, i im starsze tém wspanialsze, świadectwo mówię tradycyi, pokazujące jak się ma tłómaczyć ów tekst Ewangelii, *iżeś ty*

---

[6]) Na wielu miejscach. Hom. V. nad Exodem, w koment. nad rozdz. XVII. Mateusza, w księdze V. nad listem do Rzymian. Patrz i u Eusebiusza, w hist. kość ks. VI. rozdz. 19.

[7]) W liście do Cypriana Kartagińskiego.

[8]) Nad rozdziałem II. Izejasza.

[9]) In Ancorato.

[10]) Kazanie XXVI.

[11]) w księdze II. nad Janem, rozdz. 1.

jest opoką. Cóż autor na to, a z nim ci którzy się opierają na późniejszém tłómaczeniu tego tekstu? Ani słowa o tamtém pierwszém. Czyż się to godzi? Tak robią ci tylko którzy złéj i niegodziwéj sprawy bronią.

Lecz nie na tém kończy się ich podstępne milczenie. Przytaczając owo drugie tłómaczenie tego tekstu Ewangelii, trzeba było przecie wytłómaczyć dla czego późniejsi Ojcowie wzięli się do onego drugiego tłómaczenia, a zarazem powiedzieć, że biorąc się do tego drugiego, żaden z nich jednak nie opuścił tamtego pierwszego. To trzeba było wyświecić chcąc całą prawdę powiedzieć. A tego właśnie nie czynią ci nasi wcale niedobroduszni napastnicy. Niechże tedy wiedzą inni, czego oni powiedzieć nie chcą, że gdy w IV. wieku podniosła się w kościele herezya aryańska, wszystkie usiłowania Ojców skierowane były do jéj przeparcia i zbicia. Ta herezya na tém najbardziéj się zasadzała, że przeczyła prawdziwemu Synowstwu Bożemu Chrystusa Pana twierdząc, że On jest raczéj stworzeniem Bożém, a nie spółistotnym z Ojcem i równym jemu Bożym Synem. Żeby to obalić trzeba było zatwierdzić, iż on był rzeczywistym i prawdziwym Synem Bożym. Ojcowie tedy ówcześni kościoła twierdzili ten dogmat Synowstwa Bożego Chrystusa Pana z wszelką mocą i za każdą okolicznością; ztąd ile razy im wpadło pod ręce owo wyznanie Piotra św.: „Tyś jest Chrystus Syn Boga żywego;" i idąca za niém odpowiedź Chrystusa Pana: „A ja tobie mówię, iżeś ty jest opoka;" widzieli w tych słowach mocny bardzo dowód na zatwierdzenie Synowstwa Bożego i na zbicie Aryanów; korzystali więc z niego podnosząc i wielbiąc to wyznanie Piotrowe tak jasne, iż Chrystus jest Syn Boży; a ponieważ za to Chrystus Pan uczynił Piotra opoką, więc oni to wyznanie samo Piotrowe kładli przeciwko tymże heretykom jako opokę, na któréj zbudowany jest kościół. I oto przyczyna, dla któréj Ojcowie IVgo wieku i późniejsi, zaczęli owe słowa Chrystusa Pana do Piotra powiedziane o opoce, stosować do samegoż wyznania wiary przez Piotra uczynionego. Lecz jakiż ztąd zysk miéć mogą napastnicy nasi, i w czém im pomoże takie tłómaczenie i użycie onych słów Chrystusowych przez tych Ojców kościoła? Ojcowie ci zupełnie o czém inném myśleli, do czego innego tego wykładu używali, używali go przeciwko Aryanom; a nie przeciwko Papieżowi, używali go dla podniesienia Bóstwa Chrystusa, a nie w żadnéj myśli mówienia o pierwszeństwie lub nieperwszeństwie Piotra świętego. Jakże tedy można dzisiaj tych miejsc Ojców kościoła używać do rozstrzygnienia kwestyi o Piotrze świętym? Lepiéjby i z większą prawdą można było powiedzieć, że Cycero pisywał listy do Woltera, a Horacy ody do Napoleona. Tak się w niedorzeczność obracają wszystkie zamachy przeciwników prawdy, skoro ich zarzuty wywleczone będą z ciemności w jakich się zawsze kryją i oświecone światłem prawdy, historyi i rozsądku.

Ale to samo tłómaczenie uboczne, że tak powiem, owych słów Chrystusowych o opoce, dawane przez tych późniejszych Ojców kościoła, tłómaczenie tak niepomyślne i niepożyteczne dla przeciwników naszych, nietylko że nie mieści w sobie żadnego z nami przeciwieństwa, ale owszém

dokładniéj na uwagę wzięte, wielkie za tém samém pierwszeństwem Piotra świadectwo w sobie zawiera. Bo ci wszyscy Ojcowie tłómaczący iż opoką jest wyznanie Piotrowe, czynią ztąd ten wniosek, iż ktokolwiek chce być w prawdziwym kościele, musi się łączyć z Piotrem w jego wyznaniu wiary, i to już nie w tém szczególném wyznaniu Bóstwa Chrystusowego, ale ogólnie w wyznaniu całéj wiary; tak iż wiara Piotra staje się dla wszystkich innych prawidłem wiary, i Piotr pod tym względem nazywany jest przez nich nie już opoką i fundamentem kościoła, ale opoką i fundamentem saméjże wiary. Ojców w podobném znaczeniu rzecz tę wykładających jest, — czy ks. Pociej mógł nie wiedzieć o tém? jest przeszło czterdziestu; tak iż dzieło trzebaby pisać, i rzeczywiscie niejedno jest napisane, aby cały wykład téj rzeczy w swojém właściwém wspaniałém świetle wystawić. Że tu dzieła nie piszemy, więc odsyłamy naszego autora do jakiego podobnego już napisanego [12]), a tymczasem myślimy, że się teraz wstydzić będzie tak źle przytoczonego przez siebie owego z Ojców tłómaczenia Piotra opoki, przez Piotra wyznanie: naprzód dla tego, iż przez to zdradził się być schizmatykiem i teologiem z nauką i rozumem pożyczanym u protestantów; powtóre dla tego, że przytoczenie tu tych tekstów i tłómaczenia jest wcale niedorzeczne; potrzecie dla tego, że jeżli czego to co przytacza dowodzi, tedy właśnie rzeczy wbrew przeciwnéj téj, którą sobie zamierzył.

Tak samo rzecz się ma z innemi tekstami przez autora przywiedzionemi, a mianowicie z tekstami ś. Ambrożego i ś. Hieronima, jakoby tłómaczącemi owe o opoce słowa Chrystusa w tém znaczeniu, że tą opoką jest sam Chrystus. Bo naprzód szanowny nasz autor zapewne przypuszcza, że i ś. Ambrozy i ś. Hieronim nie byli pozbawieni zdrowego rozsądku. Jeżli tak jest, tedy mogli wprawdzie mówić, że Chrystus jest opoką, i tego nikt nie zaprzecza, i owszém razem z nimi jak najmocniéj twierdzimy, że Chrystus jest opoką pierwszą, główną, istotną, od któréj wszelka inna opoka swoją moc i trwałość bierze; ale nie mogli żadną miarą tego przypuszczać, i my téż za nimi nie możemy, aby w owych słowach do Piotra Chrystus Pan mówiąc o opoce, mówił o sobie samym. Bo i jakiż byłby wtedy sens: *Ja tobie mówię, że ty* (Piotrze) *jesteś opoką, a na téj opoce* (to jest nie na tobie ale na mnie) *zbuduję kościół mój*. Tak nie może mówić ostatni idiota, a ci nasi dobrzy przyjaciele chcieliby aby tak mówił Bóg-człowiek! Co za dobroduszność! Lecz to pierwsza uwaga. Druga jest że ci Ojcowie kościoła w tych miejscach wcale nie mówią o pierwszeństwie lub niepierwszeństwie ś. Piotra, tak jak i w owych tekstach o których wyżéj mowa była. Jak tamto tak i to ich, nie powiem tłómaczenie słów Chrystusowych, ale zastosowanie, jest uboczne, zupełnie inny cel mające, najczęściéj cel moralny jak tu ś. Am-

---

[12]) Między innemi polecamy szczególnie dzieło Piotra Ballerini'ego; *De Vi ac ratione primatus Romanorum Pontificum* i t. d. Ostatnie wydanie w Münster, 1845, może być łatwo pod ręką autora.

broży, a nie dogmatyczny; a jednak autor w trop za naszymi przeciwnikami przywodzi te teksta uboczne, a tém samém niejasne, niedokładne, i tylko zamięszanie wprowadzić mogące; kiedy mógł przywieść tyle miejsc innych z tychże samych Ojców kościoła prawdziwie jasnych, dobitnych, wyraźnych, a co największa wprost, i bezpośrednio, i dogmatycznie o Piotrze mówiących, i o tém czém on był w pierwotnym kościele; i tak mógł nietylko jasno i dokładnie, ale i po katolicku całą swoją rzecz wyłożyć. Jeżeli naprzykład chciał przytoczyć ś. Ambrożego mówiącego dogmatycznie o Piotrze, zamiast długiego, a tu zupełnie niewczesnego tekstu, czemu nie przytoczył onego bardzo krótkiego, a bardzo jasnego: „Gdzie Piotr tam kościół." *Ubi Petrus ibi Ecclesia!* [13]) Tego jednego byłoby dosyć było. Jeżeli chciał przytoczyć św. Hieronima, zamiast tekstu również obojętnego albo i nieprzyjaznego na pozor, czemu nie przywiódł, śród stu innych wyraźnych i dokładnych, onego naprzykład: „Ja za nikim nie idąc jedno za Chrystusem, ze Świątobli„wością Twoją (pisze do Damaza papieża) to jest z katedrą Piotra w ob„cowaniu się łączę, na téj opoce wiem że kościół zbudowany.... Kto „za tym domem baranka pożywa niepoświęcony jest, kto w Arce Noego „nie będzie zginie.... Kto z tobą nie zbiera rozprasza; to jest kto Chry„stusa nie jest, Antychrysta jest [14])." Ale on wolał z przeciwnikami, którzy straciwszy miłość stracili i rozsądek, szukać kamieni na papieża na tém wielkiém polu tradycyi kościelnéj, jak jeden z owych złych robotników którzy ukamienowali syna pana swego i dziedzica winnicy, aniżeli zbierać wonnych i kraśno-barwnych kwiatów, pożywnych i słodkich owoców, na wychwalenie i uczczenie tego, którego pan odchodząc w daleką swoją krainę niebieską, postawił tu, na ziemi, na miejscu swojém.

Czwarty tekst ze św. Leona przytoczony, jest w tymże samym duchu wybrany, i przyznajemy że z niemałą pracą wybrany; bo ś. Leon tak wyraźnie wszędzie o ś. Piotrze i o jego znaczeniu mówi, iż żeby znaleźć w nim tekst obojętny i niejasny, i niby przeciwny, trzeba było wszystkie jego pisma z wielką pilnością przewertować. Prawda że tę pracę pisarze protestanccy, a szczególnie anglikańscy, już przed naszym autorem uczynili; więc jemu tylko została praca przepisania. Tekst ten jest następny, według tłómaczenia naszego autora:

„Chociaż Chrystus szczególnie mówi do św. Piotra: *paś owce moje,* wszelako sam On jeden kieruje staranności wszystkich pasterzy, i kiedy ci udają się do téj opoki, nastręcza im tak obfite i zwilżone pastwiska, iż niezliczone owce tłuszczem miłości zasilone na wzór jego, kiedy on

---

[13]) S. Ambr. In Psalm. I, N°. 3_0. Ipse est Petrus caddixit Christus; Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo Ecclesia meam. Ubi ergo Petrus, ibi Ecclesia.

[14]) S. Hier. Ep. XV. Ad Damasum: Ego nullum primum nisi Christum sequens, Beatudini Tuae, id est Cathedrae Petri communione consocior. Super illam petram aedificatam Ecclesiam scio... Quicumque extra hanc domum Agnum comederit profanus est. Si quis in Noe arca non fuerit peribit... Quicumque tecum non colligit spargit; hoc est qui Christi non est, Antichristi est.

jako dobry pasterz raczył duszę swoję za owce położyć, również i one nie wahają się wydać życia swego za imię pasterza (Leo M. serm. XIV. ed. Paris 1614)."

Proszę mi powiedzieć czego ten tekst uczy? To jest czego uczy o św. Piotrze? Dowiadujemy się z niego, że chociaż Chrystus Pan powiedział do Piotra: *paś owce moje,* jednakże sam kieruje starannością swoich pasterzy. U ś. Leona ma to swoje dobre znaczenie, ale u autora naszego cóż innego znaczyć może jeźli nie to, że skoro sam Chrystus kieruje pasterzami, tedy pasterstwo i pasienie owiec przez Piotra do niczego nie potrzebne? Ta zdaje się ze wszystkiego być myśl ukryta autora; i rzeczywiście tylko tę myśl przypuszczając, tekst powyższy św. Leona jest tu przytoczony na swém miejscu. Ależ wtedy śpiewamy znowu razem ze schizmatykami! Gdyby autor był w duszy szczerym katolikiem i katolickiém czuciem i rozsądkiem wybierał teksty z Ojców kościoła, byłby mógł ze ś. Leona coś wspaniałego wybrać, i jedném jego szczęśliwém a mocném powiedzeniem rzecz całą o św. Piotrze najdokładniéj wystawić i wyświecić, powiedzeniem naprzykład do tego podobném: „W Piotrze wszystkich siła jest utwierdzona, i Bożéj łaski tak jest urzą„dzona pomoc, że stałość (niewzruszoność) która przez Chrystusa dana „jest Piotrowi, przez Piotra udzielona jest apostołom [15]." Toby przytoczył autor lub co podobnego, gdyby miał katolicki rozum i serce!

Wracamy teraz do ostatniego tekstu jaki autor z Ojców kościoła przywodzi, a którym jest ów tekst ze ś. Jana Złotoustego na samym początku położony, o którym powiedzieliśmy, że jest niegodziwie przekręcony w tłómaczeniu. Już to autor nie raz w tłómaczeniu bardzo jest nieszczęśliwy. Zbyt często zdradza swoją wielką nieznajomość języka łacińskiego; o greckim nic nie mówimy, bo wszystkie z Ojców greckich miejsca przytacza w tłómaczeniu łacińskiém, i dopiero z tego tłómaczenia sam tłómaczy, a co jeszcze gorszego w tém mu się przydarza, to że te same tłómaczenia łacińskie wypisuje z edycyi najstarszych, najniedokładniejszych, i które żadnéj powagi nie mają. Tak naprzykład tekst św. Jana Złotoustego wypisuje z edycyi bazylejskiéj 1547 roku! Lecz któż od dawna już Złotoustego z innéj wypisuje edycyi niż z benedyktyńskiéj Montfaucona? A dziś już nawet i z téj nie bardzo godzi się wypisywać, skoro mamy od lat 15 przewyborne wydanie tego Ojca kościoła, w niezliczonych miejscach oczyszczone od błędnych czytań po Montfauconie nawet pozostałych, i do pierwotnéj czystości przywrócone, staraniem uczonego Theobalda Fixa, i Benedyktynów solesmeńskich, a nakładem księgarza Gaume w Paryżu uczynione? Dodajemy do tego, że w pierwszych, szczególnie bazylejskich edycyach Ojców kościoła, wielki miał udział Erazm, którego lekkomyślność i schlebianie nowotnictwu, posuwało niekiedy jeźli nie do grubego, to przynajmniéj do cien-

[15]) Serm. IV, cap. 3. In Petro ergo omnium fortitudo munitur, et divinae gratiae ita ordinatur auxilium, ut firmitas quae per Christum Petro tribuitur, per Petrum Apostolis conferatur.

kiego i jakim dowcipem wymówić się mogącego fałszerstwa. Wprawdzie ta ostatnia okoliczność mogłaby nas na tę myśl naprowadzić, że umyślnie nasz autor tych edycyi używa; jednakże widząc że Ojców kościoła wypisuje z tych starych i zapomnianych edycyi, nawet kiedy w tém nie ma żadnéj widocznéj dla siebie korzyści, wolimy całą tę rzecz położyć na karb jego lenistwa, które nie pozwoliło mu szukać wydań mających powszechną powagę; a które przecie muszą być w Warszawie; gdyby zaś nie były można je było małym kosztem sprowadzić z Francyi; na karb mówię tego lenistwa, które za lat młodszych nie pozwoliło autorowi dobrze się nauczyć po łacinie, a jak się pokazuje ani po grecku, choć był członkiem grecko-unickiego kościoła.

Że autor nic łaciny nie rozumie, nie mówię tego o pojedynczych wyrazach, bo do tych zrozumienia dosyć jest mieć słownik pod ręką, ale że nie rozumie samego języka, jego właściwości, toku, składni, tego aż nadto dostatecznym dowodem jest samo powyższe, któreśmy przytoczyli tłómaczenie tekstu ś. Leona. Mniejsza o to że początek tego tekstu gdzie ś. Leon mówi: Quamvis beato Petro principaliter dicat: *pasce oves meas;* nasz autor tak obrócił: „Chociaż Chrystus szczególnie mowi do ś. Piotra: *paś owce moje* i t. d." *Szczególnie* po łacinie wyraża się przez *praesertim*, albo *specialiter*, czego ś. Leon nie mówi, ale mówi *principaliter*, co się tłómaczy po polsku *głównie*. I nie bez przyczyny użył tego a nie innego przysłówka Leon święty. Bo kiedy ja coś mówię *głównie* do kogoś, do jednego n. p. z dwunastu, tedy już do drugiego téj saméj rzeczy nie mogę *głównie* powiedzieć, bo wtedy nie będzie głównie ani do jednego ani do drugiego; przeciwnie kiedy ja do jednego z tych dwunastu mówiąc polecam coś *szczególnie*, mogę bardzo dobrze polecić tę rzecz równie szczególnie i drugiemu i trzeciemu. Ta różnica tłómaczy dla czego ś. Leon, który wierzył iż Piotrowi polecił Chrystus paść owce swoje, tak jak żadnemu innemu nie powierzył, użył wyrazu *głównie;* a dla czego ks. Pociej, który zapewne co innego, a nie to wierzy co św. Leon, nie tego samego téż, ale innego użył wyrazu, i powiedział *szczególnie*. Ale mniejsza o to. Po tym początku powiada daléj ś. Leon: „Ab uno tamen Domino ipsa omnium regitur cura pastorum;" co nasz tłómaczy: „wszelako sam on jeden kieruje starannością wszystkich pasterzy." To jeszcze jakkolwiek może ujść. Ale tu dopiero przychodzi ów ustęp, na którym ks. Pociej dopuścił się owego swego tak krzywego tłómaczenia, iż między najlichszemi okkupacyami w trzeciej lub czwartéj klasie jeszczeby zasłużyło na *malam notam*. Oto ustęp po łacinie: „Et venientes ad petram, tam laetis tamque irriguis pascuis alit, ut innumerae oves dilectionis pinguedinae roboratae, sicut bonus pastor dignatus est pro ovibus suis animam ponere, ita et ipsae non dubitent pro nomine pastoris vocumbere." Dobry uczeń gramatyki szuka naprzód w okresie ułożyć szyk. Gdyby to był zrobił ks. Pociej miałby był okres następny porządnie uszykowany: Et alit oves venientes ad petram pascuis tam laetis tamque irriguis, ut et ipsae innumerae, roboratae pinguedine dilectionis, non dubitent ita occumbere

pro nomine pastoris, sicut bonus pastor dignatus est ponere animam pro ovibus suis. Co znaczy po polsku: „I karmi owce przychodzące do opoki pastwiskami tak bujnemi i tak zwilżonemi, iż i one, nieprzeliczone a pokrzepione tłuszczem miłości, nie wahają się tak umierać za imię pasterza, jak i pasterz dobry raczył położyć duszę za owce swoje." To mówi ś. Leon. A nasz autor każe mu mówić to cośmy już słyszeli, i co teraz dla ciekawości możemy drugi raz posłuchać. Powiada tedy: „*I kiedy* Ci (t. j. pasterze, a ś. Leon mówi o owcach) *udają się do téj opoki* (nie ma *téj* u ś. Leona, autor wścibia to *téj*, aby opokę rozumieć o Chrystusie, a nie o Piotrze), *nastręcza im tak obfite i zwilżone pastwiska* (ś. Leon mówi *karmi je*, **alit**, a autor mówi *nastręcza;* przerobiwszy owce na pasterzy, trzeba mu było oczywiście przerobić *karmienie* na cokolwiek innego, przerobił więc na to, co mu się naprzód *nastręczyło:* jakie to powinowactwo między **karmię** a **nastręczam**!) *iż niezliczone owce tłuszczem miłości zasilone* i t. d. jak wyżéj. Proszę teraz sądzić o tłómaczeniu! A o sensie co powiemy? Bo przecie i złe i niewierne tłómaczenie mogło było sens mieć jakiś; a autor tu nie wiadomo jaki nam daje, którego żeby niedorzeczność wykazać trzebaby znowu kilka stronnic napisać.

Lecz dajmy pokój temu tekstowi ś. Leona, a wróćmy do dawno zapowiedzianego tekstu ś. Jana Złotoustego.

Tekst ten ś. Jana tak jest jasny i stanowczy w oryginale greckim, że onby nam jeden wystarczył za całą tradycyę gdyby innych nie było. Jest on już nieco przyćmiony w tłómaczeniu łacińskiém edycyi bazylejskiéj, któréj autor używa; ale dopiero polski przekład robi go chudym i mizernym do niepoznania. Oto jest ten przekład polski dany przez ks. Pocieja, który jednak ma odwagę kłaść obok tych słów swoich ową łacinę bazylejską, tak przez siebie przestrojoną. Zobaczmy:

„Ś. Jan Złotousty powiada: *Symonie Janów miłujesz mię więcéj* „*niźli Ci?* Dla czego Chrystus omijając innych, tylko do Piotra tak „przemawia? On był ustami reszty apostołów, i przodkującym między „nimi, dla tego i Paweł chodził do Jeruzalem, aby szczególnie z nim mógł „się widzieć. Chciał mu téż Chrystus okazać że już znowu pokłada „w nim zaufanie (po łacinie jest: *że już w sobie zaufanie mieć powinien,* „ut ei ostenderet jam sibi fiduciam habendam. Ale o to mniejsza, to „tylko omyłka gramatyczna). Jakoby więc niepomny zaparcia się Pio„trowego, powierza mu staranność nad bracią..... powiada, jeźli mię „miłujesz przyjmij staranność nad braćmi." Tak tłómaczy nasz autor. W łacinie bazylejskiéj jest: „Os erat Apostolorum et princeps, propterea et Paulus eum praeter alios visurus ascendit." Co znaczy po polsku: „On był ustami apostołów, i książęciem, dla tego téż i Paweł jego po„szedł widzieć innych pominąwszy." Proszę teraz porównać. Łacina powiada: Był ustami apostołów, a nasz dodaje: Był ustami *reszty* apostołów. Zkądże ks. Pociej wziął tę *resztę?* Proszę patrzeć jaki dowcip! szkoda wszakże że tam tylko gdzie idzie o przekręcenie prawdy. Bo oczywista, że kiedy kto powie *usta apostołów,* wtedy apostołów uważa za

jedno ciało, bierze w znaczeniu całkowitém, i jako takiemu daje jedne usta, które są powagą i władzą wszystkich; ale kiedy kto powie *reszty apostołów,* bierze ich nie w znaczeniu całkowitém, ale rozdzielném, i dziwnie osłabia jeźli nie zupełnie niszczy moc onego pierwszego wyrażenia. Proszę uważać jaką subtelność umiał autor wynaleźć! Daléj łacina mówi: książe, albo naczelnik. A nasz tłómaczy: *przodkujący między nimi.* Naprzód *przodkujący* już dziwnie umniejsza książęcia albo naczelnika. Ale potém to *między nimi,* zkąd się to znowu wzięło? Gdzie nasz autor takie ciekawe dodatki wynajduje? Naprzód tego w łacinie nie ma; a potém i w całym polskim języku trudnoby coś podobnego znaleźć. Przodkować po polsku mówi się *komu,* albo *przed kim.* Ale *przodkować między kim* to zupełnie nowy wynalazek z własnéj Minerwy naszego pisarza, wynalazek jeźli nie logiczny ani gramatyczny, tedy przynajmniéj czerwono-republikancki i prawowierno-schizmatycki. Bo to wszystko jedno. Chciał autor wprowadzić między apostołów wolność, równość i braterstwo; tego oczywiście uczynić nie mógł, póki między apostołami był książę; więc precz z księciem! niech tylko będzie przodkujący! Ale bo i przodkujący nie bardzo wygodny; psuje równość: Co tu zrobić? Oto niech nie przodkuje przed innymi, postawmy go w środku. I tak znalazła się głowa na miejscu brzucha, przodkujący w samym środku tych, którym miał przodkować. Przepadła logika, ale równość ocalona. Niech żyje równość! Takie to wynalazki umie wynajdować nasz autor, kiedy idzie o interes buntu i schizmy.

Co następuje mniejszéj jest wagi, ale pokazuje jak nasz autor do końca z rozwagą i namysłem fałszuje wszystko co jest na korzyść prawdy. Tłómaczy bowiem że *Paweł chodził do Jeruzalem aby szczególnie z Piotrem się widział.* Widzieliśmy wyżéj co to znaczy to *szczególnie,* ma to samo i tu znaczyć u autora, to jest że Paweł poszedł widzieć Piotra w taki sam sposób, w jaki mógł jeszcze jednego lub drugiego apostoła widzieć; to jest w sposób szczególny, a nie w sposób wyłączny; nie dla tego że on był głową i naczelnikiem, którego trzeba było widzieć koniecznie, i to jego jednego tylko trzeba było widzieć, innych zaś jak się podobało. Tymczasem pismo święte i ś. Jan Chryzostom o tym ostatnim sposobie mówią, i słowa tak są jasne tego Ojca kościoła, że nie rozumiemy jakiém czołem autor kładzie obok nich tłómaczenie swoje polskie i owo *szczególnie.* Jest po łacinie: Eum praeter alios visurus ascendit. To znaczy: Jego mimo innych, to jest: innych pomijając, aby widział wstąpił (do Jerozolimy). Greckie *παρὰ τούς ἄλλους,* zupełnie to samo znaczy co łacińskie *praeter alios,* to jest znaczy pominięcie, wyjątek; np. *παρὰ πάντα ταῦτα, to wszystko wyjąwszy, pominąwszy,* tak iż *παρὰ τοὺς ἄλλους* nic innego nie znaczy tylko: *innych pomijając.* Zkądże autorowi na to miejsce przyszło ono wyrażenie *szczególnie?* Paweł, powiada, chodził do Jerozolimy aby szczególnie z Piotrem mógł się widzieć. My daleko słuszniéj powiemy: Autor chodził do starożytności kościelnéj i Ojców kościoła, aby tam *prawdę pominąwszy* z fałszem się mógł spotkać. Każdy ma swojego Piotra!

Lecz rzekliśmy że grecki dopiero oryginał oddaje myśl Złotoustego w całéj jasności. Jest po grecku: *Καὶ τί δήποτε τοὺς ἄλλους παραδραμὼν τούτῳ περὶ τούτων διαλέγεται; ἔκκριτος ἦν τῶν ἀποστόλων καὶ στόμα τῶν μαθητῶν, καὶ κορυφὴ τοῦ χοροῦ. διὰ τοῦτο καὶ Παῦλος ἀνέβη τότε αὐτὸν ἱστορῆσαι παρὰ τοὺς ἄλλους. Ἅμα δὲ καὶ δεικνὺς αὐτῷ, ὅτι χρὴ θαῤῥεῖν λοιπὸν, ὡς τῆς ἀρνήσεως ἐξεληλαμένης, ἐγχειρίζεται τὴν προστασίαν τῶν ἀδελφῶν.... λέγει δὲ, ὅτι εἰ φιλεῖς με, προΐστασο τῶν ἀδελφῶν* (S. Joannis Chrysostomi opera, editio Montfauconii, tom VIII, pag. 525; editio Gaumii, t. VIII, pag. 598. homil. 88. in Joannem, ab initio); co znaczy po polsku słowo w słowo: „I czemuż tedy, innych ominąwszy, do tego (t. j. Piotra) o tych rzeczach przemawia? Wybrany był z apostołów, i usta uczniów, i głowa orszaku. Dla tego i Paweł udał się potém obaczyć go pomijając innych. Zarazem też i pokazując mu że trzeba dobrze tuszyć nadal, jakoby po zniesieniu zaparcia się, porucza władzę nad braćmi.... mówi bowiem, jeźli kochasz mię, bądź przełożony nad braćmi." Czyż może być świadectwo jaśniejsze, dokładniejsze, zupełniejsze, wspanialsze o pierwszeństwie Piotra nad apostołami? On nie jest pomięszany z innymi apostołami, jako jeden między nimi; ale *ἔκκριτος* t. j. odróżniony, odłączony, wybrany, jedyny; a na co wybrany? aby był *στόμα τῶν μαθητῶν*, to jest ustami, czyli raczéj co mybyśmy nazwali ***czołem*** uczniów; bo *στόμα* znaczy nietylko usta, ale w przenośném jak tu znaczeniu, znaczy ostrze żelazca, znaczy czoło wojska, pierwszy zastęp innym przodkujący, znaczy szczyt jakiéj rzeczy. I to natychmiast dla większéj mocy innemi słowy powtarza Złotousty: *κορυφὴ τοῦ χοροῦ*, głowa tego orszaku, to jest orszaku apostołów. Na to więc jest wybrany z apostołów i odłączony od nich Piotr święty, aby był czołem i głową całego razem wziętego ich orszaku. Dla tego to Chrystus Pan innych pominąwszy Piotra jednego pytał: ***Symonie Janów, miłujeszli mnie więcéj niźli Ci?*** *Τοὺς ἄλλους παραδραμὼν*, innych pominąwszy. Zupełnie tak samo jak potém Paweł święty, dla téjże saméj przyczyny (t. j. dla tego że Piotr był czołem i głową orszaku apostołów), jak wprzódy Chrystus innych pominął i on także innych pominąwszy, *παρὰ τούς ἄλλους*, poszedł do Jerozolimy z Piotrem się zobaczyć. Jaka moc a zarazem jaka jasność w całém tém wyrażeniu, tak zrozumianém jak było powiedziane! Ale przytém i jaki koniec dobitny! Dawne zaparcie się Piotra odjęło mu ufność i bezpieczeństwo, tak iż chociaż był naczelnikiem i głową innych, nie śmiał jednak wywierać nad nimi władzy. Ale one słowa Chrystusa które innych pominąwszy do niego samego mówi (czy kochasz mię więcéj niźli Ci?) wracają mu tę ufność, bo oddalają, gładzą, niszczą dawne zaparcie się, i Chrystus zaraz po nich utwierdza Piotra w jego władzy. Takie jest owo rozumowanie Złotoustego: ***Pokazując mu*** (przez te słowa) ***że trzeba dobrze tuszyć nadal, jakoby po zniesieniu zaparcia się, porucza mu przełożeństwo nad braćmi;*** i to przełożeństwo nie byle jakie, nie ***curam*** jak tłómaczy Erazm w edycyi owéj bazylejskiéj, nie ***staranność*** jak jeszcze bardziéj wycieńcza nasz autor, ale

προστασίαν, to jest *praefecturam, auctoritatem, imperium*, prawdziwe przełożeństwo, władzę, panowanie, bo to a nie co innego znaczy προστασία, wyraz w tym rodzaju jak być może najmocniejszy i potwierdzony przez następujący wyraz προίστασο, antista, praeesto, stój nad nimi, bądź przełożony, którego choć inne jest pochodzenie ale znaczenie to samo. Taki jest wniosek i koniec tego rozumowania Złotoustego, i taka moc całego tego świadectwa jego. Wniosek i koniec jasny, dobitny i zgoła niewątpliwy; a moc świadectwa taka, iż nie wahamy się tu znowu tego samego powtórzyć, cośmy z góry powiedzieli, że gdyby z całéj tradycyi to nam tylko jedno świadectwo zostało, a jedném obejść się można było, tedy niezawodnie pierwszeństwo Piotrowe z tego jednego świadectwa najoczywiściéj i najniezłomniéj, nietylko widzącym, ale i ślepym dowiedzionémby było. I jakże teraz wyglądają przy tém wielkiém świetle świadectwa tego, owe zabawne wyrażenia naszego tłómacza: Usta reszty apostołów! Przodkujący między nimi!! Staranność nad bracią!!! Albo nas bardzo mniemanie nasze myli, albo sam szanowny tłómacz pierwszy teraz kiwa głową i śmieje się z tłómaczenia swego. Ale tu płakać a nie śmiać się potrzeba!

Ach jeżeli ks. Pociej nie czuje jak jest płaczu godne to całe wystąpienie jego, to my przynajmniéj to bardzo czujemy, i pewno czuje każda dusza chrześciańska, któréj idzie o królestwo Boże tu między nami, i świętą sprawiedliwość jego. Nie smutnaż to bardzo widzieć ten kościół grecko-unicki, w znacznéj części już zabity, w szczątkach które jeszcze ocalały na śmierć jednak skazany, a wszędzie ponure zachowujący milczenie bo mu usta okowano, widzieć mówię ten kościół nieszczęśliwy przymuszony do znoszenia jeszcze większego nieszczęścia, to jest do znoszenia takich przełożonych i nauczycieli, jakim się pokazuje nasz autor; którzy śród powszechnego milczenia na to tylko usta otwierają aby urągać prawdzie, na to rozprawiają aby oszukiwać, na to uciekają się do historyi aby zmyślać i kłamać, na to do Ojców aby ich przekręcić, którzy rzucili o ziemię wstydem i poczciwością jak lichym worem, których nic nie kosztuje nierozum i zła wiara; a to wszystko, ta cała tak ciężka i tak krwawa praca, ta robota już sama z siebie tak nie wesoła, szczególnie kiedy kto nieproszony przyjdzie ze światłem do téj ciemnéj wyrobni, i da innym zajrzeć do niéj, ten trud tak niewdzięczny którego ostatnim końcem a dobrze wiadomym jest zguba nietylko bliźnich, nietylko braci swoich, ale i samychże siebie, samych tych nieszczęśliwych robotników, to wszystko w jakimże celu przez nich podjęte, po co i na co? Spytaj się ich, niech ci odpowiedzą. Znajdziesz tam na dnie marność, i marność marności, kawał złota, lub świecidła, lub honorku, swój rozumek, swoje urojenie, swoje widzimisię; a często nawet jeszcze coś lichszego, bo często cała ta robota dla brzucha tylko i dla gardła podjęta! I dla takich bogów ci ludzie porzucają Boga prawdziwego! Dla takiéj nagrody i dla takiego nieba ci ludzie odstępują prawdy i wiary, przykazania i sprawiedliwości, kościoła świętego na ziemi i zbawienia wiecznego w niebie! Ach! doprawdy smutna to i płaczu godna cała ta sprawa;

i jeżeli ks. Pociej nie ma już łez do wylania nad nią, tedy pozwoli że dusza chrześciańska, mająca jeszcze sumienie, zapłacze nad nim i nad całą tą jego nieszczęśliwą robotą.

III.

Z tego cośmy dotychczas przed oczy czytelnika postawili, pokazuje się jasny i niewątpliwy koniec do którego pismo naszego autora zmierza. Koniec ten i cel jest dowiedzenie, że kościół pierwotny chrześciański taki był, a nie inny, jakim jest dzisiaj kościół schizmatycki. Do tego niezawodnie zmierzało to wystawienie uczynione przezeń kościoła pierwotnego, jakoby był bez głowy, na cośmy dotychczas patrzyli.

Lecz jakże dalej autor swéj rzeczy dowodzi? Bo dotychczas nie bardzo jeszcze jéj dowiódł. Wszystko co nam dotychczas pokazał, do tego się sprowadza, naprzód że Pan Bóg świat stworzył, ale w to i my wierzymy chociaż nie jesteśmy schizmatykami; potém że człowiek zgrzeszył, potém że Syn Boży stał się człowiekiem, i że człowieka odkupił, i że ustanowił kościół; ale w to wszystko i my wierzymy. Nareszcie chciał pokazać autor, że w tym kościele pierwotnym głowy nie było. O! co w to, to my nie wierzymy, i zdaje nam się że bardzo słusznie. Jednakże wierzą w to anglikanie, wierzą nestorianie, wierzą jakobici; więc jeszcze i przez to autor nie wiele czego dowodzi na korzyść kościoła schizmatyckiego: bo choćby nawet prawdą było że kościół pierwotny był bez głowy, jak on twierdzi, to jeszcze z tego nie wypływa że kościoł grecki jest pierwotnym kościołem. Prawda, że kościół grecki jest kościołem bez głowy, ależ nie on jeden jest takim kościołem bez głowy; jest w tém smutném, a według nich w tém szczęśliwém i przyjemném położeniu tysiąc innych kościołów, to jest wszystkie po za rzymskim; pewno jednak grecki nie powie że każdy z tych kościołów jest pierwotnym kościołem. Trzeba więc innych dowodów, innych dokumentów, któreby nas przekonały że kościół grecki dzisiejszy taki jest ze wszystkiém jak kościół pierwotny.

Nie możemy z dokładnością powiedzieć czy nasz autor jasno zobaczył potrzebę tego; to jednak musimy wyznać że jakimś instynktem autor ją odgadł: napisał bowiem trzecią część swego dzieła, w któréj nam daje pewien wykaz, pewien szczegół o pierwotnym kościele, inny aniżeli ten że był bez głowy; i który ma być mocnym dowodem na korzyść dzisiejszego greckiego kościoła.

Jakiż tedy jest ten szczegół? Ważny bardzo, według mniemania autora. Oto w pierwotném chrześciaństwie kościoły budowano obrócone na wschód, a w kościołach przed ołtarzem stawiano ikonostasy, czyli obrazostawy, jak tłómaczy nasz autor. Zupełnie tak jak się dzisiaj dzieje w kościele greckim. A więc nie ma wątpliwości, tak zapewne chciał autor aby wnioskowano, nie ma wątpliwości iż kościół grecki jest taki, jakim był kościół pierwotny.

Podziwiajmy rozumowanie autora teraz, kiedy całe mamy przed oczyma, i kiedy ogólną treść jego rozprawy jednym możemy oka rzutem ogarnąć. Oto do czego ta się treść sprowadza: **Część pierwsza:** Pan Bóg stworzył człowieka, przyrzekł mesyasza i przysłał go nareszcie; **Część druga:** ten mesyasz, którym jest Jezus Chrystus, ustanowił kościół, a w nim dwunastu apostołów (potém dał Sobory i Ojców kościoła), ale żadnéj nie postanowił głowy w tym swoim kościele; **Część trzecia:** ten kościół pierwotny budował swoje świątynie obrócone na wschód, a w nich przed ołtarzami stawiał ikonostasy albo obrazostawy. A teraz **następstwo,** jeźli nie wypowiedziane, tedy dorozumiane, ale zawsze wyraźne i konieczne: Chcesz wiedzieć jaki dzisiaj kościół jest prawdziwy, to jest taki we wszystkiém jakim był kościół pierwotny? Obejrzyj się dobrze, i zobacz który ze wszystkich jest bez głowy, i który świątynie swoje stawia na wschód, a w tych świątyniach obrazostawy przed ołtarzami. Nie długo zaiste trzeba będzie szukać, ale wypadnie od razu się obrócić i pójść pokłon uderzyć w cerkwi schizmatyckiéj.

Prawdziwie jest co podziwiać i treść, i układ, i następstwo a koniec całego tego dzieła. Lecz wyjdźmy na chwilę z podziwienia naszego i przemówmy kilka słów zimnéj rozwagi do rozsądku autora. Powiada nam tedy autor, że kościół pierwotny był bez głowy, i obracał się na wschód, i pokazuje z boku że kościół grecki obraca się także na wschód i jest bez głowy! Więc i cóż z tego? Dajmy że tak było i że tak jest. Czy autor myśli że to już dowodzi wszystkiego? Żal nam doprawdy jego łatwowierności; tém bardziéj że mogłaby na inne zasługiwać nazwanie. Aby mu to pokazać, dosyć nam będzie jednę małą uczynić uwagę: Czy autor nie wie że kościół nestoryański, który jest także bez głowy, obraca się również na wschód? czy nie wie że kościół jakobitów również obraca się na wschód i jest także bez głowy? Jeżeli autor nie wie, tedy nam żal bardzo tego, że się wziął tak niepotrzebnie do pisania swego dzieła: bo ta jedna mała bardzo uwaga całe jego dzieło z podstawy wywraca. Jeżeli zaś wiedział o tém i mimo to wziął się do pisania, cóż mamy sądzić o rozumowaniu autora, który nie domyślał się nawet iż wtedy całém tém swojém rozumowaniem i pisaniem nic innego jak to powiadają nie robił, tylko wiercił dziurę w wodzie?

Tak więc ogromny on i jedyny twierdzący argument, na który nasz autor się zdobył! (argument, zresztą jakoby na hasło dane, powtarzany przez wszystkich obrońców cerkwi), ten mówię argument z wiatrem oto jak dym uchodzi. Nieubłagana logika stanowi koniecznie, że albo wszystkie kościoły bezgłowne a na wschód obracające się są równie prawdziwe, a to czysta jest niedorzeczność; albo że obracanie się na wschód i bezgłowność nie jest jeszcze bynajmniéj znakiem prawdziwego kościoła; i to jedno dorzeczne jest i musi zostać. Tak logika rzecz rozstrzyga, a przeciw niéj, jak wiadomo, nie ma odwołania.

Wszakże co do nas, nietylko logicznie chcemy naszego autora o fałsz przekonać, ale materyalnie, także i faktycznie. Mowa jest o pierwotném chrześciaństwie, i o sposobie jakim ono budowało swoje świą-

tynie: czemuż autor nie zajrzał doprawdy do pierwotnego chrześcijaństwa? Ale do pierwotnego, prawdziwie pierwotnego; nie do tego pośledniego i dobrze pośledniego, które nam za pierwotne wtrąca: bo to jego niby pierwotne chrześciaństwo jest chrześciaństwo dopiero z czwartego i z piątego wieku, a jeżeli mowa o ikonostasach, to dopiero z ósmego i z dziewiątego. Tak to zawsze fałszerze sami sobie rzeczy fałszują, i chcąc innych oszukać po części, sami siebie, za karę, w całkowitości, i od początku do końca oszukują.

Pierwotne chrześciaństwo! Co? Czyż go już nie ma na ziemi, że tak o niém można bajki pisać i prawić niesłychane rzeczy, co komu jedno na język ślina przyniesie? Co? Czy już tak w noc ciemną przeszłości to chrześciaństwo zapadło, że się więcéj nie zdoła podnieść z téj ciemni, i żyjącą a jasną postacią swoją o fałsz przekonać oszczerców swoich? Takby to już być miało z pierwotném chrześciaństwem? Nie! nie, tak nie jest. Żyje ono, żyje; żyje jego postać cała, czysta, nietknięta, jeszcze się bieli i rumieni świeżością swoją pierwotną, żaden dech zniszczenia jéj nie skaził; możemy to pierwotne chrześciaństwo widzieć, słyszeć, czuć, możemy się go dotknąć, możemy się w niém przejrzeć, możemy wejść w jego wnętrze, podziwiać je, cieszyć się niém, lubować; więcéj jeszcze: możemy razem z niém żyć, razem z niém wierzyć, spodziewać się, kochać, razem z niém modlić się, cierpieć i umierać; to wszystko jeszcze dziś możemy. A gdzież to tak? W katakumbach rzymskich. Czy słyszał szanowny nasz autor o rzymskich katakumbach? Tam żyje pierwotne chrześciaństwo, jak gdyby wczoraj zasnęło, a jutro miało się przebudzić. Chcąc widzieć pierwotne chrześciaństwo, a potém mówić o niém, trzeba pójść do katakumb rzymskich; bo przecie aby widzieć rzecz jakąś, trzeba pójść tam gdzie się ona znajduje. Szkoda że tego autor nie uczynił przed tém nim zaczął mówić o pierwotném chrześciaństwie, boby przecie tym sposobem mógł był poznać to o czém miał mówić, a następnie wiedziałby o czém mówi. Szkoda powiadam że tego nie uczynił. My natomiast mieliśmy sposobność uczynić to za niego, i nietylko uczynić wycieczkę książkową i uczoną, o jaką tu od autora mieliśmy prawo dopominać się; ale nawet spotkało nas szczęście żeśmy mogli prawdziwą i rzeczywistą wycieczkę do katakumb uczynić, w przeciągu tego czasu, kiedy tę rzecz przeciwko naszemu autorowi piszemy; świeżo nawet bardzo bo ledwo dwa dni temu. Niech nas raczy posłuchać opowiadających cośmy tam widzieli; dowie się ciekawych rzeczy, najświeższych i najwierzytelniejszych nowin o pierwotném chrześciaństwie. Po ich wysłuchaniu będzie mógł bezpiecznie do ognia wrzucić całą część trzecią swego dzieła o obracaniu na wschód przez pierwotnych chrześcian swych domów modlitwy i o stawianiu przed ołtarzami owych sławnych ikonostasów.

Weszliśmy do katakumb w twardéj ziemi (tufie) kowanemi, w tém miejscu nieco krętemi i przykro spuszczającemi się wschodami. Wnet znaleźlismy się w uliczkach podziemnych, które właściwie katakumby stanowią. Co za widok! Proszę sobie wystawić długie, ciasne, niskie

przejście, albo uliczkę, albo kurytarz, jak to się nazwać podoba; ta uliczka w ziemi wykowana jednego tylko przepuszcza człowieka, jéj górny, płaski połap dotyka niemal wszędzie głowy przechodzącego, jéj ściany z obu stron ocierają się niemal wszędzie o ręce jego, ale jéj długość niezmierzona. jéj rozgałęzienia się na wszystkie strony nieprzeliczone. Idziesz i idziesz a końca nie znajdujesz. Na prawo i na lewo spotykasz coraz nowe uliczki, weźmiesz się którą z nich, więc tam znowu to samo się rozpoczyna; ta nowa uliczka staje się sama w sobie nowym potokiem, po którym płyniesz a po wszystkich stronach znowu inne potoki wpływają do niego i z niego wypływają. Biada temu kto się tam bez przewodnika puści! A i sam przewodnik nie dowierza sobie, choćby dwadzieścia i trzydzieści już lat przeszło po tych manowcach chodził, ma się jednak na ostrożności, plan sobie dokładny znajomych ścieżek nakreśla i po tych chodzi, a w nieznajome nietylko się nie zapuszcza, ale je ziemią u wejścia zasypuje, aby do nich wcale nie wstępować; chyba czasami jedną otworzy by nowe skarby odkryć, i tam ostrożnie krok za krok postępuje, drogę za sobą znaczy, aż póki znowu z tą świeżo odkrytą krainą dokładnie się nie zapozna, i do dobrze znajomych nie wliczy. A nie myśl aby te ścieżki były wszystkie równe i na jednym poziomie. Często się tam na dół spuszczasz, i to dosyć przykro; często pod górę idziesz, i to dosyć stromo; a przewodnik powie ci tylko czasami: teraz jestesmy w drugiém piętrze podziemném, mamy jedno piętro nad sobą; albo téż: teraz jesteśmy w trzeciém piętrze, nad sobą dwa mamy. Wolno ci wtedy wystawiać w myśli jak to głęboko możesz być pod powierzchnią ziemi, a ciepło które ci tu pot wyciska, kiedyś tam na wierzchu zostawił dzień zimowy, potwierdza twoje przypuszczenia. Taki jest pierwszy materyalny widok katakumb. Ale nie po to tam weszliśmy; weszliśmy aby się przypatrzyć pierwotnemu chrześciaństwu. Jakiż nam tedy to ostatnie tam widok przedstawia?

Pierwsza rzecz która twoje oczy uderza, są groby. W ścianach téj ciasnéj uliczki którą idziesz, po jednéj i po drugiéj stronie, bez żadnéj przerwy ani wzdłuż ani wszerz, są groby obok grobów, groby nad grobami. Wszerz każdą tę ścianę biorąc, tojest z góry na dół, masz szereg grobów, zwykle cztery albo pięć, jedne nad drugiemi jakby police w jakiéj szafie, jakby łóżka w okręcie, łoża śmiertelne w ziemi wyżłobione, w których spoczywają kości onych pierwszych chrześcian. Wzdłuż zaś biorąc tę ścianę, to jest w kierunku jak idziesz, szeregi takie grobów jedne po drugich nieprzerwanie następują, między niemi ledwie jest przedział na jednę piędź ziemi, tak że co dwa kroki nowy szereg grobów mijasz po jednéj i po drugiéj stronie téj podziemnéj ulicy. Byliśmy onegdaj w dwóch katakumbach blisko siebie położonych, niedaleko ś. Sebastyana, na via Appia, jedne biorą imię od ś. Kalixta, drugie od śś. Nereusza i Achilleusza; w pierwszych chodziliśmy pod ziemią przez dwie godziny blisko, w drugich przez jednę. Rachując żeśmy na zwiedzanie kaplic, przypatrywanie się malowidłom, czytanie napisów strawili półtory godziny, albo nawet dwie, zostanie na samo nasze chodze-

nie półtory godziny, a przynajmniéj jedna przez którą niezawodnie uszliśmy dwie albo trzy mile włoskie, to jest około 4 do 6000 kroków. Co dwa kroki mijając dziesięć grobów, to jest po pięć z każdéj strony, jakaż będzie całkowita liczba grobów które minęliśmy przez te półtory godziny? Nie mniejsza jak 20 do 30,000. Alić ta część katakumb, którą zwiedziliśmy, zaledwie jest częścią jakąś téj części tychże katakumb która już jest odkryta i znajoma, (np. w katakumbach ś. Nereusza i Achilleusza, część którą zwiedziliśmy jest czwartą częścią znajomych części tych katakumb), a ta dopiero cała część znajoma tych katakumb, zaledwie jest częścią jakąś może nawet bardzo maluczką tychże samych katakumb w całości wziętych, zwłaszcza kiedy się zważy ile otworów jest umyślnie zasypanych, nawet w pierwszych już wiekach chrześciaństwa, aby się w niepotrzebnych przejściach nie błąkać; a te same katakumby nareszcie w całości swéj wzięte jeszcze tylko są częścią jakąś wszystkich katakumb razem wziętych: bo dotychczas odkrytych i znajomych, a różnych od siebie katakumb w Rzymie jest około czterdziestu. Cały ten rachunek może na to posłużyć, aby nam dokładnie wystawić wielkość pierwotnego chrześciaństwa w Rzymie. Niebyła to kupa ludzi zgubionych, w tém jedném mieście wielkiém jak jaki świat, ale był to w niém i pod niém, równie wielki, mnogi, nieprzeliczony a potężny naród, naród cały, który nam zostawił groby dzieci swoich przez lat trzysta niespełna, od Nerona do Dyoklecyana, groby dziewięciu lub dziesięciu pokoleń, a liczba tych grobów nie na tysiące, ani na sta tysięcy, ale na miliony się rachuje. Jakże więc każde pokolenie musiało być liczne, kiedy tylko z dziewięciu lub dziesięciu takich pokoleń urosł ten ogrom milionowych grobów. Patrząc na nie, ani pomyślisz że to groby mieszkańców jednego miasta, i to jeszcze prześladowanych i kryjących się w niémże; rzekłbyś owszem, że to zastępy pośmiertne jakiegoś wielkiego narodu, który był cały wielkiém wojskiem; zastępy, które tak były za życia ściśnięte w szeregach swoich, jak tu oto w tych grobach po śmierci; zastępy wojska nieprzerachowanego w swéj liczbie, ale zarazem niezłomnego w swéj sile, niepohamowanego w swym zapale, przedziwnego w swym porządku, prześwietnego w swym blasku i okazałości. Ach! bo też tém wszystkiém było pierwotne chrześciaństwo, chociaż nie materyalnie i po ziemsku, ale wyżéj nad ziemię w duchu i w prawdzie!

A więc otoż ono przed nami, to pierwotne chrześciaństwo! Możemy nietylko patrzyć na nie, ale nawet wejść zniém w rozmowę; bo oto na każdym grobie nieotworzonym jeszcze [16]) jest napis, są godła ogólne chrześciańskie, są godła odnoszące się do życia osoby umarłéj, jest

---

[16]) Podczas napływu tylu barbarzyńców, którzy Rzym odwiedzili, albo może i w samym Rzymie wylęgli się, zdarzyło się że katakumby, szczególniéj te które bliższe były wchodów, doznały ich niepobożnych odwiedzin, i groby były odbite, to jest te deski kamienne lub marmurowe, które od strony ulicy grób przykrywały, zapewne w nieuczciwym zamiarze szukania tam kosztowności, gdyby były. Dalsze i głębsze ulice ocalone od tego zostały, i mieliśmy pociechę przechodzić przez jednę ulicę niedawno odkrytą, a zupełnie nietkniętą.

pamiątka jakaś po niéj, przyklejona do rogu deski nagrobnéj, jakaś tabliczka, albo lampka, albo medal, albo pieniądz jakiś [17]). Ale szczególnie napisy i malowidła wprowadzają nas z owemi czasami w żyjący stosunek. Z tych napisów i malowideł dowieść można wszystkich niemal dogmatów, obrzędów, praktyk i zwyczajów kościelnych zaprzeczanych w tych ostatnich czasach przez ducha nowotnictwa i herezyi, a które tak szczęśliwie dla ducha posłuszeństwa i wiary, zachowały nieskażone aż do nas dłóto i pędzel pierwszych chrześcian, skrysztalowawszy je w téj pół martwéj a pół żywéj postaci jaką sztuka daje. Tam wyczytasz jak umarły poleca się modlitwom żyjących, tam także wyczytasz jak żyjący proszą umarłego, zapewne świętego jakiego lub męczennika, aby się modlił za nimi; tam znajdziesz Sakramenta odmalowane pod ich właściwemi symbolami, a szczególniéj Sakrament Pokuty, tam znajdziesz nawet małe przybytki w ziemi kowane nad ołtarzem do chowania Najświętszego Sakramentu (co podobno nie bardzo używane w cerkwi schizmatyckiéj; ale my tu wyliczamy to wszystko nie przeciwko cerkwi, lecz raczéj przeciwko herezyi) tam znajdziesz obrazy Świętych w ścianie malowane nad ołtarzami (al fresco), tam znajdziesz, a ja niemogę tu dostatecznie opisać zachwycenia z jakiém to sam tamże znalazłem, znajdziesz obrazy przecudowne Najświętszéj Panny z dzieciątkiem Jezus na łonie. Ta którąm widział, była to prześliczna a wspaniała postać, w postawie siedzącéj z boku widzianéj, na kolanach jéj spoczywało dzieciątko Jezus, a przed nią mędrcowie wschodni składali pokłon najniższy. W tych samych katakumbach (ś. Kalixta), widziałem i drugą Pannę Najświętszą, już nie nad ołtarzem, ale nad grobem malowaną, widzianą w twarz, również siedzącą i z dzieciątkiem Jezus, a z obu stron mędrcowie z darami i czci oddaniem, jak gdyby dla pokazania, że ta postać Matki z dzieciątkiem jest nierozdzielna od czci i pokłonów. Ta druga postać taka przedziwna wdziękiem, świeżością, powagą i nie wiem czemś niebieskiém, żeśmy się dziwowali jéj długo i milczeniem i wykrzykami. Takie i rozmaite inne rzeczy pozostały tam z pierwotnego chrześciaństwa, na wyrzut i na zawstydzenie wszystkich dzisiejszych, nie powiem już obrazoburców, ale wiaroburców i prawdoburców.

Przewodnik nasz, jeden z najznakomitszych dzisiejszych archeologów rzymskich, cavaliere Rossi, podnosił za każdą rzeczą co się nadarzyła, tę wartość wewnętrzną tych drogich zabytków, i całą ich wiekami brzemienną wymowę. Wstydzić się musieli protestanci, chociaż nieprzytomni, którzy takie niesłychane bajki o pierwotném chrześciaństwie przez parę wieków bajali, na ten prosty widok prostéj rzeczywistości. Nie wiedział jednak szanowny nasz mentor, że w téj oto chwili nowi, jeszcze wierutniejsi bajkarze pojawili się na świecie, przychodzący ze wschodu, i przynoszący jakieś pierwotne chrześciaństwo jeszcze dziwaczniejsze i

[17]) W téj ulicy z grobami nietkniętemi o którój tylko co wspomnieliśmy, wszystkie medale znalezione są z czasów najstarszych, Nerona, Trajana, Antonina. Dowód starożytności tych pomników, ich, że tak powiem, pierwowiekowości chrześciańskiéj.

niesłychańsze, aniżeli tamto z protestanckiéj kuźni. Szkoda że nie wiedział: bo za jednym zachodem stojąc na tém samém miejscu, pokazując te same rzeczy, jak obrócony na lewo zniszczył protestantów, tak obróciwszy się na prawo mógł był zetrzeć wszystkich tych wschodnich szarlatanów. Ale rzecz niestracona: on to jutro może uczyni, a my dziś za niego.

A to jakim sposobem? Oto bardzo prostym. W téj naszéj podziemnéj pielgrzymce po ulicach pierwotnego chrześciaństwa widzieliśmy dziesięć albo dwanaście domów modlitwy, albo kościołów, albo świątyń onych pierwszych chrześcian w ziemi wykowanych, jak i wszystko inne; widzieliśmy je dzisiaj tak jak były wczoraj, to jest temu wieków ośmnaście, — widzieliśmy: i możemy zaręczyć naprzód, że nie są na wschód obrócone; powtóre, że w nich nie ma i nigdy nie było ikonostasów. Nasze zaręczenie ma więcéj niż moc prostego zaręczenia: bo każdy może sam pójść i przekonać się o tém co mówimy.

Tak więc kościoły pierwotnego chrześciaństwa, ale nie zmyślonego tylko prawdziwie pierwotnego, żadnego podobieństwa nie mają z tém co o tych kościołach mówi nasz autor.

Może nam powie że pod ziemią trudno było dopytać się wschodu, więc budowali jak mogli. Na to my odpowiemy: Dajmy na to, że tamci chrześcianie nie mogli dla téj przyczyny swoich kościołów na wschód obracać. Jednakże budowali kościoły: więc dowód że można kościoły budować nie obracając ich na wschód. I o to nam tylko idzie. My nie ganimy obracania kościołów do wschodu w ich budowaniu, i owszém chwalimy to i mamy sami mnóstwo takich kościołów, i kładziemy to nawet razem z konstytucyami apostolskiemi za pewne prawidło, którego, jeźli nic innego nie przeszkadza, trzeba się trzymać w ich budowaniu; nie za takie jednak, aby od niego nie można było dla rozsądnéj jakiéj przyczyny, bez żadnego skrupułu odstąpić; tak jak oni pierwsi chrześcianie, w tamtéj swéj podziemnéj ciemności, bez żadnego troszczenia się o wschód i zachód, kościoły swoje stawiali.

A jednak ściśléj tę rzecz roztrząsając, nie jest bynajmniéj prawdą, aby chrześcianie pierwotni, podziemne one kościoły budując, nie mogli byli wiedzieć gdzieby był wschód a gdzie zachód. Każda z takich kaplic podziemnych ma nad sobą wznoszące się tak nazwane *Lucernarium*, które najlepiéj porównać do komina; jest to otwór czworokątny, z dołu szeroki, zwężający się pod górę, który przebija całą grubość ziemi i wychodzi na czyste powietrze. Jest to jakoby wieża onych świątyń, mająca jednak swoje właściwe przeznaczenie. Tędy wchodziło nieco światła do tych pieczar podziemnych, mało jednak, bo zwykle te jakoby wieże są wysokie bardzo; ale właściwy ich użytek było wpuszczanie powietrza świeżego, którego te kaplice podziemne przy spólnych zebraniach bardzo potrzebowały. Otwory te wychodziły w górę na świeże powietrze w miejscach bezpiecznych, zwykle w ogrodach będących w ręku chrześcian. Otoż wyprowadziwszy taki otwor do góry, architekt podobnych budow podziemnych mógł doskonale i łatwo widzieć,

która strona téj jego wieży obrócona ku wschodowi, a następnie podług tegoż podziemną świątynię urządzić. A jednak mimo to nie zważano na wschód w tych pierwotnych, a prawdziwie pierwotnych chrześciańskich kościołach! Cóż na to nasz autor? a z nim wszyscy obrońcy cerkwi i jéj wschodnich obrotów? Konieczna rzecz tedy kościoły na wschód obracać? I czyż się o to tak bardzo troszczyli pierwsi chrześcianie?

A teraz ikonostasy! Prawdziwie i miejsca dla nich nie ma w tych pierwochrześciańskich przybytkach. A co wszelkie podobieństwo tych ikonostasów oddala, to obrazy i to liczne, tam się znajdujące, nad ołtarzem, po bokach ołtarza, przed ołtarzem, a wszystko malowane na ścianach, i wszystko poświęcone dla pożytku wiernych, poświęcone wyobrażeniu tajemnic religii, dla nauki i zbudowania zebranych chrześcian. Pocóżby te obrazy tam malowano gdyby potém drugie ustawiano na ikonostasach aby tamte pierwsze zasłonić? Czysta niedorzeczność takie przypuszczenie, czyste niepodobieństwo, dodane do tamtego pierwszego że miejsca nie ma. Jedném słowem w tych pierwotnych kościołach chrześciańskich ikonostasów nietylko nie było, ale być nie mogło.

A cóż dopiero kiedy powiemy że nietylko w tém pierwotném prawdziwie i najstarszém chrześciaństwie ikonostasów nie było, ale że i dobrze potém ten zwyczaj jeszcze nie był zaprowadzony, nie mówię do łacińskiego kościoła, gdzie nigdy a nigdy ikonostasów nie było, ale nawet do greckiego, gdzie dopiero późno, powoli i nieznacznie zostały wprowadzone. My używania ikonostasów ganić nie myślimy, ale przeciw temu powstajemy jakoby były konieczne i niezbędne w kościołach albo jakoby ich używanie było lepsze od nieużywania. Autor nam mówi że ikonostasy naśladowały zasłonę oną starozakonną w świątyni Jerozolimskiéj, i że z téj przyczyny naturalną było rzeczą że je natychmiast do kościołów zaprowadzono. Czyste przywidzenie fantazyi! Tego przywidzenia autor żadnym a żadnym dowodem, żadnym przykładem, żadném podobieństwem nie potwierdza. I rzecz prosta: bo w całéj historyi nie ma na tę rzecz ani dowodu, ani przykładu, ani nawet podobieństwa. Owszem rzeczą jest niewątpliwą, że jak w kościele łacińskim zawsze, tak w greckim w pierwszych wiekach nie było po kościołach ikonostasów. Pierwsze kościoły składały się według prawideł z trzech części głównych: z przysionku, *vestibulum, πρόναος*, z nawy, Arca Templi, *Navis, Ναός*, i nareszcie z choru, *Absis*, *Sanctuarium*, *Presbyterium*, *Βῆμα, Κόγχη*. To ostatnie miejsce było nieco podniesione i od reszty przedzielone, ale nie ikonostasem, tylko kratką bardzo niewinną i zupełnie do naszych dzisiejszych zachodnich podobną. Tak były urządzone kościoły pierwotne, na wschodzie i na zachodzie. Ikonostasów w nich nie było; i do tego stopnia nie było, że uczeni starożytności kościelnych badacze, którzy się pewno na starożytnościach znali, mówiąc o pierwotnych kościołach, nic a nic o ikonostasach nie mówią. [18])

---

[18]) *Assemanus*, Codex liturgicus Ecclesiae universae. Romae, 1746 — 1766. *Joan. Card. Bona*, Rerum liturgicarum etc. libri duo etc.

Gdybyśmy mieli czas i ochotę po temu i wdali się z naszym autorem w rozprawę o tym przedmiocie, tedybyśmy mogli przytoczyć chmurę dowodów i świadectw, które najoczywiściéj naszych twierdzeń dowodzą. Miałby nasz autor przyjemność widzieć i słyszeć samych tylko greckich pisarzy i Ojców kościoła; wtedyby się dowiedział i o tych także świadectwach które sam przytoczył, co one znaczą i jak je przytacza niewłaściwie. Ale toby nas za nadto daleko pociągnęło; a i tak już przekroczyliśmy granice jakieśmy sobie z początku byli założyli. I o cóż nam tu głównie idzie? O przekonanie że w pierwotnym kościele nie koniecznie obracano kościoły na wschód, i że w nich nie było ikonostasów. Lecz tego już dowiedliśmy widokiem katakumb rzymskich, które niezawodnie są żywym a najważniejszym zabytkiem pierwotnego chrześciaństwa. Czegoż więcéj nam potrzeba? Może takiego samego widoku z greckiego kościoła? Lecz nam Grecya katakumb nie zostawiła: darmo szukać czego nigdy nie było. Pierwotne chrześciaństwo greckie nie przekazało nam żadnego śladu; a jeźli dawniéj i był jaki, zatarła go karząca ręka Opatrzności pod stopami Turków i Saracenów. Gdzież znajdziemy widok pierwotnego chrześciaństwa greckiego? Może w pismach i historyach? Tak; tam go tylko szukać należy, ale to mozolna praca, i trzeba całe dzieło napisać, aby otrzymać taki sam widok na jaki w katakumbach dosyć jest oczy podnieść. Myślimy, że tego tu nikt po nas, ani sam autor wymagać nie będzie. Odsyłamy każdego do tych dzieł gruntownych i uczonych któreśmy wyżéj przytoczyli.

A jednak nie chcemy tak na sucho, jak to mówią, rozstać się z tym przedmiotem, i sprawimy sobie przyjemność przytoczenia choć jednego świadectwa, które oczywiście i niezbicie pokaże co sobie pierwotne chrześciaństwo greckie myśliło o budowaniu kościołów na wschód, i co myśliło czyli raczéj jak wcale nie myśliło o przesławnych ikonostasach.

W dziesiątej księdze swojéj historyi kościelnéj, Euzebiusz, Cezarei Palestyńskiéj biskup, spółczesny Konstantyna Wielkiego, opisuje jak po śmierci Maxymina, pod tymże Konstantynem i Liciniuszem pokój nareszcie kościołowi darowany. Wtedy, powiada, wśród powszechnego wesela chrześcian, śród spólnéj miłości ludów, śród niewymownego wszystkich uszczęśliwienia, zaczęły się wszędy budować kościoły, lub wywrócone dawniéj, kiedy Dyoklecyan kazał z ziemią wszystkie równać, zaczęły odbudowywać się w daleko większéj uczciwości i blasku (Ks. X, roz. 1, 2 i 3). Przy poświęceniach takich kościołów zgromadzali się biskupi i

---

Euseb. Renaudot Liturgiarum Orientalium Collectio Parisiis 1716. 2 Tom.
Jacob. Goar Euchologium Graecorum, Venetiis 1730.
Casalius de Ritibus Christianis.
Thomassinus, Vetus & Nova Ecclesiae disciplina.
Martene de antiquis Ecclesiae Ritibus etc. etc.
Przytém dzieła kardynała *Thomasius*, *Lebrun*, *Grandcolas*, *Morinus*, itd. itd., a szczególnie *Allatius*, co do rzeczy greckich.
Z nowszych *Binterim*, Denkwürdigkeiten itd., a nawet z protestantów Dr. *Augusti*, Christliche Archäologie itd.

miewali mowy pochwalne czyli panegiryki. Między innemi, w Tyrze, mieście Fenicyi, które Chrystus Pan tu na ziemi będąc zaszczycił swoją przytomnością, *najcelniejszy śród biskupów i Bogu najmilszy biskup Paulinus wybudował na miejscu starego nowy kościół, przenoszący daleko pięknością swoją wszystkie kościoły Fenicyi. Tam w obecności mnóstwa pasterzy poważnie i pogodnie słuchających, mąż niejaki miernéj zasługi* (sam o sobie mówi Euzebiusz) *wystąpiwszy na środek, i do onego jednego biskupa obrócony, taką miał mowę* (tamże rozdz. 4).

Z téj tedy mowy wyciągniemy szczegółowe opisanie tego wielkiego i świetnego kościoła, jeźli nie pierwszego, to przynajmniéj jednego z najpierwszych kościołów zbudowanych na wschodzie.

„Przewidziano, prawi, że będzie ostatnia chwała domu tego daleko większa nad pierwszą. Przetoż daleko obszerniejsze miejsce zająwszy zewnętrzny obwód murem zewsząd opatrzył, któryby był całego dzieła najbezpieczniejszą warownią. Wielki następnie i wzniosły przysionek (vestibulum, πρoναος,) ku samym słońca wschodzącego promieniom wyciągnął. (Proszę uważać: przysionek był obrócony ku wschodzącemu słońcu, a więc kościół ze swoim ołtarzem był obrócony na zachód; proszę dobrze uważać!).... Daléj skoro w podwoje wejdziesz, nie zaraz do świątyni powalanemi i nieumytemi nogami wejść tobie dopuścił. Ale między świątynią a przysionkiem wielki przedział uczyniwszy, przestrzeń tę w kształt czworoboku ogrodzoną czterema ukośnemi portykami w około ozdobił, które zewsząd kolumnami podparte. Toż przedziałki pomiędzy kolumną a kolumną, utkanemi z drzewa sieciami (to jest kratkami) do miernéj i stosownéj wysokości wzniesionemi, pozamykał. (Proszę uważać na te siecie, δικτύα, bo właśnie takie same będą potém we środku, zamiast mniemanych ikonostasów). Środkową przestrzeń otwartą i przystępną zostawił, którаby i nieba widok dawała, i powietrze jasne a słońca promieniami oświecone rozlewała. Tu świętego oczyszczenia znaki postawił, to jest wody święte wprost przed kościołem stojące, któreby do wnętrza świątyni wchodzącym obfite źródło do oczyszczenia się podawały. (*Proszę mimochodem zastanowić się nad używaniem codzienném wody święconéj*). To jest wchodzących pierwsze stanowisko..... Owoż to widowisko przekroczywszy, kilką innemi wewnętrznemi przysionkami wejścia do świątyni przystępne uczynił, znowu ku samym słońca wschodzącego promieniom troje obok siebie drzwi w jednéj i téj saméj ścianie zbudowawszy. (Jak nam dokładnie wszystko opisuje; drzwi na wschód, więc kościół na zachód, [19]) niemasz najmniejszéj wątpliwości. I to jeszcze zdaje się chwalić takie urządzenie, bo dwa razy ten szczegół powtarza; a chwaląc ani myśli usprawiedliwiać swego Bogu najmilszego Paulina, że to uczynił nie tak jak powinien był uczynić. Snać że nikt o tém wtedy nie wiedział jeszcze, że budować kościoły na zachód miało być niemiłém Bogu.) Z tych drzwi, prawi daléj, chciał aby środkowe

---

19) Zupełnie przeciwnie zbudowana jest święta Sofia w Konstantynopolu, wzór innych kościołów greckich. Drzwi na zachód, a kościół na wschód.

o wiele przenosiły dwoje innych po bokach położonych i wysokością i szerokością, i te drzwi miedzianemi tablicami, żelazem powiązanemi, i rozmaitemi rzeźbami głównie przyozdobił, a do nich tamte inne jakby do królowéj towarzyszki przydał. (Niezapomina o rzeźbach zewnątrz kościoła na drzwiach wyrzniętych, a jakżeby miał potém o malowidłach wewnątrz kościoła zapomnieć gdyby tam były? Zwłaszcza że malowidła za świętszą rzecz niż rzeźby były poczytywane). Potém po obu bokach kościoła, wystawiwszy podobnież portyki i tyleż przysionków, rozmaite otwory, któremiby bogate światło z góry do budowy wlewało się, nad samemiż portykami obmyślił, i te okna rozmaitemi rzeźbami drewnianemi cienkiéj bardzo roboty ukrasił. (Znowu o rzeźbach, i to gdzieś wysoko na oknach; a o malowidłach czy też nic nie powie?) Samą zaś królewską budowę, dostojniejszemi i kosztowniejszemi ozdobami opatrzył, szczodrobliwéj w nakładach pełen wspaniałości. Tu mi już zbyteczną się zdaje budowy saméj długość i szerokość opisywać, i tę prześwietną krasę, i niewypowiedziany ogrom, błyszczącą dzieł powierzchowność i okazałość, połapy pod niebo aż wznoszące się, a na nich sterczące Libanu przedrogie cedry...... A gdy samą świątynię w ten sposób ukończył, i postawił w niéj wysokie stolice dla uczczenia naczelnikow, i ozdobił ją ławkami po całym kościele porządnie rozstawionemi (proszę i na ten szczegół zważać); na końcu święte świętych, to jest ołtarz w środku umieścił (teraz słuchajmy!). Aby zaś te święte miejsca dla pospólstwa nieprzystępne były, **znowu** je drewnianemi kratkami otoczył, delikatną nader robotą według całéj wzniosłości sztuki wypracowanemi, tak, że patrzącym przecudne widowisko przedstawiają. (A obrazy gdzie?) I owszém nawet o podłodze nie zapomniał; którą gdy w dziwny sposób marmurem upiększył, obracając się potém do tego, co jest po za kościołem i t. d. [20]). — Ale obrazy? Gdzie obrazy? Gdzie ikonostasy?

Mamy tedy zamiast ikonostasów proste drewniane kratki, chociaż przecudną robotą zdziałane, ale ni mniéj ni więcéj, tylko takie jak i u nas w większéj części kościołów dotychczas ołtarz od pospólstwa oddzielają, proste kratki. Słowa Euzebiusza są: *Τοῖς ἀπὸ ξύλε δικτύοις*, to jest: ***z drzewa sieciami*** czyli co my nazywamy kratkami. Używa tego samego wyrazu *δικτυα*, siecie, którego był użył wprzody kiedy opisywał ową środkową przestrzeń otwartą między przysionkiem a kościołem, którą otaczały na około portyki to jest ganki albo chodniki, podparte kolumnami, a między kolumnami były owe siecie albo kratki, takie jakie i tutaj w kościele, *do miernéj i stosownéj wysokości wzniesione.*[21])

Oto co było w pierwotnych kościołach w miejscu, gdzie potém i to dobrze potém zaprowadzono ikonostasy na Wschodzie.

---

[20]) Eusebii Pamphili, Caesareae Palestinae Episcopi, Ecclesiasticae Historiae libri decem etc. Henricus Valesius graecum textum emendavit, latine vertit etc.
Ta mowa w księdze X. rozdz. 4.

[21]) Że te kratki w kościele podobne były zupełnie do owych kratek w przy-

Coby przeciwko temu świadectwu Euzebiusza wytoczyć można, wcale nie widzę. Ktoś nam powiedział, chcąc téj rzeczy bronić, że pod kratkami można rozumieć ikonostasy! Ależ doprawdy nie można! a to dla bardzo prostéj przyczyny, to jest że kratki są kratki, a ikonostasy ikonostasy. Jakto? odpowiedzieliśmy jemu: chcesz żebyśmy dla miłości twoich dzisiejszych ikonostasów dobrowolnie się mylili w najjaśniejszéj rzeczy? Żebyśmy jednę rzecz z rozmysłem brali za drugą? Nie, tego nie uczynimy; i pozwolisz nam, że kiedy czytamy oczyma naszemi: *kratki*, tedy i w myśli naszéj nie będziemy sobie czego innego wystawiali, tylko *kratki*.

Tak więc w najpierwszych kościołach chrześciańskich, i to na wschodzie budowanych, z pewnością i z wszelką pewnością ikonostasów nie było. Wypływa to z powyższego świadectwa, jasnego jak słońce, świadectwa nietylko spółczesnego ale spółmiejscowego, bo czytając tę mowę Euzebiusza zdaje się go nam jeszcze widzieć w pośrodku tych biskupów poważnie i pogodnie słuchających, pośród tego samego kościoła który opisuje, tych samych ścian które echem swojém oddają mu świadectwo. Myślimy że nic stosowniejszego do naszéj rzeczy i nic bardziéj stanowczego nie można było nad to świadectwo znaleźć.

Powtarzamy raz jeszcze, że zwyczaju ikonostasów nie ganimy, i owszém za dobry go i chwalebny uznajemy, byleby go nie uważano za lepszy od zwyczaju przeciwnego. Zwyczaj ikonostasów przyjęty jest i zatwierdzony przez Stolicę rzymską, więc pewno nic w nim nie ma nagannego. Ale naganne jest podnosić go i tak podnosić, iż się poniża zwyczaj przeciwny, a nawet podaje się go za odstępstwo od starożytnych prawideł, za zwyczaj nieodpowiadający całéj godności obrzędu chrześciańskiego, nieodpowiadający jego naturze i znaczeniu. A tymczasem jeźli co jest prawdą, tedy to niezawodnie, że obrząd publiczny chrześciański okrywa się wprawdzie zasłoną przed niepoświęconymi, przed poganami i niewiernymi; ale przed dziećmi swemi zasłony nie zna, wszystkie tajemnice im otwiera, a nawet największą z tajemnic, Sakrament Przenajświętszy, nietylko do ust i do serca wiernym podaje, ale według czułego pierwszych wieków obrządku, wprzody na ręce każdego składa, ażeby on sam piastun szczęśliwy najwyższego daru i najwyższéj tajemnicy Bożéj, powiernik jego najpoufalszy, siebie samego uczynił uczestnikiem tego co jest najwyższe, jak w miłości Bożéj tak i w obrzędzie publicznym religii chrześciańskiéj. [22]) Tak tajemnice swoje chrześciański obrząd wiernym otwiera! Zkądże tedy takie wyobrażenie o nim, jakoby się za drzwi nieprzystępne przed dziećmi swemi

---

sionku, dowodzi ten wyraz *znowu*, który byłby tu bez przyczyny użyty i nie miałby żadnego znaczenia, gdyby się do tamtych kratek nie odnosił. Ztąd słusznie wnioskować nietylko można ale trzeba, że te kratki w kościele były rzeczywiście tak jak i tamte miernéj wysokości.

[22]) Zobacz w téj mierze co ś. Cyrill jerozolimski o tym zwyczaju pierwszych wieków pisze w swojéj katechezie.

chronił i koniecznie miał pod zasłoną mieszkać? Powiadają nam przeciwnicy, że tak było w starym testamencie, gdzie zasłona przedzielała święte świętych od pospolitych części przybytku, i kapłanów od pospólstwa. Ten jest ich argument najmocniejszy, pierwszy z jakim występują. Co do mnie, przyznam się że ten argument robił zawsze na mnie wrażenie wprost przeciwne i jak najmocniejsze. Jak to? mówiłem sobie — to wy nie widzicie żadnéj różnicy między starym a nowym testamentem? Nie widzicie że właśnie dla téj przyczyny, dla któréj zasłona była w starym testamencie potrzebną, z nowego powinna być wyrzucona? Tam była potrzebną, bo cały stary testament był zasłoną, wszystkie jego obrzędy i obchody były postacią nowego; za tą dopiero zasłoną w przyszłości jakoby w świątyni nieprzystępnéj mieszkała święta rzeczywistość, słuszna tédy że i cały lud żydowski, który dopiero po uchyleniu swojego obrzędu (téj ciężkiéj zasłony) miał wejść do prawdziwego obrzędu Bożego (téj jasnéj rzeczywistości), ilekroć na swój obrząd patrzał, patrzał tylko na zasłonę. Ale dla téj saméj przyczyny obrząd chrześciański, który jest szczerą rzeczywistością, nie ma co chować się pod zasłonę; i owszem, powinien się otwierać przed wiarą, przed nadzieją, przed miłością dzieci swoich. I to tém bardziéj, że obrząd chrześciański w rzeczywistości swojéj jest jeszcze postacią, nie już żadnego innego nowego obrzędu na ziemi (on sam jest nowym i wiecznym, *novi & aeterni Testamenti*), ale postacią onego błogosławionego w niebie połączenia się z Bogiem i tego obrzędu chwały wiekuistéj który tam trwać będzie. Przetoż jak chwała tamta niebieska zasadza się na jawném a zupełném posiadaniu Boga w jego naturze, takiego jakim jest, tak tu obrząd ten na ziemi, postacią będący onéj chwały niebieskiéj zasadza się na jawném a zupełném posiadaniu Boga takiego jakim się tu pokazuje; i jak tam Bóg pokazuje się jawnie wszystkim w naturze swojéj, tak tu powinien także pokazywać jawnie w Sakramencie swoim. Ta jest własność obrzędu chrześciańskiego, a szczególnie ta jest różnica między starym a nowym testamentem. Tam cień, a tu rzecz: tam obraz, a tu życie: i dla tego tam zasłona, a tu jasne widzenie. I dla tego to także przy śmierci Chrystusa Pana zasłona starego testamentu rozdartą została, pewno nie dla tego aby na nowo była zawieszoną. Ach! ile razy słyszę przeciwników naszych wprowadzających te swoje zasłony do kościołów, a chwalących je dla tego że to tak bywało w starym kościele Salomonowym, tyle razy słyszę niejako drzenie ziemi i brzmi mi w uszach szelest rozdzierającéj się onéj właśnie zasłony starozakonnéj, a powtarzającéj za każdym nowym trzaskiem swojego rozdzierania się: Oto rozdarł mię Bóg na wieki!

Czemuż wy, niebaczni! chcecie to zszywać rękoma waszemi, co ręka Wszechmocnego rozdarła?

Tak więc przeciw ikonostasom świadczą nietylko dzieje pierwotnego kościoła, ale i powody najmocniejsze z samegoż dna wiary naszéj czerpane, to jest świadczą że ikonostasy nie są koniecznie potrzebne, że mogą być albo nie być, a nawet lepiéj jeżeli ich nie będzie; chociaż

raz jeszcze powtarzamy że na wyrzucenie ich ztamtąd gdzie już się znajdują wcale wnioskować nie myślimy.

Ponieważ raz już dotknęliśmy téj rzeczy o ikonostasach za stosowną uważamy podać tu jak najkródzéj nasz sposób widzenia téj rzeczy co do jéj początku i historycznego rozwinięcia się; aby przez to ułatwić czytelnikowi zrozumienie całéj téj rozprawy. Z tego cośmy powiedzieli, najjaśniéj się pokazuje że naprzód w katakumbach ikonostasów nie było choć były obrazy i to bardzo liczne, na ołtarzu, nad ołtarzem, po bokach ołtarza. Pokazuje się daléj ze świadectwa Euzebiusza, że w najpierwszych kościołach chrześciańskich stawianych na ruinach kościołów tylko co obalonych przez Dyoklecyana, w tych mówię pierwszych kościołach na początku czwartego wieku wzniesionych ikonostasów nie było, ale były proste kratki. Te kratki nie zasłaniały świętego świętych, to jest ołtarza, jak to z tego samego miejsca Euzebiusza dokładnie widać; bo naprzód jakeśmy już dostatecznie pokazali, były te kratki do miernéj wysokości podniesione, potém, co powinniśmy tu dodać, powiada Euzebiusz, że te kratki na to były wzniesione, *aby te święte miejsca dla pospólstwa nieprzystępne były,* nie zaś dla tego aby były niewidzialne, nareszcie gdyby chciano zasłonić doprawdy, tedy nie kratki z drzewa by robiono, które są przezroczyste, ale coś nakształt tych dzisiejszych grubych i nieprzebijających ikonostasów. Pewną więc jest rzeczą z samegoż tego Euzebiuszowego świadectwa, że owe kratki nie zasłaniały ołtarza.

To się potwierdza rozlicznie tu i owdzie napotkać się dającemi świadectwami, zwłaszcza że żadnego przeciwnego świadectwa napotkać nigdzie mnie się nie zdarzyło, chociażem go skrzętnie szukał. Ale śród innych wiela najważniejsze świadectwo mamy w onymże samym wypadku który nasz autor przytacza o ś. Bazylim, a przytaczą jak tyle innych rzeczy, nie domyślając się nawet że zapala i wysadza minę, która całą jego fortecę wywraca. Powiada bowiem, że ś. Bazyli w skutek nieprzyzwoitego wypadku jaki zaszedł wśród służby Bożéj między pewnym kapłanem a niewiastą tamże obecną, kazał kratki podnieść. Żal nam że kiedy to nasze pismo po raz ostatni przeglądamy, nie mamy pod ręką dzieła ks. Pocieja, aby przytoczyć jego własne słowa i wskazać stronnicę na któréj o tém mówi. Ale on sam bardzo dobrze o tém pamięta, a czytelnicy łatwo nam zawierzą. Zdarzył się tedy wypadek między kapłanem będącym w świątniku, a niewiastą zewnątrz bezwątpienia pozostającą, i ten wypadek był przyczyną podniesienia kratek. Ztąd podwójny wniosek wypadało aby autor był uczynił: 1) że to były proste kratki a nie ikonostasy, 2) że były nietylko nie bardzo wysokie, ale nawet bardzo niskie.

Ten wypadek ze ś. Bazylim doskonale potwierdza i uzupełnia opisanie owo kościoła dane przez Euzebiusza. Pokazuje się ztąd z trzykrotną oczywistością że przez cały IV wiek (ś. Bazyli żył w drugiéj jego połowie), na całym wschodzie, to co w kościołach oddzielało ołtarz od reszty kościoła, niczem inném nie było jedno kratkami i to bardzo ni-

skiemi. Ś. Bazyli pierwszy podniósł te kratki do znaczniejszéj wysokości, ale ta nowość była naprzód właściwą tylko kościołowi Cezarei kappadockiéj, gdzie Bazyli był biskupem. Z rozszerzaniem się liturgii przez niego uporządkowanéj i jego imię noszącéj, rozszerzał się zapewne i ten zwyczaj wyższych kratek, ale to naprzód rozszerzał się powoli i nieznacznie tak jak i liturgia ś. Bazylego, a następnie nie były to jeszcze ikonostasy, ale tylko proste kratki, lub mniéjwięcéj grube przegrody. Mylą się Grecy jeżeli przypuszczają że liturgia ś. Bazylego była od wieków w powszechném użyciu na wschodzie. Przewaga ostateczna téj liturgii, i następnéj krótszéj ś. Chryzostoma ztąd poszła, że to była liturgia kościoła konstantynopolitańskiego. Jednakże nastąpiło to dosyć późno. Uczeni którzy się tém zadaniem trudnili, wyświecają że aż do VIII wieku a nawet do czasów Karóla Wielkiego w kościele wschodnim była ciągle używaną liturgia ś. Jakóba apostoła, która jest zupełnie różną od liturgii ś. Bazylego. Dopiero około tego czasu patryarchowie konstantynopolitańscy zdołali nakłonić biskupów jerozolimskich i wszystkich innych biskupów wschodu już to namową już groźbą, do przyjęcia obrządku kościoła carogrodzkiego, a opuszczenia swojego właściwego starożytnego obrządku. Można w tém poradzić się, między innemi uczonego dzieła Binterima o zabytkach chrześciańskich [23]). A więc liturgia ś. Bazylego nie będąc przez długi czas upowszechnioną na wschodzie, ani téż kratki one wyższe nie były na wschodzie powszechne; a cóż dopiero mówić o ikonostasach? Z tą rzeczą tak było mniéjwięcéj jak w onym kościele tyryjskim ś Paulina, z którym Euzebiusz nas zapoznał, a który kościół niezawodnie stosował się do liturgii ś. Jakóba, zwłaszcza że wtedy jeszcze nie było liturgii ś. Bazylego. Tak rzeczy trwały aż do Soboru nicejskiego drugiego, a powszechnego siódmego, w roku 787 mianego.

Sobor ten jak wiadomo zebrany był właśnie na rozstrzygnienie ostateczne rozprawy o obrazach. Ważna tedy jest bardzo zobaczyć co ten Sobor o rzeczy téj stanowi, i czy w nim nasze zdanie czy zdanie przeciwników ma swoje poparcie? Sędzia to właściwy, stanowczy, nieodwołalny; na jego wyrok muszą się koniecznie obie strony pisać.

Uważmy naprzód że kiedy ten Sobor się zebrał, poprzedziły go panowania cesarzów obrazoburców, którzy wszelkich usiłowań dołożyli aby obrazy ze szczętem zniszczyć. Długie były panowania Leona Izaura i syna jego Konstantyna plugawego, pod którym odbyło się owo sławne zborzyszcze carogrodzkie, z 338 biskupów złożone, (r. 754) gdzie dogmat przeciwny czczeniu obrazów został uroczyście obwołany. Od tego czasu obrazy wszędzie niszczono, i po kościołach przynajmniéj żadnych ich śladów nie pozostało. Biskupi więc którzy się na ten Sobor zebrali byli po większéj części tacy, którzy nigdy obrazów po kościołach nie

---

[23]) Die vorzüglichsten Denkwürdigkeiten der Christkatholischen Kirche, von A. J. Binterim. Mainz 1825 — 1841 Tomów 7, a części 17.
Rzecz o któréj tu mowa rozwiązana jest w Tomie IV, części II, stronnicy 146.

widzieli, (już lat 50 obeszło jak je ztamtąd powyrzucano), wielu też takich którzy w tamtych fałszywych wyrokach i naukach udział mieli; trzeba więc było uczyć ich, pokazywać, objaśniać; trzeba było rzecz całą wystawić nie w żyjących dowodach i przykładach: bo tych przed oczyma nie było; ale w świadectwach, w naukach, w dowodach czerpanych w całéj starożytności kościelnéj zacząwszy od starego i nowego testamentu a przechodząc przez wszystkich Ojców Kościoła aż do owych czasów. Tak też uczynili oni Ojcowie, którzy na tym Soborze powagą i światłem swojém celowali nad innymi, a na tych czele stał niezawodnie Tarazy patryarcha konstantynopolski, mąż prawdziwie od Boga zesłany i kościołowi wówczas dobrze zasłużony, którego potężnie wspierali obaj posłowie papieża rzymskiego. Rzecz więc tego wywodu historycznego i dogmatycznego o obrazach była wytoczona jak najobszerniéj, najwszechstronniéj, najdokładniéj. Po piśmie świętém wystąpili długim szeregiem Ojcowie, i cała starożytność stanęła przed obliczem Soboru, cały kościół przeszły że tak powiem stanął przed kościołem teraźniejszym, umarły przed żyjącym, i złożył swoje ogromne świadectwo, a to całe świadectwo było o obrazach. Tam, tam nam szukać rozwiązania naszego sporu. Zapraszamy naszych przeciwników wraz z nami przed ten trybunał najwyższy.

A naprzód o ikonostasach głębokie milczenie! Co to znaczy, żeby w całém świadectwie starożytności o obrazach, w całéj tradycyi o nich od apostołów aż do siódmego Soboru, nie było ani jednego słowa o ikonostasach? A przecie jeżeli ikonostasy doprawdy tak ważne miejsce w obrządku zajmowały, jakże być może aby o nich cała tradycya ani słowa nie powiedziała? A jednak nie powiedziała. Cóżże to milczenie ma znaczyć? Oto znaczy, że ikonostasów nigdy nie było.

Powtóre. Nietylko milczy tradycya cała pierwszych siedmiu wieków, ale i sam Sobor nicejski z VIIIgo wieku milczy o ikonostasach. A przecie jeżeli ikonostasy doprawdy w obrządku tyle znaczyły, gdzież bardziéj było miejsce mówienia o nich jeżli nie tu właśnie przeciw obrazoburcom, aby pokazać jak daleko doszła ich zuchwałość, kiedy się targnęli na obdzieranie téj zasłony która święte świętych od pospólstwa ukrywa? Lecz o tém nic nie mówi Sobor nicejski. Znak oczywisty że obrazoburcy nic podobnego nie czynili. A dla czego nie czynili? Pewno nie dla czego innego tylko dla tego że nie było ikonostasów.

Potrzecie. Nietylko milczy tradycya, nietylko milczy Sobor nicejski o tych ikonostasach, wtedy kiedyby o nich koniecznie mówić był powinien; ale kiedy mówi o obrazach mówi o nich zawsze jako o malowanych po ścianach z jednéj i z drugiéj strony kościoła. Zobaczymy natychmiast.

Poczwarte nareszcie, nietylko wszelka mowa jaką napotykamy o obrazach umieszcza je po ścianach, ale nawet wyklucza je od ołtarza i naokoło ołtarza.

Następny wyciąg z czwartego posiedzenia tego Soboru przekona nas najdokładniéj o tém wszystkiém co tu twierdzimy:

Czytamy tedy w Soborze nicejskim, posiedzeniu czwartém [24]):

„Tomasz przewielebny kapłan i miejsce trzymający wschodnich arcypasterzy (on był jeden z dwóch posłów od patryarchów Alexandryi, Antyochii i Jerozolimy) rzekł: Mruczą niektórzy o ś. Nilu jakoby przeciwko obrazom pisał (tak mówiono na owém zborzyszczu carogrodzkiém z 754 r.), przetoż mam w ręku księgę tegoż Ojca, czy rozkażecie, aby była czytana?

„Święty Sobor rzekł: Niech będzie czytana.

„Kozmas Bogu miły dyakon i kubuklesius czyta:

Sw. Ojca Nila do Olympiodora starosty. [25])

„Piszesz do mnie, czy się zdaje aby przyzwoitém było tobie, mającemu wybudować wielki kościół równie na cześć męczenników świętych jak na cześć samegoż Chrystusa, któremu oni i walkami i bólem i potem świadectwo oddali, postawić także i obrazy w świątniku (to jest: na ołtarzu, *εἰκόνας τε αναθεῖναι ἐν τῷ ἱερατείῳ*) a potém łowami zwierząt rozmaitemi ściany zapełnić i po prawicy i po lewicy (*καὶ θῆρας ζώων παντοίας τοὺς τοίχους πλῆσαι, τούς τε ἐκ δεξιῶν, τούς τε ἐξ εὐωνύμων*) tak aby widziano na lądzie wprawdzie rozciągnięte siecie, a zające i sarny i inne zwierzątka uciekające, za któremi gonią.... a zaś na morzu zapuszczone niewody i t. d. i t. d...." Jakie dokładne pytanie! Pyta się o obrazy w samym świątniku, to jest na ołtarzu lub nad ołtarzem, i o obrazy po ścianach z prawéj i z lewéj strony; jakie dokładne zapytanie! Dla czegoż nie pyta się o obrazach na ikonostasach? Przecież te ważniejsze były niż owe na ścianach zwierzęta ziemskie i ryby morskie. Zresztą jakby się mógł pytać o obrazy w samym świątniku, nad ołtarzem lub po bokach ołtarza, gdyby to wszystko miał zasłonić jakiś ikonostas, po co wtedy te obrazy wewnątrz? A szczególniéj po co się o nie więcéj troszczyć niż o te które być miały na samym ikonostasie; i nic wcale o te ostatnie się nie pytać? Jeżeliby zaś kto powiedział że przez te obrazy w świątniku mają się rozumieć obrazy na ikonostasie, wtedyby dopiero zupełnie swoją sprawę przegrały te ostatnie, bo jak natychmiast zobaczymy, odpowiedź błogosławionego Nila wyklucza ze świątnika wszelkiego rodzaju obrazy. Odpowiada on bowiem następnie:

„Ja na to co napisano odpowiem: że to niemowląt i dzieci godna takiemi jak te rzeczy łudzić wiernych oczy; do stałego zaś i mężkiego umysłu należy w świątniku wprawdzie, na wschód boskiego kościoła, jeden i jedyny krzyż wyobrazić (*ἕνα καὶ μόνον τυπῶσαι ςαυρόν*).... Historyami zaś ze starego i z nowego testamentu napełnić z téj i z tamtéj strony, ręką doskonałego malarza kościół świętych, aby ci co głosek nie znają i nie umieją czytać Pisma Bożego, widokiem malowidła wiadomości

---

[24]) Labbe, Cossart et Collet, Sacro sancta Concilia etc. Edit Veneta, t. VIII.

[25]) Ś. Nil był uczniem ś. Jana Chryzostoma, potem sam starostą kostantynopolitańskim, nareszcie mnichem na pustyni, poświęcony kapłanem pod koniec życia. Umarł w drugiéj połowie V wieku. Nie mała jest powaga tego Ojca.

nabierali mężnych dzieł tych, którzy Bogu prawdziwemu prawie służyli i t. d.... [26])."

Czy może być co jaśniejszego! Na ołtarzu krzyż, a po ścianach kościoła Bożego, z téj i z tamtéj strony, z lewicy i z prawicy, obrazy świętych i ich historyi. Niech autor nasz przyjdzie do naszych kościołów, do tych szczególnie tu w Rzymie, które ołtarz mają po środku, a dziś jeszcze zobaczy tłómaczenie i komentarz żyjący tego tekstu pisanego. Tego w swoich kościołach greckich nie tak łatwo znajdzie.

Tak więc tradycya nietylko nic nie wspomina o ikonostasach, ale je wyraźnie wyklucza ze świątnika, chcąc aby tam był krzyż tylko, jeden i jedyny (*ἕνα καὶ μόνον*), a obrazy zaś wszelkie aby były dopiero po ścianach; że zaś tu mówi o ścianach właściwych, a nie o tych sztucznych jakiemi są ikonostasy (bo i ten wybieg trzeba przewidzić) to się pokazuje i ze słów samych, i z rzeczy, i z okoliczności wszystkich. A naprzód zapytanie było jak najwyraźniejsze. Pytał się Olimpiodor czy przyzwoitémby było owemi malowidłami ściany pozapełniać, *τοὺς τοίχους*, ściany, mury, *parietes, muros,* a więc nie ikonostasy. I jeszcze dla większéj dobitności dodaje: *i te co po prawicy i te co po lewicy, τούς τε ἐκ δεξιῶν, τούς τε ἐξ ἐυωνύμων.* A więc nie ma najmniejszéj wątpliwości o czém to on mówi. Na takie wyraźne zapytane święty Nil niemniéj wyraźnie odpowiada, aby nie owemi malowidłami, ale przedmiotami ze starego i z nowego testamentu zapełnić z téj i z tamtéj strony *ἔνθεν καὶ ἔνθεν* kościół świętych *τὸν ναὸν τῶν ἁγίων*; to jest że to wyrażenie *z téj i z tamtéj strony* odnosi się do kościoła całego, i nie może być zrozumiane jedno o ścianach kościelnych. Ostatnią nareszcie pieczęć temu jasnemu wyłożeniu i pojmowaniu rzeczy choć zbyteczną, ale może dla uporu czyjegoś jeszcze potrzebną, daje to co następuje:

„Teodor, najświątobliwszy biskup Myreńczyków rzekł: List ten wówczas czytany był; ale ponieważ był zepsuty, zgubił nas i oszukał.'

„Najświątobliwsi biskupi powiedzieli: My gdybyśmy słyszeli wtedy co mówi Ojciec (ś. Nil) *że i z téj i z tamtéj strony pomaluj* **dom** (dom cały, nie ikonostas) staremi i nowemi opowiadaniami, nie bylibyśmy, w nierozsądek wpadłszy, uwierzyli. Ale to oni zamiast tego co mówi: Z téj i z tamtéj strony pomaluj, położyli: *pobiel,* co nas bardzo oszukiwało.

(To: *pobiel,* doskonale o murach się rozumie i o obrazach na nich malowanych, ale do obrazów na ikonostasach będących nie wiem jakim sensem mogłoby przypadać. Lecz idźmy daléj;)

„Piotr i Piotr Bogu mili kapłani i zastępcy Hadriana papieża starszego Rzymu rzekli: Coś takiego i boskiéj pamięci Konstantyn Wielki,

---

[26]) *Στεῤῥᾶ δὲ καὶ ἀνδρώδους φρονήματος οἰκεῖον, τὸ ἐν τῷ ἱερατείῳ μὲν κατὰ ἀνατολᾶς τοῦ θεωτάτου τεμένους ἕνα καὶ μόνον τυπῶσαι σταυρὸν,...... ἱςοριῶν δὲ παλαιᾶς καὶ νέας διαθήκης πληρῶσαι ἔνθεν καὶ ἔνθεν χειρὶ καλλίστε ζωγράφου τὸν ναὸν τῶν ἁγίων* etc. Labbe etc. Edit. Veneta, Tom. VIII., col. 875.

imperator, niegdyś uczynił: Zbudowawszy bowiem kościół Zbawiciela w Rzymie, na dwóch ścianach kościoła ἐσ τοῖς δυσὶ τόιχοις τοῦ ναõυ (czy może być co wyraźniejszego?) historye stare i nowe wyobraził, tam Adama z raju wychodzącego, tu łotra do raju wstępującego przedstawiając, i resztę."

Opuszczamy inne świadectwa z tegoż samego Soboru, które również pokazują że obrazy były po ścianach tylko, a nigdy ich nie pokazują przed ołtarzem albo na ołtarzu; opuszczamy, boby pisanie nasze przemieniło się w rozprawę umyślną o téj rzeczy, a to nie jest i być tu nie może naszym zamiarem. Myślimy wszakże że dosyć i aż nadto tego świadectwa jednego aby rzecz całą rozstrzygnąć, świadectwa tak oczywistego iż jego jasność każdy łatwo widzi, a taką mającego powagę iż najświątobliwsi oni biskupi zawołali, że gdyby je byli wprzody słyszeli, nigdyby nie byli, w nierozsądek wpadłszy, baśniom uwierzyli. I my tego życzymy przeciwnikom naszym, aby raz przecie oczy na światło i na prawdę otworzywszy, przestali i sami wierzyć i innych nauczać, iż ikonostasy są niezbędne w obrządku chrześciańskim, iż były od samego początku razem z tym obrządkiem zaprowadzone, iż znaczą to samo w nowym kościele co zasłona w starym, i są tylko tamtéj zasłony dalszém przeciągnięciem, koniecznèm jéj następstwem, i t. d. i t. d. Wszystko to nie ma podstawy ani w wierze, ani w rozsądku, ani w historyi.

Po Soborze nicejskim dopiero, przez oddziałanie jakie zawsze po sobie złe dzieło wywołuje, przez oddziałanie mówię przeciwko obrazoburcom, zaczęto mnożyć obrazy i wszędzie je stawiać. Rzecz z obrazami nie była już wtedy obojętna jak przed tym Soborem, wtedy gdy to zadanie nie było jeszcze rozwiązane i kiedy obrazy bardziéj może dla nauki niż dla czci były używane po kościołach, jak to nawet powyższe świadectwa zdają się wskazywać; przez co wszakże nie chcemy twierdzić, że im przed tém żadnéj czci nie oddawano; i owszem. Ale po tym Soborze rzecz ta z mniéj więcéj obojętnéj przemieniła się na żywotną, już wtedy trzeba było koniecznie obrazom cześć oddawać, cześć względną i do pierwowzoru odnoszącą się, jak to onże Sobor tłómaczy, ale zawsze było to czci oddanie. Kto czci obrazom nie oddawał pokazywał się przez to samo nie być katolikiem. Czci oddanie obrazom stało się znamieniem katolika prawowiernego. Prosta rzecz przeto, że obrazy nabrały zupełnie innéj wagi, prosta rzecz także, że je stawiać zaczęto na okazalszém miejscu, odpowiedniém nowemu urzędowi który w kościele sprawować miały. Zaczęto je tedy stawiać na ołtarzach albo przed ołtarzami, to jest na miejscu naczelném w kościele, wprowadzać niejako do saméj liturgii, tak iżby czcząc same tajemnice religii wszyscy zarazem oddawali cześć i obrazom, a tak łączyli do innych przedniejszych i wewnętrzniejszych aktów religii i wiary, i ten znak zewnętrzny i ostatni wiary i religii. Tym sposobem obrazy zajęły w kościele Bożym miejsce które dziś w nim zajmują i do końca wieków zajmować będą: u nas na zachodzie wstąpiły one na ołtarze; u naszych

braci Greków na wschodzie, gdzie około tego czasu liturgia ś. Bazylego już niemal była powszechnie przyjętą ze swoją wyższą przegrodą czyli kratką, stanęły one same z siebie na téjże właśnie przegrodzie, i tak się utworzyły ikonostasy. Taki ich początek, takie znaczenie, taka istota. Pewno że tym sposobem znajdują nietylko swoje usprawiedliwienie, ale nawet i swoją chwałę: rzecz jest dobra i słuszna i chwalebna. Jednakże niech przestaną na własném, a po cudzą i obcą sobie sławę niech się nie ubiegają, bo i téj nie dopną i swoją utracą.

IV.

A więc myślimy że skończona rzecz cała, skończona ze wschodem, skończona z ikonostasami! Ale czyśmy już skończyli z ks. Pociejem? Zdaje nam się że i bardzo. Pokazaliśmy mu naprzód jak dotkliwie upadł na polu czystéj teologii. Ale tamto pomijając, w téj szczególnéj rzeczy, do któréj się zabrał, to jest w tym obrazie pierwotnego chrześciaństwa dwa główne a wielkie usterki jego postawiliśmy mu przed oczy: pierwszy wewnętrzny, iż ze składu kościoła pierwotnego wyjął samą głowę tak rzeczywiście jednak tam będącą i tak tam potrzebną; drugi zewnętrzny, iż do powierzchowności onego kościoła dodał ikonostasy, zgoła tam niepotrzebne, i nigdy tam nie bywałe. Z tego naszego wykazu wynika że praca ks. Pocieja albo ma fałszywą podstawę, albo żadnéj nie ma; tak zaś w jednym jak w drugim przypadku sama przez się fatalnie upada. Więc zdaje się że z ks. Pociejem rzecz skończona na dobre.

Ale tak nie jest zupełnie. Ks. Pociej sam zobaczył, że się jego budowa dość przykro wywraca, więc chciał uprzedzić ruinę i obmyślił podpory. Te podpory są to pewne zasady, które mają pokazać jakim sposobem kościół stać może bez swojéj podstawy, to jest bez papieża, i tak jednak posłannictwa swego dopełniać. Najważniejsze miejsce w tym względzie jest na stronnicy 366: „Pierwotni chrześcianie, mówi „autor, wzruszeni prawdziwością nauki, świątobliwém pożyciem i nad„zwyczajnemi czynami tak Chrystusa Pana, jak jego apostołów i uczniów, „widząc zresztą we wszystkiém do kościoła świętego odnośném, wy„raźne skutki nadprzyrodzonego wpływu, nieustraszenie przyjmowali „wiarę świętą, żyjąc w najściślejszém zastosowaniu się do jéj zasad i „przepisów, w piśmie świętém i kościelném podaniu zawartych. A nic „nie dodając do tego pisma świętego, i nic z brzmienia jego nie ujmując, „jako prawdziwe ze Słowa Bożego, ten skarb depozytowy najstaranniéj „i ze czcią religijną przekazywali następcom swoim, tak jak go od po„przedników swoich otrzymali. Wszelkie więc dogmata i w ogóle wszel„kie artykuły wiary świętéj, jakie znane i głoszone były w najgłębszéj „starożytności chrześciańskiéj, doszły drogą następnego, a nigdy nie„przerwanego przekazu, aż do czasów naszych; a *przy opiece Bożéj*

„dojdą podobnymże sposobem, aż do ostatnich pokoleń, które zamkną „byt rodzaju ludzkiego na ziemi."

Tym tedy sposobem, według ks. Pocieja, kościół Boży stał dotychczas i stać będzie na ziemi aż do ostatka: bez głowy, któraby wszystkim rozkazywała; bez opoki, którąby wszystko utrzymywała; bez papieża, któryby wszystkiém rządził, był środkiem i wiary i spólności całego ciała, i za któregoby pomocą kościół święty dochowany został nienaruszony do końca; nie, tego ani było, ani jest, ani będzie. Ale natomiast są trzy machiny: 1) Pismo święte, skarb depozytowy, bez dodatku, bez ujątku; 2) Droga następnego, a nigdy nieprzerwanego przekazu; 3) Opieka Boża. Te są wiązadła, te dźwignie, te podpory, któremi ks. Pociej, razem ze wszystkimi schizmatykami, podtrzymuje kościół Boży, aby się mizernie nie wywrócił.

Że ks. Pociej razem tu ze schizmatykami trzyma, nie ma najmniejszéj wątpliwości. Ta bowiem zachodzi między schizmatykami a katolikami różnica, iż i jedni i drudzy przyjmują pismo święte, i jedni i drudzy przyjmują podanie kościelne; ale katolicy stawią i pismo święte, i podanie kościelne, a z niém cały kościół, pod straż papieża, ustanowionego ku temu przez Boga; a schizmatycy i jedno i drugie stawią pod straż nie wiadomo czyją, pod opiekę ślepego trafu, i tę smutną opiekę nazywają piękném imieniem (bo i któż pięknie nazywać się nie chce?) nazywają Opieką Bożą. Tak więc schizma uciekając się do nadziemskiéj jakiéjś a niewidoméj opieki bożéj, zostawia i pismo, i kościół, bez żadnéj widoméj opieki bożéj na ziemi, bez żadnego środka, bez żadnego stałego i ustawicznego urzędu ku téj straży ustanowionego przez Boga; a katolicy przeciwnie, znajdują to wszystko w papieżu przez Boga ustanowionym, téj prawdziwéj opiece bożéj, nie ukrytéj, nie utajonéj, nie niewidoméj, i o którą codzień kłócić się potrzeba i piórem i gardłem ze wszystkiemi innemi kościołami i sektami na ziemi, jak to schizmatycy wszyscy o swoją zagadkową opiekę bożą czynić niestety muszą; ale opiekę i ustanowienie Boże jasne, niewątpliwe, i tak jednemu kościołowi właściwe że nikt inny przywłaszczyć go sobie nie może. Taka jest różnica między katolikami a schizmatykami, i kto jak ks. Pociej téj różnicy nie wyświeca, kto ją pomija i milczy o niéj, kto nie widzi w papieżu téj jasnéj i widoméj opieki bożéj nad kościołem, ale jéj szuka ponad obłokami swojéj schizmatyckiéj fantazyi: ten widoczny rozbrat uczynił z prawdą katolicką, i katolikiem żadną miarą zwać się nie może.

Wskazaliśmy jaka jest różnica między katolikami a schizmatykami, jednakże nie myślimy zgoła wdawać się tutaj w rozsądzanie samego sporu, i pokazawszy jak autor rozminął się z prawdą, pokazać mu jeszcze jak się rozminął z jakimkolwiekbądź rozsądkiem. Jednéj rzeczy nie możemy atoli zamilczeć, a tą jest że samo wskazanie powyższéj różnicy już cały spór rozstrzyga, i uwalnia od zapuszczania się w długie i zawikłane wywody. Bo każdy widzi co to jest ta opieka boża, do któréj odwołują się Grecy, a z nimi ks. Pociej. Każdy widzi że do téj opieki równém prawem, i z równém powodzeniem, odwołać się mogą wszy-

stkie a wszystkie kościoły schizmatyckie, i te które trzymają z greckim, i te które go wyklinają. Każdy widzi że taka opieka boża nie jest żadną opieką, któraby jednemu greckiemu kościołowi mogła służyć i która mogłaby przeszkodzić aby się z innemi nie wywrócił, aby z nestoryańskim, z jakobitskim i t. d. nie był wyklęty, z temi właśnie które sam niegdyś wyklął, mimo to że oni się również uciekali do pisma świętego, do podania kościelnego, i do téj sławnéj opieki bożéj, do któréj się teraz grecki kościół ucieka. Tak więc oczywistą jest rzeczą, że taka opieka boża, opieka niewidoma, i do któréj wszyscy uciec się mogą, oczywista że kościoła greckiego nie zbawi, i dosyć powiedzieć że to do takiéj opieki bożéj kościół grecki ostatecznie się ucieka, aby, jak powiedzieliśmy, cały spór rozstrzygnąć, i z wszelką pewnością zawołać: że to źle być musi, bardzo źle z kościołem greckim, kiedy do takiéj ostatniéj ucieczki się bierze; darmo: już dla niego nie ma ratunku, sam się kładzie w grobie, w którym legli wszyscy poprzednicy jego, a z tego grobu nie ma zmartwychwstania! O wy wszyscy, którzy patrzycie na to opatrzne skonanie! posypcie grób nieboszczyka prochem litości, i niech po tak ciężkim żywocie będzie mu przynajmniéj ziemia lekka!

To czyni ks. Pociej odwołując się do opieki bożéj dla swojego kościoła prawowiernego. Myśli, że przynosi wywody i dowody, któremi jego sprawę wygra, a on przynosi tylko akta testamentarne, z których się pokazuje że nieboszczyk umarł, i nic po sobie nie zostawił.

Smutną doprawdy rolę odgrywa ks. Pociej. Nietylko że zyskuje niesławę złego zamiaru, chcąc Kościół Boży przekuglarczyć na inny jakiś, kusy w duchu i po ludzku wykrojony, jakim jest dzisiejszy schizmatycki; ale jeszcze odnosi w zysku i niesławę nierozsądku, przynosząc takie dowody, które przed oczyma każdego rozsądnego starczą za najmocniejsze zarzuty i za niezbite dowody przeciwne. Pocóż bo to się było targać na oną skałę, któréj całe piekło nie wzruszy? Czyż nie lepiéj i nie zbawienniéj dla siebie, a co do rzeczy czyż nie prawdziwiéj daleko byłby autor zrobił, gdyby zamiast onéj niedokładnéj, a tém samém fałszywéj nauki o piśmie świętém, podaniu kościelném, i opiece bożéj niewidoméj, był wyłożył prawdziwą naukę o zachowaniu wiary przez kościół, tak jak Chrystus Pan to ustanowił.

Jakaż bo prosta rzecz ta cała! Zamyka się ona wszystka w onych słowach Chrystusowych: *„Idźcie i nauczajcie wszystkie narody* (czy pismem, czy słowem, tego wam nie nakazuję, czyńcie jak się wam podoba) *chrzcząc je . . . . . i ucząc je* (a więc w czynności i w żywém uczeniu, a nie w martwém piśmie albo w zmartwiałém podaniu, jest sposób przekazywania wiary przez Chrystusa ustanowiony). [27]) *Kto was słucha, mnie słucha.* [28]) *Wprawdzie szatan będzie was przesiewał jako zboże: ale ty Piotrze! modliłem się za ciebie, aby twoja wiara nie upadła: ty więc, kiedy się raz nawrócisz, potwierdzaj braci twoich.* [29]) *A oto ja z wami jestem aż do skończenia świata.* [30]) Jaka rzecz prosta, a jaka

---

[27]) Mat. XXIII., 19 20. [28]) Łuk. X., 16. [29]) Łuk. XXII., 31. 32. [30]) Mat. XXVIII., 20.

boska w prostocie swojéj! Nie trzy machiny osobne od siebie, a o które ludzie wieczny spór wiodą, pismo święte, podanie, i opieka boża, stanowią ekonomię przekazywania wiary; nie, ale jeden żywy instrument, jedno boskie narzędzie: głos kościoła czyli raczéj Słowo Boże przez usta kościoła, czy to słowo było przez kościół w pismo święte spisane, czy w podaniu zachowane, czy nauczane w chwili obecnéj, to wszystko jedno, to nic rzeczy nie zmienia; zawsze głos kościoła i to głos żyjący, obecny, w téj chwili przemawiający, on tylko jeden jest argumentem, jest dowodem wiary. A ten głos powierzony jest wszystkim apostołom i ich następcom biskupom; jednakże bez przyrzeczenia osobnéj dla nich i nieomylnéj opieki; i owszém, zapowiedziano im jest przez Chrystusa, że opieka boża nie uwolni ich od upadku, że ich szatan przesiewać będzie jak pszenicę. Za Piotra jednego modlił się Chrystus aby wiara jego nigdy nie upadła, i dla tego kładzie na niego urząd aby wszystkich innych w wierze potwierdzał. W Piotrze podobnie utwierdzonym i jego następcach, aż do skończenia świata mieszkać będzie opieka boża nad kościołem swoim, i nad przekazywaniem wiary; kto Piotra i braci jego przez niego potwierdzonych słucha, ten Chrystusa słucha, i tym sposobem Chrystus jest z nim aż do skończenia świata, tak samo nauczający, tak samo działający, jak kiedy był na ziemi. Co za prosta rzecz! Kościół, ale kościół na Piotrze zbudowany, oto całe narzędzie, narzędzie boskie wiary naszéj i zbawienia naszego!

Któż nie widzi iż rzecz tak prosta jest zarazem najmocniejsza, jest prawdziwym kamieniem, jest prawdziwą opoką, któréj skruszyć, któréj poruszyć nie podobna. I nietylko w rzeczy i w życiu, nietylko w historyi, ale nawet w świecie idei, ale w logicznym nawet porządku opoka ta jest niewzruszona i nietykalna. Patrzcie! oto już ośmnaście wieków jak kościół katolicki dowodzi się przez papieża, a komuż kiedy, przez tę tak długą historyę, jakiemu gdzie odszczepionemu kościołowi przyszło to do myśli, aby się także dowodził przez papieża, czy prawdziwego, czy też choćby zmyślonego? Historya anti-papieżów potwierdza dziwnie nasze wyzwanie, choćby dla tego jednego że pokazuje, iż osobny kościół, z osobnym papieżem, utrzymać się żadną miarą nie może. Co mówię! Niedorzeczne jest nawet to przypuszczenie, aby się mógł jaki inny kościół dowodzić przez papieża: bo dwóch papieżów, dwóch następców ś. Piotra, dwóch biskupów rzymskich, logicznie mówiąc, żadną miarą być nie może. Czysta więc logiczna niedorzeczność przypuszczenie takie! Patrzcie tedy jaką jest podstawą niewzruszoną w dowodzeniu prawdziwego kościoła papież; on jeden jest doprawdy tą opoką, nietylko historyczną, ale i logiczną, która poruszoną być nie może, na któréj zbudowany jest kościół; ją odejmij, a darmo będziesz szukał kościoła; na niéj się oprzyj, a od razu wszelki błąd zniknie, a od razu prawdę zobaczysz, i nikt ci jéj wydrzeć nie potrafi.

Ach czemuż ks. Pociej nie udał się do téj prawdziwéj opieki bożéj, i jéj nie położył jako ostatniéj racyi przekazywania wiary świętéj z pokolenia do pokolenia, jako jedynego, i logicznego, i historycznego, i bo-

skiego kamienia węgielnego, na którym zbudowany jest kościół i całe dzieło zbawienia powierzonego jemu, jako niewzruszonéj opoki, przeciwko któréj bramy piekielne przemódz nigdy nie będą mogły. Tak czyniąc byłby wystawił prawdę istą, i byłby zachował zarazem logikę, byłby się nie rozminął z dobrą wiarą i byłby zarazem rozbratu nie uczynił ze zdrowym rozsądkiem, a tak zostając synem kościoła i dzieckiem bożém, byłby zarazem zatrzymał godność człowieka i wartość myślącego umysłu. Ale dziś to wszystko stracone dla ks. Pocieja!

Na tém kończymy nasze zadanie. Łatwo je było rozwiązać, i siły nasze jakkolwiek malutkie i słabe, ale na prawdzie bożéj oparte wystarczyły aż nadto by zburzyć to nieszczęśliwe dzieło nieszczęśliwego kapłana. Przykro nam było musieć niekiedy surowo się odzywać, ale i Bóg który jest miłością samą, groźnie upomina sprzeniewierzonych sobie, i Chrystus Pan, który jest samém miłosierdziem, gorliwą ręką smagał i wypędzał z kościoła tych, co go zamienili na jaskinię łotrów. Lękać się nam wypadało, abyśmy używając nie na swojém miejscu powolności i pobłażania, nie opuścili uczynić tego co nam Chrystus swoim przykładem czynić nakazał, i nie zostawili w kościele bożym człowieka, który w nim zostawać wszelkie prawo utracił.

Tak skończywszy rzecz z ks. Pociejem, czyż mamy teraz jeszcze zastanawiać się nad wnioskami jakie on wyprowadza ze swoich nieszczęśliwych przypuszczeń i twierdzeń? Bo tu dopiero, na końcu całego dzieła swego, włazi na fałszywy podnożek jaki sobie w niém wystawił, i tonem słodkawym i gorzkawym, uśmiechliwym i gniewliwym, insynującym i perorującym, przemawia do wszystkich co nie chcą schizmatyków uważać za dobrych katolików, ostrą daje im lekcyę iż nie znają katechizmu, iż się przeciwią Chrystusowi nie mając dla nich (schizmatyków) téj, którą on nazywa, miłości bliźniego, a która niczem innem nie jest, tylko wierutném zamknięciem oczu na ich błędy i zatwardziałość, i nieszczęśliwém w nich pobłażaniem tego, czego nasza miłość bliźniego właśnie cierpieć w nich żadną miarą nie powinna. Czyż mówię mamy na to wszystko jeszcze zwrócić uwagę i przyczyniać przykrości i sobie i zacnym czytelnikom naszym, zapuszczając się w ocenienie i zbicie tych wniosków przewrotnych? Damy temu pokój. Aliści żeby w niczem nie uchybić naszemu obowiązkowi wykrywcy i karciciela błędu, wypiszemy z ks. Pocieja spory tego rodzaju ustęp, którym kończy swe dzieło, a który dosyć będzie wypisać aby go napiętnować wszystkiemi onemi cechami smutnych przymiotów, jakie w ciągu tegoż swego dzieła autor rozwinął, i na które musieliśmy z taką przykrością patrzyć i innym je pokazywać.

Tak tedy nasz autor wysłowia się na str. 471. „Wzorowe pod każdym względem pierwsze chrześciaństwa wieki dość szybko przeminęły, „(to jest nie bardzo ale dosyć szybko), a w miejsce owych czasów złotych, nastąpiły czasy żelazne wieków średnich (poetycznie!). Dziś po „owym średniowiekowym do przesytu długim okresie (do przesytu, a jednak ze wszystkiego pokazuje się, że go autor nie skosztował, że na-

„wet ani ust do niego nie przytknął. Tymczasem już przesycił się! Co „to, to doprawdy dosyć szybko), w którym panowała matka niewiado„mość i córa jéj przesąd (to znowu filozoficznie), Opatrzność dozwoliła „nam żyć w czasach (a to jakie będzie?) gdzie przy rozpowszechnio„néj oświacie i rozsądnéj krytyce (dajmy temu pokój), rzeczywistość „i prawda uważając ogół nie zaś pojedyncze zdarzenia, zaczynają „przecież silnie brać górę nad ułudą i fałszem (to jest, że wszystkie „prawdy średnich wieków ogłoszone są za bajki i stara wiara katolicka „rzymska za przesąd urodzony z niewiadomości), a miłość chrześciań„ska (to jest tak nazwana tolerancya, która nie jest miłosném znosze„niem osób, ale niemiłosierném znoszeniem w nich błędów, a tém sa„mém i obojętnością na los ich duszy i obojętnością na samąż prawdę, „ta tedy miłość chrześciańska) pełności kwiatu dosięga (to już i arcy„poetyczne i arcyfilozoficzne). Godzi się więc i należy przychodzić „w pomoc rzeczywistości i prawdzie (wylęgłéj z oświaty i rozsądnéj kry„tyki, to jest z protestantyzmu i niedowiarstwa) aby rychło przeważyła „ową szalę, na któréj ułuda z fałszem (wiara rzymska katolicka) buntnie „(sic) tryumfowała i za zbyt długiéj i czerstwéj doczekała starości (jeźli „czerstwa to musi być zdrowa), aby następnie kwiat miłości chrześci„jańskiéj (to jest zgnilizna obojętności i pleśń tolerancyi dogmatycznéj) „rozwinął się, zawoniał (tak), i dobroczynne owoce jak najspieszniéj „(jak najspieszniéj) wydał. Każdemu zaś z takich współbraci naszych, „(to nas katolików jeszcze tu współbraćmi nazywa, wszakże nie wprost „współbraćmi, ale takimi współbraćmi), którzy, czy to przez płochą „lekkomyślność (to do nas), czy dumną zarozumiałość, czy zimną obo„jętność, czy też zastarzałe uprzedzenia (to wszystko do nas) nie tro„szczą się o gruntowne badania rzeczywistości i prawdy (opartéj na „oświacie i krytyce), a tém mniéj o zaszczytne w téj mierze postępy, (jak „zapewne autor starał się o to; cóż, kiedy tak nieszczęśliwie, że jak „widzieliśmy wszystkie jego postępy z przykra na łeb do przepaści! „smutne to prawdy a nie zaszczytne!) ale bez rozsądnego namysłu (!) „albo potępiają wszystko, co w bezpośredni zakres ich osobistości nie „wpływa (to jest w zakres prawdy katolickiéj), albo napuszeni często„kroć samym jedynie tytułem katolicyzmu (a więc w zakres osobistości „wchodzi to co nie jest tytułem katolicyzmu: to jest rzecz katolicyzmu, „prawda sama katolicka) i wsparci swobodnie (sic) na jego imiennéj tyl„ko podporze (sic), drzemią w toku życia swego ciągle i spokojnie, en„dimionis (sic) somnium (sic) trybem owych nibyto szczęśliwych bo„haterów pogańskich, którym wyobraźnia rymotwórców po trudach „i znojach ziemskiego życia, na polach elizejskich bezpiecznie odpo„czywającym, hełmami i zbrojami głowy podpierała (mniejsza o to wszy„stko) nie wahajmy się powiedzieć niekiedy (niekiedy) ze względnością „i słodyczą (ze względnością i słodyczą!)."

„Bracie w Chrystusie! ciesz się w duszy, żeś chrześcianin kato„licki i proś Zbawiciela łącznie z nami (z kim to z nami?) którzy ró„wnież mianem chrześcian katolików cieszymy się i chlubimy. (Ró-

„wnież: a więc jakoby osobno. Co to znaczy? wiemy już dawno, że „od pewnego czasu schizmatycy przywłaszczoném sobie mianem kato-„lików cieszą się i chlubią, czyli raczéj chcieliby chlubić się i cieszyć „się, gdyby im tego sumienie spokojnie dozwalało i czy to ks. Pociéj „z nimi razem staje teraz już otwarcie, mówiąc: i my również cieszymy „się i chlubimy? Lecz cóż daléj? Proś Zbawiciela, powiada, łącznie z nami) „aby się spełniła jego przepowiednia o jednéj owczarni i o jednym pa-„sterzu, (a więc nie ma jednéj owczarni ani jednego pasterza między „jednymi a drugimi, między tymi katolikami, którzy są doprawdy kato-„likami, jak to powiada ks. Pociej [ciesz się, żeś katolik] a między tymi, „którzy tém mianem cieszą się i chlubią i do których ks. Pociéj sam „siebie zalicza. Niestety! nie ma wątpliwości: ks. Pociej nie należy ra-„zem z nami do jednéj owczarni, trzeba się dopiero łącznie z nim mo-„dlić o to, sam nam to powiada, zdradza się mimowolnie zakryty do-„tąd tajnik serca, rzecz cała jasna. Teraz i to co następuje, łatwo da „się zrozumieć). Ale nie przechwalaj się zbytnie, prawi, ani napuszaj „swoim katolicyzmem (mówi swoim, jakby chciał powiedzieć, bo mamy „nasz); gdyż nie tytuł katolika zbawienie ci przyniesie, lecz życie z nau-„ką Chrystusa Pana zgodne (które to życie u nas można widzieć): a ty-„tuł nie usprawiedliwiony odpowiedniém pożyciem, obciąży cię tylko „większą odpowiedzialnością (Łuk. XII, 46). Przytém tak nietrafnie (sic) „obrane stanowisko, z którego na drugich pogardliwie spoglądasz (to „jest nie chcesz przyznać że schizmatycy są katolikami, chociaż się oni „tém mianém cieszą i chlubią), a na siebie pilnéj baczności nie zwra-„casz, może być łatwo obwiedzione tamą (sic) tak, iż nie zdołasz po-„mykać się (byle nie zmykać jak autor), do téj chrześciańskiéj dosko-„nałości, dla któréj Jezus Chrystus granic nie oznaczył, mówiąc: *Bądź-„cież wy tedy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonałym jest.* „Mat. V. 48. (Jak to do rzeczy! Chrystus Pan kazał nam być dosko-„nałymi, więc trzeba schizmatyków uważać za katolików! Namby się „przeciwnie zdawało. Nam się zdaje, że i to także do doskonałości „chrześciańskiéj należy, co nam gdzie indziéj Chrystus nakazuje: Kto „kościoła nie słucha, niech będzie dla ciebie jako poganin i jawnogrze-„sznik!). Stosowniéj i pożyteczniéj będzie, mówi daléj ks. Pociéj, jeźli „z owoców, a nie ze czczych przechwałek, zacność i wartość twoja „głośną będzie. Chwal Najwyższego, jak cię kościół święty nauczył, „i jak tylko możesz, lecz nie wyszydzaj i nieprześladuj nikogo (to jest: „nie mów, że ktokolwiek jest w błędzie i że są schizmatycy na świecie); „szczególnie tych, którzy podobnie jak my odrodzeni z wody i z ducha, „zostając z dopuszczenia Bożego (a o winie własnéj nic już nie ma do „powiedzenia?) w odmiennych od naszego wyznaniach (tu już nietylko „schizmatyków, ale wszystkich heretyków miłośnie obejmuje) chwalą „Boga (św. Paweł, albo św. Jan, albo św. Jakób, powiedzieliby b l u-„ż n i ą B o g a) sposobem od naszego odmiennym (jeźli nasz prawdzi-„wy, tedy ich fałszywy, a fałszem Boga czcić nie można. Dokąd to do-„chodzi zaślepienie ks. Pocieja! Tém prawem i pogaństwo równie jest

„dobre jak chrześciaństwo, bo jest także sposobem chwalenia Boga, „trochę odmiennym, to prawda, ale zawsze sposobem chwalenia Boga. „Proszę uważać, że miłość ks. Pocieja dla schizmatyków i heretyków „nie idzie do litości nad ich osobami, nad ich duszami, ale do usprawie„dliwienia saméjże ich herezyi, samegoż ich fałszu, samego sposobu „chwalenia Boga. Jest to wywrócenie wszelkiego chrześciaństwa, „wszelkiéj religii objawionéj, wszelkiéj zgoła religii, która nie może być „tylko jedna i dwóch odmiennych sposobów chwalenia Boga nie przypu„szcza. Lecz kończy ks. Pociej): Sprawa bowiem bezpośrednia między „Stwórcą a stworzeniem do sądu twego bynajmniéj nie należy. (Znowu „jeden z tych skoków, który łamie kark wszelkiéj logice. Pewno, że „sprawa bezpośrednio między Stwórcą a stworzeniem, miedzy Bogiem „a duszą do sądu mego nie należy, alež nie o tém była mowa, szanowny „pisarzu, zupełnie nie o tém: mowa była o sposobie chwalenia Boga, „a to sprawa pośrednia, między Bogiem a ludźmi i tak pośrednia, że „po większéj części jest publiczna i znowu tak pośrednia, że ją całą „Bóg oddał pod sąd kośaioła. Kościół sądzi o sposobie chwalenia Bo„ga i sądem który Bóg czyni nieomylnym, kościół ostatecznie w téj spra„wie rozstrzyga, tak, iż co on postanowi na ziemi, zatwierdzone jest „natychmiast w niebie. Więc rzecz oczywista, że ta sprawa chwalenia „Boga należy do sądu kościoła, a tém samém do sądu każdego z synów „kościoła, każdego wiernego, bo wierny nie może inaczéj sądzić niż „kościół, ani sądu swego wstrzymać, skoro kościół raz osądził i sąd „swój jako prawidło wiary, jako dogmat niezmienny, na sumienia wier„nych nałożył. Ztąd rzecz jasna jak dzień biały, że sposób chwalenia „Boga nie jest sprawą bezpośrednią między Stwórcą i stworzeniem „i która do sądu mojego bynajmniéj nie należy. Kto to mówi, ten nie „jest nawet dobrym schizmatykiem, ten nawet nie jest protestantem, „ten nie jest wierzącym, ten jest racyonalistą, obojętnisiem, tak nazwa„nym tolerantem, ten jest po prostu niedowiarkiem. Czy ks. Pociej „przyznaje się do tego? Niechże tedy nie mówi, że sprawa chwalenia „Boga do sądu naszego nie należy i że nie powinniśmy zgoła upominać „i gromić o sposób chwalenia Boga fałszywy i przewrotny. Lecz cią„gnie daléj autor): Pomnij na rozmowę Chrystusa Pana ze Samarytanką, „która dwie tylko palestyńskie góry (Ebal i Garizim) na miejsce mo„dlitwy wskazywała, a któréj zdanie prostując Mistrz Najświętszy, istotę „czci Bożéj nie do miejsca, jakąkolwiekby ono nazwę mieć mogło, lecz „w ogóle do ducha i prawdy odniósł. (Jak to znowu do rzeczy! Alboż „to my mówimy że w Moskwie lub Petersburgu nie można chwalić Boga „po katolicku? I owszem, powiadamy, że byleby być połączonym wiarą „i miłością z papieżem, który jest następcą *duchownym* Chrystusa Pana, „i na którym osadzona jest cała *prawda* na tym świecie, czcimy nieza„wodnie Boga w *duchu* i *prawdzie,* gdziekolwiekbyśmy byli, choćby „w Syberyi albo na Kamczatce. Ale ks. Pociej doprawdy sam nie wie „co mówi: bo gdyby jego powiedzenie wziąć na dobre, tedyby było „koniecznem następstwem, że i żydzi, i hotentoci, i ludożercy czcą Boga

„w duchu i w prawdzie! Boć przecie tak być musi, jeżli cześć Boża dla „tego tylko jest prawdziwa że nie jest przywiązana do żadnego miejsca! „Ach! do jakiego to nierozumu prowadzi chęć rozumkowania na ko- „rzyść błędu i odstępstwa. Tymczasem tak daléj rzecz swą prowadzi): „Nie wstydź się, owszem za tryumf poczytuj sobie, wydalić z serca anti- „chrześciańskie uczucia ku bliźnim (jak to wszystko dziwnie brzmi „w ustach niby katolickich: potępienie błędu w bliźnim jest uczuciem „antichrześciańskiém!) iżbyś nieustannie oddychać zdołał (sic) samą czy- „stą, bezinteresowną a dobroczynną miłością spółbraci. (Schizmatycy „i heretycy moi spółbracia? A cóż będzie z nauką Chrystusa Pana że „są dla mnie jako poganie? prawda że i pogan powinienem kochać, ale „nie jako braci, i to jeszcze spółbraci, tylko jako nieszczęśliwe wyrodki „od spólnego Ojca; i ta miłość moja ku nim w tém ma się przede- „wszystkiém okazywać, abym pragnął i starał się o to, by się dopiero „stali moimi braćmi, dziećmi tegoż samego Ojca niebieskiego. To samo „i ze schizmatykami, i owszem jeszcze gorzéj. Bo to synowie nietylko „wyrodni ale odrodni, nietylko nieszczęśliwi, ale występni. Nie mówię „tu o biednym i poczciwym ludzie, który śród saméj schizmy zwykle „schizmatykiem nie jest: Bóg litośnie patrzy na jego niewiadomość; „ale mówię o schizmatykach co prawdziwie są schizmatykami; tacy „szczególnie co rozprawiają i książki piszą jak ks. Pociej. I tych po- „winniśmy kochać, to prawda, ale nie jako dobrych i wiernych spół- „braci, powinniśmy ich kochać jak się kocha dziecko niegdyś miłe, „a dziś zanurzone w rozpuście lub szale. My chrześcianie więcéj jeszcze „czynimy, tam nawet kochamy gdzie miłość naturalna ustaje, kocha- „my wtedy nawet kiedy to złe dziecko dopuści się brzydkiéj zdrady „i odstępstwa; ale nie kochamy oną głupią i występną miłością, którą „autor chrześciańską nazywa, którąbyśmy mieli to brzydkie dziecko „głaskać wtedy i pieścić, nie; lecz kochamy miłością mocną i rozumną, „a prawdziwie boską, która nam każe wołać: Cóżeś to uczynił, synu „mój! bracie mój! czegożeś się to dopuścił? Zaparłeś się Ojca twego, „Zbawiciela, Boga! Straciliśmy cię z liczby braci! Cożeś uczynił? Ach „powróć! Stań się znowu synem dobrym, bratem miłym. Żal cię nam, „tęsknimy za tobą, czekamy ciebie! Inaczéj, zgubionyś na wieki! Tak „czuje, tak mówi, tak czyni prawdziwa miłość; a gdzie nie ma tego czu- „cia, tego głosu, tego dzieła, tam nie ma, nie, tam nie ma miłości, choćby „się nazywała najczystszą, najbezinteresowniejszą, najdobroczynniejszą, „tam nie ma miłości, tam jest tylko samolubstwo, które dla tego innych „błądzących w fałszywym pokoju zostawia, aby i dla siebie samego „równie fałszywy pokój zyskało. Taka to jest owa sławiona tolerancya, „owa filantropia, owa miłość chrześciańska. Wierutne a brzydkie samo- „lubstwo! kończy nareszcie ks. Pociej po pewnéj przerwie): A dla utrwa- „lenia i skutecznego zastosowania początkowéj nauki katechizmu, iż „chrześcianina poznać można po znaku Krzyża Świętego, dołącz do téj „oznaki zewnętrznéj jeszcze i ową najgłówniejszą przez samego Chry- „stusa oznaczoną cechę: ***po tém poznają wszyscy żeście uczniami moimi,***

„jeźli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu. Jan. XIII. 35. (O logiko! „gdzieżeś bywała kiedy nasz autor wstępował na świat literacki? Słu- „chaj, co tu mówi: Powiedział Chrystus że poznają uczniów jego po „tém że będą kochali jeden drugiego, to jest uczeń ucznia. A autor „ztąd wnosi że nie czyni tego kto nie kocha schizmatyków i heretyków, „to jest tych co samochcąc przestali i upornie nie chcą być więcéj ucz- „niami Chrystusa. O logiko, pokażże się raz jeszcze, i wydaj twój „wyrok w téj tysiąc i pierwszéj a bodajby już ostatniéj niedorzeczności „naszego autora. Powiedz mu że kiedy Chrystus Pan daje za znak „uczniów swoich ich miłość wzajemną, tedy mówi o téj miłości szcze- „gólnéj jaką między sobą mieć powinni: poznają żeście uczniami moimi „jeźli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu, rozumie się: wy, ucz- „niowie moi! Tu żadną miarą rozumieć nie można miłości ogólnéj bli- „źniego, tylko koniecznie rozumie się miłość ucznia do ucznia. Pewno „że Chrystus Pan przez to tamtéj pierwszéj miłości nie odpycha; bo „i któż jeźli nie on przyniósł na ziemię prawdziwą miłość bliźniego? „ale nie tę ogólną miłość daje przed światem, przed *wszystkimi* za „cechę szczególną uczniów swoich, tylko tę drugą szczególną wzajemną „ich miłość. I to dziwnie potwierdza ten wyraz *wszyscy*, którego użył. *„Poznają* powiada *wszyscy:* to jest *wszyscy inni,* żydzi, poganie, schi- „zmatycy, odstępcy, pozna świat ten cały bez serca, bez miłości, patrząc „jak wy się między sobą kochacie, pozna że zkąd inąd pochodzi wasze „życie, wasze serce, wasze kochanie, pozna że odemnie. Oto znaczenie „konieczne i jedyne tego powiedzenia Chrystusa Pana. Gdybyśmy teraz „chcieli daléj jeszcze nastawać na naszego autora, pokazalibysmy na „czém się kończy cała ta jego niedorzeczność, że się kończy na tém iż „gdyby apostołowie i chrześcianie tak samo kochali schizmatyków i he- „retyków jak między sobą kochali jeden drugiego, czego chce ks. Pociej, „to wtedy właśnie zginąłby i znak zewnętrzny i rzecz sama że są ucz- „niami Chrystusowymi. Ale po co ścigać aż do ostatnich granic nie- „przyjaciela, który nic innego nie umie tylko wszędy tył podawać. Niech „się już bezpiecznie schroni gdzie mu się podoba i siedzi spokojny „w kryjówce swojéj. Pewni jesteśmy że z niéj drugi raz nie wyjdzie „na zwodzenie ludzi, ze strachu bardzo słusznego, aby na tym jasnym „bożym świecie raz jeszcze się nie spotkał z prawdą i z logiką.)

Taki jest koniec dzieła ks. Pocieja. Całe dzieło tak obróciwszy, aby dać myśleć, że między pierwotném prawdziwém chrześciaństwem, a dzisiejszém schizmatyckiém, nie ma żadnéj różnicy, kończy uroczystém wezwaniem, aby nie sądzić i nie potępiać żadnego innego sposobu chwalenia Boga, aby kochać heretyków i schizmatyków jako spółbraci swoich, i w téj miłości zachować z nimi taką jedność, aby wszyscy poznali iż jesteśmy razem z nimi uczniami Chrystusa. A to jest nic innego, jedno abyśmy przestali być katolikami i zostali nie już schizmatykami i heretykami, ale obojętnisiami i niedowiarkami. W Warszawie zaś i tam gdzie autor pisze to nie jest nic innego jedno abyśmy porzucili katolicką rzymską prawdę, a pokłonili się schizmatyckiemu bogowi, który nie mając

żadnego przystępu do nieba, tak szeroko za to panuje na téj ziemi, i z tém większém upragnieniem dyszy na krew dusz naszych.

Taki jest koniec, takie całe dzieło ks. Pocieja. Byliśmy i musieliśmy być surowi dla dzieła, a tém samém byliśmy i musieliśmy być surowi dla autora. Ale dla osoby ks. Pocieja żadnéj surowości nie okażemy, bo żadnéj nieprzyjaźni, żadnéj nienawiści osobistéj do niego, ani mamy ani mieć nie możemy. I tu chcemy mu pokazać czém jest prawdziwa miłość chrześciańska, nietylko dla tych którzy błądzą, ale nawet dla tych, przypuściwszy że ich mamy przed sobą, którzy wiedzą że błądzą, a jednak w błędzie swoim upornie trwają. Rzecz oczywista, że ich nie kochamy tym samym rodzajem miłości, którym kochamy powolnych, dobrych i świętych uczniów Chrystusowych; tak jak sam Chrystus Pan pewno że nie kochał Judasza tym samym rodzajem miłości, którym kochał ucznia swego ulubionego św. Jana. Ale wszakże i takich kochamy, tak jak Chrystus Pan Judasza kochał, i w téj nawet chwili kiedy ten mu dawał pocałunek zdrady, on go przyjmował słodkiém imieniem przyjaciela: Przyjacielu! do czegoś to przyszedł? Pocałunkiem wydajesz syna człowieczego? Takim lub podobnym rodzajem miłości i my kochamy wszystkich naszych nieszczęśliwych braci, którzy w najżałośniejszém jakie być może zaślepieniu, sprzedają Chrystusa nieprzyjaciołom jego. Nie powiadamy żeby już wszyscy tacy byli w równym stopniu Judaszami; ale to pewna i to powiadam, że wszyscy tacy mają Judasza za przodka i za herszta i że następnie wszyscy tacy, taką tylko w nas mogą obudzić miłość, jaką najmiłosierniejszy Chrystus Pan dla Judasza okazał. Z taką miłością, a choć tego rodzaju, nie mniéj jednak szczerą i prawdziwą, przychodzimy dzisiaj do ks. Pocieja, aby mu to ostatnie słowo powiedzieć:

Kapłanie Boży, posłanniku, apostole Boży, bo tym zawsze jesteś, czy możesz bezpiecznie powiedzieć, z ręką na sumieniu, żeś dochował wiary przysiężonéj Chrystusowi? Czy możesz powiedzieć żeś nie odstąpił Chrystusa? żeś nieopuścił kościoła jego świętego? żeś nie uciekł z trzody, którą pasie najwyższy jego pasterz Piotr święty? Czy możesz to powiedzieć po tylu dowodach któreśmy z nieszczęśliwego twego dzieła wyjęli i przed oczy ci położyli? A jeżeli nie możesz: ach! posłuchaj co ci miłość Chrystusowa przez usta nasze mówi: Przyjacielu! do czegożeś to przyszedł? pocałunkiem zdradziłeś syna człowieczego! Zdradziłeś, nie ma wątpliwości. — Ale teraz niechże ci ten sam twój smutny postępek oczy otworzy. Pokaż żeś go miał nieszczęście popełnić ze złego namysłu, ale nie ze złego serca: żeś był Judaszem przypadkiem, nieszczęsnością jakąś, zapomnieniem, ale nie w duszy, nie w woli. Pokaż raczéj żeś był nieszczęśliwym Piotrem, który w jednéj chwili zaparł się straszliwie swojego Mistrza, ale w chwili potém płakał rzewnie i niezadługo publicznie go wyznał przed Jerozolimą całą, przed królem i urzędem. Grozi i tobie potrzeba takiego wyznania publicznego, zwłaszcza że i zaparcie się twoje jawniejsze i straszliwsze od Piotrowego; ale zdobądź się na wielkie serce, proś Boga aby ci dał łaskę swoją

i moc i roztropność, proś Ducha świętego, aby wlał w ciebie tę potęgę duszy która na żadne względy ludzkie nie zważa, gdzie idzię o wolę Bożą i któraby Ci dała mężnie dopełnić tego aktu publicznéj naprawy, którego Bóg wymaga dziś po tobie i bez którego twoje zgorszenie nie będzie ci odpuszczone. O, uczyń tę naprawę tak pożądaną, któréj tak pragnie miłość nasza, miłość prawdziwa ku tobie: a sam Bóg z wysokości mile spojrzy na ciebie; a będzie wesele w niebie między aniołami, a będzie pociecha w Kościele Bożym na ziemi; a i w duszy twéj własnéj nastąpi pokój, bo wtedy już cię ścigać nie będzie ono straszne słowo Zbawiciela: „Trzeba aby zgorszenia przyszły na świat: ale biada człowiekowi onemu, przez którego zgorszenie przychodzi!"

Ks. Piotr Semenenko.

PRACE
MISYONARZY KATOLICKICH
W PERSYI.

I. **De legationibus Polono-Persicis, dissertatio P. Judæ Krusiński Soc. Jesu Missionarii Persici.** 1 vol. 4to. Leopoli 1734.

II. **Correspondence et memoires d'un voyageur en Orient, par E. Boré.** 1840. Paris 2 vol. 8vo.

III. **The Nestorians; or the lost tribes containing evidence of their identity; an occount of their manners, customs and ceremonies; together with sketches of travel in ancient Assyria, Armenia, Media and Mesopotamia, and illustrations of Scripture prophecy, by Asahel Grant.** 1841. London 8vo.

Wielka była radość na Ispahańskim dworze po otrzymaniu wieści o zwycięztwie Sobieskiego pod Wiedniem! Wiadomo że Turcy wyznania *sunnickiego,* które jest tém w islamizmie czém dogmat grecko-wschodni w kościele chrześciańskim, nienawidzą Persów i nienawidzeni przez nich. Owczesny władzca Persyi, Sulejman szah, dynastyi sefijskiéj, sam osobiście chciał oznajmić swoim ministrom i mołłom tak pożądaną nowinę, i zebrawszy ich gromadnie opowiadał plan bitwy i jéj szczegóły; dodał że król Lechów (Polaków) którego Turcy nazywają *Nalkyranem* [1]), łamie nietylko żelazo, lecz że co lepsza, połamał harde rogi nowiu ottomańskiego i że za tę przysługę wyrządzoną Allahowi, zasłużył sobie na zaszczytniejsze nazwanie *Elgazi* (bohater boży, człowiek walczący przeciw nieprzyjaciołom Boga). Pochwały takie w ustach księcia niechrześciańskiego i potomka Mahometa, od którego szahowie sefijscy ród swój wiedli, długo jeszcze późniéj powtarzano po Persyi. W roku 1706 jeden

---

[1]) *Nalkyran* „łamiący (*kyran*) podkowę (*nal*)" przydomek dawany Janowi IIImu w kronikach tureckich nie wiadomo dla czego, gdyż siła jego nie słynęła u nas nigdy za nadzwyczajną.

z synów tegoż Sulejman szaha, dziecko dwunastoletnie, przejeżdżając raz koło domu katolickich misyonarzy w Ispahanie, chciał widzieć ich kaplicę i pytał czy to prawda że chrześcianie są bałwochwalcami (*suretperest*), że kłaniają się posągom i czczą obrazy? Przełożony tych misyonarzy, Polak, ksiądz Reut, oprowadzał po wszystkich pokojach i księcia i jego świtę. Wszedłszy do refektarza, nie mógł oderwać oczu od malowideł wiszących na ścianie. Bystremu chłopakowi szczególniéj się podobał jeden portret. Kto to taki? zapytał. Dowiedziawszy się, że to wizerunek Jana IIIgo, obrócił się do swoich i rzekł: „patrzajcie to *Elgazi* polski, ten co tyle niewiernych dusz tureckich posłał do piekła. O gdyby mi Bóg dał w tak pięknéj postaci tak mężną duszę jak jego." Tegoż dnia ks. Reut odesłał do pałacu szahskiego obraz chwalony i przyjęty bardzo wdzięcznie. „Zatośmy otrzymali w zamian potwierdzenie praw nadanych nam przez królów przodków Sulejman szaha, łaskę która gdyby nie ów obraz, nie nawiedziłaby nas tak prędko, gdyż Ormianie obrządku greckiego zazdrościli nam i przeszkadzali we wszystkiém przez znajomości swoje u dworu. Posłano o jedenaście dni drogi po jakiegoś ormiańskiego malarza mieszkającego w mieście Nachiczewan; kazano mu zrobić kilkanaście czy kilkadziesiąt kopii tego malowidła, dla rozesłania ich w podarunku panom perskim. Oryginał zaś wisiał w pałacu szahskim oprawny w ramy oklejone zwierciadełkami weneckiemi." [2])

Stosunki królów polskich z perskimi zaczęły się na przeszło dwa wieki przed Sobieskim, wszakże druga połowa XVII i pierwsza XVIIIgo stulecia należą do czasów najczynniejszego tam działania i wpływu misyonarzy naszych. Mówiono nawet jakoby szah Abbas IIgi, ojciec Sulejman szaha umarł katolikiem, przyjąwszy ostatnie pomazanie z rąk sławnego kapucyna księdza Rafała. Nie wiemy jak dalece te pobożne nadzieje duchowieństwa podzielał król i senat polski. Wiedzieli oni zapewne, iż ze wstąpieniem dynastyi sefijskiéj na tron Persyi potęga islamizmu nietylko że bynajmniéj nie straciła na swojéj sile, ba owszém się wzmogła i czerpała nowe zasoby trwania i uroku w idei, że ta dynastya spokrewniona z rodziną ich proroka była jedynie legalną władzą na ziemi. Głównie więc nam chodziło o to, ażeby przechować i utrzymać w wierze katolickiéj hołdujące ówczesnéj Persyi kraje chrześciańskie jak Gruzya, Armenia i Chaldea. Do tego celu nie mięszały się zgoła albo bardzo mało względy polityczne, gdyż pomimo nienawiści Persów do Turcyi, nie pomogli oni nam ani razu w wojnach z nią. Polska tu, jak wszędzie i zawsze, była najsilniejszą podporą misyonarzy, apostołujących za wiedzą i pod bezpośrednim kierunkiem papieżów, nie szczędziła ani starań, ani nakładów, ani się zrażała przeciwnościami na tak dalekiém od nas i niewygodném polu, gdzie obok postronnych trudności stały na wstręcie intrygi odszczepieńców miejscowych wyznania nestoryańskiego, manichejskiego, focejskiego i t. p. Cel szahów perskich ochotno nas przyjmujących u siebie, był czysto polityczny: chcieli za pomocą chrześcian-

[2]) Krusiński str. 139.

stwa europejskiego zubożyć i osłabić Turcyą. Spółczesne okoliczności nastręczały nie jednę zręczność do tego, a jeniusz szaha Abbasa Igo nie zaniechał korzystać. W ślad za opływem Afryki przez Vasco di Gama, mnożyło się coraz więcéj okrętów europejskich szukających złota i władzy w przymorskich przystaniach Azyi. Wejściem w stosunki z Portugalczykami siedlącemi się w Hormuz i w innych miejscowościach zatoki perskiéj, szah Abbas Iszy postanowił zmienić odwieczną drogę handlową. Jednę część towarów z Persyi kazał posyłać do Europy wodą przez Hormuz i Bender Buszyr, drugą część morzem Kaspijskiém przez Astrachan i Rosyą. Tym sposobem pozbawiał on znacznych bardzo dochodów Turcyą, któréj celne komory stawały się coraz mniéj potrzebnemi dla tranzytowego handlu Persyi i Indyi. Abbas Iszy całą ludność ormiańskiego miasta Dżulfy nad Araxem, przesiedlił do stolicy swojéj, a oddane jéj na mieszkanie przedmieście ispahańskie, nazwane także Dżulfą, stało się ulubioném miejscem pobytu chrześcian. Dowiedział się on, z jakim bolem namiestnik Chrystusa patrzał na szerzące się w Europie panowanie Turków, i jak na głos jego europejscy królowie posyłali wojska. Rzecz jasna że trzeba się było z nimi sprzymierzyć przeciw wspólnemu wrogowi. Odtąd dwór ispahański stanął otworem dla przybyszów z Europy. Hiszpania, Hollandya, Anglia szukały tam przyjaźni i opieki dla kupców osad swoich, Polska dla misyonarzy swoich i dla zwolenników papieża.

Jeszcze około r. 1400 posłowie rzeczypospolitéj Weneckiéj i Burgundyi przybyli na dwór Kazimierza Jagiellończyka, prosząc go o wstawienie się do chana Tatarów astrachańskich, aby ten ułatwił im podróż do Persyi. Czytamy w relacyi tego poselstwa, z jakim przepychem podejmował przybyszów rządzca krakowski, pan Marcin. [3]) Dano im wszelkie listy, pomoce i zalecenia. Wielu innym poselstwom państw europejskich, Polska zostająca w stosunkach z Rosyą i Tatarami, świadczyła podobneż przysługi.

Wszakże pierwsze, bezpośrednio z ramienia polskiego poselstwo do Persyi w celu religijnym, zdarzyło się za papieża Klemensa VIII, który dostrzegłszy że misyonarze portugalscy albo ograniczali prace swoje tylko do pobrzeżów zatoki perskiéj, albo trudnili się ułatwieniem handlowych stosunków Hiszpanii z Persyą i jeździli do Ispahanu wcale po co innego niż po rzeczy religijne, prosił króla polskiego o odprawienie do téj stolicy przysłanych z Rzymu do Krakowa ks. Jana Tadeusza i ks. Symona. Zgon Klemensa VIII i następcy jego Leona XI, opóźniły wyjazd misyonarzy aż do roku 1607. Udali się oni przez Moskwę do Astrachanu, zkąd na okręcie do przymorskiego miasta Baku, należącego wtedy do Persyi. Reszta podróży odbyła się pomyślnie; przyjmowano ich wszędzie z wielką gościnnością, a ojciec Krusiński opisuje szczegóły wspaniałego przyjęcia, jakie z rozkazu szaha znaleźli nasi misyonarze u wrót Ispahanu. Jeden z urzędników dworu szahskiego i słu-

---

[3]) Krusiński str. 238. „quem *Dominus Pan Marcin* vocitant.“

żący tam szkocki awanturnik Shirley, wyjechali w towarzystwie licznych jeźdźców na spotkanie i z wielką uczciwością wprowadzili do Dżulfy. Nazajutrz, nie późniéj, co było dowodem łaski nie lada, szah Abbas Ilgi przysłał dworzanina swojego zapraszając wielebnych ojców na posłuchanie (*selam*) do pałacu królewskiego. Ks. Symon zmęczony niewygodami długiéj podróży konno, odpowiedział że znużenie broni mu szczęścia złożyć hołd usług swoich szahowi, któremu ta odmowa arcy się niepodobała. Sądził, iż zrobiona umyślnie dla pokazania Persom, że król polski większy od szaha perskiego i że przeto posłannicy polscy uwłaczaliby swojéj godności spiesząc się za skwapliwie z posłuszeństwem na pierwsze wezwanie. Za to musieli odpokutować aż dwumiesięczną cierpliwością. Szah nie dawał im żadnego dowodu łaski, owszém wyraźnie unikał przypadku spotkania ich gdzie na ulicy. Na trzeci miesiąc z nienacka i bez wszelkiego przeduwiadomienia, kazano ojcom stawić się u dworu. Posłuchanie odbyło się nad spodziewanie lepiéj niż sobie ojcowie wróżyć mogli. Wszystkie ich listy od króla Zygmunta, od kardynałów i innych książąt świadczące o religijném posłannictwie ich przyjęte łaskawie i dalszy pobyt w Dżulfie dozwolony. Rozmowa szła za pomocą dragomana, jakiegoś szkockiego katolika Estrachana. Szah zaprosił ojców na obiad do siebie, a po obiedzie tak się rozdobruchał, że zaczął mówić otwarcie o powodach sprzymierzenia się swojego z królami europejskimi. Mówił że chce aby papież jako najwyższa głowa panów chrześciańskich, rozkazał im bić Turków na morzu i na lądzie. Obiecywał, że pomoże im ze swojéj strony uderzając silnie na Carogród. „Napiszcie do hiszpańskiego króla, niech każe swoim Portugalczykom, ażeby wszystkie jedwabie nieprzędzone w Persyi, przynoszące mi rocznego dochodu dwanaście milionów franków, ładowali na swoje okręta w Hormuz dla przesłania morzem do Europy. Nie chcę mojém dobrem panoszyć celne komory wroga wiary mojéj, Turków.” Potém radził ojcom nie zwierzać się lada komu i mieć się na ostrożności, a w razie potrzeby zasięgać porady katolika ormiańskiego Szawela i ufać jemu tylko. Szczególniéj ksiądz Jan Tadeusz podobał się szahowi i gdy późniéj towarzysząc w jednéj wyprawie wojska perskiego dla dozoru nad służącymi w niém katolikami, kapłan ten zachorował, poczciwy szah przysyłał mu przysmaczki z własnéj kuchni i kazał swojemu lekarzowi czuwać nad jego zdrowiem. Wróciwszy z wyprawy, w dowód zadowolnienia i w nagrodę zasług ks. Jana Tadeusza, darował dwa domy z ogrodami klasztorowi katolickiemu w Dżulfie. Późniéj, r. 1609, gdy ks. Wincenty franciszkanin przywiózł z Polski nowe listy papieża Pawła Vgo, szah zaprosił na biesiadę wszystkich misyonarzy do siebie. Znaleźli go w gaiku ogrodowym, rozmawiał z nimi bardzo łaskawie i dowiedziawszy się że to był dzień postu, kazał sobie podać nieprzygotowane jeszcze ryby i własnemi rękami czyścił je i patroszył dla *czarnych derwiszów* [4].” Tenże ks. Jan

[4]) Krusiński „Pisces, qui pro eis parabantur, rex propriis manibus purgaret.“ *Czarny derwisz* (*kara derwisz*) czyli „sługa boży w czarnéj odzieży“, imię dawane na wschodzie Krusińskiemu i innym misyonarzom katolickim.

Tadeusz posłany przez szaha z listami do Polski, był z poduszczenia Moskwy uwięziony przez Tatarów astrachańskich. Obelgę tę szah uczuł silnie i oświadczył oficyalnie, że zrywa z Rosyanami i z Tatarami przymierze i nie dozwoli im handlu na morzu Kaspijskiém wprzód, nim więźnia nie uwolnią i nie nagrodzą. Dzięki tak skutecznéj pomocy, misyonarz mógł bez szkody dojechać miejsca przeznaczonego sobie.

Roku 1639 września 17., p. Sztaremberg poseł i marszałek dworu króla Władysława IVgo przybył do Ispahanu z okazałym pocztem, a we trzy lata późniéj po śmierci już szaha Abbasa IIgo, jego następca szah Sefi potwierdził wszystkie przywileje dane katolikom przez przodków swoich i kopią firmanu nadań OO. karmelitom bosym w Dżulfie posłał w odpowiedzi swojéj na listy króla Władysława i Piotra Gębickiego, biskupa Przemyśla. Poseł szahski, Mirza Musa beg, wrócił z Polski do Persyi w towarzystwie dwóch nowych karmelitów bosych, Polaków, przysłanych w pomoc klasztorowi dżulfejskiemu.

W liczbie tych misyonarzy znajdowali się ludzie uczeni i ludzie umiejący rzeczy potrzebne dla Persyi, ztąd takie częste stosunki. W roku 1647 z Polski przez Moskwę do Ispahanu przyjechał p. de Santis, szlachcic wenecki z listami od papieża i od króla polskiego, i od w. księcia Toskanii; a niebawem potém, tegoż samego roku, przybył także do Ispahanu pan D. Ilnicz, Litwin osiadły w województwie Mścisławskiém.

Szah Sefi nie długo panował, zostawując tron synowi swemu szah Sulejmanowi. A że zwyczajem perskim akta i dyplomata monarchy nieżyjącego o tyle tylko mogą zobowięzywać o ile na nie jego dziedzic przystanie, więc król Jan Kazimierz prosił nowego szaha o potwierdzenie starych przywilejów misyonarzy. Listy królewskie oddał szahowi ksiądz Blasius i otrzymał wszystko czego żądał, domy i ogrody OO. karmelitów bosych uznane za ich prawą własność r. 1660 sierpnia 15. Wypisujący te wszystkie fakta z archiwów Dżulfy, ks. Krusiński, dodaje, że tegoż roku przybyło jeszcze dwóch innych posłańców, ale że imiona ich robactwo wygryzło z papierem. Tą razą potwierdzenie przywilejów szło trudniéj, dla tego że wielu bogatszych kupców dżulfijskich Ormian schizmatyków, psuli wpływem swoim u dworu kredyt katolickich misyonarzy. Wszakże wszelkie trudności usunięte były na wieść, że Jan IIIci gotował walny pochód na Turków. Przyjechali z nią do Ispahanu od jego królewskiéj mości nuncyuszowie ks. Jan Gostkowski i ks. Ignacy Zapolski, obaj kapłani Societatis Jesu. Ten ostatni posłował do Persyi dwa razy, raz za króla Jana III, a drugi raz w czasie bezkrólewia. Powtarzamy tu wszystkie te szczegóły świadczące o działalności niezmordowanéj królów polskich, dla tego że akta klasztoru w Dżulfie, z których czerpał ksiądz Krusiński, zaginęły po większéj części z końcem panowania szahów sefijskich i że dzisiaj nawet książka księdza Krusińskiego jest rzadkością literacką.

Następca szaha Sulejmana, nieszczęśliwy szah Hussejn, przyjął r. 1699 w Ispahanie Jakoba Nuskiewicza, Ormianina rodem podobno z Galicyi, ozdobionego tytułem internuncyusza i potwierdził nadania OO.

Karmelitów. Na jego to dworze przebywał ks. Krusiński i podczas dwudziesto siedm letniego pobytu na wschodzie (od r. 1704 do 1729) wyuczywszy się dobrze po persku i po turecku oddawał liczne przysługi katolikom tamecznym. Jego pióra historya napadu Afganow [5]) napisana po turecku jest pierwszą książką drukowaną w tym języku, z rozkazu sułtana w Konstantynopolu. Nieszczęściem pamiętniki jego zniszczone przez tychże Afganów wraz z archiwami Dżulfy. Wszakże i z tego co uszło powodzi, dostrzedz łatwo zbawinnnych owoców pieczołowitości królów naszych. Nie masz w historyi drugiego przykładu, gdzieby się wschód o tyle zbliżył i pobratał z chrześciańską Europą. Jeżli się niemylimy, osady ormiańskie w Galicyi i innych krajach Polski, należą do owych czasów. Wielu poddanych Persyi Ormian, Gruzinów i nawet Persów i mahometanów przyjeżdżało bogacić się i bawić w Polsce. Niektórzy z nich nadużyli gościnności i nie zbywało na awanturnikach i oszustach jak Ali Kuli beg i t. p., co wkradłszy się w łaskę osób mających wpływ u króla i prymasa, wracali do Persyi z poleceniami i listami. Jeden z nich ozdobiony urzędem posłannika polskiego, przyjechał na dwór szaha, wyrobił sobie przywiléj budowania kościołów w stolicy Szyrwańskiéj prowincyi, Szemaha, i potém przedawszy za grube pieniądze tenże przywiléj ormiańskiemu patryarsze obrządku greckiego, a zatém pozbawiwszy katolików nadanego im przywileju, uciekł. Drugi wróciwszy do Persyi z tytułem posła polskiego, przemycał zabronione towary pod pozorem że to prywatna własność poselstwa. Nadużycia doszły do tego stopnia, że OO. karmelici bosi musieli posłać ks. Krusińskiego do Konstantynopola, który tam z pomocą posła naszego senatora Stanisława Chomentowskiego, położył nareszcie koniec złemu.

Tymczasem katolicyzm, dzięki przyjaźni królów polskich z szahami perskimi, szerzył się widocznie, w owe to najpomyślniejsze dni jego w Persyi, to jest w krajach Gruzyi, Armenii i w ogólności we wszystkich krajach zowiących się dzisiaj *Zakaukażem*. Na wstawienie się Sobieskiego, którego dworzanin p. Radoński przywiózł Janowi Łamazie, przełożonemu OO. karmelitów bosych w Dżulfie tysiąc czerwonych złotych (*mille aureos*) na zakupienie domu i ogrodów pod klasztor w mieście Szemacha, król perski pozwolił im to uczynić. W innem mieście Gendża, na brzegach rzeki Kurr (Cyrus) zwaném dzisiaj Elisabethpol, szah perski upoważnił katolików także zbudować sobie klasztor, mówiąc że to robi dla przyjaciela swego króla polskiego Augusta IIgo. Gdzieindziéj nad brzegiem Eresu (Araxes) w Nachczewanie, stołeczném mieście prowincyi tegoż imienia i w okolicach OO. dominikanie mieli dziewięć klasztorów (*novem conventus*), a wszyscy krajowcy téj prowincyi, Ormianie, byli

---

[5]) Jéj tytuł turecki *Tarichi Sejjach* „dzieje podróżnika." Przetłómaczona po łacinie za naszych już czasów przez Claudiusa w Lipsku. Uprzednio Krusiński był wydrukował w Marseille po francuzku treściwe opisanie tychże dziejów i miał je wydać obszerniéj i dokładniéj po łacinie, czego wszakże nie wiadomo dla jakich przeszkód a z nieodżałowaną szkodą dla piśmiennictwa nie uczynił.

obrządku unickiego, z tą tylko różnicą od katolików, że służba kościelna, msza, pacierze i kazania odbywały się w języku ormiańskim. Ale najobszerniejszém siedliskiem katolicyzmu stron tamecznych było miasto Tyflis, sławne klasztorem i zakonem księży kapucynów apostołujących (Sacrae Congregationis de propaganda fide emeriti missionarii). Łatwo sobie wystawić czém dzisiaj byłyby kraje owe dla wiary i dla oświaty europejskiego chrześciaństwa, gdyby dotąd Polska czuwała nad niemi!

Ostatniém poselstwem naszém w Persyi trudnił się czynnie ks. Krusiński. Ormianie obrządku greckiego, namówieni przez swojego patryarchę (*Chotkiewor Der*), zburzyli i wywrócili do szczętu klasztor OO. kapucynów w Tyflisie r. 1718. Przez dwa następne lata sprawa ta niedołężnie się toczyła. Najprzód francuzki konsul, Mr. Gardane, przybywszy do Erywanu dla interesów handlowych, wstawił się do szaha i otrzymał odeń rozkaz na imię rządzcy Tyflisu, aby winowajców ukarać i przymusić do zapłacenia szkod i odbudowania klasztoru. Rozkaz ten zrazu przestraszył Ormian, lecz ich pieniądze a przytém nieobecność czynnego jakiego przyjaciela katolików w Tyflisie, zrobiły, że się wszystko skończyło na bardzo niedostatecznéj sumie zapłaconéj OO. kapucynom. Tymczasem konsul wyjechał i zapomniano wszystkiego. Porzuconą tak rzecz podjął nowo naznaczony biskupem ispahańskim Medyolańczyk Fra Barnabas. Zacny ten kapłan ale nie znający kraju, mowy i ludzi, z którymi miał do czynienia, wpadłszy w ręce jakiegoś gruzińskiego tłómacza, nie wiele co wskórał na dworze szaha, jeżdżącego z miasta do miasta, to do Teheranu, to do Kazbinu, to do Hamadanu, a zatém trudnego przystępu, zwłaszcza dla starca misyonarza. Po naradzie zgodzono się ażeby przywołać ks. Krusińskiego bawiącego wówczas w Armenii i zlecić mu tę rzecz, tém już trudniejszą do załatwienia, że zepsutą nieumiejętném wzięciem się do niéj konsula i biskupa. Szah przybył do Ispahanu i niebawem później ks. Krusiński zostawiony, jak sam powiada, [6]) na bruku i bez żadnych pieniędzy dla zyskania sobie przyjaciół na dworze nowego szaha. Szczęściem znał się z malarzem nadwornym. Darował mu kilka płaskorzeźb wyobrażających główne sceny historyi świętéj. Robota była misterna ręki rzeźbiarzy włoskich i nadzwyczaj się podobała malarzowi, który natychmiast zaniósł ją w podarunku dla szaha. Nie dosyć było na tém. Musiał jeszcze z pomocą mołłów zrobić po persku dokładne opisanie zdarzeń rzniętych na płaskorzeźbie. Kosztowało to wiele czasu i pracy, ale w nagrodę szah wydał żądane firmany i naznaczył jednego z dworzan swoich, aby je powiózł do Tyflisu i nie wracał ztamtąd aż wykonane będą, a OO. kapucyni zadowolnieni.

Do ofiar czynionych przez Polaków na sprawę bożą w Persyi dodać trzeba 15,000 franków rocznego dochodu z summy złożonéj na ten cel w Paryżu przez królowę polską Ludwikę (Gonzague). Pieniądze te

---

[6]) Str. 317. „Mihi ipsi relictus, pro domo mea orator, negotium aggressus sum." — „Panis defecit in sitarciis nostris et sportulam non habemus."

już za dni Krusińskiego zatracono [7]). Wielu z posłów naszych przypłaciło życiem. Ilinicz nie mogąc znieść klimatu i niewygód podróży umarł w Ispahanie. Wspomniany wyżéj Teofil Sztaremberg zabity w okolicach Derbendu przez górali lezgińskich, zginął wraz z dwudziestu towarzyszami poselstwa swojego. Szah Sefi wprawdzie pomścił się zniewagi wyciąwszy w pień rodziny zbójców i skarawszy wygnaniem rządzców tamecznych.

Tyle prac na drodze Chrystusowéj rozbiły dwa pioruny. Pierwszy spadł na szahów sefijskich r. 1722 z najazdem Afganów Mir Mahmuda. Drugi właśnie jak raz w 50 lat późniéj, roztrzaskał Polskę podczas jéj pierwszego rozdziału. Uderzony wówczas katolicyzm w Persyi nie powstał podziśdzień.

Rosya posiadłszy po Persach zakaukazkie kraje, głównie się troszczyła o krzewienie tam urzędowéj wiary swojéj. Piotr W., Katarzyna II i cesarz Mikołaj mają propagandę sobie właściwą. Tu ksiądz przychodzi już na gotowe i znajduje że jego rzecz zrobiona uprzednio, przychodzi grześć umarłych albo uczyć żywych. Mówimy „uczyć" nie zaś nawracać, bo to rzecz rządu, który najprzód podbije a potém każe wierzyć po swojemu. Tak nawrócono pięć milionów chłopów unickich Litwy i Białorusi. Tak dzisiaj zaczyna się nawrócenie Sławian tureckich. Tak po ostatniéj wojnie (1826 r.) z Persyą 60,000 Ormian Turcyi i 40,000 Ormian Persyi, przeszło mięszkać na ziemiach należących do Rosyi. Ostatni ten wypadek, podobnie 5 milionów kmiotków naszych, był skutkiem środków przygotowanych zawczasu i pilnie, cierpliwie, umiejętnie przez lata i wieki rozwijanych, cofając się przed trudnościami, korzystając z okoliczności łatwiejszych. Wiadomo, że Nadyr Kuli beg, sługa dworu szahów sefijskich, pomógł im do zniszczenia najezdników afgańskich i że nakoniec na gruzach potęgi obu postawił tron własny, koronował się pod imieniem Nadyr szaha i wsławił się zaborami od Eufratu do Indu. Nie nasza tu rzecz rozwodzić się nad wypadkami politycznemi. Wspomnieliśmy o Nadyrze dla tego tylko że był główną przyczyną upadku katolicyzmu w Persyi. Pod pretekstem, że Ormianie Dżulfy sprzyjali Afganom, postanowił pozbyć się ich i jął się pierwszéj zręczności mogącéj niby usprawiedliwić złość jego. Na drodze z Ispahanu do Szyrazu w ładunkach kupca naznaczonych do Indyi, policya znalazła bardzo bogaty rząd na konia ukradziony ze skarbców Nadyr szaha. Po śledztwie okazało się że ten rząd należał do czterech dżulfijskich kupców, katolika, ormiańskiego schizmatyka, giebra i żyda: kupili go oni od jakiegoś Persa, który jak wieść niesie przedał z dozwolenia królewskiego;

---

[7]) Mówi on (str, 288), że jadąc z Ispahanu do Palestyny otrzymał rozkaz od przełożonego misyonarzy: de fundo quindecim millium librarum, dato olim a Serenissima regina Poloniae glor. memor. Ludovica inquirendum. ***Talis enim fundus si modo esset in meis manibus*** (ad locandum scilicet Aspahani) ***sufficeret ut nullo deinceps subsidio indigeremus ex Gallia.*** Druga wzmianka o tym funduszu znajduje się w relacyi podróży ks. Franciszka Ricordi, cytowanéj przez Krusińskiego.

to pewna że przedawca nie ukarany i że kupcy bez litości żywcem spaleni na placu miejskim w Ispahanie. Jakiś pobożny Ormianin zebrał dla pogrzebienia ich popioły i za to skarany śmiercią (r. 1747). Nie było czego czekać. Dżulfa opustoszała, bo jéj mieszkańce rozbiegli się kto gdzie mógł: do Indyi, do Aderbajdżanu, do Gruzyi, tak iż nic nie pozostało w owém przedmieściu nasiedloném jak wspomnieliśmy (r. 1605) przez Abbasa Igo, a w r. 1705 liczącém już 60,000 mieszkańców, najwięcéj zamożnych kupców wiodących handel z Indyą, wspólzalotników handlarzy angielskich, francuzkich i portugalskich. Katolicki klasztor także opustoszał. Po kapucynach bosych przyszli tam jezuici i bojąc się prześladowań wyraźnie wymierzonych na chrześcian, za biskupem swoim i za owieczkami rozegnanemi, przenieśli sprzęta kościelne do Bagdadu. Był to cios okropny dla propagandy rzymskiéj w tych stronach. Klasztor ispahański w Dżulfie był głównym środkiem katolicyzmu silnego pod skrzydłem opieki szahów i rzucającym promienie wiary we wszystkie strony, mającym swoich misyonarzy lub swoje klasztory nietylko, jak widzieliśmy, w Armenii i w Gruzyi, ale i w mahometańskich miastach: w Szyrazie, w Bender Buszyr, w miastach Hamadan, Koum, Kazbin, Kaszan, Marago, Tebryz, Mosul, Bagdad, Damaszek i na Libanie.

Były to czasy stanowcze w losach Azyi, stanowcze nietylko politycznie lecz i religijnie, pod względem chrześciańskim; gdyż katolicyzm prawie współcześnie na jéj północy i na jéj południu przegrał, a tu i tam bolesna wyznać, otrzymały nad nim zupełną przewagę pobratymcze sekty odszczepieńców: schizma grecka i schizma protestancka. Dziwném przeznaczeniem Nadyr szaha było pokazanie Europie niedołęztwo Azyi na dwóch jéj przeciwległych krańcach! Pastuch ten chorasański wywróciwszy Delhi (r. 1739) otworzył Indye Anglikom, zabrawszy Gruzyą (r. 1740) otworzył Kaukaz Rosyanom. W Indyach Ludwik XV, niechęcią utrzymania zaborów francuzkich bohaterów Labourdonnaix i Dupleix, zabił tam katolicyzm. Za Kaukazem zabiła go niezgoda panów polskich przeszkadzających królowi swojemu działać swobodnie, a więc nie mogącemu oprzeć się szerzeniu władzy Rosyan za Kaukazem (1783—1799). Rzucone nasiona potęg grożących dzisiaj światu. Obie rosną w kolosalne rozmiary, każda łamie i buduje inaczéj, po swojemu; zbliżają się nieprzyjacielsko; dzisiaj obozy tych dwóch pań Azyi dzieli tylko szerokość Chorasanu; nie lubią się i niedowierzają sobie i nie spolą się, jeno w nienawiści do katolicyzmu. Smutne doświadczenie pokazało że teraz nierównie trudniéj w Azyi katolikom z Rosyą i z Anglią niż było dawniéj z mahometanami. Niewątpliwa to bynajmniéj prawda dla nas, naocznych świadków prześladowania katolickich misyonarzy w Persyi, a o czém każdy przekonać się może czytając dzieła pp. Boré i Grant, wyżéj pomienione. Wszakże, mówiąc o nich, pragniemy przenieść czytelnika na stanowisko rzetelnie historyczne i zapomniawszy żeśmy sami katolicy, patrzeć i sądzić zupełnie bezstronnie.

Zaczniemy od Gruzyi. Wiadomo że potomkowie Nadyr szaha musieli ustąpić tronu Persyi zwycięzkiéj szabli Zendów i że gdy Kierym

chan, najpotężniejszy książę zendskiéj rodziny, groził Tyflisowi, Herakliusz caryk gruziński wezwał pomocy Rosyi i uznał się jéj lennikiem r. 1783. Zendów zniszczył założyciel panującéj dzisiaj Kadżarów dynastyi, eunuch Aga Muhammed chan i pierwszym napadem (r. 1795) wziął Tyflis i uwiózł z sobą do Persyi tysiące jeńców obojéj płci. Jego drugi napad wstrzymało wojsko ruskie, przysłane w pomoc Herakliusa synowi Grzegorzowi XI, który umierając przekazał testamentem Rosyi prawa swoje na Gruzyą (r. 1799). Cesarz Paweł, opiekun i wódz kawalerów maltańskich, bodaj że się nie nazbyt troszczył o ich bracią za Kaukazem. Gruzya ogłoszona prowincyą rosyjską w r. 1802. Nadzieje tamecznych katolików ożyły aż w siedm lat później, gdy Napoleon przysłał na dwór teherański oficerów francuzkich, towarzyszących poselstwu jenerała Gardane. Oficerowie zajęli się czynnie organizacyą regularnego wojska, torowali przez Persyą drogę panu swojemu do Indyi, grozili Rosyi i Anglii, nie mówili o religii. Ale wedle wschodniego przysłowia ***Ennas al addini muluki him*** „ludzie za wiarą królów swoich," katolicy rozrzuceni po wszystkich kątach Persyi, zaczęli wychodzić śmieléj w nadziei przyjścia zdobywcy koronowanego przez papieża. Rok 1812 otrząsł te wszystkie życzenia, jak liście jesiennego drzewa, wszakże dowiedziano się że są bracia za morzami i odtąd szło lepiéj.

Łagodne panowanie Fetch Ali szaha, nie lubiącego wdawać się w rzeczy religijne cudzoziemców, nacechowane tąż samą tolerancyą jaką widzieliśmy za dni szahów sefijskich. Autor niniejszego artykułu ma pod ręką kopije perskie z autentyków nadań czynionych przez tego szaha i przez jego syna i wnuków katolikom ispahańskim. Najprzód zaczęli się zjawiać misyonarze angielscy. Wybrani do tego ludzie nie mieli w sobie ani na sobie nic przypominającego apostołów Chrystusowych. Wielu z nich odznaczało się dokładną znajomością literatury teologicznéj, wszyscy ochędożni, rozsądni, przyzwoici, a niektórzy dobrego serca i prawéj duszy, zasłużyli sobie na rzetelny szacunek. Słowem uczciwi i dobrzy, w świeckiém znaczeniu tych wyrazów, ale tylko w ***świeckiém***, nic więcéj. Przyjeżdżali z żonami i dziećmi. Towarzystwo protestancko-biblijne płaciło za każde nowe dziecię urodzone w czasie misyonarstwa po fr. 500 rocznie dla zapewnienia wygodniejszego pobytu ojcu misyonarzowi. Sypali hojnie tłómaczeniami starego i nowego zakonu, po persku, po ormiańsku, po arabsku i po gruzińsku, darząc niemi krajowców każdéj miejscowości gdzie przejechali. Jeden z liczby tych misyonarzy, Henry Martyn, sprobował nawracać Persów i w tym celu napisał po persku rozprawę wykazującą, że Ewangelia jest naturalném następstwem starego zakonu, przepowiedzianém przez proroków. Jeden z wymowniejszych członków duchowieństwa mahometańskiego mołła Ahmed, rodem z Hamadanu, podjął rzuconą rękawiczkę i w odpowiedź napisał traktat teologiczny o stosunku i pochodzeniu tradycyi alkoranowych ze źródeł zostawionych w księgach proroctw hebrajskich. W Persyi nikt po hebrajsku nie umie, a tém bardziéj nikt zapewne nie zada sobie pracy sprawdzania wyciągów cytowanych z proroków hebrajskich. Nie trudno

więc sobie wytłómaczyć, dla czego traktat mołły Ahmeda czytany chciwie, wywołał gniew publiczny na H. Martyna i wiele darowanych przezeń egzemplarzy biblii spalono. Nieostrożny misyonarz musiał szukać ochrony w ucieczce.

Pokazało się to o czém spółcześni Abbasowi I. misyonarze przekonali się byli uprzednio, że o nawróceniu muzułmanów w ich ojczyznie i pod ich ojczystym rządem, myślić nie czas, szczególniéj zaś o nawróceniu za pomocą dyalektyki i sporów teologicznych. Niemiecki pastor Hase rzucił się do sposobu praktyczniejszego. Założył w Tebryzie bezpłatną szkółkę dla dzieci krajowców przyjmując wszystkich bezwzględnie na wiarę i narodowość rodziców ich. Uczono tam pierwszych zasad arytmetyki, jeografii etc. i innych nauk nie mających związku z religią. Uczniów było nie wiele i nie robili postępu; pastor Hase, po trzechletniéj probie, zamknął szkółkę i wyjechał.

Proby te jakkolwiek bezskuteczne, przekonały o potrzebie zupełnéj zmiany planu propagandy. Pokazało się że trzeba ją zacząć od sprostowania wiary chrześcian tuziemców, osiadłych odwiecznie w Persyi i na jéj granicach, od Gruzinów, od Ormian, od Chaldejczyków. Przysłani w r. 1829 z Ameryki przez towarzystwo biblijne [8]) Bostonu misyonarze Dwight i Smith znalazłszy Gruzyą i Armenią pod bezpośrednim wpływem Rosyi, zwiedzili krainy Aderbajdżanu, leżące pomiędzy jeziorem Urumia i jeziorem Wan, gdzie się przechowały najliczniejsze szczątki starożytnych chrześcian i uderzeni byli łatwością, z jaką tameczni nestoryanie pragnęli się łączyć z każdym co do nich mówił w imię Chrystusa. Misyonarze, wszystko metodyści, sądzili że mogą skorzystać ze zręczności przeprowadzenia na swój dogmat tych potomków tyle sławnych w początkowéj historyi kościoła nestoryanów. Komitet bostoński pospieszył z wysłaniem r. 1833 misyonarza Justyna Perkins, dla przewodniczenia pracom misyonarzy, naznaczając mu miasto Urumię za główne siedlisko i środkowy punkt działań. We dwa lata późniéj komitet metodystów w Utika, przybiegając im w pomoc, przysłał lekarza Grant, autora wspomnianéj na tytule artykułu książki. „Wierzono, mówi Grant [9]), że sztuka „leczenia może nam zjednać dobre przyjęcie i protekcyą władz miej„scowych i dać im dowód uczciwości zamiarów naszych; wiadomo bo„wiem dobrze, iż ulżenie cierpień cielesnych otwiera drogę do duszy. „Doktor znajdzie wstęp do domów i osób nieprzystępnych lada komu." Towarzystwo amerykańskie zaopatrzyło hojnie misyonarzy swoich w pieniądze i wszelkie inne pomoce, podobnież zręcznie obliczone i przewidziane, a że rząd perski przyjął ich grzecznie i zostawił im wolność działania, wzięli się czynnie do roboty, głównie zwróconéj, jak się już wspomniało, do chaldejskich nestoryanów. Zaczęli od zbudowania sobie wygodnego domu w Urumii i zakładania szkółek. Trzem biskupom nestoryańskim naznaczyli roczne pensye. Dla zachęcenia zaś rodziców

---

[8]) American Board of Commissioners for foreign Missions.
[9]) Str. 3.

do posyłania dzieci do szkoły wyznaczono rozmaite pieniężne nagrody zwiększające się wedle ochoty i pilności dziecka. Każdy uczeń bez różnicy pobierał jednego *sahibkorana* [10]), ale mógł pracą swoją zasłużyć aż na 5 sahibkoranów na tydzień, czyli około 25 złotych polskich na miesiąc; summa bardzo powabna w bezpieniężnym kraju nestoryanów. W szkołach uczono gramatyki chaldejskiéj, gramatyki angielskiéj i arytmetyki.

Aby ocenić całą ważność przedsięwziętego przez amerykańskich metodystów planu, przypomnijmy sobie czém byli nestoryanie, to jest wróćmy do pierwszych czasów chrześciaństwa, ba nawet przedchrześciańskich. Przypomnijmy że dzisiejsza ojczyzna chaldejskich nestoryanów jest ową Chaldeą, któréj mędrcom i któréj astronomom dziwiły się Grecya i Egipt; ojczyzną Abrahama, któréj językiem mówił Chrystus i do któréj wraz po rozejściu się uczniów Zbawiciela, rzucone nasiona Ewangelii krzewią się dotąd silnie, chociaż bez uprawy i dziko. Święty Mateusz ewangelista opowiadał słowo boże w Medyi, apostoł ś. Tadeusz w Mezopotamii, w Assyryi i w Persyi, a jego uczeń Ageusz jest jednym z najszczęśliwszych zdobywców na świętém polu wiary. Cała Persya, Assyrya, Armenia i Medya, mówi Assemani, [11]) przyjęły kapłaństwo z rąk Ageusza, ucznia Tadeuszowego, tkacza jedwabnych wyrobów." Każdy z nich pracował w Chaldei, ziemi posłannictwa i objawień, zkąd promieniło się światło niosąc promienie ciepła i życia w najodleglejsze kraje Azyi. Nie będziemy się tu rozwodzić nad znajomemi zkądinąd szczegółami odszczepieństwa nestoryańskiego, widzącego w Chrystusie nietylko dwie oddzielne natury, boską i ludzką, ale téż i dwie różne i sprzeczne sobie osoby, odrzucając spółistnienie bóstwa z człowiekiem. Nauka ta szerzona z nadludzką siłą przez Nestoriusa w połowie Vgo wieku, potępiana wyrokami wielu Soborów (r. 431, r. 451, r. 553), ograniczająca się dzisiaj do Chaldei i do kilku miejscowości Indyi, gdzie nestoryanie nazywają się „chrześcianami śgo Tomasza." Pomimo wszystkich zboczeń i błędów swoich oddała ona ważne posługi chrześciaństwu w Azyi, o których tu koniecznie napomknąć trzeba:

Wiek V. Patryarchowie nestoryańscy rozkazywali duchowieństwu urodzonemu w Azyi a zatém najzdolniejszemu wpływać na ludzi których językiem jak własnym mówili. Rozsyłali z własnego ramienia swoich metropolitów, arcybiskupów i biskupów po całéj Azyi, szczególniéj do Chin gdzie winnica Pańska rosła bujniéj niż w innych stronach pogaństwa.

Wiek VI. Jeszcze w r. 334 chaldejski mnich Barsabas uciekając przed prześladownictwem szaha perskiego Szapura, osiadł był na zachodnich granicach Chorasanu w mieście Merw i przez lat piętnaście sprawował tam urząd biskupa tamecznych chrześcian. Rzucone przezeń iskry nie gasły w przeciągu dwóch następnych wieków, dzięki chaldej-

---

[10]) *Sahibkoran* perski srebrny pieniądz wartości szyllinga angielskiego.
[11]) Bibliot. Orient V. IV, str. 8.

skim apostołom. Doszły nas niezaprzeczonéj powagi świadectwa, że pracą i nakładem nestoryańskich patryarchów Selencyi, bardzo liczne stowarzyszenia, bractwa i zakony chrześciańskie trwały przez cały wiek VIty w Syryi, Arabii, Armenii, Persyi i Indyi.

Wiek VII. Nestoryańska propaganda przecisnęła się w najniedostępniejsze góry i pustynie Persyi i Indyi, ale najkorzystniéj i najszerzéj w Chinach. Ogromne to cesarstwo liczyło w tym wieku tysiącami chrześcian w każdéj prowincyi swojéj [12]). Chrześcian w Syryi, Arabii i Persyi było tylu, że gdyby nie zjawiska spółczesne Mahometa, wszystkie te kraje przeszłyby były na łono prawdziwego kościoła. Patryarchowie Selencyi nie mogąc odtąd oprzeć się, wszystko wywracającemu islamizmowi, zwrócili główną działalność do Chin. Od roku 639. do r. 781. posłano tam siedmdziesiąt misyonarzy, których imiona doszły nas. Chiński monarcha Koakum (650—684) kazał budować chrześciańskie świątynie po wszystkich krajach państwa swojego. Całe dziesięć prowincyi chińskich ochrzciło się, a nie było ani jednego miasta większego w Chinach bez chrześcian. Po tak świetnéj pomyślności nagle zaszła jakaś klęska, o któréj historya nie wspomina — tylko mówi, że w r. 699 chrześcian bardzo prześladowano w Chinach.

Wiek VIII. Nestoryański patryarcha, około 714. r. posłał z Selencyi do Chin biskupa swojego. W pięć lat późniéj (719) udało się tam podobnież dwóch zdolnych i czynnych misyonarzy: ks. Jan i ks. Keli, z wielu towarzyszami. Cesarz chiński miał swój kościół, w którym kazał pomieścić posągi wszystkich przodków swoich. W r. 757. cesarz chiński Sokum wydał rozkaz budowania kościołów, a po nim jego następca tronu (763—780) opiekował się chrześcianami. Za dni jego patryarcha nestoryański Tymoteusz wsławił się pracami rozsyłanych przezeń misyonarzy, jak n. p. Subchaljesu, mnich klasztoru Betaben, biegły w językach syryjskim, perskim i arabskim. Tymoteusz go poświęcił na biskupa *in partibus* i posłał opowiadać Ewangelią na południowe brzegi morza Kaspijskiego, do Gilanu. Apostolstwu temu bardzo się szczęściło, całe miasta i wsie gilańskie nawracały się i budowały sobie kościoły. Zostawiwszy straż nad niemi kilku kapłanom Subchaljesu, szedł ztamtąd przez Chorasan i koczowiska Tartarów Azyi średniéj, gdzie go już były uprzedziły okolniki patryarchy Tymoteusza, wzywające książąt tamecznych do służby Bogu prawemu. Ztamtąd Subchaljesu poszedł do Chin i zrobił wiele dobra nawróceniem i pogan i chrześcian odszczepionych, marcyonitów, manichejczyków etc., które się krzewić zaczęły w tamecznych kościołach. Po tylu pracach, Subchaljesu wracał do Betaben dla widzenia się z braćmi i patryarchą, ale w drodze zabity przez zbójców. Na miejsce męczennika, patryarcha Tymoteusz powołał do biskupstwa dwóch innych mnichów betabeńskich i dodawszy im piętnastu misyonarzy, posłał do Chin. Słynęli oni pracami godnemi poprzednika swojego. Z liczby tych piętnastu, Dawid był starszym me-

---

[12]) Mosheim Eccles. hist. VI. str. 499.

tropolitą w Chinach. Tomasz w urzędzie biskupa udał się do Indyi w towarzystwie kilku braci, a z tych co przy Dawidzie pozostali, Zacheusz, Sem, Efraim, Simeon i Ananiasz, byli biskupami przewodnicząc każdy osobnemu biskupstwu w Chinach. Wszystko to dowodzi wielkiéj tam liczby chrześcian w ósmym wieku ery naszéj.

Wiek IX. „Nestoryanie" powiada Mosheim, „żyjący bezpiecznie pod berłem chalifów arabskich, nie słabli w pracach apostołowania." — Patryarcha Tymoteusz umarł w r. 820. W wieku tym chrześcianie chińscy wiele ucierpieli w Kantonie, podczas rokoszu niejakiegoś Bajczu, który tysiące ich wymordował.

Wiek X. Był to wiek wielkich niepowodzeń dla chrześcian w ogólności nawet europejskich. Nauka ustępowała miejsca przesądom i ciemnéj niewiadomości. Skażenie obyczajów powszechnie grasowało. Wszakże chaldejskim nestoryanom wiodło się nieźle w Tartaryi, za górami Emaus, dokąd ich misyonarze poraz pierwszy przenikli. Naród Karytów osiadły na chaldejskich granicach przeszedł na wiarę chrześciańską. Do lat ostatnich tegoż wieku należy początek owéj chrześciańskiéj dynastyi tartarskich królów znajomych w kronikach europejskich pod imieniem Pretjanów („Prête-Jean" czy „Prêtre-Jean") panujących w XII i XIII wiekach.

Wieki XI i XII. Pierwszy tych tartarsko, czy jak niektórzy mniemają, kałmucko-chrześciańskich władzców, mieszkał w stolicy swojéj Karakorum, odległéj około 600 mil ku północo-zachodowi Pekinu. Przyjął on chrzest z rąk nestoryańskich kapłanów i uznał chrześcianizm za urzędową religią całego państwa. Jego syn i następca zaczął w r. 1046 podboje, które dokończył i tak szeroko rozszerzył po nim sławny Czengizkan, zabójca, jak mówią, trzeciego i ostatniego króla dynastyi pretjańskiéj, zamordowanego w r. 1202.

Za panowania Pretjana II., patryarcha nestoryański posyłał biskupów swoich do Chin. Niepodejrzane bynajmniéj świadectwa historyczne dowodzą, iż kraje Azyi środkowéj Kaszgar, Turkestan, Genda, Tangut, (Tybet) i inne miasta i ziemie przebieżone przez misyonarzy nestoryańskich, oświeciły się promieniem ewangelicznym i miały swoich biskupów, uznających za swego pasterza i wodza patryarchę nestoryanów.

Wiek XIII. Czengizkan i wielu książąt jego dynastyi niesprzyjali chrześcianom chińskim i tartarskim. Wszakże są niezaprzeczone dowody o istnieniu w wieku XIIItym wielu bractw i stowarzyszeń chrześciańskich. Prześladowania czengizkańskie niezdolne były zatrzymać postępu szerzonego czynnie przez nestoryańskich misyonarzy. Jedna z żon tego zdobywcy była córką Pretjana i chrześcianką, miała z niego dwóch synów i obu wychowała w wierności dogmatom religii swojéj. Jego prawnuk sławny Kublaj, dokończywszy podboju całych Chin, przeniósł w r. 1279 stolicę mocarstwa swojego do Chanbałyku (do Pekinu) i przez cały ciąg panowania okazywał opiekę i przychylność chrześcianom chińskim. Około tegoż roku przybył do Chin nowy pasterz ne-

storyański sprawować tam urząd metropolity, a po nim był metropolitą Dżeballah, mnich rodem z Mezopotamii.

Chiny zostające dotąd pod wyłącznym wpływem nestoryanów, zaczęły zwracać na siebie uwagę Stolicy apostolskiéj pod koniec trzynastego stulecia. Pierwszy posłaniec Ojca świętego Corvino, zwiedziwszy Chiny w r. 1289 mówi o wielkim wpływie tam nestoryanów, ale przytém oskarza ich o stronnictwo i zazdrość, mówi że nie pozwalają ani kazać ani budować kościołów chrześcianom innego obrządku i że znalazł iż w ich liturgią wcisnęły się rzeczy obce, każące czystość ewangeliczną. Kublaj umarł r. 1302. Podróżujący w Tartaryi za jego panowania Wenecyanin Marco Polo, widział nestoryańskie kaplice w krajach Azyi średniéj: Kaszgar, Karkum, Tangut, Ergimul, Kergut i Tenduk.

Wieki XIV, XV do XVI. Z początkiem XIV. wieku islamizm rozszerzał się i opanował wszystkie kraje od Eufratu do Oxusa (Dżejhun), z bardzo wielką szkodą dla katolików, nestoryanów, jakobitów i innych tamecznych chrześcian zmuszonych ustąpić przed tak przemożnym nieprzyjacielem. Uprzednio już afgański zdobywca sułtan Mahmud Sebuktegin Gaznejski, dorwawszy się najwyższéj władzy (r. 997) groźbą i prośbą przeciągał miliony ludzi w korzyść koranu, poturczył Afganistan i część Indyi północnych. Timurleng (Tamerlan) dokonał dzieła zniszczenia kościołów chrześciańskich. Jego podboje (1380 do 1405) w Chinach, Tartaryi, Mogolii, Indyach, Persyi, Azyi mniejszéj i nakoniec w Rosyi, nacechowane nienawiścią do chrześcian, szczególniéj zaś do nestoryanów. Gdzie tylko ich znalazł, prześladował albo niszczył bez litości tak, że ani śladu nie pozostało po niegdyś licznych nestoryańskich cerkwiach w Gurganie (między Asterabadem i Merwem), w Chorasanie i w stronach za rzeką Oxus. W Chinach wiodło się im nieco lepiéj, jakkolwiek i tam chrześciaństwo ścigane i w r. 1369 misyonarze rzymscy wypędzeni po za granice państwa. Nie przeszkodziło to bynajmniéj nestoryanom, jako lepiéj świadomszym języków i rzeczy Azyi, przedłużać religijne stosunki z Chinami. Ich patryarcha Symeon posłał tam w r. 1490 biskupa dla opieki nad pozostałą i zmniejszającą się coraz trzódką. Jego następca, patryarcha Eliasz, połączył w jednę dwie hierarchie podwładnę jemu w Chinach i w Indyach i posłał im czterech biskupów. Ale usiłowania musiały walczyć z przemagającym uciskiem. W r. 1540 cesarz chiński rozkazał niszczyć ostatki chrześcian. Odtąd imiona misyonarzy nestoryańskich rzadziéj i rzadziéj wspominane w historyi, zaczynają znikać z pola, gdzie tyle zasług i prac wiekowych położyli. W Azyi zachodniej, bliżéj Eufratu i morza Środziemnego, wpływ nestoryanów podobnież znika, ustępując miejsca niezmordowanym pracownikom propagandy rzymskiéj, co jak widzieliśmy, znaleźli tak silną i tak skuteczną pomoc z ręki królów polskich. Doświadczenie przekonało, że żaden z chrześciańskich ludów nie posiadał ani tyle zręczności, ani tyle usposobienia ile nestoryanie; zdawałoby się, że sama Opatrzność wybrała ich na apostołów Azyi.

Spółcześni nam podróżnicy i misyonarze europejscy znaleźli nestoryan w chaldejskiéj ich ojczyznie, w ojczyznie Abrahama i Racheli. Nie słyną już oni ani mądrością, jak przed Chrystusem i znajomością gwiazd, ani jak po Chrystusie, szerzeniem słowa Pańskiego po całéj Azyi, ale najświęciéj przechowali i dotąd obronili dwa najdroższe skarby człowieka: swobodę religijną i swobodę polityczną swoję. Ludność i miejsce pobytu ich są jeszcze też same lub nie wiele różne od tego czém były przed wiekami. Około 200,000 mieszkańców, nie licząc w to kobiet, zajmują grupę gór wznoszącą się między jeziorami Wan i Urmija i doliny przytykające do tego ostatniego jeziora i brzegu rzeki Tygrysu. Miasta Mosul, Dijarbekr, Wan, Sulejmanija, Tebryz otaczają do koła tę odwieczną siedzibę Chaldeów, a bliżéj jeszcze i także ze wszystkich stron siedzą perskie plemiona Kurdów, znajome w starożytności pod imieniem Gordyanie, Karduchy etc. Dzisiaj szah perski i sułtan turecki, pierwszy od północy i wschodu, drugi od zachodu i południa rozkazują owym sąsiednim miastom i Chaldejczykom mieszkającym na dolinach.

Górale tylko chaldejscy nie słuchają obcych rozkazów. Ich ziemia czyli raczéj skały, porozrywane korytami rzek, z których dwie największe Zab i Chabur, wlewają się do Tygrysu, kilkadziesiąt mniejszych do jeziora urmijskiego, a wszystkie biorą źródła pod śniegami nakrywającemi wierzchołki tych skał niedostępnych. Asahel-Grant, doktor i współpracownik metodystów amerykańskich, zwiedził te dzikie i ledwie z imienia znajome nam dotąd okolice. On pierwszy z podróżników piszących, przejechał je od Mosulu do Wanu i do Urmii. Oto kilka rysów pożyczonych z książki jego, któréj tytuł przytoczyliśmy wyżéj i mogących dać wyobrażenie o kraju i ludziach tyle godnych uwagi:

Od zwalisk Niniwy przy Mosulu, doktor Grant r. 1839 przybył 8. października do Akry, pięknéj i żyznéj mieściny, otoczonéj sadami drzew oliwnych, figowych, brzoskwin, morelów, śliw i wisien. Tam kończą się płaszczyzny brzegów Tygrysu, a zaczynają się góry zamieszkałe bliżéj przez Kurdów, daléj przez Chaldeów. Turecki rządzca (pasza) Akry przyjął doktora gościnnie i dał mu przewodników do Amadyi. Miasto Akra, niegdyś sławne szkołami i nauką nestoryanów, liczy ich dzisiaj ledwie 30 rodzin. Reszta ich żyje w kilkudziesięciu wioskach rozsypanych po okolicach i na wschodnich brzegach Tygrysu. Wszyscy są wyznania katolickiego, które tu muzułmanie nazywają *kaldi,* to jest chaldeizm. Ich patryarcha, uczeń propagandy rzymskiéj i wierny zwolennik papieża, mieszka najczęściéj w Elkosz, niedaleko od Akry, w klasztorze zwanym Rebban Hormuz. Klasztor ten i klasztor w górach Dżulamerku, stanowią główne siedliska chaldejskich katolików, niełączących się z ziomkami swoimi wyznania nestoryańskiego. Po drodze pierwszego dnia wyjazdu z Akry, „przejeżdżaliśmy, mówi Grant, przez trzy lub cztery wsie nestoryańskie, z których największa liczy do tysiąca mieszkańców. Pokazywano mi wieś zamieszkaną jedynie przez Żydów, mówiących po nestoryańsku. Przedałem mego konia, a nająłem sobie muła, gdyż konie nie mogą chodzić po urwiskach gór które miałem zwiedzić.

Pierwszy nocleg w chacie, któréj gospodarzem była rodzina muzułmańska Kurdów. Trafiliśmy w niedobrą chwilę, gdyż Kurdowie sąsiedniéj wioski zabili jednego z krewnych téj rodziny. Tu prawo zemsty pozwolone. Krew za krew i dopóty się zabijają wzajemnie, dopóki równa liczba trupów padłych z obu stron, albo pieniężne wynagrodzenie nie zadowolni mścicieli. Droga nasza wieszała się po skałach, nużyła mię, a niebyło czém bardzo sił pokrzepić, gdyż musieliśmy żyć o chlebie i o ryżowéj kaszy. Dzięki Bogu że uszliśmy cało i bezpiecznie przybyliśmy do Amadyi, twierdzy zbudowanéj na szczycie stroméj opoki o jakie tysiąc stóp wzniesionéj nad doliną, śród któréj samotnie stoi. Na dolinie wiele pszenicy i winnic. Klimat niezdrowy i corocznie gorączki panują. Ażeby wejść do miasta musiałem pieszo wspinać się po ścieszkach wijących się na skale. Garnizon turecki broniący Amadyi zależy od paszy Mosulu. Jestto najważniejsze stanowisko wojenne, trzymające w posłuszeństwie amadyjskich Kurdów, których wodzowi nie wolno wejść do twierdzy. Miasto ma przeszło 1000 domów, z których 150 tylko zamieszkałych, inne stoją pustkami od czasu napaści Kurdów Rewanduzu. Chude wyżółkłe twarze mieszkańców i żołnierzy garnizonu. Rządzca cywilny i komendant twierdzy, obaj byli bardzo chorzy. Moja apteczka i znajomości lekarskie bardzo im się przydały. W mieście zamieszkałém głównie przez Kurdów, było około 50 rodzin żydowskich i przeszło sto nestoryańskich. Ci ostatni liczą do trzech tysięcy spółziomków, najwięcéj katolików (*kaldi*, chaldeje) w całym powiecie Amadyi; dowiedziałém się, że we wsiach sąsiedniego powiatu Berwer nad rzeką Chabur, ludność nestoryańska przewyższa tutejszą. Z twierdzy amadyjskiéj piękny widok na podnożną dolinę i na rzekę Zab płynącą ku wschodowi o $2\frac{1}{2}$ fersechów drogi."

Grant wyjeżdżał z Amadyi śród podziękowań Kurdów i Turków wyleczonych od febry. Jako dobry protestant, skarży się bardzo na szerzenie się wpływu katolików: „Nestoryańscy księża opowiadali mi z żalem i trwogą, że lud ich głupi nie umie się oprzeć pokusom i przewadze propagandy rzymskiéj i że coraz liczniéj przechodzi na wiarę katolicką. Jeden z nich mówił mi, że własny jego ojciec zmuszony był przechrzcić się pod karą chłosty! Katolicy Mezopotamii upewniali mię, że użyją wszelkich sposobów do przeciągnienia wszystkich nestoryanów pod swój dogmat. Jakoż odebrane niedawno listy z Bagdadu donoszą, iż trzech biskupów i księży, wychowanych w szkole propagandy rzymskiéj, mają zjechać się do Mosulu dla narady o przedsięwzięciu środków do przechrzcenia wszystkich nestoryanów wedle obrządku rzymskiego! Słowem napaść potężna, trzeba ją co prędzéj mężnie odeprzeć i złamać tych *ludzi grzechu*. Bóg nam i prawda pomogą, nie mamy się czego lękać, byleby kościół nasz wziął się czynnie do robienia swojéj powinności. Nestoryanie górale dzielnie dotrzymują dotąd planu i czujnie stoją na straży. Jedno z pierwszych pytań jak skoro mię ujrzeli, było: *czy jesteś katolikiem?* Gdyby tak było nie dopuściliby mnie do swoich granic. Dotąd oni bronią emisaryu-

„szom rzymskim wejścia na góry swoje. Ale emisaryusze nie tracą na„dziei i zachęceni powodzeniami ich przedsiębierczéj czynności na wscho„dzie, nie oszczędzą niczego byle dojść celu i mogą z czasem ustalić „wpływ swój w górach, jak go już ustalili na dolinach. Będziemyż „protestanci chrześciańscy niedołężnie patrzeć jak złote żniwo przejdzie „w stodołę papieża, nie damyż wsparcia wyciągniętéj do nas ręce ne„storyańskich górali? [13])". Tłómaczę te wyrazy jako dające wyobrażenie o zaciętości i sile, z jaką metodyści amerykańscy starali się szkodzić pracom katolickim w tych stronach. Osobisty charakter doktora Grant, którego uczciwości i nauce nawet nieprzyjaciele oddają sprawiedliwość, a przytém wielkie pieniężne zasoby dostarczane mu z Ameryki, nadają tém większéj powagi wyrazom jego.

Grant przybył na ziemię górali nestoryańskich 15. października. „Rano przejechałem granicę ojczyzny nestoryanów. Ich wsie najbliższe o dwanaście godzin drogi od Amadyi, należą do powiatu Duri ze stoliczną mieściną tegoż nazwania, gdzie przebywa ich biskup. Z Amadyi musiałem wyjść piechotą, gdyż właściciel mułów naszych nie chciał wejść do miasta, lękając się, aby mu ich tureccy urzędnicy darmo nie odebrali, co się często zdarza. Trzeba było spuszczać się pieszo aż na dolinę, gdzie już znalazłem brata biskupa z Duri, przysłanego mi za przewodnika. Przyjacielska ta pomoc była mi bardzo na rękę. Chawas dany mi dla pomocy przez paszę w Akra, oświadczył, że nie może jechać ze mną daléj do kraju dzikich górali nie słuchających nikogo i słynących rozbojami. Nie chciałem go przymuszać i bawiły mnie powieści jego i innych Turków i Kurdów o nestoryanach sąsiednich: zabijają spojrzeniem; niedawno jeszcze w zamian za trzodę owiec zagrabioną im, przyszli pod samą skałę twierdzy Amadyi i uprowadzili trzody Kurdów, a tak im źle patrzało z oczu, że nikt nie śmiał im sprzeciwić się; Mir (dowódzca) Kurdów Rewanduzu, splądrowawszy okolicę Amadyi chciał uczynić toż samo góralom i już z wojskiem swojém zbliżył się był do mostu rzuconego nad przepaścią i prowadzącego w ich góry, ale cóż? oto nad mostem wisiało już kilka głów uciętych Kurdom rewanduzkim, a widok ten tak zniechęcił Mira, że wrócił do domu.

Po siedmiu godzinach męczącéj jazdy po urwistych wąwozach, przybliżyliśmy się nakoniec do Duri. Po drodze często musieliśmy odpowiadać na pytania: kto wy? zkąd przybywacie? po co? robione silnym donośnym głosem po nestoryańsku. Najdłużéj nas badano czyśmy nie katolicy, a w oczach i postawie zuchwale pytających czytaliśmy los, jakiby niezawodnie spotkał zwolenników papieża. Gospodarz mój, biskup Tejarskiego powiatu, przyjął mnie uprzejmie ale nieco rubasznie, bez owéj wymuszonéj i nadskakującéj grzeczności chrześcian poddanych Turcyi i Persyi. Nazajutrz dom się nasz napełnił przybyszami chorymi, każdy prosił o lekarstwo, a że mówiłem ich językiem, więc mówiono do mnie i witano mnie jak ziomka jednowiercę. Biskup wejrzenia pra-

[13]) *Grant* str. 4. cytowanego dzieła na wstępie niniejszego artykułu.

wdziwie patryarchalnego, z długą białą brodą, poprowadził mnie do kościoła. Był to szanowny stary budynek, zrobiony z naturalnéj groty w ścianie skały spadzistéj. Wewnątrz jego ciemno jak o północy. Gościnny biskup wziąwszy mnie za rękę, przyprowadził do ołtarza na którym leżał gładki, kamienny krzyż. Zdawało mu się, że idąc za ich zwyczajem, uszanuję krzyż pocałunkiem. Wyznaję, że widok czci najszczerszéj, z jaką robią to nestoryanie górale, wzrusza i buduje: tu żadnego udania, żadnéj przesady albo bałwochwalstwa właściwych katolickim czcicielom posągów i malowideł. Cóż innego, jeźli nie nadużycie zewnętrznéj czci symbolów rzymskiego kościoła rzuciło nas protestantów w przeciwległą ostateczność, gdyśmy odrzucili nawet prostą pamiątkę krzyża? Staruszek biskup sypia w kościele, aby się nie spóźnić owszém być zawsze w pogotowiu do nabożeństwa zaczynającego się rano o brzasku przed wschodem słońca. Bardzo mi dziękował za pudełko siarniczków chemicznych, które mu darowałem dla zapalenia lampy. Na drzewach otaczających wejście do kościoła, wisiały ule, własność jego, a miód tutejszy sprawiedliwie słynie wybornym smakiem. Mnóstwo rudych wiewiórek, które tu pierwszy raz widziałem w Azyi.

„Rudy żelazne obfitują. Wyrabiają je nestoryanie pod nadzorem urzędnika Kurda. W innych powiatach górnych są kopalnie ołowiu. Duri, należy niby do Turcyi, a straż jego powierzona wodzowi Kurdów berwerskich, podwładnego rządzcy Amadyi. Patrząc na jego władzę, mniéj niż wątpliwą, przyszły na myśl wyrazy mosulskiego paszy: „Aż do granic górali nestoryańskich" mówił mi, „odpowiadam za całość twojéj osoby. Możesz nieść kubeł złota na głowie i być pewnym, że nikt ciebie nie dotknie, ale ostrzegam, że opieka moja nie rozciąga się daléj. Ci górni giaurowie szydzą z paszów i z królów; tam od niepamiętnych czasów każdy jest sobie królem."

„Właściwie mówiąc, jeszcze jeden szereg gór dzielił mnie od kraju zupełnie niepodległych nestoryanów. Radzono mi w Mosulu, abym tam nie jechał inaczéj jak w towarzystwie eskorty przysłanéj od samego patryarchy. Wszakże po rozmowie z biskupem nabyłem odwagi. Na odpowiedź patryarchy trzebaby było czekać dni dziesięć, a tu zbliżała się już zima, zima straszna w tych górach; musiałem spieszyć. Biskup dał mi za przewodnika rozsądnego nestoryańca, a dwóch innych jechało ze mną dla odprowadzenia nazad mułów z Lezanu, pierwszéj wsi niepodległego pokolenia Tejary, najpotężniejszego z chrześciańskich górali.

„Ostrzeżono mnie, że w trudniejszych miejscach przepaścistéj drogi trzeba zsiadać z muła i iść w chodakach góralskich. Pohandlowałem więc moje tureckie bóty na chodaki biskupa, plecione z włósianych sznurków. Tak opatrzony należycie, pożegnawszy gościnnego kapłana, wyjechałem rano 18. października. Półtoréj godziny późniéj byłem już na szczycie góry, zkąd wielki, uroczy widok na ojczyznę wolnych nestoryanów. Szeroki, dziki górozbiór dziwacznie podarty przepa-

ściami, a na ich dnie tu i owdzie ledwie dojrzane wioski! Patrząc na ten jedyny świata zakątek, gdzie podobało się Bogu przechować żywą pamiątkę pierwotnego kościoła swojego, wracałem myślą do owych dni religijnéj potęgi nestoryanów, gdy ich misyonarze, rozsypani po wszystkich stronach wschodu, przez przeszło tysiąc lat trzymali zwycięzko sztandar krzyża w Azyi średniéj, w Tartaryi, w Mogolii i w Chinach; kiedy echa tychże samych gór zabrzmiały słowem Ewangelii, wiadomo bowiem, że nie Nestorius przyniósł tu błogą wieść o Chrystusie, ale sami apostołowie Zbawiciela: Tomasz, Bartłomiéj, Tadeusz i inni uczniowie apostolscy. Bolało serce na widok obecnéj nicości tak świetnego narodu. Błysnął promień nadziei... Daléj do dzieła, daléj! Spieszyłem po stromych pochyłościach góry, to szczeblując ostrożnie po urwiskach, to spoczywając w pożądanym cieniu grusz dzikich, to na siodle silnego muła idąc wązkiemi ścieżkami niżéj i niżéj aż na brzegi wrzącego, pieniącego się bystrego Zabu, gdzie śród płodnych ogrodów ciągnących się więcéj niż milę, stała wieś niepodległych nestoryanów na imię Alezan. Pierwszą tam spotkaną osobą był młody nestoryanin, którego przedtém leczyłem w Urumii. Spotkał mię jak zbawcę i przewodniczył nam aż do domu starosty Alezanu, który już wiedział o moim przyjeździe i czekał na mnie. Dom zbudowany z kamieni i gliny z płaskim dachem na dwa piętra, każde o dwóch czy trzech izbach.

„W izbie drugopiętrowéj przeznaczonéj dla gości, siedzieliśmy na ziemi. Przyniesiono jadło na szerokiéj drewnianéj tacy i postawiono ją przed nami na obrusie, to jest na skórze dzikiego kozła. Chleb z mąki prosowéj pieczony w płaskie i cienkie placki, porozkładano naokoło tacy na skórze. Siedziało nas ośmiu i tyleż nam łyżek podano, dla jedzenia z jednego półmiska. Zauważałem, że gdy rozściełali obrus, było w nim wiele odrobin chleba czerstwego. Powiedziano mi, że je zostawiono umyślnie z ostatniego obiadu, stosownie do słów Ewangelii: „zbierz odrobiny, ażeby nic straconém nie było," i także dla tego, aby zostało błogosławieństwo wczorajszéj modlitwy przy dzisiejszém jedzeniu.

„Kobiety nie jedzą razem z mężczyznami, ale nie żywią się ostatkami jadła tych ostatnich, jak to się dzieje zwyczajnie na wschodzie, owszém, mają stół osobny i w ogólności uważane są jak towarzyszki i spólniczki mężów, nie zaś jak ich służebne. Ich zwyczajném zatrudnieniem jest przędza. Salomon (przysł. XXXI. 19) opisuje mądrą kobietę podobną do tych co tam widziałem. Prządkę trzymają w lewéj ręce, a palcami prawéj dają wrzecionu ruch wirowy i takim sposobem kręcą nitkę, nie używając kołowrotków. Odziewają rodzinę w płótno czerwone lub paskowane własnego tkania i farbierstwa. Pracowite, ochędożne, gospodarne i słyną wiernością małżeńską. Chociaż mniéj śmielsze niż u nas, nie uciekają od obcych jak muzułmanki. Pierwszego wieczora po naszém przybyciu, przyszły dwie zamężne kobiety i w obecności swoich mężów siadły do rozmowy wspólnéj. Na moją prośbę dały mi po pierścionku dla pokazania naszym Amerykankom,

wypytując się o nich z ciekawością. Bardzo się dziwiły kiedym powiedział, że u nas panna wybiera sobie męża i że jéj rodzice nie wymagają żadnéj zapłaty od zięcia. Ubrane były czysto i przyzwoicie. Włosy uczesane gładko i cacek na nich bardzo nie wiele. Kształty ich nadobne, wyrażenie oczu i twarzy miłe i płeć biała jak u Europeek, tylko twarz i ręce ogorzałe słońcem. Z owoców widziałem winogrona, figi i granaty, wspólne wszystkim wioskom położonym bliżéj brzegów rzeki, gdzie ryżowe pola wyziewami swojemi szkodzą zdrowiu. Jabłka i inne owoce krain północnych obfitują we wsiach leżących wyżéj. Pszenicy mało, posyłają po nię do Amadyi w zamian za miód i masło.

„*20 października.* O wschodzie słońca dało się słyszeć bicie młotem w cienką deskę. Było to wezwanie na modlitwę. Każdy wchodząc do kościoła zostawiał swoje chodaki przed progiem, całował najprzód drzwi albo próg, potém Ewangelią leżącą na ołtarzu, a nakoniec rękę księdza.

„Kościół podobnie innym co spotykałem w górach, zbudowany bardzo mocno z kamieni, z wklęsłym sufitem i mogący trwać długie lata. Widziałem kościoły liczące już czternaście wieków. Drzwi wązkie i tak nizkie, że wchodząc trzeba się schylić, stosownie, jak mi zauważano, do słów ewangelicznych: *Ciasne są wrota* etc.; prawda o któréj pobożni górale nie chcą zapomnieć wchodząc do domu bożego. Pacierze, pieśni pobożne i psalmy, wszystkie były starym syryjskim językiem, zupełnie dla ludu niezrozumiałym. Jeden z księży czytał rozdział Ewangelii językiem potocznym, (który dla różnicy nazwiemy nestoryańskim) i wykładał tekst takąż mową zamiast kazania. Mają oni wiele podań i legend świętych po nestoryańsku.

„Była to jakaś większa uroczystość. Chleb i wino poświęcone w przybytku (świętość świętości) kościoła, wynieśli ksiądz i dziekan; do nich szli po jednemu wierni i spożywali: najprzód kąsek chleba, z rąk księdza trzymając ręczniczek, aby ani odrobina nie spadła; a potém wino z rąk dziekana, trzymającego kielich ostrożnie, tak, że ani kropla się nie wylała. Wszakże nie było tu żadnych aktorskich ruchów bałwochwalstwa księży Konstantynopola i Rzymu. Owszém wszystko czyniło się z biblijną prostotą. Ksiądz przewodniczący modlitwie i nauce, zaczął sam od spożycia swiętych pokarmów (sacred elements), a potém mnie wezwał. Nie mogłem niezgodzić się, chociaż był to raz pierwszy i ostatni podobnéj spółki mojéj z nestoryanami. Wszyscy rozchodzili się obyczajnie i cicho, bez natłoku i nieładu, a każdemu przy drzwiach dano bardzo cienki placek pieczonego ciasta z zawiniętym w środku kawałkiem mięsa. Była to uczta miłości (love feust) chrześcian pierwszego i drugiego wieku.

„Nie dosyć na tém. Wielu prawowiernych szło do refektarza (house of the church steward) posilić się obfitém, lecz zawsze skromném śniadaniem, zkąd wracali do domów. Niedzielę święcono bez tańców, bez krzykliwéj wesołości. Mówiono mi, że dawniéj tu karano śmiercią człowieka pracującego w niedzielę. Wieczorem wierni zebrali się na pacierz do kościoła. Tak przez cały tydzień kościół otwiera się dwa razy na dzień.

Wszakże tu, czego indziéj nie widziałem na wschodzie, wielu z nich odprawia swoje modlitwy w domu, zaczynając od pocałowania krzyżyka wiszącego nadedrzwiami. Co nie znaczy bynajmniéj, że krzyż odbierał cześć należną tylko Bogu.

„*21. październ.* O świcie wielu do mnie przyszło z prośbą o lekarstwa, potém więcéj i więcéj, tak że musiałem prosić ich, aby się cofnęli i radzili się pojedynczo. Najwięcéj chorób przyczynionych zbytniemi upałami i sąsiedztwem pól ryżowych, wylewy żółci, febra etc. Góry tu tak spadziste a pod niemi doliny i wąwozy tak wązkie, że latem wyziewy pól sztucznie zruszanych, nie mając gdzie się ulatniać, zapewne trują czystość powietrza wiosek leżących niby na dnie studni. Na drodze z Alezanu do wsi Aszita („lawina") pokazywano mi przepaść, do któréj za dni pogaństwa rzucano starców niezdolnych już do pracy.

Do Aszity, odległéj nie więcéj nad cztery czy pięć mil, przyjechałem późno, dla tego że cały ranek zabrali mi chorzy alezańscy; wlekłoby się to jeszcze dłużéj, gdybym uprzednio nie przygotował lekarstw w osobnych papierkach. Po drodze widziałem wieś mającą przeszło 1000 mieszkańców i sławną tém, że tam czterdziestu ludzi umiało czytać! W Aszita przyjął mię do swego domu ksiądz Abraham, uchodzi on za najuczeńszego literata ze wszystkich żyjących nestoryanów. Dwadzieścia lat życia poświęcił przepisywaniu. O książki i rękopisma tu tak trudno, że nawet Abraham nie miał kompletnéj biblii po syryjsku. Widziałem taką raz tylko u patryarchy. Potrzebniejsze wyjątki do codziennego użycia w kościele, znajdują się w kościelnéj liturgii. Reszta rozproszona: ten ma Ewangelią ów listy apostolskie, inny psalmy lub księgi Mojżeszowe, albo proroków. Kiedym Abrahamowi tłómaczył sztukę drukowania i łatwość oprawienia książek, jego bystre, wymowne oczy mu zaiskrzyły, pragnął widzieć jak się to robi, a gdy spisywałem sobie katalog jego malutkiéj biblioteki „zapisz tam imię moje, zapisz ażebym miał cały nowy testament"... zawołał; to jest, że chciałby mieć wszystkie cztery Ewangelie po syryjsku, drukowane czcionkami nestoryańskiemi. Jego pismo zwyczajnym kalamem (pióro z trzciny) było nadzwyczaj piękne, czytelne i takie, jakiemu druk nie sprosta. Jego życzeniem byłoby widzieć we wszystkich wsiach górali założone szkoły dla wychowania młodzieży nestoryańskiéj.

„Upewniano mię, że w razie potrzeby, wieś Lezan może uzbroić 1000 bojowników, licząc więc jednego żołnierza na pięciu mieszkańców, ludność téj wsi wynosi 5,000. Prawda że to największa wioska górali nestoryańskich. Podobnie jak większa część miejscowości państwa perskiego, Lezan ma swoje koczowiska i letnie i zimowe, to jest, że połowa ludności żyje w szałasach i pod namiotami w wyższéj części gór latem, a zimą wraca do domów w dolinie na brzeg rzeki. Zima mija zawsze spokojnie, ale inaczéj dzieje się letnią porą, gdy sąsiedni Kurdowie napadają na trzody nestoryańskie. Wtedy oręż spór rozstrzyga. Podobna rozprawa zdarzyła się ostatniéj jesieni. Niedaleko rzeki Chabur, przemożne plemię Kurdów uderzywszy w nocy na chrześciańskich pa-

sterzy, uprowadziło 5,000 owiec. Nestoryanie opanowali wąwoz prowadzący do ich zimowych koczowisk Kurdów, a ci, nie mogąc wedrzeć się siłą, prosili wodza plemion hakaryjskich Kurdów o pośrednictwo. Wódz przysłał bogate dary patryarsze w nadziei skutecznéj pomocy. Za poradą patryarchy nestoryanie wyszli z wąwozu odkładając zemstę do pierwszéj zręczności. Czekano na nią cierpliwie w chwili mojego pobytu w Lezan. Dowiedziałem się późniéj, że z nadejściem wiosny nestoryanie zabrali około 4,000 owiec kurdzkich, z wielką ilością mułów i innego dobytku i tym sposobem nagrodzili sobie stratę z lichwą."

„*10. październ.* Ośm godzin drogi po brzegach Zabu aż do wsi Czembe, górami. Pierwszy ich łańcuch przejechaliśmy bez zsiadania z mułów. Za to przez drugi musiałem pieszo męczyć się po urwiskach. Na wierzchołku było miejsce letniego koczowiska nestoryanów, czyste, orzeźwiające powietrze i kryształowéj przezroczystości zdroje płynące z pod śniegów. Widziałem kilka ławin spadłych na dno głębokich przepaści, a nad niemi śnieżne wierzchołki gór promieniły się blaskiem słońca. Każda wieś miała osobne pastwiska. Wieśniacy żyją z sobą zgodnie, a pobyt na koczowisku letniém uważają za najprzyjemniejszą część życia swojego. Jakoż skwary kanikuły tém nieznośniejsze na brzegach Zabu, iż trzeba walczyć nietylko ze słońcem, ale též i z komarami, febrą i z duszącemi wyziewami. Czas koczowiska letniego byłby niezaprzeczenie najlepszą porą dla prac misyonarzy; wszakże ileż to miłości, ile trzeba poświęcenia się dla sprawy Chrystusa, aby zamienić wygody cywilizowanego życia na liche przykrycie z chróstów lub płótna, na siedzenie na ziemi i tysiące innych niedostatków pasterza lub górala.

„U stóp pierwszego łańcucha widzieliśmy piece dla topienia ołowiu obficie znajdującego się w tutejszych górach. Nestoryanie umieją także robić proch i nie potrzebują kupować go indziéj. Siarka znajduje się w okolicach Dżulamerku i na saletrze nie zbywa. Tu każdy wie jak sobie przygotować śrótu, kuli i prochu, każdy umie sobie uszyć czapkę i obuwie. Nie znam nigdzie ludzi tak doskonale niepodległych i niezależnych jak ci górale, których potrzeby w porównaniu z naszemi są prawie niczém.

„Resztę drogi odbyliśmy pieszo; znużenie odjęło mi władzę rąk i nóg, sam nie wiem jak się dogramoliłem do noclegu. Mój muł puszczony samopas wpadł do potoku i zmoczył najlepszą część moich ruchomości; szczęściem moje lekarstwa uszły na sucho. Gościnne przyjęcie gospodarza (*malek*) kazało zapomnieć o trudach. Obłoki wiszące dotąd nad nami rozsypały się w deszcz ulewny. Pioruny biły i przez całą noc lało jak z wiadra.

„Malek, honorowy tytuł gospodarza wsi Czembe, znaczy iż był rządzcą cywilnym jednéj z cząstek wielkiego plemienia Tejari. Ci melikowie mają wielki wpływ nad ludem, chociaż ich władza ogranicza się do zdania lub porady któréj wolno nieprzyjąć. Najwyższą władzę nad góralami piastuje, jak już napomknęliśmy, patryarcha, coś nakształt tego jak dzisiaj u Sławian Czarnogórców, i jak było u Hebrejów za dni pier-

wotnéj teokracyi. Tu dotąd w razie potrzeby zgromadza się rada starszych, wszakże bez przymusu i formalności; tu jeszcze prawo odwetu leży w ręku skrzywdzonego; jeszcze zabójca może uciec przed mścicielem do kościoła i innych miejsc poświęconych zwyczajem i póki tam gości nikt nie śmie naruszyć przywilejów przytułku. Największą karą jest klątwa patryarchy: przeklęty winowajca nie śmie przyjść na wspólną modlitwę, ani należeć do swojéj gminy. W jednéj z wiosek leżących na krótszéj drodze z Lezanu do Czemby, żył człowiek podobnie wyklęty. Mało kto życzył mieć z nim do czynienia i właśnie dla tego nałożyliśmy dłuższéj i trudniejszéj drogi raczéj niż widzieć parszywą owcę wyrzuconą ze stada. Mówiono mi, że przed wyklęciem był to mąż wielkiego znaczenia w Tejari. Prawo zemsty wymaga krwi za krew rozlaną czasem dla błahéj przyczyny. Oto jeden przykład wzięty z rodziny mojego maleka. Chłopiec ściął drzewo w ogrodzie stryja swojego, którego syn nie mogąc zapobiedz szkodzie, zastrzelił szkodnika. Ojcowie, nieobecni podczas wypadku, wróciwszy wieczorem do domu, oskarzali się wzajemnie. Nie zgodzono się na wynagrodzenie, więc tylko krew mogła zmyć plamę szpecącą obie rodziny; jakoż nazajutrz ojciec nieboszczyka zabił własną ręką mordercę i obu pogrzebiono w jednéj mogile.

Mój malek słyszał o balonach i o statkach parowych, ale nie dowierzał powieści. Trudno mi było przekonywać go. Potrzebują pokarmu umysłowego. Zwyczajem wcale nierzadkim u nestoryanów uczynił on ślub Bogu: nie jeść żadnego mięsiwa ani pić mleka i oliwy roślinnéj. Cytowano mi kilka przykładów kobiet ślubujących niebu czystość panieńską. Zdarza się to coraz rzadziéj, a mniszek zgoła nie masz. Całe nazajutrz minęło mi na leczeniu chorych z Czembe i wsi okolicznych, więc nie brakło towarzystwa ani rozmowy. Siedzę i śpię na podłodze, czyli raczéj na szorstkim wojłokowym dywanie leżącym na gołéj ziemi, jem z wielkiéj drewnianéj misy drewnianą łyżką i palcami. Kobiety bardzo towarzyskie. Pierwsza żona mojego maleka była siostrą patryarchy i słynęła nie lada rozumem i nauką. Jéj młodsza siostra, idąc za przykładem starszéj, umie także pisać, czytać pismo święte i rachować, tém wszystkiém nabyła wielkiego wpływu nad bratem i resztą jednowierców. Jestto jedyny przykład uczonéj kobiety pomiędzy nestoryanami. Nasze misyonarki miałyby tu bujne plony do żęcia.

„24. paźdź. O dziesiątéj rano opuściłem gościnny dom maleka, w towarzystwie danego mi przezeń sługi dla przeprawy przez rzekę. Wezbrana po deszczu woda zerwała most. Rzucono natomiast kilka żerdzi z brzegu na brzeg. „Nie lękaj się, mówił malek na pożegnaniu, „tylko trzymaj się mocno za szyję sługi mojego, a przeniesie cię na plecach bez szwanku." Wolałem wszakże zaufać moim góralskim chodakom nie umiejącym ślizgać się, przeszedłem i tę i kilka innych kładek po drodze. Muły przejść nie mogły. Nająłem dwóch barczystych górali pod moje tłomaki i leki i wspólnie z młodym dziekanem towarzyszącym mi jeszcze od Duri, poszliśmy w dalszą podróż; wszystkiego, licząc ze mną, szło nas sześciu. Z rzadka deszcz kropił, moje chodaki prze-

mokły co do nitki, cały dzień stąpałem nogami skrzepłemi chłodną wilgocią ale z sercem radosném. Zewsząd sterczały nad nami igły gór pokrytych śniegiem iskrzącym się od promieni słońca. Niżéj tu i owdzie zarośle które w tych bezleśnych górach zowią lasem. Pod nami wezbrane potoki buchały na dnie stromych, skalistych, ciasnych łożysk, a gdzie się tylko rozszerzyły wąwozy, tam zieloność i wioski. Noc przespałem u nestoryanów bemerigskich, gdzie dostałem parę świeżych chodaków w zamian za lekarstwa, gdyż pieniędzy przyjąć nie chcieli. Leczę darmo, wszakże tu i owdzie nie mogę się wymówić od podarunków, mało co wartych, gdyby z mniéj dobrém sercem dawanych. Krążącą tu monetą są tureckie pieniądze bite w mennicy Bagdadu. Pieniędzy perskich bardzo mało i to przyjmowanych tylko aż do Dżulamerku, nie daléj; z czego wnioskuję, że handlują wyłącznie z jedną Turcyą. Wieczorem 25go przybyłem, złamany całodzienną piechotą, do wsi Kierme, po dziesięciogodzinnéj przechadzce. Znalazłem tam jednego znajomego mi dawniéj nestoryana.

„*26. październ.* O ósméj rano wyjazd do patryarchy. Rzeka w bród przebyta na koniu, pierwszym którego widziałem od dnia wejścia do kraju górali nestoryańskich. Droga lepsza i szersza niż dotąd, chodzą po niéj karawany z Salmasu do Dżulamerku. Patryarcha wysłał na moje spotkanie służącego i konia, z grzeczném wezwaniem abym przyjął mięszkanie w jego własnym domu. Droga szła w kierunku północno-wschodnim. O pół do pierwszéj stanąłem u patryarchy mięszkającego w powiecie Dis, na lewym brzegu rzeki Zab, któréj korytem jadę od Amadyi coraz to wyżéj i bliżéj źródeł jéj. Patryarcha ma lat 38, wzrostu miernego, z wyrazem twarzy przyjemnym i obiecującym niepospolitą bystrość umysłu. Jego turecki turban, szerokie suknie i zaczynająca siwieć broda, dawały mu powagę, uszlachetnioną ruchami powolnemi i oznajmującemi godność i moralną siłę. Gdyby nie młody ogień w oczach, liczyłbym mu lat 50 raczéj niż 38. Dowiedziałem się późniéj o pracach i troskach co go ubieliły przed czasem. Z pierwszéj rozmowy postrzegłem zaraz, iż polityczne korzyści jego nestoryanów tyleż go zajmowały co i religijne. Wypytywał się bardzo ciekawie jakie są zamiary państw chrześciańskich na Turcyą, czy można się spodziewać że nareszcie oswobodzą azyatycką bracią z pod muzułmańskiego jarzma? Chodzi uzbrojony i wszędzie ma z sobą strzelbę. Przebawiłem u niego następne pięć tygodni, jeżdżąc z nim do wsi okolicznych nestoryan i miałem dobrą zręczność przypatrzenia się bliżéj ludziom i rzeczom. Kraj tu w ogólności niepłodny i mieszkańce szukają gdzieindziéj zarobku. Rasa ludzi zdrowa i silna. Jeden z moich pacyentów opowiadał mi, że raz podróżując w górach i zaskoczony przez zamięć zginąłby od trudu i chłodu, gdyby go własna żona, wziąwszy na plecy, nie wyniosła ze śniegu. Patryarcha nie może się żenić. Jego domem rządzi jego siostra młodsza; karmiła nas bardzo smacznie i przyzwoicie.

„Postanowiłem przejechać kraj Kurdów hekaryjskich i przez Salmas dostać się do Urmii. Okoliczność ta przymusi mię odwiedzić bega (wo-

dza) Kurdów, właśnie tego samego co zabił podróżnika Schultza. Gdyby mi się udało zyskać jego ufność i łaskę, byłoby to arcy na rękę naszym misyonarzom w tych stronach; możeby się ułatwiły bliższe stosunki z Urmią i góralami. Patryarcha dał mi jednego z dwóch braci swoich dla towarzyszenia i zapoznania mię z begiem, z dodatkiem pary czerwonych spodni na drogę i starego rękopismu ze swojéj biblioteki. Jego siostra Helena opatrzyła nas w wyborne pieczywa własnéj kuchni i także własnéj roboty na prątkach rękawiczkami z wełny kóz krajowych. Pożegnano mię z życzeniem ażebym wracał co najprędzéj zacząć tu w górach nasze apostołowanie, podobne temu cośmy już zaczęli w Urmii i na równinach aderbajdżańskiéj prowincyi. Jechałem daléj brzegami Zabu i dowiedziałem się po drodze, że Nurullah beg, wódz bekaryjskich Kurdów, przyjechał z zamku Dżulamerk, gdzie głównie przebywa, do zamku Basz-Kale, o dwa dni odległości od patryarchy. Nad spodziewanie znalazłem go chorego obłóżnie. Przeziąbłszy dostał zapalenia mózgu i gorączki. Dałem mu emetyk i puściłem krew, poczém wróciłem na kwaterę do miasta leżącego nad skałą, na któréj zamek zbudowany. Wieczorem dano mi znać że chory bardzo cierpi i że prosi mię abym niezwłocznie przyszedł. Zaleciłem cierpliwość i dalsze użycie emetyku. O północy nowy posłaniec z prośbą abym koniecznie i niezwłocznie sam przyszedł. Szedłem za przewodnikiem moim po krętéj ścieszce wiodącéj na skałę. Straże na ścianach twierdzy odpowiadały sobie wzajemnemi hasłami. Weszliśmy na zewnętrzny dziedziniec przez szerokie, żelazem okute podwoje; zkąd drugie żelazne drzwi otworzyły się na długą, ciemną aleję, prowadzącą aż do izby gdzie chory wódz leżał. Od razu postrzegłem, że się niecierpliwił i gniewał na moję opieszałość. Rzuciwszy okiem na pałasze, pistolety, strzelby, dzidy, włócznie i kindżały, rozwieszone po ścianach, pomyślałem o śmierci nieszczęśliwego Schultza, zabitego, jak wieść niosła, z rozkazu tegoż Nurullah bega. Wiedziałem, że był panem i mojego życia. Poleciłem się więc Bogu i powiedziałem, że jeżeli mi zaufa, wyleczę go byleby tylko cierpliwie robił co każę. Dałem mu silniejszą dozę emetyku. Dał najprzód skosztować lekarstwa jednemu ze sług swoich, a potém sam je połknął. Resztę nocy musiałem przepędzić przy jego łóżku. Nazajutrz było mu lepiéj i bardzo prędko przyszedł do zdrowia, powtarzając nie raz że mu darowałem życie. Ztąd przyjaźń i poufałość. Radził mi zostać i osiąść na zawsze w jego kraju, a że uczynić tego nie mogłem, chciał abym odjeżdżając zostawił mu jak można najwięcéj proszków emetycznych. Uprzednio już słyszał, że zdjąłem był kataraktę z oczu jednéj Kurdki. Kiedy po operacyi siedziała w ciemnym pokoju z zawiązanemi oczyma, nagle wzięła ją ciekawość doświadczyć wzroku; odwiązała oczy ale tyle dzikich form i barw zobaczyła, że przerażona widokiem znowu zakryła się i już odtąd nie śmiała patrzeć bez mego pozwolenia. Łacno wystawić sobie ile ta powieść, przeszedłszy już przez tyle ust wschodnich, bawiła opowiadających i słuchających Kurdów. W dzień mojego odjazdu Nurullah beg darował mi konia z rzędem.

„*Dnia 5. grudnia* przybyłem przez Salmas do Urumii, po przeszło ośmmiesięcznéj nieobecności etc.”......

Grant po dopełnieniu téj istotnie trudnéj i niebezpiecznéj podróży, w pięć miesięcy póżniéj wracając do Ameryki przez Carogród, postanowił przerznąć się przez góry środkowego Kurdystanu. O téj wycieczce opowiemy tu kilku wyciągami z książki podróżnika:

„Wyjechałem z Urumii 7 maja 1840 z moim 4letnim synkiem i także z Mar Johanna i Mar Jusuf, dwoma biskupami nestoryańskimi, pomocnikami naszych prac misyonarskich. W Salmasie przyłączyło się do nas dwóch braci wyżéj wspomnianego patryarchy i wielu innych nestoryan wracających po zimie na koczowiska letnie górali swoich. Za Salmasem znaleźliśmy góry tak zawalone śniegiem, że musieliśmy na nich całą noc przepędzić pod niebem o chłodzie niżéj zera. Szczęściem bracia patryarchy mieli z sobą dywany, te nas ogrzały. O trzeciéj rano jechaliśmy daléj przy blasku księżyca. Spuszczając się dolinami wzdłuż źródeł Zabu, znaleźliśmy wiele koczowisk Kurdów pasących tu trzody swoje i żyjących pod czarnemi namiotami. Nie robili nam żadnych przeszkód ani zatrudnień i cało dostaliśmy się aż do zamku Basz-Kale. Mój przyjaciel Nurullah beg był wtedy w Kurdystanie tureckim, ale poznał mię i przyjął gościnnie namiestnik jego. Wyjechaliśmy nazajutrz do Dżulamerku, po brzegach rzeki Zab i stanęliśmy w tém ostatniém mieście 10 maja wieczorem. Drogę zniszczyły były w wielu miejscach lawiny. Wstęp krajobrazu do Dżulamerku od strony rzeki bardzo malownie wielki. Dżulamerk stoi na szczycie skały odosobnionéj od sąsiadek swoich o trzy czy cztery mile od rzeki. Znalazłem tam wspomnianego tyle już razy patryarchę, w gościnie u rządzcy dżulamerskiego, Solejman beja, z pokolenia Kurdów Hekari. Przyjął mię po przyjacielsku i podczas dziesięciodniowego pobytu utwierdziłem się w przekonaniu mojém o możności i ważności posłannictwa misyonarzy naszych do górali nestoryan. Patryarcha i bej zachęcali mię abym wracał do nich jak najrychléj, obiecując wszelką pomoc i spółdziałanie. Zamiast jechania, jak uprzednio zamierzałem był sobie, przez Tejari do Mosulu, postanowiłem udać się prostszą drogą do Konstantynopola przez Wan i Erzerum.

„*25. maja.* Solejman bej zaopatrzył mię w rekomendacyjne listy do najbliższego beja Kurdów hekaryjskich po drodze. Jego matka napełniła moje sakwy podróżne jadłem własnéj spiżarni i przyniosła synowi mojemu worek rodzenków i orzechow z malenką głową cukru na dnie. Siostra patryarchy podobnież mię uraczyła obfitym zapasem chleba i placków helwa pieczonych z miodu, masła i mąki. Jéj matka od siebie przysłała chleba, sér, jaj, etc. Dowody przyjaźni tém droższe, iż był to rok tylko co nie głodu i bardzo było nie łatwo zaopatrzyć się w żywność. Droga po nad okropnego widoku przepaściami, gdzie Zab ryczał i pienił się, tak długa, tak męcząca, że noc nas zaskoczyła. Spaliśmy przy rozłożonym ogniu.

„*26. maja.* Wstaliśmy ze słońcem i daléj w podróż; najprzód kilka mil brzegami Zabu, potém zapuszczając się w górę, a nakoniec doliną

po któréj płynął szeroki strumień, dojechaliśmy aż do jego źródeł. Wszędzie ślady upadłych lawin z pomięszanemi w nich drzewami, kamieńmi, ziemią i śniegiem tak twardym, że kopyta mułów naszych ledwie ślad zostawiały na nim. Śniadaliśmy w małéj nestoryańskiéj wiosce w sieniach jéj kościoła, bo nie było gdzie przyjmować tłumu chorych i zdrowych proszących o lekarstwa. Mogła mieć 200 mięszkańców najwięcéj i należała do Kurdów. Około południa stanęliśmy w wsi stołecznéj, gdzie rezydował Taher aga, wódz Kurdów Penijanszi liczących tu 1000 a w kraju tehomskich nestoryan 700 czy 800 rodzin. Plemie to rozbójnicze i okrutne. Wszakże wódz ich u którego nocowałem, przyjął mnie bardzo gościnnie. Przymusił mię siedzieć na jego urzędowém miejscu, na miękkim materacie, z poduszkami do oparcia się. W ślad za potężną misą przedziwnego szerbetu przybyły kawa i bardziéj pożywne łakocie. Na wieczerzę mój ulubiony *pilaw* i potém cały kosz jaj pieczonych w prysku w zapas na jutrzejszą podroż. Taher aga i jego dwie żony potrzebowali zasięgnąć pewnéj medycznéj rady, co zdaje się było główną przyczyną tylu łask i grzeczności. Wielu tamecznych mieszkańców cierpiało od kaszlu, spowodowanego ich zwyczajem picia śniegu z wodą i także zimnym niestałym klimatem. W czasie lata musi tu być roskosznie, ale lato się tu jeszcze nie zaczęło i chłodno chociaż w maju.

„*28. maja.* Jeszcze w górach. Zatrzymywaliśmy się w wielu koczowiskach i wsiach Kurdów dając lekarstwa i oświeżając pragnienie maślanką, mlekiem etc. Na godzinę przed zachodem słońca jechaliśmy przez ogromne koczowisko Kurdów plemienia Hertusz sławnych zbójów. Ich wódz pytał zkąd i poco wędrujemy, ale nic złego nam nie czynił. W następném koczowisku wodza febra trzęsła, a wielu cierpiało na oczy, co wszystko zrobiło im pobyt mój pożądanym. Nasz namiot z czarnéj włósianéj tkani wsparty na drewnianych kijach i przywiązany do kółków głęboko wbitych w ziemię, miał 40 stóp długości na 18 czy 20 szerokości; z jednéj strony zupełnie odkryty, dokoła otoczony matą z sitowia. Czwartą część przestrzeni pod namiotem odgradzał płot łozowy, dla jagniąt, które tu na noc zapędzano. Mleko tu w większéj cenie niż wełna i mięso, szczególniéj zaś mleko owcze. Wszyscy krzyknęli z podziwienia, gdym powiedział, że Amerykanie nigdy owiec nie doją.

„*29. maja.* Po trzech godzinach jazdy przybyłem do znajoméj już nam twierdzy Basz-Kale. Nie dojeżdżając pokazywano mi miejsce gdzie Schultz padł ofiarą nieostrożności swojéj. Mosiężne jego instrumenta i hojne podarunki wzbudziły chciwość, sądzili, że pełne tłomoki miał złota i że przyjechał tu szpiegować, aby późniéj Kurdów sprzedać Moskwie.

„*1. czerwca.* Był to dzień jarmarkowy. Przewodnicy mułów naszych mieli sprawunki do robienia, tak że ledwie aż po południu mógłem wyjechać. Przeprawiliśmy się przez grupę gór, na których jeszcze wielkie pokłady śniegu leżały tu i owdzie i minąwszy obronny

zamek Mahmudije przybyliśmy do miasta Wan. Otoczone wałem ze strzelnicami, stoi pod olbrzymią skałą, z zamkiem na jéj szczycie. Wielkie piękne ogrody. Liczą tu jeszcze do 40,000 Ormian, których ten kraj jak wiadomo jest przedwieczną siedzibą. Miasto leży nad jeziorem obfitującém w ryby. Woda jeziora Wanu tak przesiąkła alkali że jéj używają do robienia mydła. Bawiłem w Wanie dni dziesięć z przyjacielem moim Nurullah begem, wodzem Kurdów, uleczonym przezemnie jak widzieliśmy wyżéj. Istotnie że dał mi wiele dowodów szczeréj wdzięczności. Służył on teraz Turcyi i nazywał się lennikiem paszy erzerumskiego. Przybywszy z Wanu do Erzerumu znalazłem się tam śród licznie zgromadzonych Europejczyków. Zdarzyło się bowiem, że przejeżdżał tamtędy angielski poseł w Persyi etc. etc."

Większą część książki p. Grant zajmują dowody czerpane z historyi świętéj i profańskiéj, że nestoryanie są niczém innėm jeno straconemi dziesięciu pokoleniami Hebrejów. Nie nasza tu rzecz rozwodzić się nad tym przedmiotem, zkąd inąd ważnym, ale zupełnie obcym celowi niniejszéj relacyi o kolejach katolicyzmu w Persyi. Umyślnie tu nagromadziliśmy szczegółów historycznych, jeograficznych i obyczajowych, dotyczących się nestoryan, dla tego, że na téj garstce potomków apostolskiego narodu spoczywają dzisiaj nadzieje religijne świata katolickiego i protestanckiego. Uważny czytelnik mógł już wielostronnie obejrzeć ten osobliwszy naród i przekonać się o sprawiedliwości nadziei położonych na nim. Łatwo zrozumie dla czego towarzystwo biblijne metodystów Ameryki, idąc za przykładem Anglii, postanowiło nawrócić nestoryan na protestantyzm.. Znaleziono potrzebne fundusze; przybyli do Urmii w r. 1835. znajomy już nam lekarz duszny i cielesny doktor Grant z żoną: za nim w r. 1837. pastorowie Holladay i Stocking z żonami, a r. 1839. pastor Willard Jones z żoną, w r. 1840. pastor Wright i z nimi drukarz Breath z drukarnią tak urządzoną, aby prasy, litery etc. można w razie potrzeby przenosić z miejsca na miejsce na koniach lub mułach. Uprzednio już z Londynu do Tebryzu przybyli misyonarze Perkins, Glen etc. Nie zbywało i na pannach misyonarkach angielskich. Główna działalność ich zwróciła się ku nestoryanom. W miastach Persyi i Turcyi gdzie przebywały europejskie poselstwa i konsulaty, każdy krok misyonarzy był widziany, oceniony i nie raz zatrzymany. Tu w Urmii na brzegu jeziora rzuconego w zakątku na granicach dzikiego Kurdystanu misyonarze byli swobodniejsi w działaniu. Rząd perski widząc że im nie szło o nawrócenie muzułmanów, nie mięszał się do robót chrześciańskich, a bliskość ojczyzny nestoryańskich górali, zapowiadała z czasem obfite żniwo. Jakoż czternaście szkół bezpłatnych założyli Amerykanie po wsiach płaszczyzn urmijskich; w saméj Urmii szkołę dla chłopców i szkołę dla dziewcząt nestoryańskich. Wszystko pod bezpośrednim kierunkiem misyonarzy. Płacono wszędzie i za wszystko nietylko trzem nestoryańskim biskupom sprzyjającym propagandzie metodystów, nietylko pomocnikom i bakalarzom nestoryańskim, nietylko za pozwolenie kazać

i wykładać Ewangelią w święta i niedziele w nestoryańskich kościołach, ale nawet płacono uczniom i uczennicom nestoryańskim za to, że chodzą do szkół i słuchają nauk.

Planem propagandy angielsko-amerykańskiéj, zawczasu obmyślanym i ułożonym, było działanie powolne i wpływ stopniowy. Nie chcieli oni od razu rozmówić się z nestoryanami na czysto i bez ogródek co się tyczy różnic dogmatu nestoryańskiego od protestanckiego, w nadziei że to się z czasem ułatwi i zrobi samo przez się; słowem, że lud nestoryański nie wiedział, iż go chcą nawracać, a nestoryańskie duchowieństwo łączyło się z misyonarzami angielskimi tylko w uczuciu spólnéj niechęci do papieża i katolików.

Tak rzeczy stały, gdy propaganda rzymska, uwiadomiona przez nestoryańskich katolików o wszystkiém co się działo, poruczyła francuzkim lazarystom przypatrzyć się bliżéj téj sprawie i wskazać sposoby zapobieżenia złemu. Postanowiono posłać do Persyi dla zebrania wiadomości dokładnych, a posłem wybrano pana Eugeniusza Boré, młodego Paryżanina, najprzód stronnika i sekretarza księdza de Lammenais, a późniéj gdy ten ostatni poważnił się z Rzymem, liczonego w liczbie najgorliwszych zwolenników Stolicy apostolskiéj. P. Boré umiał jako tako po ormiańsku, język zrozumiały wszystkim chrześcianom Persyi północnéj, co mu ułatwiało stosunki z tuziemcami.

P. Boré przybywszy do Konstantynopola (r. 1837.), puszcza się ztamtąd do Persyi zwyczajną karawan drogą przez Trebisond i Erzerum, ale nieraz z niéj zbacza dla przypatrzenia się miejscowym chrześcianom i starożytnościom i o pierwszych donosi O. O. lazarystom w Paryżu, a o drugich francuzkiéj akademii nauk. Pomijamy archeologiczne badania pobożnego podróżnika, które niczego rzeczywiście nowego nie odkryły. Poszukiwania etnologiczne i religijne udają się panu Boré nierównie lepiéj. „Tu na wschodzie" mówi on „podobnież jak i u nas na „zachodzie, gotuje się w ciemnym chaosie wypadków politycznych „odrodzenie społeczeństwa. Żywotna siła ulatniając się z ciała ko„nającego islamizmu i zestarzałych sekt chrześciańskich przechodzi „w ciało katolickiego kościoła[14]." Ostatki Greków wytępionych orężem muzułmańskich zdobywców Azyi mniejszéj, rozproszone po miastach i wsiach Anatolii, marnieją w niedoli moralnej. Nic boleśniejszego jak patrzeć tam na popów greckich, sprzedających wódkę u drzwi cerkwi swoich, pogardzonych przez Turków i przez chrześcian. Od Trebizondu aż do Tokatu, wszędzie podobneż poniżenie i zepsucie Greków, raziło oczy pana Boré. Duchowieństwo Ormian schyzmatyków prowadzi się lepiéj. Ich *Wartabedy* (doktorowie teologii) umieją przynajmniéj czytać i pisać, żyją bezżennie i muszą złożyć pewne dowody nauki i moralności przed postąpieniem na wyższe stopnie dostojeństw kościoła swojego. Obok tych dwóch ludności poddanych, ludność Turków (osmanli) zwycięzców niezaprzeczenie godniejsza poszanowania.

---

[14]) *Boré* Coresp. et mém. vol. 1. p. 372.

„W ogólności prosty lud osmanlich odznacza się głęboką prawością, „a jego szczera gościnność i szlachetna powaga jedna jéj mimowolny „szacunek" [15]). Rząd turecki toleruje chrześcian i bez względu na różniące ich sekty dozwala każdéj budować sobie kościoły. Schyzmatyków Ormian nierównie więcej niż katolików.

Duchownym wodzem tych ostatnich jest cezarejski arcybiskup Michał Adzuwazadur (Bożydar, Bogdan) mieszkający w Tokacie; buduje tam nowy kościół katolicki, który w r. 1838 był jeszcze niedokończony. Pobożny ten i czcigodny kapłan, wierny sługa Stolicy apostolskiéj, odebrał uprzednio staranne wychowanie w seminaryum ormiańskiego klasztoru na Libanie. Patryarcha Libanu powierzył mu zarząd dyecezyi Azyi mniejszéj, Tokatu, Sebastu, Amazyi i innych miast, gdzie ormiańscy katolicy mięszkają wspólnie z schyzmatyckimi, zależącymi od patryarchy rezydującego w Konstantynopolu. Katolicy tutejsi są moralnie wyżsi od swoich współziomków schyzmatyków. „Turcy, których nikt nie posądzi o duch stronnictwa, nie tają szacunku swojego dla katolików, ani ich trapią również ciężkiemi nadużyciami jak schyzmatyków. W ustach Turka wyraz *katolik* brzmi inaczéj niż inne imiona dawane niewiernym: nazywa ich giaurami wyjątkowymi" [16]), to jest lepszych od reszty chrześciaństwa.

Armenia wielka jak Francya. Dziwne jéj koleje! Trwa od wieków i nie wydała ani jednego zdobywcę, ani jednego poety, nawet, jedynym pomiędzy ludami samobytnymi przykładem, nie ma pieśni narodowych. A przecież charakter narodowy Ormian dotyczas się utrzymał i granice ich kraju dotyczas nie zatarły się: Gruzya na północ, Kurdystan i Aderbajdżan na wschód, Mezopotamia (Aldżezire) na południe i Anatolija na zachód. Rzeki płynące z Edenu biblijnego, Eufrat, Tygris, Eres (Araxes) i Kurr (Cyrus) biorą źródła w jéj górach, z których najwyższa Ararat była pierwszą przystanią arki Noego. Ormianie odwiecznie służą. Hołdowali Assyryi, Persyi, Arsacydom, Sasanidom. Przyjąwszy chrzest w IV. wieku po Chrystusie, służyli po dawnemu Persom i Byzantyńcom. Z połową IX. wieku Pagratides wprawdzie wybił się na wolność zrzuciwszy (A. D. 855) jarzmo Carogrodu, ale Mogołowie położyli koniec (r. 1373.) dynastyi Pagratidów i Armenia odtąd nie powstała, służąc Turkom seldżuskim, ortokskim, osmanlijskim, Persom i nakoniec Rosyi, która dzisiaj pospólnie z sułtanem dzieli władzę nad Armenią. Rozproszeni od Indyi do Polski Ormianie nie zapomnieli języka swojego, chociaż nieradzi przyznawać się do narodowości swojéj.

P. Boré szuka przyczyny tego tułactwa w schizmie Nestoryusza i innych heretyków co zaraz od pierwszych wieków chrześciaństwa zaczęli rwać i szarpać jedność kościoła. Przyczyna ta leży raczéj w ubóstwie ojczyzny ormijańskiej, górzystéj, zimnéj, a na dolinach tylko pło-

[15]) *Boré* Coresp. et mém. vol. 1. p. 372.

[16]) Tamże str. 388.

dnéj i w charakterze Ormianina. Zręczny, chciwy, zdolny do handlu, rad służyć i zdradzać; Ormianin nie lubi ziemi przodków swoich, która mu źle płaci, ale przy tém rzecz dziwna, lubi *kastę* swoję, to jest swój naród i wiarę jego. Ztądto taka łatwość przesiedlania się. W Gruzyi Ormianie są zupełnie tém, czém Żydzi są w Polsce. Cały handel krajowy i zagraniczny w ich ręku. Gruziński *tawod* (szlachcic), ów pierwotyp szlachcica polskiego, ma jego kontusz, jego czuprynę podgoloną, jego męztwo, jego lenistwo, jego gościnność; poniewiera Ormianinem jak Polak Żydem i płaci jemu, bogaci jego chcąc i nie chcąc jak Polak Żyda. W Turcyi najbogatsi kapitaliści, szczególniéj zaś bankierowie, są Ormianie. Żaden pasza nie robi swoich pieniężnych interesów inaczéj jak przez Ormianina, który nawet sułtanowi ręczy za paszę i płaci mu za paszę, a za to sam pobiera dochody paszaliku. W Persyi największy wpływ u dworu mają kobiety haremu szahskiego, kobietami rządzą eunuchy, a eunuchami są najczęściéj Ormianie renegaci. Ale wróćmy do pana Boré.

Tylko co wspomniane przykłady renegatów ormiańskich nie mogą służyć dowodem braku przywiązania do wiary ojców. Zdobywcy i panowie perscy uwożą siłą, jeżeli nie mogą kupić, dzieci ormiańskie i za młodu robią ich swoimi eunuchami. Ormianin dobrowolnie się nie poturczy. Owszém, jak sprawiedliwie zauważał p. Boré, nie masz chrześcian gorliwszych nad nich. Trzy czwarte roku schodzą im na postach. Ormianie poszczą jak nikt już dzisiaj nie pości, jeno trapiści: bez mięsa, bez ryby, bez oliwy i wina. Nic zwierzęcego, tylko chleb, cebula i owoce świeże albo kwaszone w occie. Ich kościoły zawsze pełne, a nie było przykładu aby zbogacony kupiec ormiański zapomniał w testamencie o biedniejszych zakładach religijnych. Wspomnieliśmy już o katolikach ormiańskich Anatolii. Katolicy Ormianie bliżsi Persyi, także jak i owi, bardzo nieliczni w porównaniu z jednoplemiennikami swoimi schyzmatykami. W Tyflisie, w Lori, w Achaciku jest przeszło 4,000 katolików i kilkanaście tysięcy na dolinach przytykających do Araratu, gdzie się znajdują całe wsie zamieszkałe przez nich, jak n p. Kara-Kilisija, Tepe-Dulak, Kieftarlik, Patułłu, Kazandży, Asza-Tepe i Chanazar. Po ostatniéj wojnie Rosyi z Persyą, ormiańska ludność téj ostatniéj uszczuplona do 30,000, ma swojego patryarchę mieszkającego w Agatamar, na bezludnéj wysepce jeziora Wanu.

P. Boré z tego co zauważał w Armenii tureckiéj i perskiéj, nie obiecywał hojnego żniwa dla misyonarzy katolickich. Na powodzenie u Ormian zakaukazkich zostających pod berłem Rosyi jeszcze mniéj mógł liczyć. Tam francuzkim misyonarzom wręcz zabroniono przystępu. Pomimo różnic dogmatu kościoła wschodnio-ormiańskiego z grekoruskim, miały one więcéj punktów zetknięcia się z sobą, więcéj sympatyi niż do katolików rzymskich. Car odosobnił Ormian swoich od Ormian konstantynopolskich, to jest zabronił im znoszenia się z patryarchą, przebywającym w stolicy tureckiéj, naznaczywszy im innego, którego stolicą jest klasztor Eczmiadzyn pod górą Ararat, klasztor należący do Rosyi i uświęcony pamiątkami narodowo-ormiańskiemi, sięga-

jącemi dni potopu. Jestto palladium ormiańskie, tém droższe Ormianom, że odtąd stało się ich duchowną stolicą. Osoba patryarchy nietylko że otoczona urokiem władzy najwyższéj, ba owszém jego wybor powierzony wyłącznie jego jednowiercom Ormianom. Rozkazuje on podwładnym sobie piętnastu prałatom mieszkającym w Persyi i Rosyi, którzy po śmierci patryarchy wybierają sobie nowego, spólnie z ormiańską szlachtą (*iszekan*), to jest z jéj deputowanymi urzędowie na obory wezwanymi. Wotowanie odbywa się następnym sposobem: Najprzód wybierają 4rech kandydatów, potém z téj liczby wybierają dwóch tylko, nakoniec te dwa imiona, spisane na osobnych kartkach, rzucają w urnę na decyzyą losu. Imię losem wskazane idzie na potwierdzenie cesarza. Gdyby się cesarz nie zgodził, czego dotąd nie było przykładu, iszekanie i prałatowie muszą wotować na nowo. Ormianie katoliccy w Rosyi nie mają swoich biskupów, znajdują się pod zarządem schyzmatyków i w ogólności są w poniżeniu. Kierujący nimi schyzmatycki biskup mieszka w Nachiczewanie. Ormianie katoliccy perscy mają biskupa katolika mieszkającego w Ispahanie.

Oczywista, że przy takiém urządzeniu, gdzie wszystko przewidziano, wszystkiemu zawczasu zapobieżono, misyonarzom obcym a szczególniéj misyonarzom francuzkim wszelka droga do prac zamknięta. Przybywając tam musieliby zacząć od wizowania paszportów swoich w Tyflisie i od objawienia celu swojego pobytu, azatém otrzymaliby na wstępie odmowę i o każdym dalszym kroku policya nie zaniechałaby donosić władzom miejscowym.

P. Boré przekonał się, że trzeba zwrócić główną działalność tam, gdzie jego poprzednicy Amerykanie ją zwrócili. Odtąd nestoryanie stają się jabłkiem niezgody, rzuconém w Persyi między propagandą rzymską i propagandą protestancką. P. Boré zrozumiał swoją rolę i zrzucił z siebie pozory świeckiego podróżnika. „Ja pielgrzym wiary“ „mówi on, „bardziéj jeszcze niż pielgrzym nauki, rozbijam tu namiot mój „podróżny. A nie zdejmę go i nie przestanę bronić tych dusz prostych „(nestoryanów) od napaści wroga (protestantów), ani opuszczę stanowi„ska mojego wprzód, aż katolicy zachodu nie nadeszlą mi pomocników. „Podnieś te słowa wrogu, rzucone z ust nie poświęconych, z ust słabe„go dziecka doczesności, nie wzniesionego łaską na żaden stopień hie„rarchiczny i pomyśl co cię czeka z ust urzędników Boga żywego [17].“ Szlachetny zamiar pobożnego podróżnika uwieńczony skutkiem, zobaczymy bowiem, że w kilka lat późniéj (1847) p. Boré, wyświęcony na kapłana, otrzymał urząd prefekta apostolskiego w Konstantynopolu i jest nim po dziś dzień, a tymczasem OO. lazaryści dosyłali mu misyonarzy francuzkich kss. Scafi, Clusel, Fournier, Darnis, Ronge dla pomocy.

Położenie pana Boré, między młotem a kowadłem, wymagało wiele ostrożności i taktu: ztąd misyonarze metodyści pod opieką poselstwa angielskiego w Teheranie, ztamtąd przypatrujący się coraz pilniéj poseł

---

[17]) Corresp. et mém. vol. II. str. 276.

rosyjski na dworze szaha i konsul rosyjski w Tebryzie. Wszakże znalazły się niektóre ułatwienia: szah tolerant, jak każdy Pers w rzeczach nietyczących się muzułmańskiéj wiary, i znany z przychylności ku Francuzom, lubił oświatę europejską. Sam on niegdyś (1808) był uczniem oficerów towarzyszących ambasadzie jenerała Gardane, miał pojęcia ogólne o jeografii, historyi, matematyce etc., łatwo więc nawet chętnie pozwolił panu Boré zakładać szkółki dla uczenia po francuzku dzieci poddanych swoich, jak to przedtém już był uczynił metodystom. Pan Boré to przesiadywał w Tebryzie, to jeździł do Urmii obejrzeć stanowisko, ocenić prace misyonarzy nieprzyjaznych katolikom i powoli torować własną drogę. Trzeba także wspomnieć o innéj pomocniczéj okoliczności. Na dworze szaha, w wojsku było kilku katolików, a wezyrowi służył pewien malarz, katolik, mający ucho u pierwszego ministra Hadży Mirza Agasi. Malarstwo w Persyi nie bardzo popłaca, a że artysta znał rysunek architektoniczny i umiał zdejmować plany, kazano mu być inżynierem, tak iż z czasem dosłużył się rangi pułkownika sztabu. Wszystkie te imiona i rzeczy posłużą nam do zrozumienia kolei prac pana Boré i lazarystów katolickich.

Gruchnęła wieść po wsiach nestoryańskich rozrzuconych po dolinie urmijskiéj i w pogranicznym jéj Aderbajdżanie, że jakiś potężny mocarz Europy przysłał dowiedzieć się o stanie perskich katolików, jednowierców swoich. Don Dżowanni aderbajdżański nestoryanin ze wsi Chosrowy, uczeń propagandy Rzymu i tam wyświęcony na kapłana, znalazłszy tak niespodzianą podporę w osobie pana Boré, a przytém doskonale świadomy wszystkich miejscowych okoliczności, pomagał mu silnie czynem i słowem. Nie taili oni chęci swojéj podniesienia katolicyzmu pomiędzy nestoryanami. Codzień przybywało stronników. Pokazało się bowiem, że już od dawna dzieło nawracania perskich nestoryan zaczęte między nimi i szerzone niegłośnie i nie na wielką skalę, ale cierpliwie i nieustannie. Przed 90 kilku laty jakiś ubogi Chaldejczyk, farbierz z rzemiosła (*rengriz*), rodem z Dijarbekru przybył do wsi Chosrowy i tam nawrócił wielu nestoryanów i ochrzcił po katolicku, podobnież jak sam był ochrzcony przez księży dominikanów Dijarbekru. Miał to być prostak bez żadnéj nauki, bodaj nawet że nie piśmienny, lecz silnéj wiary i przekonywającéj wymowy. Jednego z bogatszych nowochrzceńców swoich posłał z dobrą wieścią do patryarchy Mosulu, że trzódka Chrystusowa się mnoży. Patryarcha znalazł w osobie posłańca wszystkie przymioty męża bożego i wyświęcił go na kapłana, a ten zaraz po powrocie swoim zrobił kaplicę we własnym domu. Tak utworzyła się pierwsza zawięź winnicy Pańskiéj, puszczająca odtąd nieliczne, jak się rzekło, ale pełne życia i siły latorośle. Pomimo tajemnicy z jaką to wszystko się działo, nestoryański biskup Mar Isaja, dowiedział się o niéj, pojechał do Armenii i w mieście Achalcik (około r. 1760) przeszedł na łono kościoła, złożywszy swą niewiarę w ręce tamecznych katolickich misyonarzy [18]. Wiele wsi

[18]) Historya cytuje wiele przykładów podobnego powrotu odszczepieńców nestoryańskich. Trzy razy nestoryanizm już miał się raz na zawsze wyrzec błędów swo-

na dolinach i na brzegu jeziora Urmii, szczególniéj zaś za dni księdza Jana Guriel, następcy Mar Michaela, wieś Chosrowa (250 rodzin) zupełnie katolicka, stała się niby wzorem dla innych. Wszyscy jéj mieszkańce przeszli na katolicyzm i trwają w nim niezachwianie podziśdzień. Nawet Urmia, stolica powiatu i jeziora także nazwanych przyjęła na łono swoje katolików. Tam głównym ich opiekunem i obrońcą był Polak emigrant Łazuski (?), co siłą duszy, męztwem i uczciwością charakteru zdobył sobie wysoki urząd w wojsku perskiém regularném i wpływu swojego u dworu używał na dobro urmijskich jednowierców swoich. Po jego śmierci wdowa jego i trzech synów, także służących w wojsku regularném Persyi, szli za danym przykładem pomagając panu Boré i misyonarzom francuzkim lazarystom. Powiadają że najmłodszy z nich mając jeszcze lat 17, tak odpowiedział szahowi na propozycyą ażeby został muzułmaninem: „Najjaśniejszy panie! Ojciec mój umarł z bronią w ręku walcząc z twoimi nieprzyjaciołmi i ja gotów przelać krew moją dla ciebie. Nie mam jeno wiarę moją i broń moją; jeżeli wydzierasz mi pierwszą, weźże i broń moją a zabij mię raczéj niż przymuszaj zdradzać Boga mojego." Szahowi podobała się piękna i śmiała postać młodzieńca, kazał go wynieść na wyższy stopień w wojsku swojém. Rys ten może dać wyobrażenie o gorliwości z jaką w Urmii czuwano nad postępem katolicyzmu i jakich tam przyjaciół liczyli lazaryści.

P. Boré otrzymał szahski firman pozwalający mu zakładać szkółki po wsiach i miastach. W kraju nestoryan niegórali, liczono 30 wsi katolickich. Przybycie jego do Urmii rzuciło wielki postrach między schyzmą nestoryańską i metodystami. Biskupowie płatni przez metodystów kazali mu wyjechać z miasta. Nie przeszkodziło to wszakże dalszym działaniom. Dnia 21 października 1839 pan Boré osobiście otworzył szkółkę we wsi Ardeszyr; nazajutrz inną we wsi Baburi; nieco potém jeszcze inną we wsi Mohszena. Biskupi zanieśli skargę do Melik-Kasem-Mirza, księcia rządzącego. Naznaczony dzień rozstrzygnienia sporu w obecności księcia i mołłów perskich. Wspomniany oficer, sierota polski, dzisiaj już major w służbie perskiéj, wszedł razem z panem Boré. Ze strony przeciwnéj przyszło trzech biskupów nestoryańskich. Prosili księcia aby dał rozkaz zamknięcia szkółki w Ardeszyr.

„Dla czegoż nie skarzyliście przedemną misyonarzy amerykańskich, którzy po wsiach waszych pozakładali szkoły?" zapytał książę.

„Dla tego że Anglicy nie są bałwochwalcami, a księża katoliccy kłaniają się obrazom i posągom," zawołał jeden z obecnych.

„Wielki to grzech zapewne, odezwał się jeden z mołłów, ale w rozległych państwach naszego padiszaha są i giebrowie wierzący w prze-

---

ich i połączyć się na zawsze z Rzymem; najprzód w r. 630, powtórnie w r. 1226, po trzecie r. 1552 za papieża Juliusza III. Szczegółowych nawracań się przykłady zdarzały się w każdym wieku. Tak w r. 1616 patryarcha Elik, w r. 1681 patryarcha Józef, przysłali papieżowi akt poddaństwa i wierności. Podobne temu ofiary nie raz skrwawiło żelazo zbójców: tak Sijud mnich klasztoru Alkusz w r. 1555 zamordowany zdradziecko za to że się publicznie wyrzekł nestoryanizmu etc.

klętego Zoroastra, i Jezidi kłaniający się djabłu, i Ormianie i Żydzi i Turcy sunnici, każdy modli się i wierzy po swojemu."

„Katolicy jedzą świninę," odezwał się biskup nestoryański.

„A wasi przyjaciele Anglicy nie jedzą?" zapytał oficer. Powstał śmiech, gdyż Persowie widzieli nie raz jak ukradkiem znoszono dziki do kuchni metodystów. O picie wina skarzyć nie śmieli. Sam książę i wszyscy jego dworzanie pili je.

Nestoryanie prosili księcia o rozkaz, ażeby do każdéj szkoły katolickiéj dodać dozorcę schyzmatyka. Na co Johanna-Aga odpowiedział: „Szanowni mołłowie! kto z was przystałby na propozycyą, ażeby każde z waszych *medrese* [19]) znajdowało się pod nadzorem i kierunkiem ulemów Konstantynopola?" nowy śmiech.

Książę znajomy zkąd inąd stronnik Europejczyków i dobrze mówiący po francuzku, zawyrokował, że nie widzi powodu zabronienia panu Boré tego, co mu w szahskim firmanie dozwolone. Tak skończył się spór pierwszy, tajemnie wszczęty z poduszczenia metodystów. Na decyzyą księcia skarg nie było. Wiedziano bowiem, że w takim razie szah mógłby zasięgnąć rady posła rosyjskiego, którego żona była katoliczką, spowiadała się u Don Isaja i słuchała mszy jego. Wiedziano także, iż do Persyi jechał poseł francuzki i pan Boré wcześnie się cieszył i liczył na pomoc tak pożądanego przybysza. Posłem był hr. Sercey. „Znam ja sposób myślenia hr. Sercey i wybór podobnego jemu człowieka," mówi p. Boré w liście pisanym wtedy do paryzkich lazarystów, „przekonywa mię, iż sama Opatrzność go nam przysyła." — Poselstwo przybyło 20. stycznia 1840 na granice Persyi w celu powinszowania Mohammud szahowi wstąpienia na tron i tegoż samego roku wróciło do Francyi, właśnie w czas kiedy obecność katolickiego posła zaczęła być coraz potrzebniejszą katolikom perskim.

Metodyści nie przestawali stawiać coraz nowych trudności i przeszkód panu Boré i lazarystom. Prace metodystów w Urmii i jéj okolicach nie niosły im pożądanych korzyści. Oto sąd o nich pana Boré [20]):

„Pięciu misyonarzy z żonami, pensye dawane nestoryańskim biskupom, uczniom chodzącym do szkół protestanckich i reszta wydatków kosztuje corocznie towarzystwu biblijnemu bostońskiemu przeszło franków 100,000. Chcecież wiedzieć nagrodę tylu ofiar? Summa summarum jedno liche zero i nic więcéj! Biskupi nestoryańscy żyją jak przedtém bezżennie i modlą się w kościołach po swojemu. Zaproszeni do stołu tych panów, nie tykają mięs, które protestantom wolno jeść w każdy dzień roku. Dotąd ani jedna rodzina nie przyjęła wiary, to jest niewiary amerykańskiéj. Wszyscy bronią się od zarzutu, że się stali protestantami, jak od rzeczy arcyhaniebnéj. Małe dzieci wróciwszy do domu, żegnają się po dawnemu, chociaż w szkole zabroniono im żegnać się. Pytałem się u kilku w co wierzą? Wierzymy wiarą ojców

---

[19]) Szkoła gdzie uczą dzieci czytać koran etc.

[20]) Vol. II. str. 355.

naszych, a od misyonarzy bierzemy tylko ich pieniądze. Jeden mi zauważał złośliwie: oni coś nakształt naszych urmijskich Żydów zawsze nad biblią. Są to Żydzi bez synagogi. Tu chłopcy wiejscy nie rumienią się mówiąc: co mi dasz a przyjdę do twojéj szkoły?"

Skutek pokazał, że p. Boré nie mylił się. Metodyści amerykańscy postanowili nakoniec rozmówić się ostatecznie ze sprzyjającymi sobie nestoryanami i zajrzeć na dno ich sumienia. Zatrwożyły ich niektóre symptomata wróżące niedobrze ich sprawie. Tak n. p. zwolennik ich Mark Gabriel pozwolił pp. Boré i Scafi mięszkać we własnym domu podczas ich pobytu w Urmii i dał im na piśmie obietnicę wyrzeczenia się herezyi i przejścia na łono Stolicy apostolskiéj. Trzeba było uprzedzić podobny skandal. Mark Gabriel nie lękał się gróźb, więc metodyści naznaczyli mu roczną pensyą, podobnie innym nestoryańskim biskupom i na zgodę darowali mu piękny zegarek kieszonkowy, tak iż znowu przechylił się na ich stronę. Ani takie nawrócenie się, ani takie charaktery zapewne nie mogły obiecywać nic trwalszego metodystom. Zwołali więc (r. 1844.) okólnikami wszystkich *ketchuda* t. j. starostów czyli szefów nestoryańskich wiosek i duchowieństwo ich na walny zjazd do Urmii. Posiedzenie zagaił jeden z misyonarzy metodystów. Wyliczył wszystko co zrobili w celu oświecenia i nawrócenia nestoryanów; ile książek po syryjsku wydrukowali własnym nakładem i własnemi prasami w Urmii; ilu biednym i chorym przybiegli w pomoc bezpłatnie; pokazano dokładne kwity i rachunki wydanych już przeszło 40,000 tumanów[21]), nie licząc w to sta i tysiące biblii rozrzuconych darmo i podarunków hojnie sypanych dla pozyskania sobie przyjaciół. Na zakończenie pytał aby sami nestoryanie odpowiedzieli mu, ilu z nich stało się protestantami? — Jakiś prostoduszny kietchuda przyznał się, że jemu i jego współmieszkańcom wieśniakom zdawało się przeciwnie, to jest że *frengowie* [22]) nawrócili się i stali się nestoryanami. Naiwna ta spowiedź znalazła echo w ustach wielu innych kietchudów: mówili metodystom, że dla tego ich lubią i jedzą z nimi, że widzą ich przychodzących na modlitwę do kościołów nestoryańskich i że wszyscy im powiadali, że to nestoryanie amerykańscy. Wielu z nich oburzyło się i wyszło gniewnie oświadczając, że za wszystkie złoto *Jengi Dunija* („nowy świat, to jest Ameryka") nie przedadzą wiary przodków swoich. Inni grozili biskupom swoim zemstą za to, że się dali oszukać i że innych oszukiwali. Powstała burza i skończyła się na tém, że Amerykanie przestali płacić i pozamykali wszystkie szkoły swoje, nawet i szkółkę w Urmii dla dziewcząt utrzymywaną przez żony misyonarzów. O tym nadspodzianym wypadku doniósł list z Konstantynopola, który póżniéj umieszczony w Annales de la propagation de la foi tom XIX. str. 132. Był to cios

---

21) Tuman czyli złoty pieniądz Persyi wartuje fr 12, ztąd 40,000 tum. = 480,000 franków.

22) *Frengiens* czyli Europejczykiem zwali oni metodystów, a zaś *Mesihi* „mesyaszowymi" zwali lazarystów.

od którego propaganda metodyska nie wyleczyła się. Dzisiaj Persya nie ma ani jednego z nich.

Zdawało się, że odtąd coraz łatwiéj pójdą roboty lazarystów i zapewne by tak było, gdyby coraz szerzący się wpływ ich nie obudził uwagi Rosyi. Nowy jéj przy teherańskim dworze poseł hr. Medem, przybywszy tam r. 1842, zaczął pilnie wyśledzać kroki lazarystów francuzkich w Persyi. Hr. Medem był wyznania protestanckiego czy, prawdę mówiąc, żadnego wyznania, nie rozumiał rzeczy religijnych i nie lubił ich a przedewszystkiém chciało mu się czémkolwiek odznaczyć się i błysnąć przy zaczęciu służby w nieznajomym sobie jeszcze kraju. Za poradą jego, szah położył koniec sporom mogącym wyniknąć nadal między chrześcianami Persyi, wydaniem firmanu, zabraniającego chrześcianom przechodzić z jednego na drugi obrządek. Wiadomo, że uprzednio jeszcze podobnéj treści firmanem turecki sułtan wstrzymał postępy propagandy Rzymu w Turcyi. Wprawdzie Persya nie miała więcéj nad pół milijona chrześcian, a Turcya liczy ich przeszło jedenaście milionów, ale powodom posłużyły niesnaski wszczęte między metodystami i lazarystami; skargi dochodzące z Urmii nudziły pierwszego ministra, więc posłał żądany firman.

Niedosyć na tém, starano się przekonać szaha, iż misyonarze dla tego chcą przechrzcić nestoryanów, żeby utworzyć z nich misyonarzy dla nawracania z czasem Persów. Metodyści prosili po wiele razy przez posła angielskiego w Teheranie i przez konsula Abbot w Tebryzie o odjęcie p. Boremu jego szkółek w Ardeszyr i innych wioskach. P. Boré otrzymał rozkaz opuszczenia Persyi i niebawem wyjechał do Francyi. Pozostałych misyonarzy francuzkich ścigał niezmordowanie hr. Medem, nie wiadomo jakiém prawém, gdyż ani byli poddanymi Rosyi, ani działali przeciw jéj urzędowéj wierze.

P. Boré opuszczając pole, na którém położył wiele niezaprzeczonych zasług, zostawił w listach swoich kilka szczegółów o nestoryańskich góralach, które tu w krótkości przytaczamy dla uzupełnienia tego, cośmy już poczerpnęli wyżéj z podróży p. Grant. Górale chaldejscy dzielą się na 16 pokoleń rządzących się każde wybranymi z łona swojego melekami. Tworzą one niepodległą konfederacyą i płacą małą daninę do spólnego skarbu na utrzymanie swoich cerkwi i duchowieństwa. Oto imiona tych pokoleń:

1. Tejari. 2. Techuni. 3. Baz. 4. Diz. 5. Dżelu. 6. Barwer. 7. Artusz. 8. Garas. 9. Noudżeje. 10. Mar Gawar. 11. Targawar. 12. Daz. 13. Walton. 14. Bejt Noure. 15. Leon i 16. Noedis.

Pan Boré nie chciał, czy nie mógł podjąć się niebezpiecznego trudu odwiedzenia ich w górzystéj ojczyznie, podobnie śmielszemu doktorowi Grant, ale wszedł z nimi w stosunki i często nie zgadza się z p. Grant w sposobie zapatrywania się na ich wiarę i obyczaje. Oto co n. p. mówi o wspomnianym już patryarsze: „Stryj dzisiejszego patryarchy był wedle narodowego zwyczaju, jeszcze w kolebce naznaczył na urząd patryarchy Mar Simona własnego synowca. Ma on siostrę Selma, chromą od uro-

dzenia, ułomną lecz przebiegłego bardzo dowcipu. Opanowała bratem, jest jego sekretarzem i doradzcą, i nawet zastępcą w sprawach duchownych i świeckich. W kościele czytając swój różaniec zasiada na pierwszém miejscu w chorze. Śpiewa godzinki, litanie i błogosławi lud po kapłańsku. Wszyscy ją księża całują w rękę, cześć należna tylko patryarszéj osobie. Mar Simon zgadza się na to wszystko i rad częściéj zajrzeć do Kurdów niż do kościoła. Mówią nawet że jest w porozumieniu z Kurdami co po drogach łupią karawany. Ma dzisiaj (r. 1839) lat 52. Jąka się, wybornie strzela i dobrze robi pałaszem. Raz przyjechał w gościnę do wsi Chosrowa, odwiedzić tamecznego biskupa. Na zapytanie czy w bibliotece cerkiewnéj jego ma jakie rękopisy ciekawe, odpowiedział: Jest tego śmiecia mnóstwo, ale ja się nie wdaję w papiery; mój ulubiony rękopis, co mi wszędzie dopisuje, nazywa się *szeszchane* (strzelba gwintówka). Jakoż nosi ją zawsze w ręku, a w nocy kładzie ją pod kołdrę przy sobie. Ostrożność ta nie wadzi, gdyż lęka się zemsty Kurdów bega dżulamerskiego. Ten ostatni także bardzo się boi gwintówki i gdyby nie ona, górale nestoryańscy nie siedzieliby spokojnie. Wszyscy ich arcybiskupi ledwie kilka mszy odprawują do roku. Zresztą jedzą, piją, śpią i polują albo się bawią jak inni ich spółwyznawce. Ich księża także broją jak i duchowieństwo greckie Anatolii. Oprócz patryarchy wszyscy żonaci. Patryarcha Simon Barman, pozwolił im pojąć *„pół-osma żony,"* to jest że w razie gdyby siedm żon księdza umarły, jedna po drugiéj, ma on prawo poślubić osmą, pod tym jedynym warunkiem, ażeby była nie panną lecz wdową, a zatém tylko *połową żony* prawdziwéj. Kapłan nie wstydzi się odprawiać mszę boso. Msza odbywa się za firanką, którą służący podnosi w czasie czytania Ewangelii. W święta uroczystsze, jak Wielkanoc i Boże Narodzenie, lud przynosi ofiary i z niemi czeka u drzwi przybytku, do którego mu wejść nie wolno: ksiądz zbliża się, bierze na plecy ofiarnika z ofiarą i tak nosi i odnosi ich do ołtarza, na którym się ofiary składają. Spowiedzi nie masz. Wszakże wszyscy przystępują do Stołu Pańskiego, gdzie łamią chleb i potém piją wino z jednego kubka obnoszonego do koła, a piją obficie etc. Przytoczony ten wyciąg może dać wzór różnicy zapatrywania się dwóch autorów na tenże sam przedmiot. Obaj mniéj więcéj stronni, a dla tego daliśmy pierwszeństwo wiadomościom zebranym przez Granta, że pisze o rzeczach które własnoocznie u górali nestoryańskich widział, a o których p. Boré mógł tylko słyszeć. Jeden i drugi szczerze pragnęli dźwignienia nestoryan z obecnéj ich niedoli moralnéj; i obaj musieli ustąpić przeszkodom stawianym głównie przez posła rosyjskiego.

Mamy przed oczyma nieogłoszone dotąd drukiem listy misyonarza Clusel do wspomnionego wyżéj półkownika służby perskiéj i dajemy z nich kilka wyjątków w oryginale. Są to autentyczne dowody pisane na miejscu przed dziewięciu jeszcze laty. Aby je zrozumieć trzeba wiedzieć, że niebawem po pierwszym firmanie wyżéj wspomnionym nastąpił drugi, rozkazujący misyonarzom wyjechać z Persyi, jako ludziom niespokojnym i niebezpiecznym. Firman ten dany był w zamian za

piśmienne zobowiązanie się hr. Medem, że bierze na siebie odpowiedzialność przed rządem francuzkim, w razie gdyby ten ostatni skarzył się na niesprawiedliwe prześladowanie lazarystów. Posłany przez nich ksiądz Clusel dla usprawiedliwienia się do Teheranu, otrzymał rozkaz opuszczenia téj stolicy w 24 godzin. Oto wyjątki z jego korespondencyi z półkownikiem:

Du lieu de ma retraite, 7. Juin 1844.

Très cher Monsieur. Enfin après trois jours de marches et de contre marches, nous voici à Ali Chah Abbas, cinq farsehs de Téheran. Le premier jour, au lieu d'aller au couchant, j'ai dévié à gauche vers le midi, dans l'espoir de trouver un refuge dans quelqu' un des nombreux villages que je voyois devant moi, — mais, — comme si on eut su que j'etois poursuivi, et que Mr. le Comte (Meodem) avoit eu peur d'être trop à l'étroit avec moi à Téhéran, — tout le monde aussi sembla redouter l'honneur de me posseder. Je fus donc trop hereux de trouver encore une fois asile sous l'aile de votre cher Hadji (grand vizir) en me refugiant dans un de ses villages, où j'eus même l'honneur de loger dans les appartemens de S. E., honneur toutefois que me firent payer cher une infinité de moustiques qui m' empecherent de dormir toute la nuit, avec leurs monotones bourdonnemens et les piqures euvenimées dont ils me couvrirent tout entier.

Le lendemain, après avoir parcouru, avec le même succès et toujours dans la même direction du midi, cinq ou six villages, on m' a donné enfin hospitalité, dans un beau et vaste jardin, où j'ai logé sous un toit de verdure impénétrable aux rayons. Ce séjour etoit fort de mon goût, mais, le soir venu, ou nous en adil tant sur le danger qu'il y avoil de passer ainsi la nuit de hors exposés à la main des voleurs nombreux, dit on, par là, que nous n'avous pas dormir dutout. J'ai donc encor délogé aujourd'hui, et tournant, vers, le couchant, je suis arrivé en poursuivant toujours mes recherches inutiles, au village d' Ali Chah Abbas, qui est encor une propriété de Hadji (grand vizir) où j'ai touvé un petit gîte. Petite chambre obscure, vraie prison de hauts criminels! Mr. le comte de Medem n'auroit pas pu mieux me faire renfermer, s'il en avoit eu l'intention. C'est une étuve, tant elle est chaude et, avec cela, je latrouve belle, charmante, parceque j'y jouirai de quelques instans de repos, chose la plus désirable dans ce monde. Je resterai ici jusqu' à ce que l'ennui ou queleque autre cause vienne m'en faire sortir. Vous êtes si bon que je ne craindrai pas de Vous donner la peine de me faire, par votre blanchissense, 4 ou 5 chemises de toile de coton, avec un petit col à chacune, si elle sait le faire, sinon sans col comme les vôtres. Vraiment je suis nu. Je Vous renvoie aussi la soutane, si vous trouver du drap noir au bazar, ayez la bonté de m'en faire faire une. Si Vous n'en trouvez pas, dites au tailleur qu'il ait la bonté de garder pour moi le morceau qu'ila. J'en feroi faire une soutanelle á mon retour. Je Vous renvoie aussi ma bouteille de vin vide, sans que je l'aie vidée. Elle s'est vidée elle même pour être plus à son aise sans doute. Dans ma prison j'espère pouvoir me donner quelquefois la consolation de célébrer les saints mysterès.

Je vous envoie aussi la lettre pour Bagdad. Si on ne peut la faire partir avec le courrier anglais, qui est peut être arrivée en ce moment, je consens à donner huit tomans à un pieton, mais pas d'avantage. Mr. Sheil (ambassadeur anglais) n'en donne que 7. Que de peine mais aussi que Vous êtes bon. *Votre devoué Clusel.*

Ali Chah Abaas 14. Juin 1844. — Très honoré Monsieur! Je ne puis plus me passer du fer à hosties. S'il se peut je vous prie de me l'envoyer. Je ne concois plus rien au retard de notre agent politique. Si Vous avez aucune nouvelle de son arrivée. Je suis presque dècider d'aller Vous prie donc de vouloir me faire part de tous les reussique mens que Vous pourrez avoir. Mes complimens à Mr. et Mme. Lobat à Mr. le commandant. Boissier et Mr. Marco.

Votre devoué Clusel.

Ali Chah Abbas. Mercredi apriès midi.

Très cher Monsieur.

Ce matin même j'avois fait partir mon homme pour vous porter une lettre. Je m'impatientais de n'avoir aucune nouvelle de notre agent politique. Maintenant je suis tranquille. Je vous reverrai avec beaucoup de plaisir, mais mal sans doute dans ma petite caserne. Nous causerons un peu de nos affaires et dela justice des russes. Vous avez vu qu'ou m'invite fortement à faire au moins par lettres quelques démarches, mais que puis je faire du lieu où je suis? Mr. Boissier m'a écrit l'autre jour qu'il paroîtroit, d'après les entretiens de Mr. de Medem, que les américains se sont engagés par écrit à ne pas faire du prosélytisme. S'il en est ainsi ils ne seroient genre mieux à cheval que nous et il nous seroit bien facile de prouver à S. E., á moins qu'elle ne veuille s'avengler, que les américains convertissent et qu'ills prennent tous les moyens possibles pour réussir. Aussi, je suis souvent tenté de faire un long rapport de tout ce que les américains font á Ourmie, et de l'adresser á S. E. elle même, mais je suis retenu par la crainte de me faire denicher de ma retraite. Toutefois si les américains ou les evêques nestoriens venoient à Téhéran, comme ou semble le dire, je hasarderois, afin que Mr. de Medem ne puisse pretexter ignorance. Nous causerons de tout ça dans les instants de votre désirée visite. Je suis du reste parfaitement en repos sachant actuellement à quoi m'en tenir.

Votre tout devoué Clusel.

Ostatni list ten pisany już w siódmym miesiącu tułactwa i krycia się ks. Clausel w okolicach Teheranu. W tym przeciągu czasu jego spółtowarzysze pozostali w Urmii, jakoto Fournier i Dornis przymuszeni byli opuścić Persyą. Przypadkiem imię lazarysty Rouge, opuszczone w firmanie, pozwoliło mu zostać w Urmii. Wspomniony w ostatnim liście *agent politique*, to jest hr. de Sartige, był wysłany przez posła francuzkiego z Konstantynopola na dwór szaha Persyi. Łatwo sobie wystawić radość Clusela i niepokój hrabiego Medem, na wieść o zbliżeniu się posłańca. Nie wiemy co się stało z piśmiennem zaręczeniem p. de Medem tak zuchwale danem wielkiemu wezyrowi. To tylko pewno, że Clusel odtąd już się nie lękał wyjść ze swojéj kryjówki, a kilka dni przed wyjściem jego protektor pułkownik otrzymał następną kartkę od jednego z oficerów francuzkich, służących w wojsku perskiém:

„Mon cher Monsieur!

„Quoique je sois peu dans l'usague de donner des conseils aux per„sonnes qui ne m'en demandent pas, je prends cependant dans votre in„teret, la liberté de vous donner celui de venir avec Mr. Clusel voir Mr.

„le comte de Medem. Nons dejeunerons et je crois pouvoir vous assu„rer que S. E. vous verra avec plaisir.

„Ainsi je vous attends avec le bon Abbé (Clusel) un peu-avant dix „heure. Tount à Vous. II. A. Boissier.

„Téhéran Lundàunatin $\frac{13}{1}$ *Janvier 1845.*"

Przyjaciel Clusela pułkownik, przechowując go w okolicach stolicy wbrew woli wielkiego wezyra i woli posła Rosyi, istotnie przysłużył się lazarystom z niemałem narażeniem się osobistem i gdyby nie wiadomość o przyjeździe pana de Sartiges, zapewne byłby wygnany wraz ze swoim protégé. Ale wielki wezyr lubił pułkownika i przytém rad był ze zręczności usprawiedliwienia się i w razie potrzeby zrzucenia całéj winy na posła. Podobne rzeczy udają się tylko w Persyi i znajdą u nas wielu niedowiarków, dla tego przytoczyliśmy oryginalne listy. Ksiądz Clusel jest dzisiaj w Paryżu i podobno nigdy nie wróci do Persyi. Metodyści amerykańscy opuścili ją także, bodaj że na zawsze. Wpływ lazarystów ograniczył się do okolic jeziora Urmii, ale nie przestał, owszém dotąd mają tam swoich misyonarzy. Pan Boré, jak się wspomniało, wyświęcony i mianowany prefektem apostolskim (préfet apostolique) po dziś dzień spełnia ten obowiązek w Konstantynopolu i należy do kongregacyi OO. lazarystów paryzkich.

Kończymy tłómaczeniem wyciągu z Annales de la propagation de la fer tom XXII. rok 1850 o działalności tych Ojców:

„Sprawa (l'ouevre) szerzenia wiary w r. 1849. liczyła w kasie swojéj dobrowolnych składek fr. 3,600,148 cent. 86. Wydała w przeciągu tego roku fr. 3,382,357 cent 34. Zostało franków 217,791, cent. 52.

„Główny prąd katolickiego misyonarstwa skierowany dzisiaj ku wschodowi. W Turcyi przykłady nowonawracających się coraz liczniejsze i prace coraz łatwiejsze pod zasłoną szacunku i nawet protekcyi miejscowych władz. Dla zabezpieczenia się od napaści podwójnego nieprzyjaciela wiary naszéj, Rosyi i protestantów towarzystwa biblijnego, OO. lazaryści założyli już i utrzymują z niezmordowaną działalnością rozsypane wszędzie instytucye swoje. Do nich należą:

1. Drukarnia religijna w Konstantynopolu, wydaje książki i publikacye religijne wszelkiego rodzaju w języku francuzkim, łacińskim, angielskim, włoskim, greckim, ormiańskim, tureckim i perskim.

2. Wychowanie. W przeciągu dwóch lat, lazaryści założyli już pięć pensyonatów, otworzyli dwanaście szkół bezpłatnych i w prefekturze swojéj w Carogrodzie uczyli przeszło 2000 dzieci, nie licząc w to zakładów mniejszych w Grecyi, Turcyi, Persyi, w stolicach Syryi, Egiptu, Abisynii. Najtrudniéj szło z przekonaniem matek na wschodzie o potrzebie wychowania ich córek. Sama myśl posełania dziewcząt do szkół gdzie mężczyzni uczą gorszyła je. Zaradziły temu siostry miłosierdzia. Pod ich przewodem szkółki dziewicze mnożą się i matki z radością powierzyć im córkę.

3. Zakłady dobroczynności. W przeciągu jednego roku siostry St. Vincent de Paul, dopilnowały leczenia 40,000 kaleków i zaopatrzyły

w rzeczy potrzebniejsze do życia przeszło 63,000 biednych w Konstantynopolu, a w téj liczbie najwięcéj było Turków. W Smyrnie siostry nakarmiły i odziały 31,000 osób z górą. Udzielały bezpłatnie lekarstw wszystkim chorym znalezionym w Santorynie i na wyspach sąsiednich. W Bejrut, na Libanie i w Aleksandryi codziennie do 200 potrzebujących pomocy znalazły ją u sióstr. Wszystkie te wsparcia nie są bynajmniéj jednochwilowe ani robione dorywczo, owszém stale, porządnie w zakładach na ten cel ustalonych i trwających na posadzie rzetelnego użytku i powszechnie już szanowanych. Poświęcenia się niezmordowane sióstr tych, dając zdrowie ciału innowierców, leją w ich dusze balsam wiary katolickiéj, wiodą ich serca i rozumy do najświętszego celu. Taka cywilizacya nie może nie działać zbawiennie na ludy wschodnie.

„Misya stambulska. Na jedném z ostatnich zebrań religijnych w téj stolicy liczono 7 prałatów, 3 apostolskich prefektów, jednego prowincyała i 6 przeorów. Byli tam biskupi czterech różnych obrządków, księża pięciu odmiennych zakonów i mówiono sześciu językami! Widok jakiemu coś podobnego znajdzie się tylko w Rzymie. Jakoż Stambuł jest miastem dwoistéj postaci: ma dwie twarze, wschodnią i zachodnią. Oto jego zakłady wszystkie wzniesione i utrzymywane pieczą lazarystów: 1. *Kollegium Bebek,* liczące przeszło 80 uczniów rozmaitéj narodowości. 2. *Szkoły* na przedmieściach Pera i Galata z więcéj niż 600 uczniów. 3. *Domy Panien Szaretek* z 715 dziewczynek przychodzących codziennie. 4. *Internat,* ma 160 dziewcząt, licząc w to 50 sierot uczących się i utrzymywanych darmo. 5. *Żłob* (crêche) dla podrzutków, otrzymał już fundusze na doroczne wykarmienie 40 niemowląt pod matczyną opieką sióstr St. Vincent de Paul. 6. *Szpital,* gdzie chorzy płacą, a za płynące ztąd pieniądze w roku 1848 dano wsparcie 113,965 biednym. Apteka szpitalowa daje lekarstwa darmo do 500 biednym codziennie tam przychodzącym. Szpitalowy *stół miłosierdzia* (bureau de charité) dostarcza sprzętów potrzebnych kaplicom niemającym sposobu utrzymania się. W r. 1845 oporządzono ich 50 kościelnemi ozdobami, odzieżą i bielizną. 7. *Drukarnia,* dostarczająca książek wyłącznie lewantskim szkołom. 8. *Osada rolnicza* pod kierunkiem i dozorem 13 trapistów, dla udzielenia pracy i przytułku uboższym chrześcianom. Temi siedmiu zakładami trudni się tylko 14 księży lazarystów z pomocą 14 braciszków (des écoles chrétiennes) i 44 sióstr miłosierdzia. Dzięki ich pracy 1,595 dzieci obojéj płci odbiera tam wychowanie.

Misya grecka. Lazaryści w Grecyi mają tylko dwa stanowiska: Santoryn i Naxia. Tam czterech księży nawraca na wiarę katolicką, trzech uczy w szkole 50 chłopców i jedenaście szaretek wychowuje 140 dziewcząt rozrzuconych po mniejszych szkółkach. Ich szpitale stoją otworem dla wszystkich bez wyjątku. Różnorodne tłumy ciągną tam zewsząd codziennie jak na odpust.

„Misya smyrneńska ucierpiała bardzo w czasie rzezi na górach Libanu, ale znowu się poprawiła, a teraz już wróży piękną przyszłością i liczy; 1) dwie szkoły w Damaszku, 2) szkołę w Antura o 70 uczniach tylko, gdyż więcéj nie masz ich gdzie pomieścić, 3) w Bejrut zakład szaretek tyle szanowany co i stambulski, 4) ogólną szkołę normalną dla przygotowania guwernantek dziewczętom maronitów. Temi zakładami kierują: jedenastu księży misyonarzy, sześciu braciszków i dziewięć sióstr. Do nich także należą misye Alepu i Tripoli.

„Misya perska posuwa się trudniéj niż inne wschodnie. Tam w ostanich czasach nie obyło się bez krwi misyonarzy przelanéj żelazem Kurdów. Gdyby nie ta burza napędzona tchem Moskwy na katolików, szkoły otwarte już w Dżulfa, Tebryz, Urmija i Chosrowa, stałyby się kolebkami tyluż społeczeństw chrześciańskich i więcéj 30,000 nestoryanów nie potrzebowaliby taić się, że wrócili na łono kościoła. Udało się naszym zerwać siatki rozrzucone szeroko przez metodystów. Nasze zwycięztwo już zapewnione nad nimi i to w chwili gdzie właśnie przeważała się szala na ich stronę. Żniwo wielkie lecz żeńców brakuje. Co ważniejsza to to, iż duchowieństwo nestoryańskie zaczęło się nawracać i już założone seminaryum dla nowych lewitów, zkąd mają się rozlewać zdroje światła na resztę kraju. Dwa główne stanowiska, Urmija i Chosrowa, mają szkółki dla dzieci płci obojéj.

„Misya aleksandryjska w Egipcie, założona w r. 1845 posiada 1) wielki dom i szpital utrzymywany przez 23 sióstr szaretek, wspólnie ze szkółką dla 300 dziewcząt i żłobem (crêche) dla podrzutków; 2) kościół zdolny pomieścić przeszło 2,000 nabożnych, którym służy czterech misyonarzy lazarystów.

„Misya abisyńska trwa już od trzech wieków z bardzo przemienném szczęściem. Tam krzyż nie trudno zatknąć, ale na ruchomym piasku prędko się wywraca! Roku 1850 niezmordowany Abisynii apostoł, biskup Jacobis udał się na powtórne wezwanie króla Ubi, niegdyś prześladowcy swojego. Jeden z tuziemców katolików dostawszy od króla w darze całą ziemię Erlidza, zbudował sobie kościół i wielu wiernych zgromadził. Gdzie indziéj, w Guala, jest szkółka licząca 13 uczniów. W Adowa, w Gondar i w czterech innych miejscowościach, katolicy mają swoje kaplice i nieprześladowani. Z listów 10 księdza Sturło, wyczytujemy że cztery prowincye z 150 kościołami czekały tylko na przyjazd biskupa Jacobis, ażeby wrócić pod władzę Stolicy rzymskiéj.

„Misya chińska. Ostatnia wojna tu z Anglią i zawarty późniéj traktat, otworzyły obszerne pole działalności dla katolików. (Obecne powstanie robi się w imię Chrystusa i zdaje się bez wątpienia że wywróci buddyzm i tron dynastyi Manczu). Wpływ misyonarzy protestanckich szerzy się. Lazaryści zajęli następne stanowiska: 1) *Makao,* gdzie 4 księży, jeden braciszek, 10 sióstr, dom dla chorych, żłob dla podrzutków i w szkole 130 uczniów. 2) *Ho-Nan,* z apostolskim wikaryatem, 4 księży europejskich i tyleż chińskich katolickich, 5 czy 6 kaplic i seminaryum.

Misya amerykańska zaopatrzona przez OO. lazarystów w 60 misyonarzy rozsypanych od Parana do St. Laurencyusza, od Filadelfii aż do Meksyku! Szpitale sióstr miłosierdzia i szkoły świadczą o ich postępie. Buffalo i Galweston mają swoich biskupów, a Filadelfia swoje seminarya. Kollegia słyną kwitnącym stanem swoim na przylądku Ś. Ludwika i Girardeau. Główna czynność lazarystów zwrócona ku dzikim tuziemcom ameryki, tułającym się po lasach i sawanach niezamieszkałych."

Z uczuciem głębokiego szacunku wpatrując się w ten wielki jak obszar świata obraz działalności, poświęceń i cnót chrześciańskich OO. lazarystów, nie zataimy westchnienia, że ziemie sławiańskie w ogólności, a Polska w szczególności i jéj narody cierpiące dla wiary nie zwróciły dotąd na siebie oczu zagranicznych misyonarzy. Któregoż z nich głos słyszano, gdy pięć milionów braci na Litwie w Małéj i w Biało-Rusi przemoc wydarła z serca kościołowi katolickiemu? Nie skarga to żadna, jeno głos sprawiedliwego żalu na nieobecność pomocy w tak stanowczéj chwili! Bogu i ludziom wiadomo, że kilka wieńców męczeńskich rzuconych z Rzymu lub z Francyi na stos polskich ofiarników, zakwitłyby i wyowocowały bujniéj i korzystniéj w winnicy Chrystusa, niż owe zamorskie dalekie puszcze, pola i góry, skrapiane coroku potem i krwią nieustraszonych apostołów propagandy katolickiéj.

DEPUTOWANI POLSCY
W IZBACH BERLIŃSKICH.

Sesya 185$\frac{2}{3}$.

(Dokończenie.)

B. Ordynacya gminna.

Drugą kwestyą, która przeważnie zająć musiała deputowanych naszych, były ordynacye: gminna, powiatowa i prowincyonalna, bo dopiero ustawa wszystkie trzy obejmująca stale określić ma przyszłą organizacyą wewnętrzną kraju, a więc i naszéj prowincyi. Stan kwestyi téj przy zwołaniu Izb ostatnich był następującym. W roku 1850 Izby przyjęły projékt rządowy prawa 11go marca tegoż roku ogłoszony, określający urządzenie i reprezentacyą gmin, powiatów i prowincyj. Ponieważ jednak prawo to pochodziło jeszcze z czasów zbyt mocno na obecne stosunki pruskie, wpływem ruchów i wyobrażeń roku 48go nacechowanych, przeto z wyjątkiem miast nigdzie prawie w życie wprowadzoném przez rząd nie zostało. Zewsząd silne i liczne głosy podniosły się przeciw możności wprowadzenia onego. Za projektem tylko prowincye Nadreńska i Westfalia jako też większe miasta się oświadczały.

Gdy rząd, także był zdania, że prawo to nie może wejść w życie, i z wykonaniem się ociągał, rzecz tak dalece dojrzała, że w ostatnich Izbach uznał potrzebę wniesienia trzech nowych w tym względzie projektów: 1) projekt prawa wyrzekający zniesienie ordynacyi gminnéj, powiatowéj i prowincyonalnéj z 11go marca 1850; 2) projekt prawa wyrzekający wykreślenie z konstytucyi §. 105, zasady powyższéj ordynacyi wyłuszczającego; 3) projekt prawa nowych ordynacyj gminnych, powiatowych i prowincyonalnych.

Nie jednakowy los spotkał te projekta w ubiegłych Izbach. Zniesienie ordynacyów z 11go maja 1850, mimo oporu reprezentantów prowincyi Nadreńskiéj i Westfalii, jako też miast większych, Izby uchwaliły. Wykreślenie §. 105 z konstytucyi *pure*, nie zostało przyjętém, ale zgo-

dziły się obie Izby na zmianę redakcyj tegoż §fu, przez posłów polskich proponowaną. Ostatecznie nowe projekta rządowe ordynacyów, tylko przez Izbę Iszą obrobione zostały, Izba IIga jedynie nad ordynacyą miast obradowała, i tylko też ta część nowego projektu rządowego wszystkie stopnie obrad przeszła, i prawem obowiązującém się stała.

Takim był ogólny stan kwestyj; weźmy teraz pod uwagę dla nas najważniejszy, to jest specyalny stosunek posłów naszych, z względu na interes Księstwa, do wyżéj wymienionych nowych projektów.

A. Pierwszy projekt wyrzekał zniesienie prawa z 11. marca 1850, i powrot do stosunków z przed roku 1848 co do urządzeń reprezentacyj gmin, powiatów i prowincyj, tak długo, póki nowe prawo w téj mierze właśnie do Izb wniesione, przyjętém nie zostanie. Deputowani nasi, bacząc na dobro Księstwa, nie mogli się nawet wahać czy im wypadało stanąć po stronie rządu; gdyż opinia kraju stanowczo już wyrobioną była, a w zasadzie oświadczyli się już oni byli w Izbach z roku 18$\frac{5}{5}\frac{1}{2}$ przez usta posła Marcelego Żołtowskiego, którego treściwą mowę *Przegląd* w swoim czasie umieścił. W tymże samym kierunku objawił swe zdanie Sejm nasz prowincyonalny z roku 1851., powody ku temu były bardzo jasne. My chcemy jak największéj odrębności, tymczasem prawo z 11. marca 1850 podciągało i Księstwo nasze pod jednę i tę samą aryngę, co resztę monarchii. W prawie tém przeważał kierunek demokratyczno-biurokratyczny, naszym interesom najmocniéj sprzeczny; rząd wnosząc o zniesienie prawa, wyrzekał zasadę, że żąda, by w nowych prawach więcéj znalazły uwzględnienia odmienność i wyłączna specyalność interesów szczególnych prowincyj, na którą to zasadę koniecznie posłowie nasi zgodzić się musieli. Nakoniec, co rzecz najważniejsza w prawie z 11. marca 1850, ukutém w czasie gdy deputowani nasi mandaty byli złożyli skutkiem odmowy przysięgi na konstytucyą, §. 73. wyrzekał stan wyjątkowy dla Księstwa, odbierając mu prawem tém określone ordynacye powiatowe i prowincyonalne, a natomiast stanowiąc iż one mają być zastąpionemi przez rozporządzenia ministeryalne.

W takiém położeniu rzeczy, interes Księstwa stanowczo nakazywał posłom naszym, przyjąć propozycyą rządową, co téż uczynili; ale ponieważ przy wielu okolicznościach, w byłych Izbach, wyrażali się, że przed wszystkiém gorąco żądają zaprowadzenia ordynacyów gminnych, powiatowych i prowincyonalnych w naszém Księstwie, przeto powody oświadczenia się za uchyleniem prawa z 11. marca 1850, publicznie wyjaśnić obowiązek mieli. Chwilowy powrot do reprezentacyj z przed roku 48go wcale ich odstraszyć nie mógł, co do pójścia w tymże kierunku, reprezentacya bowiem z przed roku 48go, daleko naszym specyalnym interesom w Księstwie korzystniejszą była; zmiany zaś na lepiéj, proponować, nadarzy się sposobność przy dyskusyi nowych projektów w tym względzie przez rząd wniesionych. Deputowani więc nasi, głosami swemi wzmocnili większość, przyjmującą projekt rządowy,

wyrzekający uchylenie prawa z 11. marca 1850, powody zaś wyjaśnił poseł August Cieszkowski w świetnéj mowie, która tak wielkie uczyniła wrażenie, że z stenografów w całości do niektórych dzienników niemieckich przeniesioną została i z pewnością znacznie się przyczyniła do uchylenia prawa z 11. marca 1850. Mowę tę dosłownie przytaczamy, bo nietylko że najdoskonaléj wyjaśnia wszelkie wady prawodawstwa z roku 1850, i w ogóle, i w specyalném zastosowaniu do nas, ale przytém najdokładniéj określa stanowisko posłów naszych, z jakiego koniecznie w tym razie za projektem rządowym oświadczyć się i głosować musieli.

Mowa deputowanego A. hr. Cieszkowskiego w Izbie IIgiéj w Berlinie, dnia 29. stycznia 1853.

Moi Panowie! Poczytuję sobie za obowiązek, w imieniu mojém i mych przyjaciół wykazać powody, które nas skłaniają do głosowania za propozycyą król. rządu. Uczynię to tém obszerniéj i bez najmniejszéj ogródki z powodu, iż pierwszy z szanownych mówców w téj materyi, któregośmy tu słyszeli, twierdził z góry, że my czyniąc to, poświęcamy wszystkie nasze zasady stawiając się li na stanowisku utylitarném, a to dla tego, że W. Ks. Poznańskie, przez prawodawstwo gminne z 11go marca 1850 r., w stanie wyjątkowym pozostawioném zostało. Twierdzeniu temu stanowczo zaprzeczyć muszę. Myśmy nigdy nie poświęcali i nie poświęcimy naszych zasad i naszych przekonań. Chciałbym o tém szanownego mówcę raz na zawsze zapewnić. Z powodu jednak tego przypuszczonego zarzutu starać się będę okazać, że i w tym razie jak zawsze pozostaniemy wiernymi zasadom naszym. Najbliższy powód, który nas zmusza do przyjęcia projektowanego przez rząd prawa jest istotnie ten, który szanowny mówca wskazał. Jest to bowiem zbyt niestety, znany § 73 ordynacyi powiatowéj i prowincyonalnéj z roku 1850, który nietylko, że wbrew ustawie konstytucyjnéj zawiesił u nas téż ustawę, tudzież reprezentacyą powiatów i prowincyj, ale nadto daléj jeszcze poszedł, powrót bowiem praw nam służących zawisłym uczynił od nowo zaprowadzić się mającego prawa.

Przeciw temu niesłychanemu paragrafowi, zakładaliśmy przez parę lat remonstracye i protestacye; kroki tak w Izbie jak i po za Izbą czynione z naszéj strony, przedstawienia, podania, interpellacye, nic ostatecznie nie pomagało. Przypominam wam tylko moi panowie, a większa część między wami zapewne jeszcze pamięta, ową gruntowną i dobitną interpellacyą przyjaciela i kollegi mego Stablewskiego, na którą w saméj rzeczy łatwiéj było odpowiedzieć, aniżeli zbić powody na których opartą była. Słowem doszliśmy do przekonania, że się nie pierw paragrafu tego pozbędziemy, póki nie poświęcimy całéj ordynacyi powiatowéj i prowincyonalnéj; żeby się zaś jéj pozbyć, potrzeba uczynić ofiarę jeszcze i z ordynacyi gminnéj.

Zważcie to dobrze moi panowie! Nie ma tu dla nas możliwego wyboru. Ordynacya powiatowa i prowincyonalna nie istnieją dla nas. Na podstawie zaś obecnego projektu rządowego, mamy przeciwnie otrzymać ordynacyą prowincyonalną jako téż reprezentacye powiatowe i prowincyonalne. Obecna chwila nie jest po temu, byśmy badali jaką będzie ta ustawa i te reprezentacye. Nie na to pytanie odpowiedzieć nam wypada, dla nas kwestya tak się stawia: dziś nie mamy żadnéj ustawy ni reprezentacyi, według nowego prawa mamy je otrzymać; gdzie zaś moi panowie, Polakom takie Hamletowskie pytanie, „to be or not to be" przedłożoném bywa, tam nigdy, by chwili się nie wahają, ... a więc my przyjmujemy projekt prawa rządowy (poruszenie). Czy treść i dalszy rozwój téj na nowo pozyskanéj ustawy prowincyonalnéj odpowiadać będzie wymaganiom czasu lub nie, to stanie

się dla nas *cura posterior.* Z nadejściem stosownéj chwili, nie omieszkamy baczności naszéj ku temu zwrócić. Na teraz moi panowie musimy to uczynić co nam ustawa prowincyonalna, a w ogóle W. Ks. Poznańskiemu właściwie egzystencyą zapewnia. Moi panowie! postawcie się w naszém położeniu; cóż nam czynić wypada? mamyż na nowo żądać tylko zniesienia § 73 ordynacyi prowincyonalnéj, a potém z wami za utrzymaniem reszty głosować? Przyznacie mi, żeby to było tylko czczą demonstracyą bez żadnéj dla nas korzyści, żebyśmy wcale z tém nie przeszli. Czy sądzicie, że jest jaka w tém pociecha, zawsze tylko swą niemoc okazywać? Tém gorliwiéj więc chwyta się sposobność, kiedy się zdoła zwycięzko przeprowadzić to co się za słuszne i sprawiedliwe poczytuje. Taka sposobność moi panowie nadarza nam się obecnie. Zapowiedziane prawo §fem 73cim leży przed nami. Zaprawdę, nie nasza w tém wina, że dziwném zrządzeniem losu, prawo które nam reprezentacyą prowincyonalną przywraca, właśnie wam tę reprezentacyą odbiera, któréjście nas przed trzema laty uchwałą waszą pozbawili! Powtarzam, nie nasza w tém wina; jest to moi panowie to, co my nazywamy objektywną Nemezis. (Brawo!) Nie myślcie byśmy tu jakie osobiste cele mieli, jak najdalszym jest od nas wszelki odcień nawet jakiéjś niegodnéj zemsty oddania wet za wet.

Myśl zemsty zupełnie tu niepodobną; byłoby to bowiem tak samo, jak gdyby kto zraniwszy się tak niebezpiecznie, że rana amputacyą zranionego członka za sobą pociągnęła, amputacyą tę jako zemstę za zranienie się uważał. Ale dość o tém moi panowie, muszę przejść do innego punktu. Winienem wykazać wam, że nietylko ten powód, ale i inne tak utylitarne jako i zasadnicze, nakazują nam głosować tak jak dziś będziemy. O ordynacyach powiatowéj i prowincyonalnéj, nie może już być mowy, bo jak wykazałem, dla nas one nie istnieją. Położenie nasze w tym względzie wyjaśniliśmy już w roku zeszłym przez usta kollegi naszego Żółtowskiego, przy uchwale tyczącéj się reaktywowania sejmów prowincyonalnych. Powody naszego głosowania jasno naówczas wykazanemi zostały, co więcéj z rzadkiém bardzo zadowolnieniem i poklaskami obu stron wysokiéj Izby. O tém więc już nie potrzeba mówić, wracać do tego byłoby zbyteczném. Moglibyście nam jednak zarzucić, dla czego odpychamy i ordynacyą gminną, w niczém § 73cim nie dotkniętą. Chcemy przeto wam się usprawiedliwić, dla czego życzymy sobie zniesienia i ordynacyi gminnéj. Zaczynam od faktycznéj uwagi, że w uchwaleniu tego całego prawodawstwa z 11 marca 1850, by najmniejszego nie wzięliśmy udziału. Jak wam wiadomo panowie, byliśmy zmuszeni naówczas po uchwale ostatecznéj ustawy konstytucyjnéj jednakże przed jéj ogłoszeniem i zaprzysiężeniem, w obu Izbach nasze mandaty złożyć; powtarzam że byliśmy zmuszeni to uczynić, wtenczas bowiem szło *de lege ferenda,* a nie *de lege lata,* a my dobrowolném zaprzysiężeniem nie mogliśmy dozwolić przypuszczenia, że kiedyśkolwiek ustawa konstytucyjna przemilczająca nasze nigdy nie cierpiące przedawnienia prawa i swobody, dobrowolnie przez nas przyjętą została.

W owym przeto czasie, panowie, w którym z powodu uczucia wyższego obowiązku, wszystkie nasze krzesła w obu Izbach opróżnionemi były, obradowano i uchwalono w téj Izbie, i to nader spiesznie, ordynacyą gminną. Wspominam to nie dla tego, by tém jedynie usprawiedliwić odrazę naszą ku prawom tym; dalekiém to odemnie, nie przeczę jednak, że gdyby wszystkie nasze głosy wzięły były udział w dyskusyi i uchwałach prawa tego, prawo to prawdopodobnie przynajmniéj w naszych oczach lepszém z pod obrad byłoby wyszło. Jednakże jakkolwiekbądź się stało, tak mało okazaliśmy odrazy do prawa wspomnionego, bez nas i po za nami ukutego, że nietylko staraliśmy się o wprowadzenie w życie, o wykonanie onego, ale popieraliśmy w obu Izbach wnioski wasze do ministeryum o toż wykonanie

dopominające się, i ułatwialiśmy w domu będąc, wszystko, co ku temu prowadzić mogło. Nie jednemu mogłoby się to wydać niekonsekwencyą z naszéj strony. Nie raz, moi panowie, wielu z was którzy nigdy w nasze położenie wmyślić się nie mogą, rażą się naszém postępowaniem i od czasu do czasu zarzucają nam mniemaną niekonsekwencyą. Co do tego, proszę was, byście tego raz na zawsze zaniechali, bo chociaż w naszéj literaturze nie mamy tyle ile wy drukowanych logik, to przecież, wierzcie słowu memu, równie dobrze logiki świadomi jesteśmy i wzrok nasz w kwestyach politycznych czy nosimy okulary czy nie (śmiech!), nie jest tak krótkim jak się niektórym zdaje, bo mając serce w piersiach dla dobra naszego ludu i kraju bijące, jesteśmy całkiém dostatecznie uzbrojeni przeciw wszelkim błądzeniom i zboczeniom. Łatwo wam moi panowie wytłómaczę, dla czego chociaż od początku doskonałością prawodawstwa tego wcale nie zbudowani, przecież pragnęliśmy by wprowadzoném zostało, i życzenie to wszelkiemi sposoby popieraliśmy. Przyczyna bardzo była prostą. Przez wprowadzenie ustawy konstytucyjnéj publikacyą prawodawstwa gminnego, stan prawny urządzeń wewnętrznych kraju naszego albo zniesionym albo tak podkopanym został, że rzeczywiście nie wiedzieliśmy czego się trzymać. W naszém zaś położeniu moi panowie *lex* chociażby była *dura lex,* zawsze jest czémś lepszém jak brak zupełny prawa. Ordynacya gminna była prawem; lepszéj, odpowiedniejszéj naszym życzeniom, stosowniejszéj dla naszéj narodowości mogliżeśmy się spodziewać? W skutku czego by nie pozostać jedynie pod rządem *du bon plaisir* urzędników administracyjnych, nie mieliśmy innéj alternatywy jeno popierać wprowadzenie w życie istniejącego prawa. Nie waham się przyznać, że między naczelnymi prezesami i prezesami rejencyów, między radzcami rejencyjnymi i ziemiańskimi, nawet między dystryktowymi komisarzami, znałem bardzo szanownych, godnych mężów, ale mimo tego nikt nam za złe wziąść nie może, że wolimy żyć pod prawem, jakiekolwiek ono jest, jak pod samowolą nie wszędzie sobie równych i mogących być oddalonymi lub przenoszonymi urzędników. Nie dziwcie się więc panowie, że uważaliśmy ordynacyą gminną jako kotwicę ratunku. Mieliśmy jeszcze oprócz tego jednę ważną przyczynę, która nas ku temu prawu skłaniała. Z prawodawstwa tego przebijała nam nadzieja, że za jego pomocą dojdziemy do pewnego stopnia własnego rządu (Selfgovernement). W § 6tym przynajmniéj zasada ta najwyraźniéj wyrzeczoną była, wprawdzie przeczytawszy trochę staranniéj, mniéj powierzchownie prawo o ordynacyi gminnéj, poznawało się łatwo, że ten jedyny paragraf tak był przeważonym elementami biurokratycznemi, tak unicestwionym różnemi dodatkami, że rzeczywiście trudno się było spodziewać urzeczywistnienia własnego rządu. Ponieważ jednak raz musiał być zrobionym początek stanu prawnego, a koniec stanu bezprawia (Gesetzlosigkeit), dla tego panowie byliśmy gotowi przyjąć ordynacyą gminną taką, jaka z rąk waszych wyszła. Musicie mi przyznać, że jeźli prawo jakie uważa się tylko za *pis aller* i z uczuciem tém do niego się przystępuje, nie jest to poleceniem prawa tego i zaprawdę pytam was się panowie, komu niniejsza ordynacya gminna mogła pożytek przynieść, kogo zaspokoić? Pozwólcie mi o miastach wcale nie mówić, wiadomo bowiem dobrze że tak u nas jak gdzieindziéj miasta lubiły dawne swoje prawa miejskie, że niechętnie ich się pozbywały, by zaprowadzić nową ordynacyą gminną, dla miast jeszcze najwłaściwszą. W miastach więc nie była ochotnie przyjętą, cóż dopiero o wsiach powiedzieć. Jeden z pierwszych mówców w dzisiejszéj ogólnéj dyskusyi powiedział, że skutkiem zniesienia obecnéj ordynacyi gminnéj właściciele wsi stanu rycerskiego będą mogli robić co im się podoba z gminami za pomocą odzyskanego przywileju nominacyi sołtysów. Otoż u nas panowie, nigdy tego nie było. Sołtysi tak dobrze według starego polskiego prawodawstwa,

jako téż i ciągłéj praktyki, zawsze przez gminy obieranymi byli. Tak zwani posiedziciele wsiów z stanu rycerskiego nie mają w tym względzie żadnego osobistego interesu. Z stanowiska zaś ogólnego dobra publicznego, jak to powyżéj wykazaliśmy, byli raczéj skłonnymi ordynacyą gminną jeźli nie za zupełnie odpowiednią potrzebom naszym, to przynajmniéj za znośną uważać. Z tych powodów nie widzieliśmy u nas jak to o innych prowincyach słyszę, by posiedziciele ziemscy stanu rycerskiego jakieśkolwiek trudności co do wprowadzenia prawa stawiali, owszém u nas oni wszystko ułatwiali, by prawo w życie wprowadzone było. Mógłbym wam znane nazwiska wymienić posiedzicieli ziemskich stanu rycerskiego u nas, którzy przynajmniéj na lat kilka oświadczyli u nas gotowość ponoszenia kosztów wynikłych z wprowadzenia nowéj ordynacyi gminnéj. Gminom przeciwnie prawo to niemiłém u nas było; tyle obcego w prawodawstwie tém czuły, że żadnéj ochoty nie miały i nie okazały by prawodawstwo to w życie weszło. Nie znam jednego przypadku gdzieby gmina wiejska za wprowadzeniem téj ordynacyi gminnéj była się oświadczyła. Prawodawstwo to było obcém usposobieniu i tradycyi gmin naszych; obok tego wnet dostrzegły gminy wiejskie, że prawo to zamiast uprościć ich stosunki, formalnościami je utrudni, a w każdym razie na znaczne koszta je wystawi. Gminy nasze łatwo to uczuły że ta ordynacya gminna stanie im się bardzo drogą, ale materyalnie nie moralnie. Sami bowiem panowie osądźcie, jak ztąd mógł się jakkolwiek znośny stosunek wyrobić inaczéj jak pod warunkiem tworzenia i łączenia gmin wiejskich w wielkie zbiorowe gminy. (Wielka prawda!)

Tylko bowiem pod tym warunkiem mogło być możliwém znalezienie potrzebnych do zarządu osobistości i zbieranie funduszów na konieczne koszta. Tymczasem moi panowie opierało się przeciw temu tradycyonalne i wysoko cenione uczucie niezawisłości gmin pojedynczych. Nieznanym mi téż jest ani jeden wypadek, gdzieby jaka gmina oświadczyła swą gotowość połączenia się z sąsiedniemi, a w naszém wyjątkowém położeniu łatwo to pojąć i łatwiéj jak gdzieindziéj usprawiedliwić. Ale idę jeszcze daléj i twierdzę, że sam zamiar wprowadzenia ustawy gminnéj wprost przeciwne wywołał skutki, jakie ustawa ta wywołać była winna aby istnieć mogła; to jest że zamiast łączenia się gmin pojedynczych w wielkie gminy, wiecie panowie jaki skutek prawo to wywołało? Oto małe gminy jeszcze w sobie się rozpadły. (Brawo z strony prawéj.)

Prawie wszędzie gminy wiejskie, które od wieków z właścicielem jednę gminę tworzyły, naraz się odłączały oświadczając, że szczególne gminy chcą tworzyć. Najmniéj więc z jednéj gminy dwie powstawały, chłopska i pańska. Rzecz daléj jeszcze poszła, chłopi między sobą rozłączyć i odosobnić się chcieli (śmiech!); chociaż obok siebie zamieszkali, o ile możności życzyli sobie tworzyć osobne gminy. I jeszcze o wiele dziwniejsze zdarzały się wypadki, n. p. w sąsiedztwie znajdował się las. Każda z oddzielonych części dawnéj gminy chciała las ten albo sobie przywłaszczyć, albo go się pozbyć, a to wedle tego czy się jéj zdawało że użytek lasu większe korzyści przyniesie czy téż ciężary gminne ztąd wynikłe przeważą spodziewane korzyści. Nie pozostało przeto nic innego do zrobienia, jak las ten przerzucany z jednych rąk do drugich osobną ogłosić gminą. Jedyny téż mieszkaniec lasu, borowy czyli gajowy, ustanowiony został sołtysem, ale nie było zkąd wziąść ławników, musianoby ich chyba wybierać z pośród innych mieszkańców lasu i to z pośród takich którzy nie podobna by za życia jakiśkolwiek census opłacać mogli. (Śmiech).

Widzicie panowie co się u nas działo przy wprowadzeniu téj ordynacyi gminnéj, ale żart na stronę, nie jestże to najsurowszą krytyką i potępieniem jakiego prawa, gdy się okaże że z góry sprzeciwiało się przeznaczeniu swemu. Musicie mi bowiem przyznać, że jeżeli jakowe prawo zaraz

po wprowadzeniu w życie wbrew przeciwny przeznaczeniu swemu wywiera skutek, prawo to za fałszywe, za chybione poczytać wypada. Celem każdéj ordynacyi gminnéj jest urządzenie i uregulowanie wspólnych interesów, stworzenie węzła je łączącego. W téj wszakże ordynacyi trzeba było przymusu, i jeszcze przymusu, inaczéj wcale nie dałaby się wykonać. Najwyraźniéj się przy téj ordynacyi gminnéj wykazało, że każdego ku temu popychała, iżby sam siebie za osobną uznał gminę, co oczywiście byłoby contradictio in adjecto. (Śmiech).

Jeźli jakie prawo gminne w chwili zaprowadzenia go tak rozprzęgający wpływ wywiera, tak dalece separatyzm wyradza, wtedy moi panowie, jest ono zupełnie złém, wtedy, mówiąc słowy waszego wielkiego wieszcza: prawo

. . . . . . das so entsteht,
Wohl werth, daß es zu Grunde geht.

(Brawo!)

Mógłbym wam tu wiele jeszcze o naszych domowych stosunkach opowiedzieć, ale lękam się więcéj was tém trudzić. Pozwólcie mi na tém poprzestać i tylko dodać uwagę, że jeźli prawo to gdzieindziéj korzystniejszém i stosowniejszém się okazało aniżeli u nas, tośmy gotowi dla owych stron monarchii pruskiéj tę ordynacyą gminną pozostawić, nikogo bowiem nie myślimy pozbawiać dobrodziejstw prawa tego, prosimy tylko aby nas niemi nie obdarzano. Pomijając dalsze powody utylitarne z stosunków miejscowych płynące, dozwólcie mi przejść na stanowisko zasady, na które przez pierwszego mówcę niejako wezwany i wyzwany zostałem, a wszedłszy niejako w rdzeń kwestyi postawić pytanie jakim jest właściwy charakter ordynacyi gminnéj z 11 marca 1850, jakim duch jéj? Aby to oznaczyć, pozwólcie mi panowie w krótkości przejść z kolei niektóre główne zasady, aby zobaczyć czy wasza ordynacya gminna którejkolwiek z nich odpowiada.

Jestże ona, np. ustawą gminną monarchiczną? Bynajmniéj: gdyby bowiem prawdziwie monarchiczną była, wtedy musiałaby w miniaturze, w zakresie gminy, odzwierściedlał instytucye państwa, wtedy musiałaby była stanowisko wyższego właściciela zupełnie inaczéj niżli to uczyniła określić; mogła wprawdzie dziedzica skonstytucyonalizować, ale nigdy całkowicie zmedyatyzować.

Nie twierdzę ja bynajmniéj, by to było konieczném, lub stosownem, tém mniéj, by to było mojém osobistém o rzeczy zdaniem; wcale nie, ja tu tylko biorę rzecz jaką jest, i powiadam, że gdyby prawodawca zamierzył był prawdziwie monarchiczną ustawę gminną, to musiałby był w niéj to i owo umieścić co się do tego odnosi, a czego dziś w niéj nie znajduje się. Ale ktoś z panów może mi odpowiedzieć, że tego wcale nie potrzeba, że życzycie sobie na górze monarchią, a na dole same małe rzecz-pospolite, i że to wybornie da się pogodzić. Podobne zdanie często słyszałem, i da się nawet bronić, ale pod warunkiem, by to nie była jednostronna doktryna, ale w rzeczywistych stosunkach grunt i korzenie mająca.

Wiecież moi panowie, gdzie podobny stan istnieje, gdzie jest prawdziwym i rzeczywistym, oto tam, gdzie go się najmniéj spodziewacie. W carstwie rosyjskiém. W Rosyi znajdziecie absolutną monarchią u góry, a u dołu wyborne rzecz-pospolite, w gminach wiejskich. Jeźliby kto chciał iść tam na naukę, aby się wywiedzieć jakim sposobem przychodzi się do urządzenia doskonałych rzeczpospolit pod absolutną monarchią, nie mam nic przeciw temu, ale was z góry zapewniam, że wróciwszy ztamtąd, dopiero naszą ustawę gminną z r. 1850 za arcy-złą poczyta i osądzi. (Śmiech.)

Pod jakiemiż bowiem warunkami jest to w Rosyi możliwém? pod dwoma bardzo ważnemi. Raz, pod warunkiem gminnego, korporacyjnego ducha Sławian, a powtóre, że z góry żadna przeszkoda, żaden wpływ biu-

rokratyczny, nie ciąży, nie podkopuje własnego zarządu gminy. Wykazałem wam moi panowie powyżéj, że właśnie wasza ustawa gminna w najwyższym stopniu popycha do separatyzmu, a tém samém tamuje i rozprzęga ducha gminnego nawet u Sławian, którym jest wrodzonym. Następnie, co się tyczy drugiego warunku, gdyby tego była potrzeba, mógłbym łatwo wykazać, że i wpływ biurokratyczny tak dalece jest przeważnym w niniejszéj ordynacyi gminnéj, że i ten warunek wymagalnościom nie odpowiada. Widzicie zatém moi panowie! że ustawa wasza gminna nie da się nazwać monarchiczną w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu, ani w sposobie absolutnym, ani konstytucyjnym, ani nawet republikanckim od dołu, jak to wam dopiero co okazałem. Jestże ona może arystokratyczną? Słyszeliście poprzedniego mówcę, który stanowisko to reprezentował i nie jedno wam już powiedział, co za odpowiedź na pytanie to służyć może. Pomijając to jednak, przyznać mi w ogóle musicie, że o arystokracyi w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu, ani mowy tu niema. Czy w ordynacyi téj zapewnioną jest jakaś przewaga zasłudze, wyższéj moralności lub intelligencyi? wcale nie! Czy zapewnia jakąś wyższość późnemu wiekowi, jakto miało miejsce w dawnych sławiańskich gminach? i to nie! — Uciekłaż się może do zasady kooptacyi, jak tego szczątki spotkać można w starożytnych urządzeniach miast Pomeranii i Rugii? nawet i tego nie. Nadajeż może pierwszeństwo własności ziemskiéj i niezawisłéj pracy, w sposób jak § 20 tyt. IIgo powszechnego prawa krajowego, tylko osiadłym gospodarzom prawo głosowania przyznający? bynajmniéj! — Wszystko to moi panowie, dałoby się mniéj więcéj zbijać lub bronić, przynajmniéj możnaby o tém słuchać jako o czémś opartém na jakiéjśkolwiek zasadzie. Ja się tu nie oświadczam za żadną z wspomnionych opinii, twierdzę tylko, iż aby ustawa gminna była arystokratyczna, musiałaby w sobie zawierać coś z wyżéj wspomnionego. Tego zaś wszystkiego w waszéj ustawie gminnéj z 11. marca 1850 niema ni śladu. Co się zaś tyczy cenzusu dwóch talarów, a bardziéj jeszcze podziału na trzy klasy, który aby uskutecznić nawet do abecadła uciekać się trzeba, dla dowiedzenia się do któréj klasy mniéj lub więcéj uprawnionych wyborców kto należy, a gdzie i to jeszcze nie wystarcza, ostatecznie ślepemu losowi poddać się trzeba, aby rzecz jako tako rozstrzygnąć. (Śmiech).

Przyznacie mi panowie, że w tém nie ma nic arystokratycznego, owszém sprzeczność, a proszę uważać, że nie przeciwieństwo, jakoby coś istniejącego dla siebie i w sobie, ale sprzeczność względem zasady arystokratycznéj, i nic więcéj. Uderzający to dowód bezładu obecnych czasów, że do tak zagmatwanych środków uciekać się trzeba.

Tak więc moi panowie, obecna ustawa gminna nie jest ani monarchiczną, ani arystokratyczną. Jakąż jest zatém? czy może demokratyczną? W tym punkcie myślę, panowie, że mogę sobie oszczędzić wszelkiego obszerniejszego dowodzenia, albowiem z Izb wprost antidemokratycznych nie mogło wyjść dzieło demokratyczne. Dość wam tylko, zapytać to stronnictwo, które tak dobrze, jakby wcale tu nie jest reprezentowane, co myśli o ordynacyi gminnéj, jako takiéj, co go w niéj razi, czego w niéj nie znajdzie, i czyli o jéj zniesienie się troszczy? Nie potrzebujecie nawet o to pytać zagorzalców owego stronnictwa, ale pytajcie spokojnych, umiarkowanych ludzi, a przekonacie się niebawem, że owa ustawa gminna, tak się zaledwie ma do prawdziwie demokratycznéj, jak naśladowana perła burgundzka do prawdziwéj indyjskiéj. Chociażby Izba druga, jakoby nowa Kleopatra perłę tę połknęła, czynem tym nie zyszcze sławy pierwszéj Kleopatry.

Na czémże ostatecznie opiera się w kwestyi będąca ustawa gminna? Przebiegliśmy najważniejsze zasady polityczne, w tym, że tak powiem o rozbiorze chemicznym, spotrzebowaliśmy wszystkie główne odczynniki, a nie zdołaliśmy odkryć jéj pierwiastku, ani zbadać czyim ona płodem.

Oto w tym kłopocie uciekam się znów do waszego wielkiego wieszcza i by wykazać, jakim duchem jest ożywiona, ośmielam się na wolny przekład zdania Goethego.

Mir hilft der Geist, auf einmal seh' ich Rath,
Und sage getrost: ihr Geist hieß... Büreaukrat.

(Śmiech — Oklaski.)

Tak moi panowie, to jest prawdziwe rozwiązanie zagadki, a nie żadne inne. Że całe to prawodawstwo niebyło w gruncie innem jak biurokratycznem, jak najłatwiej to dowieść, a może wystarczy wam ku temu przypomnienie jednego wyrażenia w tamtéj Izbie: „chyba kto nigdy nie był radzcą ziemiańskim (landratem), by nie umiał ocenić pewnych zalet téj ustawy gminnéj!" — wyrażenie już samo w sobie tak doskonałe, a mające nadto jeszcze tę ważność, iż dowodzi, że godność radzcy ziemiańskiego jeżli nie w obecności to przynajmniéj w przeszłości jest czémś, co w osobie członka Izby samo się przez się rozumie! (Śmiech).

Nie zapuszczając się zbyt daleko w rozbior ustawy gminnéj, nie przechodząc paragrafu po paragrafie, by w nich wam wykazywać element biurokratyczny, przedstawię wam tylko jeden § 91, który zupełnie wystarczy do stwierdzenia niezaprzeczalnego tego charakteru biurokratycznego całéj ustawy.

Nieraz już powiedziano, że przyznanie rządowi prawa potwierdzania przełożonego gminy, dostateczném jest, by ordynacyą gminną osądzić biurokratyczną — cóż więc rzec o paragrafie, który już nie potwierdzanie, ale pure *mianowanie* przełożonego składa w ręce radzcy ziemiańskiego, skoro za powtórnym wyborem, przedstawiony nie podoba się temuż radzcy ziemiańskiemu. Wątpicież jeszcze moi panowie, że na mocy tego paragrafu za lat kilka, w tych tylko gminach będą jeszcze wybrani przełożeni, gdzie sam radzca ziemiański stosowniejszego dla siebie nie umiałby uczynić wyboru? Jak się z tym paragrafem da pogodzić § 5. ustawy, sankcyonujący zasadę własnéj administracyi bez żadnego ograniczenia, jak mogły oba te paragrafy znaleźć się razem z sobą i obok siebie w głowie prawodawcy, tego nigdy nie mógłem pojąć i tylko tém sobie wytłómaczyć bym mógł, że prawodawca rzeczywiście był wielogłowym.

Przy téj sposobności, radbym uwagę waszą na jedno jeszcze zwrócić; od najdawniejszych czasów, najznamienitsi prawnicy zagraniczni, powszechnie robią prawodawstwu pruskiemu następujący zarzut: „Prawa pruskie mają zwykle na czele myśl zasadniczą, wyborną, jaśnie i wyraźnie wyrzeczoną, ale w jakimś zakątku prawa kryje się zawsze klauzula, która zasadę tę całkowicie znosi, albo w taką podaje wątpliwość, że nie można wiedzieć czego się trzymać." Na zbyt wielu prawach możnaby to udowodnić. Najbliższy przykład mamy w ustawie gminnéj — powinniście panowie wziąść to do serca i o ile można, postarać się *zwyczaj* ten usunąć z prawodawstwa pruskiego. (Śmiech—Oklaski).

Przechodząc od ważnego do mniéj ważnego, ale jednakże wielce zawadzającego, przyznacie mi panowie, że te liczne formalności, ta, tyle czasu trawiąca manipulacya, ta nieskończona pisomania, chociaż rzeczywiście należą one do ducha biurokracyi, nam w urządzeniach gmin naszych miłemi być nie mogą, przypominając nam owo francuzkie przysłowie: „tant de bruit pour une omelette." — Możecie być pewnymi, że codzienne drobne trudności w manipulacyi, według obecnéj ustawy gminnéj, niesłychanemi by były przeszkodami w działaniu, niesłychanie by wiele czasu i pracy pochłaniały, kiedy uchwały, rzeczywiście głęboko w życie sięgające, jednym pociągiem pióra załatwianemi bywają.

Ponieważ takim jest stan rzeczy, pojmiecie więc, że nam nie wiele na tém zależy, by obecną ustawę gminną zachować. Z wyższego jeszcze sta-

nowiska, postaram się rzecz wam wyjaśnić. Zdaniem mojém, panowie! pod wszelkim rodzajem rządu, pod wszelkim systemem, własna administracya, własny zarząd (Selfgovernement), które tak wysoko cenimy, są możliwemi, — tylko nie pod rządem biurokratycznym. Tego wam dowiodę z praktyki nie z teoryi. Rzućcie tylko okiem na najrozmaitsze państwa na téj Bożéj ziemi. Zważcie np. Rosyą, Anglią, Amerykę północną, tam znajdziecie monarchią absolutną, owdzie państwo na wskroś arystokratyczne, za oceanem zaś demokratyczną rzeczpospolitą. Wszakże we wszystkich tych państwach Selfgovernement jest pod pewnym względem i do pewnego stopnia rozwiniętym. Czy to np. w Rosyi objawia się tylko w gminach jako takich, w najniższych korporacyach; czy w Anglii gdzie nietylko w gminach, ale również w hrabstwach jakoby w powiatach i mianowicie w hrabstwach, przedstawia się cała doskonałość własnego rządzenia się; czy nakoniec w Ameryce północnéj, gdzie i w prowincyach napotyka się zarząd własny, i dla tego prowincye te zowią się Stanami zjednoczonemi, bo nie są one niczém inném, jak prowincyami, własną administracyą mającemi. Widzicie więc panowie, że wszędzie i pod każdą formą rządu, selfgovernement jest możliwym, istniejącym, a nawet koniecznym. tylko pod rządem biurokratycznym go nie znajdziecie, a nie będę także tego z teoryi, z istoty téj formy rządu dowodził, ale z faktów. Gdzież nie znajdziecie Selfgovernement? Niestety, w dwóch tylko państwach, które mają zkądinąd wyborne instytucye, ale w tym względzie niżéj od wymienionych stoją — we Francyi i Prusach. (Mocne wrażenie).

W obu tych państwach znajdziecie urzędownie figurujący biurokratyzm ale Selfgovernement nie ma ani śladu. Pojmiecież więc panowie, że my przekładając nad wszystko własny zarząd w sprawach gminnych, nie możemy nie przyjąć projektu rządowego, albowiem każda możliwa ustawa gminna, będzie dla nas lepszą, niżeli ta, którą dziś odrzucamy. Zdaje mi się żem wam wykazał iż obecnéj ustawy gminnéj nie można pochwalić, jakichkolwiek trzymając się zasad. Jest przecież jedna ława w téj Izbie, gdzie może przyjdzie ustawy téj pożałować, a ławą tą jest ława ministrów! Ustawa gminna niniejsza jest bowiem niezawodnie doskonałą machiną rządową, przyznacie mi, że jako machina rządowa godną jest uznania, komużby zaś ta machina była użyteczną, jeźli nie ministeryum? Tém więcéj, ponieważ projekt usunięcia téj machiny z ministeryum pochodzi, miło mi przyznać, że ministeryum organizm wyżéj jak mechanizm państwa ceni! (Oklaski).

Cieszy mnie także, że ministeryum stanowczo opuściło drogę centralizacyjnéj nivellacyi, i że raz przecież ma nastąpić według słuszności, uwzględnienie historycznych i narodowych właściwości. (Oklaski).

Ale jeszcze więcéj moi panowie cieszyć się będę, jeźli to w prawdziwie liberalnym nastąpi duchu, jeźli ministeryum w tym względzie trzymać się będzie przysłowia: „trzeba żyć i żyć dozwolić" a zatém nie nadto przepisów wydawać, ani też szczególnie położeń wyjątkowych stanowić będzie.

Wzywam was więc panowie! do przyjęcia projektu rządowego, abyście tém dali dowód, że nie hołdujecie biurokratyzmowi i że przeciwnie Selfgovernement nad wszystko cenicie. (Oklaski).

B. Drugi projekt rządowy w téj materyj wniesiony, żądał wykreślenia §. 105 z konstytucyi. Chciano tym sposobem pozbyć się wyrzeczonych w tym paragrafie zasad prawodawstwa z roku 1850, a mianowicie zasad liberalnéj reprezentacyi gmin, powiatów i prowincyj. I byłaby się stała rzecz nader dziwna, bo gdy liczb paragrafów zmieniać trudno, z powodu że rozmaite specyalne prawa do nich się odwołują, liczba §. 105 byłaby została, ale bez żadnéj treści, na czémby nieza-

wodnie powaga konstytucyi nic nie była zyskała. Deputowani nasi, chociaż z pewnością nie mają najmniejszego obowiązku stawać w szranki ku obronie téjże konstytucyi, przecież w tym razie nie mogli się zgodzić, z interesu naszego specyalnego na proste wymazanie §. 105, gdyby bowiem to nastąpiło, łatwoby przypuścić, że o żadnych już reprezentacyach mowy z prawa nie będzie, i co szczególniéj w Księstwie bardzoby się wydarzyć mogło, urządzenie całe wewnętrzne prowincyi naszéj stałoby się zależném jedynie od rozporządzeń ministeryalnych, albo nawet władz niższych. Z tych więc powodów deputowani nasi zasiadający w komisyi temi projektami się trudniącéj w Izbie IIgiéj, posłowie Potworowski i Morawski, o ile zgodzili się na pierwszy projekt rządowy co do uchylenia prawodawstwa w téj materyi z roku 1850, o tyle zaraz w téjże komisyi oświadczyli się za zachowaniem §. 105, a w razie uchwały uchylającéj go, wnieśli poprawkę, nową redakcyą tegoż §. 105 proponującą następującéj treści:

„Reprezentacyą i zarząd gmin, powiatów i prowincyj państwa pruskiego, szczegółowe prawa bliżéj określą.“

Poprawka ta, przeciw któréj oświadczyło się ministerstwo, nie znalazła większości w komisyi, z powodu że i niemiecka opozycya przeciwną jéj była, rachując że łatwiéj osięgnie większość przeciw projektowi rządowemu, gdy kwestya wprost postawioną będzie z uchyleniem wszelkiéj pośredniczącéj redakcyi.

Nie zraziło to jednak posłów naszych, którzy przed wszystkiém ratować musieli wyrzeczenie zasady w konstytucyi że będzie jakaś reprezentacya gmin powiatów i prowincyj, i z tego powodu gdy rozpoczęły się obrady *in pleno*, poprawkę swą odrzuconą w komisyi do §. 105 czyli zmianę redakcyi tegoż §fu, znów do Izby wnieśli. Z stanowiska posłów naszych, obrona téj poprawki łatwą nie była, bo ściśle trzeba było oznaczyć powody, dla jakich w tym razie stajemy w obronie konstytucyi, przeciw któréj w ogóle, i z zasady, od początku jéj istnienia, posłowie nasi się oświadczali. Podjął się tego deputowany Józef Morawski, który w jasnéj a treściwéj mowie, stanowisko deputowanych naszych do kwestyi, objaśnił i konieczność przyjęcia poprawki, w razie uchwały przeciw 105 paragrafowi wykazał, dowodząc:

„Że gdyby wymazano §. 105, i w jego miejsce nic innego w tymże przedmiocie nie postawiono, natenczas zostałyby otwarte wrota do rozporządzeń w drodze administracyjnéj, bez żadnego uprawnienia dla administrowanych, zostałaby wszechwładność biurokratyczna, szkodliwsza i dotkliwsza według mówcy, jak nawet rząd szabli.“

Wniesienie téj poprawki przez posłów naszych dziwne zamięszanie w stronnictwa niemieckie wprowadziło. Centrum i część prawéj strony Izby, przez usta kilku mówców, za poprawką się oświadczyło, skutkiem czego ministeryum mniéj stanowczo jak w komisyj przeciw niéj występowało. Opozycya zaś któréj nadzieje li na prostém postawieniu kwestyj polegały, najmniéj zdawała się sprzyjać usiłowaniom poparcia po-

słów naszych. W ciągu jednak dyskusyj widząc że poprawka polska zapewne większość osięgnie, wniosła ona podpoprawkę, w której wyrażonėm było:

„Że owe szczegółowe prawa, które reprezentacyą i zarząd gmin, powiatów i prowincyj bliżéj określić mają, *przez Izby uchwalonemi być winny.*"

Celem téj podpoprawki z strony opozycyi, było osłabienie większości, skłonnéj do przyjęcia redakcyi, przez posłów naszych proponowanéj; była bowiem pewną, że jeżeli posłowie nasi ich podpoprawkę w swój projekt włączą, natenczas ministerstwo stanowczo przeciw nim się oświadczy, a centrum i prawa strona za ministerstwem pójdą, co koniecznie upadek redakcyi polskiéj sprowadzi. Taktyka opozycyi, zupełnym skutkiem uwieńczoną została, i w tym razie deputowani nasi popełnili jeden z tych błędów, jakich na szczęście mało spotykamy w całéj działalności ich parlamentarnéj. Cóż proponowała opozycya, oto kilka słów błahy pleonazm zawierających, bo przecież konstytucya wyraźnie mówi, że każde prawo, by być prawomocném, musi przejść przez obrady Izb; zupełnie więc w tym razie zbytecznėm było to powtarzać i deputowani nasi powinni byli wskazując na płonność téj podpoprawki przeciw niéj się oświadczyć, czém okazując niepodległość swą od opozycyi, byliby silne zdobyli stanowisko, i większość dla swego wniosku i to znaczną, niezawodnie znaleźli. Przyjmując zaś do swojéj redakcyi podpoprawkę opozycyi, okazali pewną słabość dla niéj, a zarazem wywolali bezzwłoczne i kategoryczne oświadczenie ministra przeciw ich tak zmienionéj propozycyi, za którém poszła prawa strona Izby, a ostatecznie i część opozycyi przy głosowaniu ich opuściła, i tym trybem poprawka polska została w mniejszości kilku głosów. Głównie zbłądził w tym razie zwykle tak oględny i bystry deputowany Cieszkowski, który w imieniu deputowanych naszych za włączeniem podpoprawki do projektu polskiego z trybuny się oświadczył. Przyczyniło się także do upadku wniosku posłów naszych, poddanie go pod głosowanie już po rozstrzygnięciu głównéj kwestyi, nie zaś przed jéj rozstrzygnięciem jakby być było powinno, ponieważ poprawka ta tylko ewentualnie postawioną była. Protestowali przeciw podobnemu porządkowi głosowań deputowani Cieszkowski i Bentkowski, ale protestacye te nie zostały uwzględnione przez prezesa Izby, który działał w interesie swego stronnictwa, to jest opozycyi, i kwestyą w bardziéj stanowczy sposób chciał mieć postawioną.

Mimo jednak odrzucenia poprawki polskiéj i uchwały wymazania §. 105, kwestya ta jeszcze tą razą ostatecznie rozstrzygniętą nie była, bo gdy chodziło o zmianę konstytucyi, przeto po upływie 3ech tygodni, powtórne głosowanie nastąpić musiało, jako też 4. marca znów §. 105, czyli zniesienie jego przyszło pod dyskusyą, przy któréj deputowani nasi wniosek swój powtórzyli.

Wymazanie § 105. powtórnie 4. marca uchwalono, ale tą razą opozycya się namyśliła, że lepiéj cośkolwiek przynajmniéj uratować, podpoprawki swéj do poprawki polskiéj nie postawiła, owszém za po-

prawką polską głosowała, wraz z wielką liczbą członków środka i prawéj strony Izby, którzy mimo oporu ministrów za nią się oświadczyli, skutkiem czego redakcya §. 105. przez posłów naszych proponowana, znaczną większoscią przez Izbę drugą przyjętą została. — Z powodu choroby deput. J. Morawskiego, dzielnie bronił tą razą wniosku posłów naszych deput. Cieszkowski. Wypadek ten wielką burzę w Izbie wywołał, ministerstwo bowiem i strona prawa uważała §. 105. po dwukrotném głosowaniu za stanowczo zniesiony, i tylko według nich, jeszcze jedno głosowanie w trzy tygodnie nastąpić musiało nad poprawką posłów naszych, jako nad zupełnie nowym projektem, niezależnym od §. 105. — Prezes zaś Izby i strona lewa sprzeciwiała się temu zdaniu, twierdząc że §. 105 o tyle tylko jest zniesionym, o ile poprawka posłów polskich się utrzyma i w ostateczném głosowaniu za 3 tygodnie.

Paragraf bowiem 105. według ich rozumowania nie był stanowczo, dwukrotném głosowaniem jak przepisano uchylonym, kiedy poprawka polska część tegoż §. w sobie mieszcząca, przy drugiém głosowaniu się utrzymała. Kwestya ta rzeczywiście z obu stron bronić się dała, i wielki rozgłos miała w Prusach i za granicą jako wiodąca rząd do konfliktu z Izbami niezgodnemi w zdaniu, czy §. 105. jest uchylonym prawomocnie czy nie. Prezes Izby II. będąc za ostatniém, nie doniósł z urzędu ministrowi o zniesieniu przez Izbę II. §. 105. Chcąc konfliktu uniknąć, gdy poprawka polska 5. kwietnia po trzeci raz pod głosowanie przyszła, ministerstwo milczało, zaczém bez dyskusyj w Izbie II. powtórnie przyjętą została, potém zaś również dwukrotnie w Izbie I. i to już tą razą poparta przez ministerstwo, dla dojścia do jakiegośkolwiek pewnego rezultatu co do §. 105, a ostatecznie król. przyjętą przez Izby poprawkę posłów naszych sankcyonował i dziś stoi ona w konstytucyi jako §. 105 Ważność poprawki téj w przyszłości jest niezawodną, bo wyraża zasadę reprezentacyi. Jaka ona będzie, to cura posterior. W ogóle wypadek to dziwny, że artykuł konstytucyi pruskiéj przeciw któréj zawsze się oświadczali deputowani nasi, ostatecznie według ich redakcyi zapisanym jest, mimo tylu interesów sprzecznych, a może i pewnéj miłości własnéj niemieckiéj.

C. Trzecim projektem przez rząd do Izb w téj materyi wniesionym, był projekt nowych ordynacyj gminnych, miejskich, powiatowych i prowincyonalnych. Projekt ten tylko w Izbie I. w całości przedyskutowanym i przyjętym został, Izba II. zaledwie do uchwalenia ordynacyj miast czas znalazła. W Izbie więc II. deputowani nasi nie mieli pory wziąść udziału w dyskusyi co do tego przedmiotu. Inaczéj rzecz się miała w Izbie I. gdzie §. 3ci ordynacyi powiatowéj silne wywołał spory, w których deputowany Pilawski jak najświetniéj wystąpił. Rzecz się tak miała: komisya Izby I. obradując nad §. 3. ordynacyi powiatowéj, uchwaliła co do Księstwa sprzecznie z przepisami w tym względzie innych prowincyj się tyczącemi, że w Księstwie nabywca dóbr ziemskich, ma od dnia nabycia tychże dóbr posiadać głos na zebraniach powiatowych, do czego w innych prowincyach potrzebném jest przy-

jęcie przez stany powiatowe i trzechletni przeciąg czasu. Wyjątek w tym względzie co do Księstwa, proponowała komisya w najwyraźniejszym celu politycznym, aby jak najskorzéj ułatwić udział w obradach stanów powiatowych licznym nabywcom niemieckim dóbr ziemskich do Księstwa się cisnącym Hrabia Grabowski wniósł poprawkę, by przepisy ograniczające dla Szląska uchwalone, i do Księstwa zastosować. Za poprawką pana Grabowskiego oświadczyło się zaraz skoro wniesioną została dwóch mowców: pan Reiche deput. z Księstwa i hrabia Merfeldt z Westfalii. Przeciw poprawce wystąpił pan Mollard, którego obecność w Izbie I. jako deputowanego z Księstwa zawdzięczamy wyborcom okręgu wyborczego Średzkiego, za co wielka odpowiedzialność na nich przed krajem ciąży. Dzięki wyborcom Średzkim, zdołał pan Mollard oświadczając się przeciw poprawce pana Grabowskiego, zrobić obraz Księstwa, który najlepiéj okazuje ile obcy dóbr nabywcy do kraju się przywięzują. Według pana Mollard, dobra u nas tak bywają zniszczone, że wiek nie wystarcza by je do porządku przyprowadzić, co o energii pana Mollard i kolegów jego, nie wysoką daje opinią. Pan Mollard dotknął otwarcie i strony wniosku politycznéj, dla któréj jedynie komisya zniesienie co do Księstwa ograniczeń dla innych prowincyj uchwalonych proponowała; ale wywody pana Mollard w tym względzie nie znalazły współczucia w Izbie, nawet z prawéj strony odezwały się nieprzyjazne wykrzykniki. W końcu przemówili się pan Reiche z panem Mollard o autorstwo linii demarkacyjnéj, do którego nikt a nikt się przyznać już nie chciał. Po téj potyczce zajął trybunę pan Pilawski, i w następujący sposób komisyi i panu Mollard odpowiedział:

„Musicie mi przyznać panowie, że w téj chwili jako reprezentant Wgo Księstwa, w szczegółowo trudném położeniu się znajduję i to głównie z tego powodu, że mówca, który przedemną miał głos, zdawał się tak gorąco ujmować za interesami i potrzebami W. Księstwa i ztąd jeżli mnie całą waszą uwagą nie udarzycie, nie będę w stanie osięgnąć tego skutku, który dla Księstwa tak nieskończenie jest pożądanym. Moim celem jest uspokojenie umysłów, równouprawnienie, odsunięcie praw wyjątkowych co do nas, co do W. Księztwa. W téj chwili znów się rzecz toczy, aby na Księstwo nowe prawo wyjątkowe nałożyć i dopiero co słyszeliśmy ważne powody, dla jakich poprzedni mówca to nowe prawo wyjątkowe dla Księstwa użyteczném sądzi. Wzywam was panowie, nie obierajcie téj wam wskazanéj tak nieszczęśliwéj drogi! Bądźcie przekonani, że dobrze się z nami obchodząc, że darząc nas waszém zaufaniem, w stokroć wyższym stopniu z naszéj strony je zdobędziecie. Przeciwne zdanie a nam tak nieprzychylne, właśnie ztąd się wyradza, że tak niezmiernie wielu podobnemi osobami uszczęśliwiani bywamy, którzy tak mówią i tak działają, jak szanowny członek co przedemną mówił. W téj chwili idzie o to, aby §. 3. dla Księstwa nie był obowięzującym, aby był w części zmazanym. Paragraf ten przepisuje, że prawo udziału w stanach powiatowych, dopiero po trzechletniém nieprzerwaném posiadaniu dóbr ziemskich się nabywa. Szanowna komisya ustęp to przepisujący wymazała i co dziwić musi 11. przeciw 6. głosom. Dziś już słyszeliśmy mówców, którzy chociaż nie należą do rodu polskiego, przecież z uczucia słuszności przeciw uchwale komisyi się oświadczyli. Większość komisyi podaje jako powód do swéj uchwały,

jakoby w Księstwie odsprzedawanie dóbr rzadkiém było. Widząc panowie, że kilku poprzednich mówców, osiadłych lub wybranych w Księstwie przeciw téj uchwale komisyi się oświadczyło, powinniście się przekonać, że większość komissyi zdanie swe oparła, nie znając stosunków W. Księstwa, na powierzchownych i Księstwu szkodliwych wiadomościach i sądach, co ją doprowadziło do tak dotkliwéj dla nas uchwały. Rząd królewski zarówno przejęty interessami wszystkich prowincyj, zawarował i nam to ważne prawo, w §. 3cim objęte. Komisya chce nas go pozbawić, a dla czego? oto twierdzi że w Księstwie sprzedaż dóbr jest nader rzadką, a więc warunek trzechletniego posiadania dóbr, zanim się nabywa prawo zasiadania w stanach powiatowych, staje się niepotrzebnym. Coś podobnego twierdzić panowie, może tylko ten, który stosunków tych nie zna, lub znać nie chce. — Poznańskie, panowie! jest Kalifornią. (Śmiech).

Może wam to dziwném się zdaje, ale uważcie panowie! do nas przychodzą nietylko ludzie z pruskiéj monarchii, broń Boże, ze wszystkich części świata, z całéj Europy tłoczą się do Księstwa, nie aby się poświęcić rolnictwu, kulturze kraju, nie by stałą założyć siedzibę i ognisko, ale jedynie by puścić się na przechodnie spekulacye, aby jak najprędzéj, jak najwięcéj zarobić, a zyskawszy majątek, również jak najprędzéj kraj opuścić. Oglądają oni dobra nasze: grunt znajdują doskonałym, a należące doń lasy i bory zupełnie stosownemi by obficie kieszenie wypełnić. Przybywszy robią obrachunek, że ten a ten las, tyle a tyle tysięcy morgów ma rozległości, tyle a tyle w nim drzewa opałowego, tyle znów budulcu; pomimo tego, nie przystępują jeszcze do kupna, wprzód jadą do Szczecina lub Gdańska, by tam znaleźć kupców na to drzewo, a gdy ich znajdą i nawet zadatek na projektowany interes dostaną, natenczas wracają i do kupna przystępują. A kupując, czém płacą ugodzoną wartość? oto summami wyciągniętemi z lasów, a wyciąwszy lasy, równie szybko jak przybyli, wynoszą się z kraju. Gdy pozwolicie panowie, to wam w tym względzie, jeźli nie z wszystkich powiatów, coby niepodobném było, przecież z bardzo wielu, wydatne przykłady popierające twierdzenie moję przedłożę. Naprzykład, znam u nas bardzo wielkie dobra, które w trzech latach, cztery razy sprzedanemi zostały. (Słuchajcie, słuchajcie!)

Pierwszą razą 20,000, drugą razą 15,000, trzecią razą 35,000 talarów wyciągnięto z lasów. Każdy z tych posiedzicieli tylko o to się starał, by w jak najkrótszym czasie, jak największe zyski wyciągnąć, żaden nie pomyślał o tém, by użyć słów szanownéj komisyi, aby majątek swój i siły swoje kulturze dóbr tych poświęcić. (Wielki śmiech i brawo na lewéj stronie Izby).

„Nie prawdaż panowie, to brzmi ładnie i niewinnie, ale dla W. Księstwa Poznańskiego podobne wypadki nie mają wcale tak niewinnych skutków. (Śmiech).

Wierzajcie mi, kto do nas przychodzi z pieniędzmi, chce się okupić i odpowiada warunkom, które przepisują ustawy stanów powiatowych, przeciw temu nikt nic mieć nie będzie, ale przeciwnie Boże strzeż nas, przed wyżéj opisanymi kolonistami. I tych ostatnich chcecie uwolnić od warunku trzechletniego posiadania? bezwłocznie mają być uprawnionymi zasiadać i głosować? czyż można po nich czego użytecznego dla kraju się spodziewać? Czyż mogli się obznajmić ze stosunkami prowincyi? Czyż pozyskali już ogólne poszanowanie, by zdolni byli ze skutkiém, pilnować interesów powiatu? Otoż *nie!* i stokroć *nie!* Zaledwie po upływie trzechletniego czasu na pytania te będziecie mogli stanowczém *tak* odpowiedzieć. Nie wątpię panowie, że przejęci uczuciem sprawiedliwości dla prawdziwych i trwałych interesów W. Księstwa, będziecie chcieli w tym względzie coś właściwego uczynić. (Tak, tak).

„Biorę was za słowo panowie. (Śmiech).

„Chociaż nie będziemy mogli zapobiedz temu, by spekulanci żywotne soki nasze nie wysysali, to przynajmniéj zapobieżmy temu, aby im za prędko i bez potrzebnego doświadczenia, przyznaném było prawo stanowe tak przeważném w zdrowym organizmie państwa. (Śmiech).

„Co do tego punktu, wszystko już powiedziałem, a ponieważ o to jedynie chodzi, aby wymazany ustęp przez komisyą z projektu prawa przez rząd wniesionego, znów wpisanym i przyjętym został, nie wątpię przeto panowie, że w zgodzie z ministerstwem, które tego prawa wyjątkowego nie proponowało, przy wotowaniu, głosami waszemi zdanie moje poprzecie."

„Dalszy punkt o którym tu mówić muszę, tyczy się tylokrotnie przy tym §. 3cim dyskutowanéj kwestyi, o przyjmowaniu posiedzicieli ziemskich do stanów powiatowych, co po długiéj dopiero walce według wniosku komisyi, dla Szląska i innych prowincyi przyjętém zostało, myślałem, że i W. Księstwo Poznańskie z tego skorzysta, ale nie — i otoż znów ukazuje się stan wyjątkowy. Kilka lat już jestem członkiem téj Izby, wiele już w tym czasie w tym względzie nieprzyjemnego i dotkliwego doznałem, zawsze jednak tuszyłem sobie, że nieprzyjemne, dotkliwe, przecież raz koniec weźmie, koniec wziąść musi, ale jakżeż gorzki zawód! jak nić pajęczyny to samo wciąż się snuje. (Śmiech).

„Nie śmiéjcie się panowie, bo rzeczywiście to bolesne, ale nie wesołe.

„Dziś uchwaliliście, że wszystkie prowincye w tym względzie posiadać będą przywilej przyjmowania i tylko nieszczęśliwe Poznańskie znów ma być wyjętém od korzystania z przywileju tego. W czémże tak strasznie zawiniliśmy, że nas w każdy możliwy sposób karzecie? Nie dawno słyszeliśmy z ławy ministrów, że czas równouprawnienia jeszcze nie nadszedł. Chciałbym raz przecież wiedzieć, kiedy ten czas ma nadejść, kiedy rzeczywiście nadejdzie?

„Zupełny pokój panuje u nas, podatki nasze płacimy regularnie, kraj nasz znajduje się w stanie, w jakim tylko rząd go sobie życzyć może, a przecież pomimo tego pozbawieni jesteśmy wielu praw, któremi inne prowincye tak hojnie obdarzone bywają. To się tyczy nietylko ustępu §. 3. o ile go komisya dla nas wymazanym mieć życzy, ale także dodatku komisyi do tegoż paragrafu, co do prawa przyjmowania, w którém tak wielkie korzyści są zawarte, że z wielkim żalem patrzeć musimy, iz mamy być z nich ogołoceni. Musimy przeto życzyć sobie i żądać, aby to, co jako korzystne i pożyteczne innym prowincyom przyznaném zostało i na nas się rozciągało. Słyszeliśmy dziś z ust jednego mówcy, że czasem zdarza się, iż ktoś na zebranie stanów powiatowych przychodzi, którego nikt nie zna, — to panowie jest brak wykształcenia, bo dobrze wychowany człowiek, każe się przedstawić. (Słusznie, prawdziwie).

„Drugi mówca, którego słyszeliśmy, wyrzekł, iż nie życzy sobie, aby jak się to zdarzać miało, przychodzono na zebrania stanów powiatowych z długiemi fajkami. (Śmiech).

„Takich wypadków nie było panowie, u nas w Księstwie, w tym względzie jesteśmy w postępie. Ale mimo tego pragnę mocno, ażeby pięciu wschodnim prowincyom udzielone prawo próbowania osób przedstawionych do stanów powiatowych i warowania praw stanowych, prawo tak ważne w skutkach i nam przyznaném zostało. Nie mogę sobie wystawić panowie, aby złe u was miało być większém, jak u nas, które żądanie prawa podobnego usprawiedliwia. Zdaniem mojém wszyscy jesteśmy sobie podobni, podobne mamy błędy i słabe strony i sądzić muszę, że jeźli myślicie że sześć wschodnich prowincyi według jednego i tego samego modelu co do organizacyi urządzić trzeba, natenczas i tam, gdzie o prawdziwy honor

i uczciwość chodzi i W. Księstwo Poznańskie według tegoż samego modelu urządzicie. (Żywe brawo).

„Z tych względów wnoszę o przyjęcie dodatku komisyi do §. 3go i dla nas.”

Mówa deputowanego Pilawskiego wielkie zrobiła wrażenie, zupełnie zdecydowała kwestyą na korzyść W. Księstwa. Pan Mollard starał się odpowiedzieć, ale tak zagrzązł w własnych pochwałach o nieskończonych dobrodziejstwach, które przybyciem swojém na Księstwo sprowadził, że zdaje się, iż przypomniało się słuchaczom właściwe przysłowie łacińskie, a mówca najzupełniéj przegrał swą sprawę i na śmiech się wystawił.

Po panu Mollard przemówił minister spraw wewnętrznych i oświadczył się przeciw wymazaniu co do Księstwa przez komisyą uchwalonemu, jednéj części §. 3. względem trzechletniego posiadania; uznał daléj, że ogólne powody przytoczone ku uzasadnieniu dodatku komisyi co do prawa przyjmowania do stanów powiatowych i na Księstwo rozciągnionemi być winny. Przyszło do głosowania i w obu punktach których mową swą dotknął deputowany Pilawski, Izba według ogłoszenia prezesa, prawie jednomyślnie, za zdaniem mówcy naszego się oświadczyła. Na tém kończymy sprawozdanie o ile tyczy się ordynacyi gminnéj, powiatowéj i prowincyonalnéj, większego bowiem udziału deputowani nasi w kwestyi téj już nie mieli. Rzeczywiście téż jedna tylko przeważna kwestya na tém polu jeszcze ich czekała, to jest kwestya policyi, komisarzy dystryktowych. Komisya Izby I. na tymczasowe zatrzymanie tych ostatnich zgodziła się, ale rzecz nie była uchwaloną ani dyskutowaną przez Izby obie; ostatecznie więc dopiero na najbliżéj sesyi rozstrzygniętą będzie.

C. Budżet.

W kwestyi budżetu, właściwie deputowani nasi ani w komisyi, ani w obradach Izb nie występowali pośrednio, jednak o ile przedmiot ten z interesami Księstwa wiązał się, pilny i przeważny udział mieli wyjaśniając stan i użycie funduszów edukacyjnych w wniosku deputowanego Cieszkowskiego, tyczącym się ogółu stanu edukacyj w Księstwie, jako téż w koreferacie do budżetu ministeryum oświecenia, redakcyi pana Otto, do którego deputowani nasi starali się dostarczyć stosowne materyały o ile chodziło o wyjaśnienie stanu funduszów, Księstwu właściwych. I na tém więc polu obowiązków swych nie zaniedbali. Publicznie wystąpił tylko deputowany Stablewski w Izbie I, wprawdzie nie przy dyskusyi budżetu, ale przy kwestyi z budżetem się wiążącéj, to jest przy zdaniu sprawy z użycia funduszów przez Izby przed kilku laty uchwalonych, na utrzymanie i wychowanie sierot potyfusowych górnoszląskich. Pan Frankenberg-Ludwigsdorf, niegdyś prezes najwyższy sądownictwa w Księstwie, był referentem komisyi Izby I. w téj materyi. Dość to powiedzieć by dać do zrozumienia, że nie mogło się obyć w raporcie bez gorzkiego dotkliwego słowa na szczep polski. Pan Stablewski wy-

brany w miejsce hr. Działyńskiego, który dla słabości zdrowia mandat złożył, wszedł był do Izby dniem jednym przed temi obradami jakby szczęśliwego trafu zrządzeniem, by to dotkliwe, krzywdzące i bolesne słowo, nie zostało bez odpowiedzi. Głos jego tém był wymowniejszym że materya nie była mu obcą, bo już w niéj w podobnychże okolicznościach mówił był przed dwoma laty w Izbie IIgiéj. Izba jednakże nie spodziewała się wcale dyskusyi i tém głębiéj uderzoną została silnemi naszego deputowanego słowami. Świetną tę a treściwą mowę podajemy w całości.

Głos posła Erazma Stablewskiego, miany na dniu 21. kwietnia r. b. w Izbie I. (Urzędowe sprawozdanie stenograficzne str. 914).

Panowie! Zaledwo w wasze dostojne grono wstąpiłem, a już widzę się zmuszonym, głos zabrać nie przeciw konkluzyi, do której przyszło sprawozdanie waszéj komisyi, lecz w zamiarze odparcia jednego z powodów tegoż sprawozdania, który mi się na tém miejscu, zdaje być równie fałszywie jak niesłusznie przywiedzonym.

Na drugiéj stronie tegoż sprawozdania na nowo przytoczone są *zwyczaje, niskie ukształcenie i zupełny brak usposobienia do jakiegokolwiek zawodu* — mniemane wrodzone wady szczepu słowiańskiego — jako główne powody owéj nędzy, która na ludność górno-szląską sprowadziła tyfus z nieszczęsnemi następstwy.

Sprawozdanie wasze popada po raz drugi w dawniejszy błąd, mięszając z sobą przyczyny i skutki, czemu tém więcéj się dziwię, że go popełnia szanowny sprawozdawca, o którym sądziłem że długoletni jego pobyt w W. Ks. Poznańskiém, mógł go był dostatecznie przekonać o cywilizacyjném uzdolnieniu sławiańsko-polskiéj narodowości.

Sławiańska narodowość w Górnym Szląsku jest taż sama co w W. Ks. Poznańskiém i właśnie ten smutny stan górno-szląskich Sławian musi tém samém nam Polakom w W. Ks. Poznańskiém *wierny przedstawiać obraz tego co nas czeka*, jeżeli system rządu w obec nas się nie zmieni.

Panowie! Zarzucacie nam brak ukształcenia — a przecież wiecie dobrze, że wnioski uczonego mego przyjaciela Cieszkowskiego, o pomnożenie zakładów naukowych dla nieszczęśliwych moich rodaków, powtarzają się corocznie w drugiéj Izbie — zawsze bez skutku; — przecież nie jest wam tajném, że przy obradach nad pierwszém sprawozdaniem o stanie sierot górno-szląskich, sam rząd przyznał, że w samym Górnym Szląsku braknie 470 szkół i 580 nauczycieli, — przecież nie może być wam obcém, że rząd od lat pięciu wakującéj katedry sławiańskich języków i literatury przy uniwersytecie wrocławskim nie obsadza; że owszém uczącéj się tam polskiéj młodzieży nie dozwala nawet w prywatném naukowém stowarzyszeniu nabierać wyższéj znajomości polskiego języka i literatury, do czego jéj zbywa na sposobności po uniwersytetach pruskich.

Zaiste, jeżeli rząd, nie mając żadnego względu na narodowe stosunki *zaszczepia* wedle raz przyjętego wzoru, z gruntu obce żywioły w życie polskiéj ludności; wtenczas nie można się dziwić, że nauka mało przynosi pożytku, że dzisiejszy apparat szkolny wychowania ludowego — jak go nazwał jeden z mówców drugiéj Izby — *bezskutecznym* się okazuje.

Sprawozdanie waszéj komisyi odmawia sławiańskiéj ludności Górnego Szląska *wszelkiego usposobienia do jakiegokolwiek zawodu.* Przy podobném zapatrywaniu się, mogłaby łatwo znaleźć się druga Beecker Stowe, którąby ten stan opłakany uznała za godny szczegółowego opisu.

Lecz pytam się was panowie, znajdująż się w ogóle ludzie *nieusposobieni* do przyjęcia oświaty? uznając człowieka jako człowieka, nie widzi-

myż się zmuszeni, uznać zarazem usposobienia jego do wszelkiego wykształcenia się?

Mógłbym wam jednak na licznych okazać przykładach, że i owa, jak mniemacie, niezdolna do kultury, sławiańsko-polska, Górnych Szlązaków rasa, czułą jest na oświatę i wszelkie lepsze cywilizacyjne wpływy. Pomijam odnoszące się do przeszłości przykłady, wspomnę wam tylko z obecnego czasu i zapytam: dla czegoż to właśnie w Górnym Szląsku katolickie misye tak zbawienny wpływ wywarły? dla czegoż to w sąsiednich krajach, pomiędzy mieszkańcami tegoż samego szczepu, pomyślniejsze i pożądańsze przedstawiają się stosunki? Odpowiedź na to jest niedaleką. W pierwszych, polscy duchowni umieli się zastosować w mowie, wyobrażeniach i w sposobie myślenia do sławiańskiéj ludności kraju; z tamtéj zaś strony granicy, zostawiono dotąd językowi sławiańskiemu, — przynajmniéj w naukowym zawodzie — prawo wolnego używania.

Nieomal wszystko, co dotąd ludowi górno szląskiemu, z jego uczuć, myśli i wspomnień pozostawioném zostało, uciekło się pod opiekę katolickiéj religii. Uznał to ś. p. książę biskup wrocławski kardynał Diepenbrock, którego zgon dziś opłakujemy, gdy przedewszystkiém starał się o stosownych i polskiego języka świadomych kapłanów, aby przez nich tém zbawienniejszy wpływ mógł wywierać.

W obec takich faktów, łatwą zaiste i dogodną jest rzeczą, osłaniać winę swą zarzutami nieuzdolnienia do oświaty i brakiem usposobienia do praktycznego zawodu.

Panowie! Daleki jestem od tego, abym wam odbierał wiarę waszą w wielkie i szlachetne przymioty niemieckiego narodu: ale niechaj duma z ich posiadania, nie czyni was niesprawiedliwymi do tego stopnia względem innéj narodowości, abyście ją obrzucać mieli krzywdzącemi zarzuty; zostawcie i Polakowi jego wiarę w wysokie przeznaczenie jego narodowości, zostawcie mu jego miłość do ojczystego języka — zostawcie mu jego zapał do lepszéj przyszłości. Jeżeli zaś w zarzucie braku wykształcenia sławiańskiéj ludności Górnego Szląska jest coś prawdziwego, użyjcie tych właśnie sierot za zwiastunów, aby kiedyś świadczyć mogły o sprawiedliwości rządu pruskiego względem ich polskiego rodu! Przestańcie pod humanitarnym płaszczykiem wychowania, ukrywać smutne zamiary wynarodowienia, bo nie łudźcie się panowie! Opatrzność przeznaczyła nas Sławian do czegoś wyższego, jak li tylko na wiecznych helotów Niemiec!

Panowie! Kiedym przed dwiema laty w drugiéj wysokiéj Izbie przeciwko podobnym zarzutom wystąpił, nie spodziewałem się, aby przedmiot tak niemiły, przyszedł raz jeszcze do nowych rozpraw.

My Polacy, doświadczani długo różnemi losy i przekonani, że prośby i skargi nasze w obec rządów są niestety głosem wołających na puszczy, stanęliśmy w kolei czasów na stanowisku *zrezygnowanego milczenia.* Ale milczenie w obec podobnych nieuzasadnionych obelg i oskarzeń, byłoby zdradą świętéj sprawy narodowości naszéj.

Jeżeli więc panowie! narodowości naszéj podobnemi zarzutami wyzywać nie przestaniecie, będzie to dla nas obowiązkiem honoru, zarzuty te odpierać z równą gotowością; — będzie to dla nas obowiązkiem honoru tém większym, im większéj trzeba odwagi, *aby i w czasach niedoli nie zaprzeć się swojéj chorągwi!* I dla tego tylko głos ten podniósłem.

Pan Frankenberg, jako referent zrzekł się służącego mu słowa i nic nie odpowiedział. Nastąpiła chwila ogólnego wahania się, trudno bowiem było, by niemiecka Izba zostawiła mowę pana Stablewskiego bez odpowiedzi; z drugiéj zaś strony, odpowiedź w tém położeniu rzeczy za-

wsze trudna, tą razą tém trudniejszą była, że Izba żadnéj dyskusyi nie przypuszczała, a więc nikt przygotowanym nie był. Aby zyskać czas do namysłu, wysłano naprzód na trybunę pana Pulvermacher, który nie wspomniawszy nawet co dopiero słyszanéj mowy, wynurzył tylko swą wdzięczność rządowi za przeznaczone fundusze, zaś naczelnemu prezesowi Szląska, za opiekę nad sierotami górno szląskiemi. Namyśliwszy się dopiero w czasie mowy pana Pulvermachera, wystąpił pan Brüggemann z odpowiedzią p. Stablewskiemu. Zaczął od wynurzenia żalu, że znalazły się słowa w raporcie komisyi, które dały powód do wystąpienia pana Stablewskiego; zdaniem jego jednak; nie były one tak uwłaczającemi szczepowi sławiańskiemu, jak polski deputowany osądził. Popierał pan Brüggeman swe przekonanie wywodem gramatykalnym znaczenia pewnych wyrazów w związku z innemi; dowodził, że stan zakładów edukacyjnych przez porównanie z przeszłością sądzonym być winien i utrzymywał, że z takowego porównania wypłynąć musi zupełne uznanie prac i starań rządu w tym kierunku. Tego uznania dla rządu żądał nietylko co do Szląska. ale i co do Księstwa i Prus, w ogóle do prowincyj przez ludność polską zamieszkałych. Jako dowód gorliwości na tém polu, wymienił założenie na Górnoszląsku seminaryum nauczycielskiego polskiego. Niemniéj przyznał mówca, że to, co istnieje pod względem zakładów edukacyjnych w trzech prowincyach przez Polaków zamieszkałych, wcale nie odpowiada ich potrzebom, ani stosunkowo tym urządzeniom, które taki zaszczyt przynoszą rządowi w innych prowincyach monarchii; twierdził dalej, że rząd sam uznaje, że to co szczepowi polskiemu winien w téj mierze, nie jest wyczerpaném i dla tego i w obecnéj chwili pilnie się zajmuje ministerstwo oświecenia założeniem nowego gimnazyum w Księstwie Poznańskiém i tylko na kwestyi funduszów rzecz się dotąd zahacza. Przedostatnie zeznanie p. Brüggemana, niesłychanie jest ważném, bo chociaż w téj chwili mówił w charakterze deputowanego, wiadomo przecież, że on stoi na czele wydziału zakładów edukacyjnych katolickich w ministerstwie oświecenia. Gdyby mowa pana Stablewskiego żadnego innego skutku nie była przyniosła, jak to zeznanie przez tak wysoko położonego urzędnika, jużby nie została bez rzeczywistych korzyści. Po p. Brüggemanie, mówił jeszcze deputowany Prittwitz osiadły obywatel w Szląsku. Zacząwszy od zapewnienia, że rząd robi co tylko w jego możności dla szczepu polskiego na Szląsku, jak najsilniejsze wynurzył potępienie dla słów użytych o tym szczepie w raporcie komisyi, jako całkiém niezasłużonych. Dla złagodzenia jednak tego potępienia, zaprzecza także twierdzeniom i sądowi pana Stablewskiego, upatrując głównie powody nędzy i braku oświecenia w ludzie górnoszląskim, najprzód w nieżyzności ziemi którą zamieszkują, powtóre w zatrudnieniach mniéj rólniczych, a więcej górniczych, fabrycznych, co ich od domu, od ogniska rodzinnego odrywa, a więcéj na życie po wielkich drogach wskazuje. Na mowie pana Prittwitza skończyła się dyskusya: wniosek komisyi, do którego nikt zmiany nie proponował, bo pan Stablewski prze-

ciw pewnym tylko twierdzeniom i wyrażeniom a nie wnioskom komisyi swą świetną protestacyą założył, jednomyślnie przyjętym został.

Z materyi budżetu nie mamy już nic więcéj do nadmienienia o czynnościach posłów naszych w niniejszém sprawozdaniu.

D. Kwestye katolickie.

Ostatnim przedmiotem, który cały i niepodzielny interes i współudział deputowanych naszych wywołać musiał, były wszystkie w Izbach traktowane kwestye katolickie. Wszakże na tém polu walka w pierwszéj linii, nie była zadaniem i z względu na dobro spraw i interesów katolickich, i nie powinna była być niém dla deputowanych naszych nie była dla nich zadaniem, bo frakcya niemiecko-katolicka, trud ten w zupełności i jak najdokładniéj podejmowała; nie powinna była być niém, bo imię polskie przyczepione na czele jakiego wniosku katolickiego jużby było wystarczyło by rzecz przesądzić i potępić w tych Izbach. Niemniéj jednak frakcya nasza, od frakcyi katolickiéj tylko interesem polityczno-narodowym odróżniona, w kwestyach zaś religijnych zupełnie ten sam interes reprezentująca, miała najściślejszy obowiązek w każdéj chwili szczerze w tych kwestyach frakcyi niemieckiéj pomagać.

Z obowiązku o którym mowa, frakcya polska wywiązała się jak należy. W sprawach religijnych porozumiewały się dwie frakcye, jednoczyły, razem postępowały; w innych zachowywały swoją odrębność.

Zlania zupełnego w kwestyach niereligijnych nie było i być nie mogło, bo tu dzielił i dzielić musiał interes dla nas wyłączny, odrębny, polityczno narodowy. Konieczne to odróżnienie od frakcyi katolickiéj, mimo, że deputowani nasi jedno ciało z nią tworzyli w kwestyach religijnych, dostateczném było nieprzyjaciołom naszym, by nas w Rzymie oczernić i z dobrego wiemy źródła, że zapewne z powodu, iż z narodowego stanowiska, na polu politycznem, osobną oni frakcyą od frakcyi katolickiéj stanowili i w kwestyach politycznych, nie zawsze jedną szli drogą, wystawiono w Rzymie w wysokich sferach frakcyą polską jako nietylko nie będącą w ciągłém porozumieniu z frakcyą katolicką, ale zupełnie naprzeciw téj ostatniéj stojącą. Nowym to tylko jest dowodem, jak potwarz na nas wszędzie ściga, a zarazem winno być pobudką największéj oględności na przyszłość w stosunkach z frakcyę katolicką, by i pozoru nie podać do oszczerstwa, że kierunek przeciwny katolickiemu mógłby być kiedyśkolwiek naszym.

Przechodząc czynności posłów naszych w ostatnich Izbach, najmocniéj tą razą o bezzasadności podobnych oskarzeń przekonać się możemy. Deputowani nasi wszystkie wnioski katolickie bezwzględnie podpisami swemi wzmacniali; przy głosowaniu w kwestyach religijnych z frakcyą katolicką się nie rozmijali, w pracach frakcyi katolickiéj najżywszy udział brali i o ile możności pomoc nieśli. Jako dowód godzi się przytoczyć, o czém już wspomnieliśmy, dostarczanie materyałów do pracy katolickiéj koreferatu Ottona, daléj przedstawienie akt proboszcza

kościańskiego w sprawie missyi jezuickiéj, co najsilniéj poparło wniosek katolicki przeciw przekroczeniom władz miejscowych w tym razie. Dla wyżéj dotkniętych powodów nie zabierali Polacy głosu w dyskusyach katolickich, niechcąc przeciwnikom interesów katolickich dać sposobności piętnowania kwestyi katolickich, jakąś stronnością, lub ukrytém dla polskości działaniem, którego to środka bardzo chętnie i niezawodnie by się chwycono. Gdy jednak gwałtem wmięszano narodowość naszą w dyskusyi o ograniczeniach misyi jezuickich, natenczas w całéj żywości rozdrażnionego uczucia odpowiedział ministrowi wyznań Gustaw Potworowski.

My z tém większą skwapliwością uznajemy trafność postępowania deputowanych naszych, że nagleni troskliwością o dobro kraju i sprawy katolickiéj wynurzyliśmy byli na początku minionéj sesyi niejaką obawę i powątpiewanie, czy wszyscy nasi deputowani i we wszystkich możebnych przypadkach, będą zarówno rozumieli, iż niczém niezachwiana obrona stanowiska katolickiego najwłaściwiéj im przystoi.

Obawa nasza miała ważne powody, pokazało to potém skrzętnie do Rzymu zaniesione oszczerstwo. Szczęśliwi jesteśmy, że nieprzyjaciele nasi w tym razie zaskarzeń swoich na niczém oprzeć nie mogli.

Oprócz udziału i czynności deputowanych naszych, w czterech materyach najważniejszych, którem ubiegłe Izby się trudniły, a w których stanowisko i działanie posłów naszych dopiero co skreśliliśmy, dwie sprawy jeszcze wywołały ich na trybunę: — 1mo. Niepotwierdzanie polskich radzców ziemstwa kredytowego przez ministerstwo; 2do. Petycya mieszkańców przedmieść poznańskich wnoszących o wynagrodzenie szkód, jakie w majątkach swych ponoszą w skutku budowli fortecy poznańskiéj. —

Niepotwierdzanie przez ministerstwo polskich radzców ziemstwa kredytowego, poruszono na drodze interpellacyi do ministeryum, którą to interpellacyą w imieniu swych kolegów zredagował i wniósł deputowany Radoński, a obszernym i dokładnym wywodem stanu rzeczy, z trybuny poprzeć zamyślał; tymczasem minister spraw wewnętrznych krótko odpowiedział, że na interpellacyą tę nie odpowie: skutkiem czego pan Radoński wcale do głosu nie przyszedł; cel jednakże interpellacyi téj zupełnie osiągniętym przez posłów naszych został, bo odmowa od powiedzi za nic innego wziętą być nie może, jak za najuroczystsze przyznanie, że żadne powody legalne do niepotwierdzania polskich radzców ziemstwa nie istnieją, gdyby bowiem minister był miał jakiekolwiek powody choćby tylko mniéj więcéj słuszne do przytoczenia, niezawodnie nie byłby milczał, bo byle jaka odpowiedź pozornemi wywodami okraszona, zawsze w naszych sprawach daje ministrowi łatwe zwycięstwo w obec Izb tak mocno przeciw nam uprzedzonych; milczenie ministra było największym naszym tryumfem i najuroczystszém przyznaniem słuszności zażaleń w interpellacyi zawartych.

Przy petycyi mieszkańców przedmieść poznańskich o szkody, jakie ponoszą przez budowę fortecy, nie tak snadno dyskusya uciętą

być mogła. Przyszedł też do głosu deputowany Bentkowski i w obszernym wywodzie, w którym okazał zasób jak najróżnorodniejszych wiadomości, unikając dotknięcia strony drażliwéj, strony polityczno-narodowéj, li by petycyi nie zaszkodzić, wniósł by ta petycya do ministerstwa odesłaną była. — Nie utrzymał się jednak w Izbie z wnioskiem swoim, mimo umiarkowania i gruntownego wykazu słuszności żądań w petycyi zawartych, a dla czego? bodaj czy nie prawdziwą racyą podał korespondent berliński gazety niemieckiéj poznańskiéj, który pisząc o tém posiedzeniu, uznaje ważność petycyi i twierdzi, że zapewne byłaby została przesłaną przez Izbę do uwzględnienia ministerstwu, gdyby kto inny nie deputowany polski w obronie jéj był wystąpił. Zeznanie to smutnie charakteryzuje położenie w Izbach posłów naszych, tém więcéj, iż jak już rzekliśmy, wywód deputowanego Bentkowskiego był gruntownym, ze znajomością rzeczy skreślonym i umyślnie zdala wszelkie polityczne względy pomijającym.

Z wystąpień deputowanych niemieckich, dwa tylko bliżéj nas interesować mogą: pierwsze deputowanego Renarda przy sprawdzeniu mandatu w Górnym Szląsku wybranego księcia Lichnowskiego; drugie pana Gerlach, gdy chodziło o zniesienie prawodawstwa z 11. marca 1850 r. — Pan Renard obszernie w tym razie mówił o szczepie polskim, przyznał niepodobieństwo zniemczenia rodu naszego, przyznał niemożność rządzenia Polakami według pojęć i trybu biorokratycznego niemieckiego i skończył ustęp mowy nas się tyczącéj, że niezawodnie zastęp deputowanych polskich widzianoby na ławach po prawéj stronie Izby, gdyby krajami przez Polaków zamieszkałemi rządzono z uszanowaniem ich narodowości, z uwzględnieniem ich zwyczajów, obyczajów i temperamentu. Pan Gerlach znów widząc w kwestyi zniesienia prawodawstwa 11. marca 1850 posłów naszych za rządem i prawą stroną Izby, winszował sobie i krajowi tego szczęśliwego wypadku i wynurzył życzenie, by zgoda ta, była fundamentem porozumienia się i pokoju między dwoma narodami (Nationen).

Kończąc niniejsze sprawozdanie, niech nam się godzi raz jeszcze powtórzyć, że i w téj sesyi deputowani nasi okazali się godnymi zaufania w nich położonego. Odrębność, solidarność w swém gronie a niepodległość od innych stronnictw, ściśle przez nich zachowaną i jako już tradycyonalnie wyrobiona zasada przyszłym Izbom, pomimo głośnego wyjątku pana Taczanowskiego, przekazaną została. Na drodze katolickiéj szli śmiało i stanowczo, jak to obowiązkiem było reprezentacyi kraju naszego. Jedynie niektórym członkom zbyt częste żądania urlopów zarzucić można, co zawsze jest niebezpiecznem, bo się wychodzi z ciągu spraw bieżących, a przytém widzieliśmy osobliwie w ciągu téj sesyi, jakiéj wagi nie raz głos jeden bywał. Jeźli się znowu zapytamy o owoce i bezpośrednie korzyści prac i poświęcenia posłów naszych, to na czele położyć nam wypadnie dobry przykład dany krajowi, że jakiekolwiek jest nasze położenie, wszelkie nałożone nam obowiązki speł-

niać sumiennie należy i że wszędzie i zawsze mniéj lub więcéj dobrego ludzie wytrwali a umiarkowani dla ojczyzny uzyskać potrafią.

Tą razą deputowani nasi oprócz zachowania w obec Prus i Europy nieskazitelności i odrębności reprezentacyi polskiéj W. Ks. Poznańskiego, otrzymali jeszcze i kilka praktycznych korzyści dla kraju.

Wniosek deputowanego Cieszkowskiego o szkołach, wyświecił w połączeniu z koreferatem Ottona, smutny stan zakładów wychowania, niewłaściwe użycie funduszów edukacyjnych i zaniedbanie gmachów gimnazyalnych w Księstwie. Co do ostatniego punktu już i uchwalone w Izbie wnioski, korzystnie dla nas brzmią, a wyświecenie całéj téj kwestyi koniecznie w bliskiéj przyszłości na pożytek Księstwa obrócić się musiał. Prawdzie bowiem jasnéj i na liczbach wspartéj nie podobna w naszych czasach długiego stawiać oporu. Uratowanie części §. 105. konstytucyi przez posłów naszych, zapewnia nam jakąśkolwiek reprezentacyą w prowincyi i powiatach. Nakoniec interpellacya Radońskiego nieprzeparcie raz jeszcze dowiodła, wedle jakiego systematu prowincya nasza dotąd jest rządzoną. Ale nie przestaniemy powtarzać, iż nad to wszystko przekładamy wzór i otuchę jaką deputowani nasi dali rodakom, przez sumienne dopełnienie obowiązku, acz smutnego, ale takiego, jaki jedynie w obecnéj chwili na tę cząstkę wielkiéj ojczyzny naszéj przypadał.

RYS ŻYCIA

JANA MAŁACHOWSKIEGO

senatora wojewody polskiego

zmarłego w roku 1822.

Jan Małachowski senator wojewoda polski, ozdobiony wielkim krzyżem Orła Białego i Śgo Stanisława, urodził się 25go maja 1764 roku w czasie sejmu konwokacyjnego po śmierci króla polskiego Augusta IIIgo Sasa, z ojca Mikołaja i Ewy Męcińskiéj matki, w majątku dziedzicznym dawno w rodzie jego zostającym *Konskie* w województwie Sandomierskiém położonym.

Lata dziecinne spędził w miejscu urodzenia, gdzie rodzice jego ciągle przebywali, nie opuszczając zacisza chyba powołani obowiązkami służby krajowéj i obradowaniem na sejmach narodowych. Dom ich, jak wszystkie domy staropolskie, był wzorem gościnności; majątek zaś znaczny dozwalał współobywateli na okół mieszkających hojnie przyjmować. Radość tam wielka powitała narodzenie pierwszego syna, którego chciał czcigodny ojciec wychować starannie i usposobić na godnego sługę narodu, bo widział ze smutkiem jak zepsucie powszechne groziło ojczyźnie wielką klęską i upadkiem. Pielęgnowali oboje rodzice starannie dziecię swoje, małego Jasia, matka sama uczyła czytać i pisać, ojciec zaś dziejów narodowych i języka łacińskiego, i tak szczęśliwie przeżył on lat dziewięć życia swojego.

Wtedy postanowiono oddać go do szkół księży pijarów. Jakoż w roku 1773 rektor konwiktu pijarskiego, ks. Strzelecki, przyjechał i zabrał z domu rodzicielskiego młodego Jana Małachowskiego do Warszawy dla umieszczenia go w szkole szlacheckiéj na Zoliborzu. Rozdział ten nie odbył się bez żalu rzewnego i dziecka i rodziców, ale w owym czasie w Polsce istniało bardzo słuszne przekonanie, że dla usposobienia do-

brego młodzieży do życia publicznego w kraju wolnym niezbędnie potrzeba wychowywać ją w szkołach, gdzie zawczasu wprawiała się przez chwalebne współzawodnictwo do zapasów, które ją czekały w służbie ojczyzny.

W krótkim czasie po przybyciu do konwiktu młodego Jana, nastąpił smutny wypadek, który sprawił na umyśle jego wielkie wrażenie. Umarł ks. Stanisław Konarski pijar.

Po dziesięciu latach przebytych w szkole, Jan Małachowski ukończył świetne nauki, złożył egzamina maturitatis i natychmiast a łatwo wszedł w stosunki społeczne przez liczną w urzędowaniu będącą rodzinę w Warszawie. Nie tracąc chwil drogich młodości na rozpuście i próżnowaniu, umieszczony został jako asesor przy sądach referendarskich stryja swego Stanisława Małachowskiego, późniéj marszałka wiekopomnego sejmu czteroletniego, aby zawczasu sposobił się do dalszych usług obywatelskich. W tych to sądach toczyły się sprawy włościan ze starostami. Tam też oni w stryju i synowcu znajdowali gorliwych i sprawiedliwych opiekunów. Sądy te odbywały się przykładnie i zadawały fałsz mniemaniu, jakoby klasa rolników była uciemiężaną i bez żadnéj nad sobą opieki. Późniéj nieco dla obznajomienia się z sądownictwem krajowém, przeszedł jako asesor koronny pod prezydencyą drugiego stryja, podkanclerzego koronnego.

Ojciec Jana, wojewoda sieradzki, widząc w synie tak dobre usposobienie i pracowitość, ustąpił mu w owym czasie, za zezwoleniem królewskiém, starostwo i juryzdykcyą opoczyńską, gdzie wjazd solenny odbywszy wśród licznych obywateli sąsiednich, przysięgę wykonał na wierność i usługi króla i narodu. Wiadomo że nadanie starostw było jedyném wynagrodzeniem obywateli za usługi krajowe; starostwo to też przez lat sto przeszło już zostawało w rodzinie, któréj wszyscy członkowie służbie publicznéj zawsze się poświęcali. Działo się to w latach 1783 i 84tym, w którym to czasie utracił Jan babkę i ojca swego, co boleścią serce jego napełniło, i znagliło go do zajęcia się i opiekowania majątkiem i interesami rodzeństwa młodszego, kiedy sam nie miał więcéj jak lat 20cia. Atoli nie długo w domowém zaciszu pozostać zdołał. Okazane zawczasu zdolności umysłowe a nadewszystko zacność duszy były powodem, że wnet do wyższych godności przez króla powołany został. Zaufanie i szacunek jakie umiał wzniecić we współobywatelach, młody, bo ledwie lat 22 liczący, sprawiły że go obrano naprzód deputatem do trybunału z województwa Krakowskiego, a wkrótce potém marszałkiem w Piotrkowie. W niedługim zaś czasie ozdobionym został w dowód zadowolnienia ze strony króla wielką wstęgą orderu Śgo Stanisława. Sądy marszałkowskie w trybunałach koronnych piotrkowskim i lubelskim, były niezawodnie krajową owczesną magistraturą jedną z najwyższych i najważniejszych. Rozrządzały życiem i majątkiem obywateli. Urząd marszałka wymagał niepospolitéj cnoty, stałości i bezstronności. W czasach szczególnie gdzie możnowładztwo nieraz nadużywało swéj wziętości, stawał się obowiązkiem trudnym, delikatnym i śliskim.

Zdołał jednak szczęśliwie wypełnić go Jan Małachowski, przez miesięcy 16cie ciągle, w sposób który mu zyskał miłość i szacunek wszystkich. Była to zaiste jedna z najpiękniejszych chwil jego życia, kiedy wdzięczni za pracę i sprawiedliwość współobywatele, w ogromnéj liczbie zjechali się do Lublina, aby obchodzić dzień jego imienin 16go maja i okazać mu swoją i kraju całego wdzięczność. Ucztę zgotowano owczesnym zwyczajem w klasztorze Ojców dominikanów. Za godło przy wejściu umieszczono napis, cechujący owe czasy wszczynających się niezgód:

Tu się Litwa z Koroną łączyła,
Tu jedność w trybunale jak nigdy nie była.

Wynagrodzony tym sposobem sowicie za swe prace i uszczęśliwiony Jan Małachowski, udał się do dóbr swoich Konskie w województwie Sandomirskiém, aby przyjąć i podejmować przez dni dwa przejeżdżającego z Kaniowa z powrotem do Warszawy króla. Wtedy Stanisław August, uwiadomiony o nowych zasługach marszałka, ozdobił go wielką wstęgą orderu Orła Białego.

Całe życie wspominał z radością i zadowolnieniem owczesną chwilę swojego urzędowania, Jan Małachowski. Szczęśliwe posiadając przekonanie i czyste sumienie, że sprawiedliwość święcie wymierzał i nie jednego uszczęśliwił. Wspominał z upodobaniem zawsze dramatyczne wypadki sądownictwa. Raz uratował życie chłopa skazanego dekretem starosty lubelskiego na karę śmierci za ukradzenie konia. Przez to ściągnął na siebie nieukontentowanie i niełaskę pana Mniszka, owczesnego starosty. Działo się to mocą prawa jakie posiadał marszałek trybunału, nakazania *in appellatione,* powtórnego procesu i rewizyi pierwszego.

Po odbytych szczęśliwie sądach trybunalskich w 1788 r., udał się Jan Małachowski do dóbr swoich dla wypoczynku po pracach, a nieco później puścił się w podróż do wód szląskich, następnie zaś do Drezna, gdzie został przedstawiony elektorowi owczesnemu saskiemu, Fryderykowi Augustowi, później królowi i księciu warszawskiemu przez p. Zamoyskiego ministra elektora trewirskiego. Wtenczas zabrał uprzejmą znajomość z tym zacnym monarchą, która później miała się zamienić w poufną przyjaźń i szacunek wzajemny.

Zaledwie z powrotem do ojczyzny, powołany został Jan Małachowski do nowych dla kraju usług. Wyszły natenczas uniwersały zwołujące sejmiki do oboru posłów na sejm wiekopomny konstytucyjny. Pospieszył więc do Opatowa na sejmik tamtejszy i został jednomyślnie wybranym, wraz ze stryjem swoim Stanisławem, owczesnym referendarzem koronnym a później marszałkiem, posłem z województwa Sandomirskiego.

Na tym to sejmie w patryotycznym umyśle młodego posła, na widok obrad długo trwających nad obmyśleniem środków dźwignienia kraju przez powiększenie wojska regularnego i lepszą ogólną administracyą, powstał projekt propozycyi podatku pod nazwą *dobrowolnéj ofiary* na rzecz skarbu publicznego, mocą którego miał stan szlachecki opłacać

10 od 100, duchowny 20, a starostwa 50 od 100 od dochodów rocznych. Póżniéj projekt ten w prawo zamieniony został. W ciągu drugiego roku sejmu tego w r. 1789 stany zjednoczone uznały potrzebę wysłania do dworów zagranicznych posłów czyli ministrów, dla pielęgnowania sprawy krajowéj i pilnowania ich postępowania w okoliczności bardzo dla Polski ważnéj, to jest w czasie wojny toczącéj się z państwem tureckiém.

Wybór na posła do Saksonii padł na Jana Małachowskiego, który też niezwłocznie udał się do Drezna. Tam mu posłużyła dawniéj zabrana znajomość z elektorem saskim. Wszedł z łatwością w stosunki z dworem i z posłami polskimi u innych dworów rezydującymi. Sprawował swój urząd pilnie i gorliwie, co świadczy liczna jego korespondencya dyplomatyczna prowadzona z deputacyą sejmową do *interesów zagranicznych jakotéż osobiście z królem.* *)

W roku drugim sprawowania urzędu swego jako poseł od rzeczypospolitéj polskiéj do dworu saskiego, doczekał się Jan Małachowski pamiętnéj w dziejach chwili, w któréj naród polski widząc niedostateczną i zbyt słabą dawną formę rządu swego w obec otaczających go państw sąsiednich, co z postępem czasu wzrosły w nową wielką potęgę, przedsięwziął poświęcić dawny stan rzeczy i patryarchalny tyle wolny skład państwa zamienić na odpowiedniejszy owczesnéj epoce, przez zaprowadzenie konstytucyi nowéj z następstwem rodowém tronu. Wielkie i zaszczytne dzieło dla owczesnéj szlachty polskiéj; szkoda tylko że zbyt późno dokonane. Uskutecznione jednym wiekiem wprzód, byłoby zbawiło naród. Instytucye bowiem nowo zaszczepione, które nie miały czasu zakorzenić się i przeniknąć ducha narodu, owocu na raz wydać nie mogą! Chytrość zaś i chciwość państw sąsiednich nie dozwoliły dojść dziełu całemu do dojrzałości.

Rychło gońcem uwiadomiony o przyjętéj i zaprzysiężonéj przez reprezentantów narodu i króla samego konstytucyi w dniu 3 maja 1791, z mocy któréj uznano tron dziedziczny po śmierci Stanisława Augusta króla panującego, w rodzie elektorów saskich i osobie Fryderyka Augusta wnuka Augusta IIIgo króla polskiego i jego następców, niezwłocznie pospieszył zawiadomić o tym ważnym wypadku elektora, którego ten zaszczyt spotkał. Zacny Fryderyk przyjął postanowienie polskiego narodu z rozrzewnieniem i wdzięcznością, wyrzekł jednak: *„iż najpierwsze jego obowiązki są dla własnéj ojczyzny, że weźmie pod rozwagę „tę zaszczytną ofiarę tronu i przyjmie wtedy tylko, gdy się przekona, że „żadnego ztąd nieszczęścia na własny kraj nie sprowadzi.”*

Następnie więc rozpoczęły się konferencye ministra polskiego z ministrem spraw zagranicznych saskim hrabią *Loos* w tym ważnym przedmiocie. Przysłany też w tym celu został do Drezna od sejmu dla pro-

*) Zbiór tych ważnych dokumentów urzędowych złożony został w aktach kanclerza polskiego Chreptowicza; kopije zaś szczególnych i poufnych korespondencyi z królem i innemi osobami jako dokumenta historyczne w Tow. Przy. Nauk w Warszawie, zkąd do Petersburga zabrane zostały.

wadzenia wspólnych negocyacyi książę Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich. Konferencye internacyonalne trwały długo, do wiosny roku 1792, pomimo naglenia ze strony polskiéj; tak niechętnie gabinet niemiecki przystępował do dzieła i tak starał się w odwłokę stanowczą odpowiedź puszczać. Żądano ze strony elektora odmian różnych i modyfikacyi w uchwalonéj konstytucyi, a naprzód jako główną zasadę zażądano zmianę postanowionego konstytucyą następstwa tronu w linii prostéj, przypadającego na córkę jego, a naznaczenie i uznanie tegoż następstwa stosownie do prawa saskiego w osobach braci panującego.

Z niemałym smutkiem i żalem widział Jan Małachowski tyle złych chęci, a nawet złéj wiary w tych toczących się dyplomatycznych rozprawach. Przeniknął rychło działanie szkodliwych wpływów obcych mocarstw, a szczególnie Moskwy, która wszelkiemi siłami starała się negocyacye przeciągać, aby nic stanowczego nie zapadło przed ukończeniem wojny, którą prowadziła ze Szwedami i Turcyą i o tém donosił pilnie do Warszawy. Niecierpliwość słuszna posła polskiego wzmagała się codziennie na widok jak zły i nieszczery obrot brały negocyacye, i jak się sprawdzały wszystkie jego smutne przewidzenia. Jakoż istotnie Moskwa zawarła pokój ze Szwedami, Austrya z Prusami. Wojna turecka bliska téż była końca. Zwiększyło się widocznie porozumienie trzech dworów ze szkodą Polski; wszystkie wpływ szkodliwy na gabinet saski wywierały. Temi to okolicznościami do żywego dotknięty, razu pewnego na audyencyi u elektora oświadczył, iż przewłoki te wszystkie więcéj szkody rzepltéj przynoszą, jak szczera odmowa korony z jego strony. Zapytał się na te słowa zdumiany elektor, czyli taka jest instrukcya ostateczna jego. Na co odpowiedział poseł, iż mówi to z własnego głębokiego przekonania. Zachowaj więc pan swoje, a ja moje przekonanie, odrzekł nieco urażony elektor. W skutku jednak téj żwawéj rozprawy wysłał swego nadzwyczajnego posła p. Luben do Warszawy do załatwienia ostatecznych układów o koronę, przeprowadzenia żądanych reform w konstytucyi i podpisania *Pacta conventa*. Na nieszczęście wysłanie to ministra pełnomocnika saskiego do układów o koronę polską spełzło na niczém! — Zaledwie bowiem przybył do Warszawy i był naocznym świadkiem zapału z jakim naród cały obchodził rocznicę zaprowadzenia konstytucyi 3. maja 1792 r., dowiedział się o wydaniu wojny narodowi polskiemu przez Moskwę. Wiadomo światu całemu z jakich powodów. Napaść ta zadziwiła Europę, ale na nieszczęście tylko zadziwiła!... Wszyscy obecni ministrowie zagraniczni w Warszawie przewidywali smutny koniec walki odradzającego się narodu wolnego w siłę i potęgę wyższą, przez stosowne i szlachetne instytucye, którym czasu tylko rozwinąć i ustalić się zbywało, z mocarstwami otaczającemi silnie, bo despotycznie uzbrojonemi; a które nie wahały się pomimo tego użyć najzdradliwszych środków do dopięcia celu. Dowiedział się i donosił pilnie o fatalnem usposobieniu dworów, Małachowski. Jakoż poseł pruski Luchesini pisał do swego rządu, że obchód 3. maja należy uważać

za obrzęd pogrzebowy państwa polskiego!... Poseł angielski Hailes, tak się wyrażał: „przewiduję koniec wojny rozpoczętéj, Moskwa postąpi ku Wiśle, król opuści stronę narodową i piękna ta budowa państwa pogrążoną w ochłań zostanie.”

W niedługim téż czasie dostrzegł Małachowski z boleścią prawdziwości przewidzenia Anglika z listów odbieranych od króla, które wskazywały widoczną w nim odmianę umysłu. Tém dotknięty do żywego w uczuciach i sposobie myślenia, osądził za rzecz niepodobną i niegodną siebie, dłużéj w usługach jego pozostać, i prosił o uwolnienie z obowiązków. Nie chciał król na to zezwolić, na czasowe tylko przystał oddalenie się z Drezna. Pospieszył Małachowski do ojczyzny by dzielić losy współbraci. Na przejeździe w Wrocławiu dowiedział się z rozpaczą o przystąpieniu monarchy do konfederacyi targowickiéj. Zdążał czémprędzéj do Warszawy, gdzie zastał stan rzeczy opłakany i ojczyznę do grobu się chylącą. Piękne dzieło sejmu czteroletniego opuszczone, umysły najzacniejszych ludzi strwożone i sparaliżowane, a króla wiodącego naród i siebie w otchłań!... Zaiste dziwny to, niesłychany i do niepojęcia stan rzeczy! Naród cały tyle do swéj niepodległości od wieków ceny przywiązujący, dziś otrętwiały jakby oczarowany. Snać było przeznaczeniem jego, aby uległ i przez proby największych klęsk i nieszczęść przeszedł; aby odbywszy czasy pokuty i nabrawszy hartu, zajaśniał w nowym blasku i życiu, śmiercią zaś swoją czasową stał się nauką i przykładem dla innych narodów.

Przybywszy do Warszawy, ponowił Małachowski i mocno nalegał u króla o uwolnienie go od urzędu, które nareszcie otrzymał w najpochlebniejszych wyrazach i z nadaniem godności referendarza koronnego po stryju swym Stanisławie marszałku sejmowym.

Nadmienić tu potrzeba, że w czasie swéj misyi miał sposobność przypatrzenia się w Pillnitz zjazdowi monarchów sławnemu z powodu wybuchłéj rewolucyi francuzkiéj, poznania tam wielu znakomitych osób i dowiedzenia się z pewnością o decyzyi zgodnéj monarchów niemieckich, aby nic w sprawie polskiéj nie postanowić, ale czekać wyroku i postępowania w téj mierze carowéj Katarzyny, za któréj przykładem i namową do dzieła wspólnego rozbioru Polski późniéj czynnie przystąpili.

Otrzymawszy żądane uwolnienie po tak długiéj w kraju niebytności, pospieszył Małachowski do dóbr swoich i na łono rodziny własnéj. Lecz krótkie i tam chwile dozwolono mu było spędzić: kraj wojskiem moskiewskiém napełniony i prześladowania gorliwych Polaków, zmuszały do wydalenia się za granicę. Udał się i on do Wiednia, gdzie wielu się zgromadziło.

Tęsknota do ojczyzny w tak gwałtownych zostającéj chwilach, nie dozwoliła Małachowskiemu długo na obcéj zostawać ziemi. Wrócił do domu i wszedł w śluby małżeńskie, które przyszłość jego ustalić i zapewnić miały Lecz zaledwie je zawarł, nastąpiło powstanie narodowe pod naczelnictwem Kościuszki. Przebył pełne te czasy trwogi, nadziei i smutku wśród swoich; na wspólnych naradach i czynnościach gorliwych

o ratunek kraju ludzi, ale na nieszczęście bezskutecznych. Wiadomy światu koniec téj bezbożnéj wojny i zwycięztwo przemagającego siłą nieprzyjaciela. Po zajęciu Warszawy przez Prusaków, udał się w rozpaczy na wieś do domowego zacisza, gdzie trudnił się wychowaniem drobnych dziatek sposobiąc ich umysły zawczasu na użytek przyszły dla ojczyzny, czekając spokojnie, ale nie bez pewnéj nadziei szczęśliwych okoliczności i powstania przyszłego narodu polskiego. Jakoż zaledwie lat 10 upłynęło, kiedy wypadki polityczne nadzwyczajne i niesłychane, wstrzęsły świat cały i z posad go swoich wzruszyły.

Przestała żyć politycznie Polska w roku 1796, odżyła w 1806.

Pędem niewstrzymanym, jak potok co wszystkie zapory przed sobą niszczy, stanęło rycerstwo francuzkie, okryte chwałą w swym biegu z nad Sekwany przy Wiśle. Skoro zaś przybył zwycięzki cesarz Francuzów Napoleon do stolicy monarchii pruskiéj w Berlinie, powziął bystry jego umysł myśl szlachetną, zmazania zbrodni na Polsce wykonanéj i naprawienia błędu politycznego niesłychanego, przez państwa europejskie popełnionego w obojętności, z jaką na tę zbrodnię patrzały, przez przywrócenie choć cząstkowe i niedokładne państwa polskiego. W tym to wielkim celu powołał do siebie szczątki legionów polskich w służbie francuzkiéj zostające i naczelnika ich mężnego jła Dąbrowskiego. Zaledwie szczęśliwa ta wiadomość nadeszła do polskiéj ziemi, drgnął polski duch, jak iskrą elektryczną obudzony. Nie tracąc chwili i nieoglądając się na żadne niebezpieczeństwa, biegli liczni Polacy do Berlina naprzeciw zwycięzkiego cesarza, by mu usługi swe i życie ofiarować i błagać go usilnie o przywrócenie bytu ojczyznie. Przyjął ich z radością i żądając tylko postawienia 40,000 wojska, obiecał odrodzenie i ustalenie państwa polskiego. Odtąd też co tylko było ludzi zdolnych noszenia broni, biegło stawać pod sztandarami przez Dąbrowskiego rozwiniętemi; nowe pułki szybko się w Wielkiéj Polsce już potworzyły, kiedy w dniu 27. listopada przednia straż Francuzów bez wystrzału weszła w mury dawnéj polskiéj stolicy. Warszawa zajaśniała radością; i nic nie wyrówna zapałowi i szczęściu, z jakiemi mieszkańcy jéj wojsko francuzkie przyjmowali.

Zebrani w owym czasie w Warszawie liczni obywatele, pomiędzy którymi znajdował się Jan Małachowski, umyślili wybrać z pomiędzy siebie i wyprawić deputacyą do przyjęcia księcia Murat, szwagra cesarza Francuzów w jéj murach. Znajdujący się w liczbie ją składających Małachowski, udał się z licznym orszakiem współobywateli do księcia i przemówił słów kilka do niego, polecając mu losy miasta i kraju całego. Uprzejmie przyjął ich ks. Murat, i w imieniu cesarza ponowił zapewnienie jakie monarcha ten już był w Berlinie Polakom udzielił. Po wejściu i opanowaniu miasta, zajął się książę urządzeniem władz rządowych i powołał między innymi Małachowskiego do Izby administracyjnéj tymczasowéj.

Niezwłocznie potém, bo na początku roku 1807 miała szczęście Warszawa oglądać w swych murach samego cesarza Napoleona. Stanął

w zamku królów polskich i czas jakiś z upodobaniem tamże przebywał.

W czasie pobytu swego w Warszawie, był cesarz dobréj myśli i bardzo dla wielu przystępny; odbywały się liczne zabawy zapustne, uczty, bale i koncerta, nietylko u prywatnych, ale w rezydencyi cesarskiéj. Prócz tego co wieczór przyjmował niektóre wybrane osoby. Miał szczęście do téj liczby należeć Małachowski i z uwielbieniem zawsze wspominał o rozmowach tyle podziwienia godnych tego wielkiego człowieka. Wiele zawsze sam mówił o różnych przedmiotach, ale najwięcéj politycznych. Uznawał i polecał między innemi żarliwie potrzebę i opiekę religii, dla jéj wpływu zbawiennego na umysły ludzkie. Ujmował i zadziwiał wszystkich głębokością i bystrością widzenia wszechrzeczy, a znajomością dziwną potrzeb i serc ludzkich.

Ustanowił natychmiast tak zwaną komisyą rządzącą, a pamiętny sejmu konstytucyjnego 3 maja, mianował jéj prezesem marszałka tegoż, Stan. Małachowskiego. W składzie téj najwyższéj komisyi rządzącéj, mianowany został J. Małachowski dyrektorem skarbu. Był to jeden z jéj wydziałów, które odpowiadały późniejszym właściwym ministeryom krajowym. Nieco późniéj został prezesem trybunału sądowego najwyższego. Lecz w krótkim zaraz czasie zmieniła się forma tymczasowa rządu polskiego. Po zawartym traktacie pokoju w Tylży wskrzesił cesarz Napoleon byt cząstkowy państwa polskiego, pod nazwą Księstwa Warszawskiego i z przeznaczeniem na tron Fr. Augusta króla saskiego, na którego już dawniéj był padł wybór narodu! Radość była powszechna, a nadzieja odzyskania z czasem bytu niepodległego całkowitéj ojczyzny utkwiła w sercach wszystkich gdziekolwiekbądź żyjących Polaków i odtąd nigdy nie wygasła. Po skończonéj wojnie, powołał cesarz komisyą rządzącą z Warszawy do Drezna, dla przedstawienia mu ustawy konstytucyjnéj Księstwa, którą tamże jako prawomocną i obowiązującą naród i monarchę zatwierdził. Znajdował się J. Małachowski w składzie téj narodu reprezentacyi i uprzejmie przyjętym i powitanym został przez zacnego króla saskiego, który lubo wiele późniéj, ale przeznaczenia swego na rządzcę Polski nie chybił. Dziwnym trafem znalazły negocyacye w tym celu przez Małachowskiego przed laty dziesięciu prowadzone, dzielnego wykonawcę w osobie cesarza! czego mu król z uśmiechem winszował. Zastanowienia téż godna uwaga, że naród polski z pomiędzy wszystkich które Napoleon zdobył i urządzał, był jedynym, któremu nadał formę rządu konstytucyjną, liberalną i reprezentacyjną. Szczęściem umiał się okazać jéj godnym, bo życie polityczne bez skazy za Księstwa Warszawskiego istnym jest tego dowodem.

Po powrocie do Polski i zaprowadzeniu nowéj konstytucyi Księstwa Warszawskiego i kodeksu praw Napoleona, piastował jeszcze jakiś czas Małachowski urząd prezesa sądu apelacyjnego, lecz w niedługim czasie, ciesząc się szczęśliwą i osobistą przyjaźnią monarchy, powołany został na urząd prezesa Izby administracyjnéj dóbr korony i marszałka nadwornego, które to urzęda stawiały go bliżéj szanownéj osoby jego.

Jako prezes Izby administracyjnéj miał przykre położenie, na które zawsze utyskiwał z powodu niemożności odsunięcia z administracyi dóbr korony wielu Niemców, którzy się z osobą króla do kraju polskiego, chciwi robienia majątków, nacisnęli. W roku 1810 został mianowany senatorem wojewodą. Wkrótce potém nadeszła chwila w 1811 wojny pamiętnéj z Moskwą. Nadzieje przywrócenia niepodległości całego państwa polskiego silnie się wzmogły. Konfederacya przez cesarza w całéj Polsce ogłoszona radością i zapałem naród cały przejęła. Jedne i drugie zawiedzionemi na nieszczęście zostały. Wiadomy światu koniec smutny przedsięwzięcia. Skończyła się nareszcie walka ta skojarzonych wszystkich mocarstw Europy przeciw saméj Francyi! Ani waleczność wojska, ani niezrównany geniusz dowódzcy jego cesarza Napoleona niezdołały oprzeć się przemagającéj sile. W téj wielkiéj i solennéj probie naród polski sam jeden dał rzadki przykład dochowania wierności przyrzeczeniu. Są ludzie, którzy wierność takową śmiesznością i głupstwem nazwać zawsze gotowi, bo nie upatrują zbawienia tylko w zręczności, przebiegłości i sztuce korzystania z chwilowych wypadków, choćby kosztem dobréj wiary i sławy narodowéj!... I mylą się wtém fatalnie. Polacy niepuszczeniem Francyi w nieszczęściu dochowali tylko spuścizny po ojcach, nie skalali czystego od zmazy imienia polskiego. Ta zaś świętość uczuć polskich stanowi siłę narodu. Polska w téj formie idealnéj i czystéj zawsze między narodami żyje. I póki tego uroku nie straci, póki się za przykładem i nauką innych przewrotnością, chytrością i zręcznością nie skala, może być pewną że wybije dla niéj godzina odrodzenia. W téj czystości jéj szaty leży cała jéj moc, potęga i zbawienie.

W roku 1815 w skutku układów zapadłych na kongresie monarchów w Wiedniu, stworzoném zostało tak zwane Królestwo Polskie pod panowaniem moskiewskiego cara. Instytucye konstytucyjne nadane małemu krajowi były dobre, dosyć je téż chętnie przyjęli Polacy, a otrzymawszy uwolnienie od przysięgi wierności dawnemu monarsze, wzięli się gorliwie do służby krajowéj, tak wojskowéj jak i cywilnéj.

Jan Małachowski powołany, przyjął urząd członka trybunału najwyższéj instancyi, którą stanowił senat i zasiadał w nim ciągle prawie jako senator wojewoda.

Zaraz na początku istnienia tego nowego stanu rzeczy w Polsce, wydarzyła się okoliczność, ktora posłużyła za dowód, jakiego ogólnego szacunku i zaufania używał Małachowski między współrodakami. W czasie bowiem pierwszéj bytności cesarza Aleksandra w Warszawie jako króla polskiego, wybranym został jednozgodnie przez delegowanych ze wszystkich kraju departamentów na tłómacza ich uczuć i potrzeb w obec nowego monarchy. Przedstawiony na ich czele cesarzowi, stosowną do życzeń i nadziei powiedziawszy mowę, przyjętym był jak najuprzejmiéj i odebrał od monarchy zadowalniające przyrzeczenia i obietnice szczęśliwéj przyszłości dla całéj Polski.

Od roku 1816go aż do śmierci, wykonywał ciągle pilnie i sumiennie swe obowiązki podwójne Jan Małachowski, naprzód jako sędzia

najwyższéj instancyi, a potém jako członek Izby senatorskiéj w sejmach. Obowiązki zaś te stawiały osoby je wypełniające nie raz w trudném położeniu; a to z powodu, że rząd rosyjski z natury swéj despotyczny i przywykły do uległości bez granic nawet kiedy wola jego znajdowała się w sprzeczności do ustaw zasadniczych konstytucyi i praw krajowych, żądał i od reprezentantów kraju i od sędziów ślepego téj woli wykonywania. W sejmach każda opozycya rządowym projektom, zdawała mu się być zamachem buntowniczym. W sądownictwie nawet nie pojmował niepodległości i bezstronności sumienia sędziego.

Na poparcie tego zdania wypada nam tu przytoczyć jeden przykład dotyczący szczególnie osoby Jana Małachowskiego, dla niego zaszczytny, a który w owym czasie bardzo silnie zajął opinią publiczną. Toczyła się w sądzie najwyższym pod prezydencyą jego (którą kolejnie senatorowie wypełniali) sprawa ważna majątkowa sędziego apelacyjnego Okołowicza z jenerałem Reutenstrauch, jako sukcesorem kupca Chevalier. Jenerał silnie był popierany przez W. ks. Konstantego, który nie wahał się oświadczyć, iż życzy sobie aby sprawę wygrał, czyniąc prezesa sądu odpowiedzialnym za wypadek. Zmartwiło go mocno to postępowanie tak niewłaściwe i prawie obraźliwie dla senatora, ale uzbroił się w cierpliwość i nie zachwiał na sumieniu. Wyrok zapadł przeciwny jenerałowi, który sprawę zupełnie przegrał. Zagniewany W. książę, zaskarżył sąd przed monarchą o stronnictwo i buntownicze chęci w senatorach. Nagana przyszła z Petersburga. Z tego powodu zniewolony został Jan Małachowski wypracować i posłać cesarzowi pismo, wyjaśniające sprawę całą jak mówił nie dla uniewinnienia siebie i sądu, ale dla dania monarsze lepszego wyobrażenia o wysokiéj i świętéj magistraturze sądu tak poważnego. Odpowiedzi żadnéj nie odebrał, ale od téj chwili, dla większego wpływu rządowego na sąd najwyższy, postanowionym został prezes dożywotni przez cesarza nominowany.

Tak więc lat sześć ostatnich życia swego służył wiernie i poczciwie swéj ojczyznie Jan Małachowski. W sejmach pracował jako prezes komisyi prawodawczéj; zawsze i wszędzie wiernym był uczuciom prawego Polaka i zasłużył sobie nieskazitelném życiem i pracą gorliwą przez cały swój żywot doczesny, na wdzięczność i cześć wszystkich swych ziomków.

W r. 1822. ciężką dotknięty chorobą, spokojnym umysłem widział nadchodzący koniec swego życia. Przejęty cały głęboką i szczerą wiarą pilnując religii katolickiéj, któréj obowiązki w życiu swém zawsze gorliwie dopełniał, przytém rzadką słodyczą serca i charakteru obdarzony, znosił ostatnie chwile życia zawsze smutne i bolesne, zwłaszcza dla ojca kochanéj rodziny i człowieka bardzo wielu liczącego przyjaciół, z tym spokojem ducha i umysłu, które jedynie nadać nam może zaufanie w Bogu i czyste sumienie.

Umarł w roku życia swego 58. Służył wiernie i pracowicie krajowi od młodości bo od roku 22. życia swego aż do śmierci przez lat 36. Do usług tych i piastowania wysokich urzędów, nie wiodła go próżna ambicya, lecz tylko staropolska szlachetna cnota, która czyniła obowiązkiem świętym każdemu Polakowi pilnować obowiązków krajowych i poświęcać ojczyznie w potrzebie majątek i życie. Szczęśliwy naród gdzie podobne się przechowują cnoty i wyobrażenia. Oby one w polskich nigdy nie wygasły sercach.

WYJĄTEK Z DRAMATU

SZCZEPANOWSKI

czyli

Męczeństwo świętego Stanisława.

PORA IV.

OSOBY:

Bolesław Śmiały, *król polski.*
Mieczysław, *jego syn dwunastoletni.*
Szczepanowski, *biskup krakowski.*
Wszebor, *wódz wojsk Bolesława.*
Strzemieniec
Drużyniec
Jastrzębiec } *rycerze polscy.*
Szreniawita
Rycerz *z dworu królewskiego.*
Rycerz *inny z dworu królewskiego.*

(Rzecz dzieje się na zamku królewskim w Krakowie.)

Zmiana 1.

BOLESŁAW, MIECZYSŁAW.

BOLESŁAW *(siedzi, trzymając w objęciach syna Mieczysława).*

Z ciebie wyrośnie dla ojca pociecha:
Tyle nadziei tobie się uśmiecha!
Pradziadna Polska od Sali do Dźwiny —
W swéj sile znowu stoi téj godziny.
Sposób się, synu, jak berłu wydołać:
Pan, w chwili może na Sąd mnie powołać;
Naród Chrobrego szczerbiec ci przypasze . . .
Trud ciężki — życie królewskie jest nasze!

MIECZYSŁAW.

Wszak już na wojnę nie pojedziesz, Tato?
Pamiętam dobrze — siódme temu lato,
Jakeś z rycerstwem ruszał do Kijowa
A Mama rzekła: „Ojca Bóg zachowa
Tylko proś za nim codziennym pacierzem . . .“

BOLESŁAW *(powstaje)*.

Tak, my od Boga wszystkie dary bierzem:
Mezka moc z ojca, miłość z łona matki;
Uroda, przyjaźń, talenta, dostatki —
Skarby to Nieba, których Bóg szafarzem.

MIECZYSŁAW.

A jakże człowiek może być zbrodniarzem
Gdy takie skarby są dla niego w Niebie?

BOLESŁAW *(wzdycha)*.

Bóg, Mieczysławie, wskazał chód do Siebie:
Jedna doń droga — ofiary i trudu,
Droga tak łatwa dla naszego ludu;
Cięższi grzesznicy, jak my, synu miły,
Muszą dobywać z wnętrza Bożéj siły,
By z wysokości na jakiéj stanęli,
Zamiast iść w Niebo — w przepaść nie runęli.

MIECZYSŁAW.

To straszno, ojcze! wolałbym być kmieciem . . .

BOLESŁAW.

Oni rośliną — my zaś wonném kwieciem:
Z nich zycie, a z nas owoc idzie Panu;
Owoc zawisnął od rośliny stanu,
Od swéj istoty — która jeźli licha
Robak ją stoczy lub kwiat sam usycha.

MIECZYSŁAW.

Prawda, mój ojcze, jedne piękne kwiaty —
A inne więdną!

BOLESŁAW.

Przyczyna zatraty
Taż i dla ludzi: kto Niebieską rosą
Godzien być rzeźwion — Anieli mu niosą
Cnoty, powaby, miłość, pokój Boży . . .
O, Mieczysławie!
(przyciska syna do serca)
módl się i bądź hoży!
Przyjemny Panu, kochany od braci —
Umiłuj życie, gdy ojciec je straci!

(Wszebor ukazuje się w głębi).
Idź! bo już matka, wiem, tęskni bez ciebie.
(Całuje w czoło syna, Mieczysław odchodzi).

Zmiana II.

BOLESŁAW, WSZEBOR.

WSZEBOR *(wchodzi i skłania głowę przed królem).*

Złowróżbe znaki na ziemi i niebie
Dla nas, o królu! W tym strasznym pokoju
Stałem się niczem — ja, zrodzon do boju.
Jak ci przysiągłem wierność i chowałem,
Tak dziś wypowiem prawdę, sercem stałém.
Panie! zbyt smutne wieści ci przynoszę:
Po całym kraju bunty i rokosze.
Rycerstwo, co nas odbiegło z Kijowa
Waży dziś za nic wodza swego słowa;
I bym był szczery aż do szczętu, panie —
Już lekceważy krola rozkazanie!
„Na co nam, mówią, w Krakowie obrady,
Kiedy po kraju tyle łupieztw, zdrady?“
W butnéj swéj pysze zemst puścili wodze,
Nad małżonkami chcą pastwić się srodze;
W dziedzinach własnych zażegli płomienie
By w nich zgorzały żony, zdrajcy, mienie.
Nad tém ci serce najmocniéj zaboli,
Że wśród zniszczenia, w téj strasznéj niedoli,
Wzniósł się przeważny jeszcze głos kapłana,
Co w Imię Boga lud zwraca od pana;
Biskup krakowski publicznie ogłasza,
Że spustoszoną będzie ziemia nasza:
Zbrodnia w niéj, mówi, okrutna się sroży —
Za co nad nami zawisnął gniew Boży . . .
Rzecz najstraszniejsza — za tyle ruiny,
Prócz twojéj, królu, nie zna innéj winy.

BOLESŁAW *(dumnie).*

Znana zuchwałość! Ze stopni ołtarza
Ksiądz ten się miota, monarchę spotwarza;
Zazdrosny władzy, jaką mam od Boga —
Chcąc stać najwyższym, mnie wskazał za wroga!
Ale ukrócę: i kapłan w ornacie
Musi się korzyć przy mym majestacie!
Tyś mi, Wszeborze, zawsze wierny służył . . .
Potężny ze mnie — władzyś nie nadużył;
Zgromiłeś Węgry, a na Rusi całéj —
I twa jaśnieje, w blasku mojéj chwały.
Dzięki za wierność! — dziś o przyjaźń proszę:
Ruś, Węgry, sroższe jak butne rokosze!
Sprowadzim ciszę — choć ciszę grobową,
A twéj nagrody, masz królewskie słowo.

WSZEBOR (*skłania się nisko*).

Znaną wspaniałość króla Bolesława . . .
Kilku rycerzy ledwie ci zostawa,
Co przyjdą, panie, dzielić trudy z tobą,
Pomagać radą.

BOLESŁAW.

Ten bezrząd jest probą
Ile ród Piastów miłości wysłużył,
Chociażby w bojach i władzy nadużył.

WSZEBOR.

Otoż i oni.

Zmiana III.

CIŻ I STRZEMIENIEC, DRUŻYNIEC, JASTRZĘBIEC, SZRENIAWITA.

BOLESŁAW (*mówi do wchodzących.*)

Moi przyjaciele!
Tak was nazywam, bo chętnie się dzielę
Mą władzą z wami, gdy tyle zostało
Z ogromu, który bywał Polski chwałą!
Zwodna fortuna wyślizgła się z ręki . . .
Może iż nadto zsidliły nas wdzięki;
Lecz, choć z tą plamą co ze krwi gorąca,
Krew kipi we mnie że mnich mną potrąca!
Ksiądz Szczepanowski, wiecie, rokosz wznosi?

RYCERZ (*wchodzi i mówi skłaniając się*).

Biskup krakowski posłuchania prosi
U ciebie, królu!

BOLESŁAW (*zmięszany*).

Powiedz że teraz jest wojenna rada,
Którą z rycerstwem król na zdrajcę składa.

RYCERZ.

Spełnię, jak każesz, najjaśniejszy panie!
(*skłania się i wychodzi.*)

SZRENIAWITA.

Co za zuchwałość!

JASTRZĘBIEC.

Jakie naigrawanie!

DRUŻYNIEC.

On do rokoszu pobudza lud cały.

STRZEMIENIEC.

Kazał by żony mężów pozdradzały.

WSZEBOR.

Lepiéj jest zawsze zmierzyć siłę wroga . . .
Radzę wysłuchać.

Zmiana IV.

CIŻ I SZCZEPANOWSKI.

SZCZEPANOWSKI.

Nie słucham nikogo!
(do Bolesława.)
Jak to? Gdy rada gdzie o zdradę chodzi,
Możnaż rzec w Polsce: Biskup niech nie wchodzi?
Żalę się królu, że mi wejścia bronią!

BOLESŁAW.

Rada o zdradzie . . . tak! — oskarżon o nią
Biskup krakowski.

SZCZEPANOWSKI.

Grzesznik ja przed Bogiem,
Lecz nie przed ludźmi. Żem dla Polski wrogiem —
Daż temu wiarę pańskie serce twoje?
Wyrzecz! — i króla sądu się nie boję.

BOLESŁAW.

Ależ, biskupie, ważne są zarzuty:
Mówią, przez ciebie duch narodu truty,
Bunty wśród ludu; rycerstwa szaleństwo
Co wypowiada mi swe posłuszeństwo —
Interes Boży od mego oddziela,
W swym królu widzi dziś nieprzyjaciela:
Wszystkie te klęski co nas zgubić mogą,
Ty masz zasiewać w narodzie, tą trwogą —
Że król na Polskę sprowadził gniew Boży?

SZCZEPANOWSKI.

Bóg nam ucieczką gdy się piekło sroży.
Gdy wyżsi broją — powinność kapłana
Siać świętą trwogę, lud zwracać do Pana;
Łupieztwo, nierząd wyższe stany szpeci —
Pragnę ocalić proste Polski dzieci:
Do szczeropolskiéj cnoty wołam wodze
I ciebie, królu! po to tu przychodzę.
W méj służbie tobie, czystym jest przed Panem,
Korzę się Bogu — brzydzę się szatanem;
Miłuję zwierzchność daną mi od Boga,
Bez względów ziemskich nienawidzę wroga:

Gdziebądź go spotkam, jawnym światu robię --
W kmieciu, w hetmanie, nawet królu, w tobie!

BOLESŁAW.

Dobra ta szczerość, to buntu wyznanie...

SZCZEPANOWSKI.

Nie! — Wierność Bogu. Królu mój i panie!
W sterze narodu, ja cząstki mam władzę,
W przepaśćby runął jeźli Boga zdradzę.
Świętym kierunkom twoim błogosławię;
Gdy zboczysz — winę twą na oczy stawię:
Żeś panem moim — w szczerości, w pokorze,
Głąb serca mego, królu, ci otworzę.
A srogą ono zranione boleścią!
Zły przykład — zgrozę rozpasał niewieścią,
Szczęśliwa wojna gdzie Bóg dał zwycięztwo,
W brudnéj rozpuście utopiła męztwo.
Żeś rozkoszował, zwalniał rządów wodze —
Całe rycerstwo odbiegło cię w drodze;
Bo się mścić chcieli, bo piekielne moce
Po całéj Polsce wydały owoce.
A z Łaski Bożéj Polska życie bierze,
Niepokalany zastęp jéj rycerze,
Służbą — Krzyż Pański nosić w świętym trudzie;
Wyście się w takim pogrążyli brudzie
Że brzmią dziś w Polsce, nie hasła rycerzy —
Lecz jęk, przekleństwa jakie rozbój szerzy.
Bym do ostatka stawał wierny tobie,
Królu w téj zgrozie, w téj ciężkiéj żałobie
Grążą dziś naród własne twe wyroki.

BOLESŁAW.

Odejdź, zuchwały, precz z oczu... bez zwłoki!

(Przytomni robią ruch jakby chcieli pochwycić Szczepanowskiego.)

SZCZEPANOWSKI *(wznosi z godnością rękę i zatrzymuje ich.)*

Proszę o chwilę — miarę swą spełnicie...
Królu! w twém ręku śmierć moja i życie,
Życie doczesne. — Żywot wiekuisty
To nie do ciebie! a niech będzie czysty,
Jasny braterstwem jakiem winien tobie:
Biada! stwardniałeś w duszy twéj chorobie;
Stan twój straszniejszy niż był w owéj chwili,
Gdyśmy się z trupem na sąd twój stawili.
(Wszyscy przerażeni.)

WSZEBOR.

Bluźni!

SZRENIAWITA.

Nieszczęsny, śmierć pewna cię czeka!

BOLESŁAW *(drżąc).*

Weźcie ztąd tego chytrego człowieka!

SZCZEPANOWSKI.

Przypomnę królu! abyś widział jasno, —
Sam nieprawością przeraził się własną:
Kupiłem wioskę na własność kościoła,
A formalności nie szukałem zgoła;
Grosz z darów Bożych zebrany jałmużną
Sam za nią płacę, by ręką usłużną
Z większych dochodów dawać biednéj braci.
Dostaję pozew: Biskup wieś zapłaci
Kilka lat temu przez niego kupioną,
A któréj wartość dotąd niespłaconą.
Ten co wziął summę przeniósł się do grobu, —
Złożyć na piśmie dowód, ni sposobu;
Byli świadkowie — pieniądz do szlachcica
Przeszedł z rąk moich nie jak tajemnica,
Widziało wielu — z tych każdy usłużny
Gotów był przysiądz że biskup niedłużny.
W tém wieść roznosi że to nie dla sumy
Ale jedynie dla królewskiéj dumy
Proces ten wszczęty, król sam sądzić będzie.
A mając niechęć twą dla mnie na względzie,
Świadkowie znikli: cieszyłeś się, panie,
Że się zadosyć żądzy twojéj stanie,
Polska me imię z pogardą obrzydzi.
Ten co skrytości serc do głębi widzi,
W którym ja zawsze szukałem obrony -
Nie chciał, bym tyle został poniżony.
Bóg dał myśl w serce: ukorzony w prochu
Błagałem Pana, zstąpiłem do lochu
Z wiarą że wszędzie wszechmoc Boża, życie...
(Na to wspomnienie dzisiaj jeszcze drżycie!)
Pan cud uczynił: zmarły Piotrowina
Szuka méj ręki, powstawać zaczyna,
Spróchniałe ciało ożywiła dusza,
Obok mnie stanął i w drogę wyrusza!
Oba, przed twój sąd stanęliśmy, panie —
„Królu! wyrzekłem, gdy żywych zeznanie
Dla mnie nie służy — niech z tamtego świata
Przybysz ten świadczy czy była zapłata?“
Wskrzeszony zeznał że wieś zapłaciłem.
Daruj, że taką trwogę ci sprawiłem!
Lecz dobréj woli nie było nic w tobie,
Kiedy świadectwa musiałem aż w grobie
Szukać dla prawdy, gdy przez twém tyrańs twie —
Zniknęło w tobie, zniknęło w twém państwie!
Byłem niewinny: cięższy dłużnik Boży,
Jąłem broń Pańską gdy piekło się sroży;

A było wściekłe po spełnionym cudzie.
Tyś mi był gwiazdą — znaleźli się ludzie
Co nienawiścią serce twe poili:
By ciebie gubić — mnie wrogiem stawili.
Sąd ich przed Bogiem — jam ci szczerość dłużny:
A twój kierunek jakże byłby różny!
Gdybyś był ufny w me zsiwiałe włosy
I w to pragnienie jak Niebieskiéj rosy
Każdéj twéj cnoty; a Bóg uposażał —
Tylkoś sam wszystko co święte znieważał,
Zasmucał Polskę prowowierną, szczerą —
Waleczne serce rozpasał himerą;
Ażeś już stanął przy tym strasznym kresie —
Co dziś dla Polski płacz i zgrozę niesie,
Sam Bóg podźwignąć wraz nie ma sposobu
Z tobą ojczyzny — bez jednego grobu . . .
(wznosi ręce.)
Więc rozdziel, Panie! ten zamęt, tę trwogę —
Błagam za Polską! z królem nic nie mogę:
Sam sprawiedliwy kraj swój zbawiać może —
Strąć, Panie, tego co pchnął na bezdroże.
Straszna to zbrodnia z urokiem korony!
Więc zniszcz ją, Panie! — by li kraj zbawiony,
Miljony ludu z pod Twojéj Opieki
I z pod Twéj Łaski nie wyszły przez wieki!
Człowiek tu niczem.
(do Bolesława.)
Teraz, Bolesławie,
Na twą pokutę ja cię błogosławię!
Obrazą Boga coś zawinił tyle,
Twego oporu Pan sam liczy chwile . . .
Twéj odpowiedzi czekam w Bożym domu:
W razie milczenia, użyję i gromu
Jakim Bóg zbroi dłoń moją kapłana.
Bóg z tobą, synu! — nie znam w tobie pana.
(wychodzi.)

Zmiana V.

BOLESŁAW, WSZEBOR, STRZEMIENIEC, DRUŻYNIEC, JASTRZĘBIEC, SZRZENIAWITA.

WSZEBOR.

Coż téj na ziemi zuchwałości zrówna,
Do jakiéj pycha doszła dziś duchowna!
Ty nasz król, panie, władzca śmierci, życia —
Piastoską siłą krzepion od powicia,
Dobrodziéj ludu, rycerz najdzielniejszy;
Gdy księża łaska dla ciebie się zmniejszy,
Mniéj u nich ważysz niż twój kmieć najlichszy!
Jedno skinienie ich, naród zawichrzy,

I wieńce bojów, i trudy narady —
Mogą wraz przepaść pod tchnieniem ich zdrady.
Poczuj twe, królu, wzniosłe stanowisko:
Pod tronem twoim wszystko jest tak nisko,
Żeś twém skinieniem obalić jest zdolny
Tego, co z berłem twém igra swawolny!

BOLESŁAW.

Cnotę rycerską twoją znam, Wszeborze,
Za wierność kocham. Jeżeli się korzę —
To nie przed księżmi, lecz przed Bożą Władzą
Jaką są oni: jeźli siłę dadzą —
To samo Niebo łamie szyki wroga.
Prawda i moja władza jest od Boga,
Lecz król największy cześć winien kapłanom —
Takie jest Prawo dane Chrześcijanom.

SZRENIAWITA.

Czcij go więc, królu, z tą dumą bez granic!
Aż, chciwy zemsty, nie zważając na nic
Na lud zawoła i twój tron obali;
By cię poddani więcéj nie słuchali
Da hasło swoje ze stopni ołtarza . . .

STRZEMIENIEC.

Nie lubię gdy kto duchownych spotwarza.
Słynna od wieka cnotą chrześcijańską
Polska, do bojów chwyta za broń Pańską —
Domy i miecze święcą nam kapłani . . .

JASTRZĘBIEC.

I dziesięciny każą składać w dani!

SZRENIAWITA.

Spór niepotrzebny, kiedy rozum radzi:
Król był łaskawy — a biskup go zdradzi,
Biskup przeciwny rycerstwu, tronowi;
Z nim jest, czy z królem? — każdy niech odpowi?
(wołają.)
Z królem! . . . król jeden podpora Narodu!

BOLESŁAW *(z zapałem).*

Wy mi druchami u miecza od młodu!
Wierność mi wasza i waleczność znana . . .
Kiedy w mém państwie znalazłem tyrana,
Co méj korony przeciążając brzemię —
Klęski, cisnące dziś ojczystą ziemię
Na karb mój kładzie, przed ludem ogłasza
Że to za króla cierpi Ziemia nasza;
Pragnę poskromić tego prześladowcę,
By nie gnał ludu w swawoli manowce.
(Słychać za sceną jęki i tłumne gwary.)

Jeszcze mi Nieba nie wzięły odwagi . . .
Ale użyję i waszéj powagi
Gdy Szczepanowski nieugiętym stanie.
Cóż to za głosy?
(*wpada rycerz pomięszany.*)

Zmiana VI. i ostatnia.

CIŻ I RYCERZ.

RYCERZ.

Ach, królu i panie!
Straszne nieszczęście . . . mówić nie mam siły . . .
Widać że twoje czasy się spełniły!

BOLESŁAW (*do rycerza*).

Dobry Zbigniewie! przynosisz himery . . .
Mówże wyraźnie, bądź mi zawsze szczery?

RYCERZ.

Szczery! jak zawsze, — służyć już nie mogę,
Odkąd przeszedłem tę krzyżową drogę.
Słuchaj więc, panie: widząc coś strasznego
W licu biskupa, — szedłem w ślady jego;
Okropna trwoga zdjęła mnie w tę chwilę
O ciebie, panie — kochałem cię tyle!
Biskup szedł zwolna, co krok to przystawał —
A na obliczu jakiéjś burzy nawał
Odbijał serca jego niepokoje:
„Bądź Wola Twoja, — święć się Imię Twoje!“
Wymówił biskup — a mnie wnet te słowa
Cisnąć zaczęły jak deska grobowa.
Biskup przechodził wśród licznego ludu,
Co go wyglądał jak nowego cudu;
Gdzieniegdzie były na twarzach uśmiechy:
Miał im od króla nieść słowa pociechy! . . .
Biskup był blady — nie wyrzekł nic zgoła,
Lud przerażony wszedł z nim do kościoła.
On poszedł prosto przed Pańskie Ołtarze.
Gdy padł — z nim wszyscy upadli na twarze.
Modlił się klęcząc — a lud krzyżem leżał . . .
Czasem szmer cichy wśród ludu przebieżał,
I biskup płakał — lecz ucichło potém . . .
Oddech mi w piersiach wydał się łoskotem —
Wstał i łzy otarł — a wszyscy klęczeli —
Gdy twarzą błysnął, oni potruchleli:
„Bracia najmilsi! rzekł, nie macie króla!
Spełnił swą miarę — a w tém Boża Wola
Co wam ogłoszę: zaciął się i pycha
Gorycz mu poda ze zbrodni kielicha.
Jesteście wolni wziąć innego pana:
Ręce więc w Niebo, Naród na kolana!

Żebrać o władzcę, coby zgodnie z wami
Leczył ojczyznę okrytą ranami.
Bolesław Śmiały — niegdyś wasz król dzielny —
Dziś świętokradzca i grzesznik śmiertelny!
Zepsute ciało odcinam z Kościoła
I precz wyrzucam! — Gdy wody zawoła —
Grzech jéj mu podać; kiedy żebrze chleba —
Kto mu da kąsek, ściągnie pomstę Nieba;
Kiedy na dworze mróz, słota lub gromy —
Jemu zamknięte będą wszystkie domy
Bo on wyklęty, oddzielon od ciała —
Co mu na ziemi i Niebie cześć, chwała!
A jeźli żywot grzechami tak struty,
W pośród nas śmiałby przewlec bez pokuty —
Niechaj zniszczeje i w nic się połamie,
Jak to Światłości wiekuistéj znamie!"
I rzucił biskup świecę, na te słowa
Pękła i zgasła jak lampa grobowa.
A lud jak jęknął — Niebo się ściemniło;
Miasto być zda się otwartą mogiłą,
Z któréj na straszny sąd umarli wstają —
Wyroków Pańskich ze trwogą czekają.
(Słychać jęki i gwary).

BOLESŁAW *(z wściekłością)*.

Chytry mścicielu! dopełniłeś miary:
Przyzwałeś potęg — mego ludu, wiary,
Aby mnie zgubić! Jeźli Niebo z tobą —
Ja Niebo samo okryję żałobą!
Hola! — drużyno wsławiona wojnami . . .
Po co mnie w świecie szukać wrogów z wami
By was krwią karmić? Wszak wy krew lubicie?
Otoż wam mówię, że jest jedno życie,
Jest taki człowiek — co pókąd oddycha,
Mnie tknąć nie wolno uciechy kielicha,
Bo on mnie przeklął i modlił się o to,
Aby mnie ludzie okryli sromotą!
(uderza się w czoło, i zakrywa twarz rękami.)
Wszystko mi wydarł! — Wziął miłość u ludu,
Urok powagi zniszczył gromem cudu,
I wciąż świętemi urągajac słowy —
Koronę Chrobrych chce mi zedrzeć z głowy!...
Tyś przez Aniołów podał nam ją, Panie!
(wydobywa miecz ze srogością.)
Dosyć zniewagi . . . idę — niech się stanie!
(wybiega z dobytym mieczem, wszyscy zostają).

Koniec pory czwartéj.

Kazimierz Radecki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PIŚMIENNICTWO.

Pięć Poematów Lorda Byrona, przełożył Franciszek Dzierżykraj Morawski. Leszno, drukiem Ernesta Günthera, 1853.

Dwa są i będą zawsze sposoby tłómaczenia utworów poetycznych. Jeden dosłowny, wymaga więcéj pracy jak genjuszu, więcéj filologicznéj nauki jak wieszczego natchnienia. Drugi, wyzwalając się z karbów ścisłego postępowania za tekstem, szuka jakby własnym trybem oddać najszczęśliwiéj myśl autora, dodaje lub ujmuje, często nawet przetwarza; potrzebuje przeto wielkiego w zdolnościach zbliżenia między tłómaczem a autorem, co starożytni trafnie wyrażali przez owo niewzruszone w tym względzie prawidło: Vates caret vatem. Każdy z tych sposobów ma swe zasługi, ma swe niebezpieczeństwa i chwałę. Ścisły przekład, jeźli z starannością wykonany, daje dokładnie poznać wszystkie właściwości autora, posuwa jak najponętniejszym torem znajomość jego mowy, obudza ochotę i ułatwia pracę czytającym w oryginale, a przez to wszystko loicznie przygotowywa drogę dla poetycznego tłómacza, bo każdemu wiadomo jak mozolenie się ze zrozumieniem autora, wyszukiwanie objaśnień i rozwiązywanie trudności językowych, często staje tłómaczowi na przeszkodzie do potrzebnego mu polotu i natchnienia. Przekład znowu poety przez prawdziwego poetę, choć zwykléj łatwiéj przychodzi, nieporównanie wyższe osięga zaszczyty, bo już nie suchym, dagerotypowym sposobem, ale żywcem przenosi obce dzieło do własnéj literatury, nie pożycza ale przyswaja, nie wprowadza do niéj cudzoziemskiego pisarza gościem, ale mu na zawsze prawo obywatelstwa w niéj uzyskuje. Lecz jeźli w pierwszym razie większy bywa trud, to w drugim większe niebezpieczeństwo i częstsze upadki. Jeźli bowiem przekład niewolniczo tekstu trzymający się naraża na utratę jasności i gładkości, a częstokroć na osłabienie i przyćmienie myśli autora, to przynajmniéj choć grubemi i przytartemi rysami daje wyobrażenie oryginału, które każdy domyślniejszy i poetyczniéj usposobiony czytelnik rozwyraźnić sobie potrafi; — gdy tymczasem tłómaczenie dowolne łatwo puścić się może za daleko i wystawić, dajmy na to, coś równie dobrego nawet coś lepszego, ale zarazem coś tak odmiennego, że w niém charakterystyczna właściwość oryginału zniknie do szczętu. Dagerotyp, acz nienadobny, zawsze przypomina osobę; portret, choć najdelikatniejszym pędzlem malowany, często z podobieństwem zupełnie minąć się może. Najszczęśli-

wiéj jest przeto kiedy tłómacz zdoła zachować właściwy środek i miarę między temi dwoma rodzajami. Lecz że to jest nader trudném, każdy co podejmuje jakie dzieło do przekładu, powinien obrać od razu jeden lub drugi sposób, bo niebawem spotka zawiłość, w któréj jeden drugiemu będzie musiał poświęcić. W wyborze więc trzeba szukać innych skazówek jak własną skłonność. Nam się zdaje, że arcydzieła, które przeważny wpływ na powszechną literaturę wywarły i trwale wywierają nietylko przedmiotem i pomysłami, ale również kształtem i tokiem, tłómaczyć jak najwierniéj wypada. Utwory zaś choćby najświetniejszych genjuszów, ale przechodniego lub wątpliwego wpływu i wartości jeszcze ubiegiem czasu nie doświadczonéj, godzi się a może nawet należy przekładać dowolniejszym sposobem.

Zdanie nasze o Byronie jest wiadomém. Wyłuszczyliśmy je obszernie gdyśmy mówili o literaturze angielskiéj z pięćdziesięciu lat ostatnich. Z powodów tam wymienionych, lubo nikomu nie ustępujemy w podziwie nad tak wielkim genjuszem, mniemamy przecież, iż pominąwszy nawet wyższe względy moralności i prawdziwego na świecie postępu, wpływ jego pism na literaturę powszechną nie będzie w przyszłych pokoleniach i już dziś nie jest ani w części tak przemożnym jak się zrazu okazał. Pomimo więc całéj świetności i potęgi jego utworów, nie wahamy się zaliczyć ich między te, które na mniéj ścisłym przekładzie nie tracą, ale może nawet zyskują. Byron pisze najczęściéj dorywczo, gwałtownie, gorączkowo, zdaje się że mu zawsze brak czasu, ciska od niechcenia niedbałe wyrażenia lub ciemne okresy, — gdzie musiałby się dłużej zatrzymać tam rzuca przerwy, których wypełnienie domyślności czytelnika zostawia, zgoła przynaglając ciągle pęd akcyi spieszy bez wypoczynku do końca. Ztąd to bacząc przedewszystkiém na utrzymanie zajęcia i ciekawości poemata swe zwykle powieściami lub romansami nazywa. Nagłość ta tak mu jest przyrodzoną, że gdzie jéj odstąpi, tam wpada w drugą ostateczność, i rzecz niepowiązanemi z sobą ustępami jakby z igraszki prowadzi. Nadto, ci co się wczytali w przedniejszych autorów angielskich, dziwią się jak on w porównaniu z innymi, nie raz niższymi od siebie, mało stworzył owych jędrnych, dobitnych wyrażeń, które w potoczną mowę i przysłowia ludu przechodzą. Rzecz więc a nie forma, nie wysłowienie, jest główną jego zaletą. Otoż w przekładzie takiego poety najgłówniéj na jasności i gładkości zależy, a jeźli przytém żwawość w całym toku a siła w najważniejszych ustępach jest zachowaną, to już trudno żądać większéj chluby dla tłómacza, a pożytku i ozdoby dla literatury.

Naczelnych tych warunków niniejszy przekład Pięciu Poematów Byrona jak najszczęśliwiéj dopełnia. Nie przypominamy sobie aby jakiekolwiek tłómaczenie w naszym języku przedstawiało piękniejszy wzór jasności, poprawności i ogładzenia. Żadne wątpliwe lub zagmatwane wyrażenie nie zawadza tu nigdzie czytelnikowi by jednym pędem każdy z tych poematów przebiedz od początku do końca. Byłoby to już zasługą w tłómaczu, gdyby się to nawet działo kosztem barwności i siły, ale i tych przymiotów wcale tu nie brak. Jest energia, dobitność i wdzięk stylu taki, na jaki zdobyć się może tylko ten, kto już oryginalnemi pismami dowiódł, że jest znakomitym poetą. Więcéj powiemy, przekład tylu zaletami odznaczający się, byłby jeszcze nie małą zasługą, chociażby daleko od ścisłéj wierności odstępował, a tu wyjąwszy w niektórych i prawie niepokonalnych miejscach, w saméj utrzymuje się mierze, to jest, ani zbytecznie hołduje dosłowności, która jak już okazaliśmy byłaby niewłaściwą w tym razie, ani też dozwala sobie odbiegać od tekstu chyba tam, gdzie inaczéj nie można i gdzie zwykle, jakoby nagradzając za swą niepodległość, staje się onego pożądaném i nader trafném wyjaśnieniem. Uderzyło to nas jak wiele ciemności i zawiłości oryginału tym sposobem rozświeconych i rozwiązanych zostało. Dodać

w końcu należy, że pomimo wierności, nigdzie tu nie natrafia się na zwroty obce, ale owszém wszędzie rodzima szczeropolska mowa jakby w oryginalném dziele jaśnieje. Znać, że tłómacz za każdą trudnością pytał się siebie i szukał jakby był autor myśl swą wysłowił, gdyby był w naszym pisał języku. Ztąd to pochodzi, że niejednemu zdać się może, iż ma oryginalny utwor przed oczami. Osiński zwykł był mawiać, że wtedy dopiero tłómaczenie jest doskonałém, kiedy przy czytaniu niema potrzeby i ani razu nie bierze ochota zajrzeć do oryginału. I my też pewnie nie bylibyśmy potrzebowali zaglądać do tekstu i porównywać, gdyby nie obowiązek krytyki i uszanowanie dla pracy, któréj nam ogólnikami zbyć nie wolno.

Poczet tych pięciu poematów otwiera Manfred. Ze wszystkich utworów Byrona, ten może jest najmniéj sposobnym do przekładu. Jakoż, ciągły taki monolog w którym więcéj rozumowania jak obrazów, więcéj gimnastyki umysłowéj jak barwy, to nieustanne wirowanie koło jednéj idei, to pasowanie się z nieprzepartą a nigdy nierozwiązaną myślą, to nurtowanie w bezdennych a niedocieczonych tajemnicach, wszystko to przedstawia niesłychane trudności dla tłómacza, bo jeżeli czém on jaki pomysł osłabi, to ujmie mu siłę jedyny przymiot w złém zajmujący, jeźli znowu złe powiększy, jeźli doda głosu fałszowi, przekleństwom, bluźnierstwu, to bierze na siebie odpowiedzialność, że to domawia przed czém sam autor cofnął się, czego wypowiedzieć nie śmiał i co umyślnie ciemnościami osłonił. Trudności te tłómacz polski z wielkim taktem i zręcznością pokonał, światło i cienie na swojém miejscu i w swoim stosunku zostawił, wyjąwszy jednego szczegółu, o którym w przypisku powiemy, niczego ani jaskrawszemi ani posępniejszemi kolorami nie pociągnął, niczego nie nadwerężył, chociaż niejeden zawiły okres w tryb loiczniejszy uszykował, a ku oddaniu tego wszystkiego znalazł język męzki bez szorstkości, jasny bez pospolitości, uroczy bez kwiecistości. Oczywiście, że części śpiewniejsze, w liryczny ton uderzające, powabniejszemi w czytaniu wydawać się muszą. Tłómacz uczynił je jeszcze nadobniejszemi przez większe gdzieniegdzie bogactwo rymów i śpiewność zwrotów jak w oryginale. Niech posłuży za przykład ta zaraz wstępna scena, w któréj przemawiają wywołane przez Manfreda duchy. (*A*)

Pierwszy Duch.

Sciągniony mocą uroku,
Przybywam z głębi obloku,
Który tworzy
Oddech zorzy,
A gasnące
Barwiąc słońce
Pąsem, szafirem i złotem,
Lotnym mię słoni namiotem,
Mógłbym wzgardzić słowy twemi,
Przecież ku twemu życzeniu
Spłynąłem tu na promieniu,
Czego pragniesz, synu ziemi?

(*A*) Przy tak wyborném w ogóle tłómaczeniu wszelkie usterki, jakieby w niém znaleźć było można, wydają się niezmiernie drobnemi. Odkryć je zdoła tylko ten, co tak jak my przejdzie słowo po słowie porównywając przekład z oryginałem. Przytaczamy też tu one w przypiskach po każdym poemacie, nie tyle by złożyć świadectwo staranności naszego rozbioru, co aby okazać jak ich mało najtroskliwsze porównywanie wyszukać zdołało.

Już powiedzieliśmy, że gdy przekład dosłownym być nie mógł, tłómacz musiał dla wyjaśnienia myśli często jaki wyraz dodać lub ująć. Nie starczyłoby nam miejsca,

Drugi Duch.

Montblanc jest królem nad góry,
Z wieków osiadł tron skalisty;
Płaszczem jego czarne chmury,
A koroną śnieg wieczysty.
Czarnym lasem przepasany
W ręku swym trzyma lawinę,
Lecz nim ją ciśnie w dolinę
Czeka na znak przez mnie dany.
Lodozwałów tłum ruchomy
Ciągle naprzód postępuje,
Ale ja to te ogromy
I popycham i wstrzymuję.
Jestem duchem téj krainy,
Kiedy zechcę górę skruszę,
W ich podstawach Alpy wzruszę,
Czegoż pragniesz, zlepku gliny?

---

gdybyśmy chcieli wypisać wszystkie przypadki, w których on tym sposobem wyświecił zagmatwaną lub niezręcznie wyrażoną myśl autora. Natomiast w kilku razach jest albo wyraz nieodpowiednie wytłómaczony, albo dodatek mniéj potrzebny, albo sens nieco zmieniony. Wyliczamy te miejsca porządkiem, ograniczając się w niniejszym przypisku *do Manfreda*. Na stronie 7. tłómacz raz po raz używa przymiotnika *sprosny* na oddanie angielskiego *shapeless i deformity*, co w obu przypadkach znaczy bezkształtny. Na stronie 13. znajduje się wiersz: „I wszystko zimną pokryje się nocą.“ Tego wyraźnie nie ma w oryginale, ale że się zgadza z całym obrazem chętnie go przyjmujemy, tylko że noc nie mogła być zimną, gdyż w takiéj nie świeciłby robaczek, o którym wprzód mowa i cały opis zdaje nam się prędzéj noc letnią określać. Na stronie 16 niewłaściwie wsuniętym jest wyraz *oszczerstwo*, gdyż autor mówiąc o kłamanych okiem cnotach, o złém sercu, które pozory ludzkiego przybiera, nie mógł mieć na myśli oszczerstwa ale obłudę. Na str. 33. tłómacz kładzie: ‚Duchu piękny z tym włosem promiennym,“ gdy tymczasem w tekscie jest *air of light*, co znaczy postać promienna, nie zaś włos, bo wtedy byłoby *hair*. Być może iż pomyłka ta pochodzi z błędnego druku w tekscie lub z wielkiego podobieństwa dwóch tych wyrazów w angielskiém. Na téjże saméj stronie wyrazy „Gdy na tém przyzwaniu zyskać mogę“ — nie oddają ani słów ani myśli oryginału, bo lubo słowo *to avail* znaczy *zyskać*, *skorzystać*, tu przecież jest inna składnia, jest *to avail of* po polsku *użyć*, przekład więc winien był powiedzieć: „Jeźli użyję mych czarów“ lub też „mych zaklęć.“ O kilka wierszy daléj na następnéj stronie znajduje się wyrażenie: „Znam jako twórcę twych cierpień, skazanego na nie.“ Wprawdzie wiersz w oryginale jest nader trudnym do jasnego wytłómaczenia, ale nam się wydaje, iż myśl w nim zawarta tak się rozumieć powinna: „Znam cię jako skazanego na cierpienia, zgubne równie innym jak tobie samemu.“ Na str. 36. wiersz „Po wodach z krą lecących, tak w rzekach jak morzu“ — o tyle nie odpowiada oryginałowi, że *new-breaking* znaczy *wzbierająca*, gdyż trudno przypuścić, aby autor chciał powiedzieć, że Manfred rzucał się w morze z krą lecące. Nieco daléj, wolelibyśmy gdyby zamiast „Czułem że tém zbliżeniem znów zniżyłem siebie,“ było jako zgodniéj z oryginałem: „Czułem, że mię zbliżenie znów zniżyło do nich;“ — gdyby powtóre zamiast „Wtenczas to myśl moję grążyłem po samotnych drogach w lochach śmierci“ było jak w tekscie: „Wtenczas wśród samotnych wędrówek zapuszczałem się w lochy śmierci;“ — gdyby wreszcie pod koniec téjże saméj sceny wiersze, które tak brzmią w przekładzie: „A przecież jéj to krew wytoczono. Patrzyłem się na to, a zatrzymać nie mogłem“ — były jak najściśléj wytłómaczone, gdyż w nich tkwi tajemnica, któréj autor odsłonić nie chciał; mówi przeto, że krew Astarty popłynęła, zostawia-

Trzeci Duch.

Tam gdzie toń ciemna, straszliwa,
Gdzie wiatr nigdy nie dosięże,
Woda w wiecznym śnie spoczywa,
A morskie gnieżdżą się węże;
Gdzie Syrena włos zielony
Wieńczy w muszle Oceanu,
Tam, jakby na huk orkanu,
Wstałem twym głosem zbudzony.
Koralowe me podwoje
Echem ozwały się głuchem;
Odsłoń mi żądania twoje,
Jestem Oceanu duchem.

Czwarty Duch.

Gdzie trzęsienie ziemi śpiące
Na wezgłowiu lawy leży,

---

jąc w wątpliwości, czy Astarte zabitą została, czy też sama się zabiła i że Manfred widział a zatrzymać téj krwi nie mógł. Przekład zaś za wyraźnie powiada, że ją zabito i że Manfred patrzał na to zabójstwo a zatrzymać go nie mógł, co rzecz znacznie zmienia. Na str. 43. zamiast: „dopóki nie przemówi zmarły" powinnoby być: „a jeźli nie przemówią zmarli" — sens bowiem całego ustępu takim się nam być wydaje: Mogę przyzwać umarłych i spytać, czego to się obawiamy po zgonie? Najsroższą ich odpowiedzią może być tylko że grobu. Lecz ten jest niczém. A jeźli oni nie odpowiedzą? Ale czemużby odpowiedzieć nie mieli, wszakże prorok wiedźmie Endorze dał z grobu odpowiedź, wszakże mocarz Sparty również wymusił odpowiedź na duchu byzantyńskiéj dziewicy. Na str. 48. wiersz: „Ludzie bowiem już czas swój przerośli od dawna" — jakkolwiek pięknie wyrażony, za nadto odbiega od tekstu, gdzie jest powiedzianém, że w rządach świata wyrocznie głupich poczynały wychodzić z mody, *waxing out of date,* być nie na czasie, wychodzić z daty. Na str. 58. w ostatnim wierszu zapewne przez pomyłkę drukarską jest *czują* zamiast *czuję.* Być może że tłómacz dobrze zrobił, iż na str. 69. w rozmowie Manfreda z opatem wypuścił dwa wiersze, które mało piękności porównaniu w nich zawartemu dodają, a nawias niepotrzebnie przedłużaja; ale nie wiemy czemu pod koniec aktu, w ustępie przez nas w górze przytoczonym, gdzie Manfred opisuje Kolizeum i pałac Cezarów, pominiętym został ów piękny wiersz, w którym on mówi że dziki bluszcz (ivy) tam dziś rośnie gdzie niegdyś laur wzrastał. Można było położyć cierń zamiast bluszczu, jeźli się tłómaczowi zdawało że w polskim języku bluszcz równie jak laur jest godłem pomyślności i chwały. Na str. 78. służący Manuel w przekładzie mówi że sam krwi związek wzbraniał Manfredowi kochać Astarty, w oryginale zaś zupełnie przeciwnie powiada on że Manfred kochał ją jako przez krwi związek był obowiązanym. Różnica pochodzi zapewnie ztąd że tłómacz usiluje dla zaspokojenia ciekawości w czytelniku, uchylić trochę więcéj zasłony z głównéj tajemnicy. Ztąd również gdy autor nie chcąc nam dać poznać czy Manuel wie o całéj tajemnicy czy nie, kładzie przy końcu sceny w usta temu ostatniemu słowa: „Pójdź za mną a powiem ci więcéj," — Tłómacz natomiast stawia: „Pójdź za mną a o wszystkiém dowiesz się odemnie." Na str. 88. gdy Duch mówi do Manfreda: „Twoje mnogie zbrodnie uczyniły cię moim" Manfred w przekładzie odpowiada: „A tobie co do nich?" w oryginale zaś jest daleko stosowniejsza odpowiedź: „Czémże są te zbrodnie w porównaniu do takich jak twoje (dosłownie: do takich jak ty)." Taki a nie inny sens tego wyrażenia pokazuje się i ztąd, że potém zaraz Manfred zapytuje się: „Czyż karać zbrodnie muszą inne zbrodnie i większi jeszcze zbrodniarze."

A jeziora siarką wrzące
Wykipiają z swych nadbrzeży,
Gdzie Andów korzeń rozrosły
Tak daleko w ziemię wryty,
Jak wierzch ich wzniosły
W górne wystrzelił błękity.
Z téj to rodzinnéj pieczary
Spieszę tu na twe wezwanie,
Zmusiłeś mię twemi czary,
Jakież jest twoje żądanie?

Piąty Duch.

Mym rumakiem jest nawała,
Co każę, łamie, roztrąca;
Burza, co za mną została,
Jeszcze od gromów gorąca
Na wietrzem tutaj przypłynął.
Na morzu flotę przeminął,
Śmiało szumne pruła tonie,
Téj nocy morze ją schłonie.

Przerywamy, bo nie starczyłoby nam miejsca i przenosząc się na sam koniec dramatu, dajemy ową wspaniałą scenę, w któréj Manfred raz ostatni do natury przemawia, a która w tłómaczeniu nie straciła nic na swéj piękności.

Gwiazdy w całéj świetności. Księżyc nad szczytami
Gór śnieżno-jasnych. O jak pięknie! Dotąd jeszcze
Tak mi błogo z naturą. Mnie znajomszém było
Ciemne nocy oblicze niźli twarz człowieka.
Jam w jéj cieniu gwiaździstym, w jéj mrocznéj, samotnéj
Swobodzie, wyuczył się tajemniczéj mowy
Świata innego. Pomnę, jak w młodości mojéj,
Kiedym był na podróżach, — w takiéj właśnie nocy
Stałem w pośród potężnych Kolizeum murów,
Celnych, świętych ostatków wszechmocnego Rzymu —
Drzewa, co wzdłuż złamanych rozrosły się łuków,
Ciemno się kołysały w błękitnéj północy.
Przez szczeliny rozwalin przeglądały gwiazdy.
Strzegący pies z daleka z po za Tybru szczekał,
Bliżéj z gmachów Cezara słychać było długie
Sów krzyki, i czasami pieśń odległéj czaty
Ozwała się i w wiatru skonała powiewie.
Kilka cyprysów po za staremi rozłomy,
Chociaż na strzał odległych — zdało się widnokrąg
Oczu mych ograniczać. Gdzie niegdyś Cezary
Przebywały, a teraz nocne huczą ptaki,
Wyrósł gaj wśród rozwalin tych upadłych gmachów
I w gruzach się cesarskich rozkorzenił ognisk.
Stoi dotąd skrwawiony cyrk gladyatora,
Stoi ten szczyt szlachetny — arcydzieło ruin!
Gdy komnaty Cezara, Augusta podwojo,
Zaledwie już widzialnym gruzem ścielą ziemię.
Ty ciągle sie toczący księżycu, tyś wszystko
Oświecał, a rozległy i smętny blask lejąc
Łagodził twardą dzikość strasznego zniszczenia,

I na nowoś zapełniał, jakbyś odbudował
Potężne wieków wyrwy. Tyś wszystko zostawił
Co pięknem jeszcze było, a co niém nie było
Podniosłeś do piękności — aż wszystko nabrało
Świętości religijnéj, a z serca się lała
Cicha cześć dla wielkości mężów starożytnych,
Zmarłych lecz berłowładzców, którzy i z urn swoich
Panują duchom naszym. — Taką noc ta była.

Dwa te wyjątki, odmienne tokiem i wierszem, dadzą dostatecznie poznać jakim jest niniejszy przekład *Manfreda*. Atoli utwor ten z jakimkolwiek talentem i pracą tłómaczony, nie zyska nigdy tyle wziętości u ogółu czytelników, co cztery inne poemata, a osobliwie *Mazeppa*. Tu to w tym ostatnim tłómacz znalazł się w swym właściwym żywiole. Ruch obrazów, pęd akcyi, gromkość wyrażeń, potrzebowały tego malowniczego stylu, téj rzutkości i jędrności wysłowienia, któremi on zyskał dla swych oryginalnych poezyi tak wysokie w literaturze miejsce. Jeźli gdzie, to tu ściśléj wierności nie mógł, nie potrzebował zachować. Czytelnik gnany porywającém opowiadaniem nie ma czasu zastanawiać się i mało byłby wdzięcznym takiemu przekładowi, któryby dla utrzymania wierności prowadził go po krętéj i chropowatéj drodze wymęczonych okresów lub twardych składni. Wyjąwszy przeto parę miejsc, w których sam Byron gmatwa się i nisko w powszednią koléj spada, wypadałoby nam przytoczyć cały ten przekład jako wzór siły, a razem polotności i barwy. Gdy jednak ograniczyć się musimy, dajemy tylko jeden ustęp z głównéj części opowiadania, opuszczając dla skrócenia te wiersze, które z treścią koniecznego związku nie mają. (B.)

Konia tu dajcie! — i przywodzą konia.
O wprawdzie takich rumaków nie wiele!
Ukraińskiego wychowaniec błonia,
Jakaś myśl w calém rozdrżała mu ciele.

B) Powiedziawszy z góry że przekład *Mazeppy* najmniéj mógł i potrzebował być dosłownym, nie mamy prawa wytykać mnogich tu zboczeń od oryginału. Wskażemy więc tylko te kilka miejsc, w których zdaniem naszém tłómacz mógł i winien był pójść ściśléj za tekstem.

Usuwamy naprzód szczegół, którego rozsądzać nie chcemy, ale którego nie godzi się nam pominąć. Wizerunek Jana Kaźmierza niepochlebnie skreślony przez Byrona, tłómacz zmienił na zgodniejszy z historyą i przyjemniejszy dumie naszéj narodowéj. W oryginale Mazeppa mówi do Karola XII o Janie Kaźmierzu, że był to monarcha uczony, zupełnie do Karola niepodobny; żadnych wojen nie prowadził, nie zdobywał nowych państw by znowu je utracić (przytyk za śmiały i zbyt dotkliwy dla Karola uciekającego z pod Pułtawy), i gdyby nie spory na warszawskich sejmach panował w najohydniejszym pokoju. Tłómacz zaś tak przedstawia Jana Kaźmierza:

Nie był on, panie, podobnym ci w niczem,
Męztwem ci tylko zrównał wojowniczem;
Lecz chociaż wiele przewojował czasów,
Przecież prócz sławnych na sejmie hałasów,
Nie byłby innéj pewno zaznał wojny,
Tak był z natury słodki i spokojny;
Z musu on tylko, choć dzielnie wojował
I nie tak łatwo kord dobyty schował.

Otóż lubo nie wchodzimy w kwestyą, czy wolno tłómaczowi do tyla oryginał zmieniać choćby nawet dla przywrócenia prawdy historycznéj, zdaje się nam przecież iż jest to za dalekim odskokiem w drugą stronę twierdzić że Jan Kaźmierz męztwem wojowniczém równał się Karolowi XII.

Dziki, własnego obawiał się cienia,
Dziki dzikością młodego jelenia;
Nigdy ni uzdą, ni ostrogą tknięty
I przed dniem jednym dopiero ujęty.
Z zjeżoną grzywą i opornym krokiem,
Z chrapiącém nozdrzem, zapienionym bokiem,
Strachał się, złościł, wspinał, rzucał dumnie
Groźny syn stepu prowadzony ku mnie.
Tłum mię sług porwał, na grzbiet konia cisnął,
Na dłuż rozciągnął, rzemionami ścisnął,
I puścił nagle. Lecim gromem, strzałą,
Potok z tak nagłą nie spada nawałą,
Lecim i lecim — dech się we mnie ścinał;
Dzień wówczas ledwie bielić się zaczynał,
Poznać nie mógłem w jakie pędzę strony,
On leciał, leciał pjaną ubielony.

. . . .

Pędzim i pędzim, jakby wichry, gromy,
Znikły za nami wszystkie ludzkie domy;
Pędzim i pędzim jakby szturmy, burze,
Krwawy meteor na niebios lazurze.
Nigdzie ni miasta, ni nędznéj wioszczyny,
Niezmierne tylko dzikich step równiny
Czarnemi w koło opasane lasy,
I prócz tych gmachów, co się w dawne czasy
Przeciw Tatarom w groźnych wzniosły murach,

Wracając do niektórych pojedyńczych zboczeń od tekstu, następujące wyłuszczamy. Na str. 101. tłómacz mówi o wojewodzie: „I wszystkie rodem swym przewyższał rody.“ Zgodniéj z historyą autor powiada tylko, że był dawnego i wysokiego pochodzenia. Nie wiemy także, czy mówiac o małżonce wojewody że chciała „jak czuła żonka drogę do nieba złatwić dla małżonka,“ nie przekroczył wprawdzie dość ciemnego w oryginale wyrażenia, które jednak, ile zrozumieć możemy, oznacza, że czekała rychło będzie mogła okryć męża tytułami, to jest zapewnie swéj miłości i żalu, które jak mówią, są jakby paszporta do nieba. W saméj rzeczy jest to powtórzeniem znanego w Anglii wyrażenia. Trudno było w polskim wierszu mówić o paszporcie do nieba, ale znowu słowo *złatwić* może niejednemu czytelnikowi nasunąć myśl gorszą jak ta, którą autor umieścił. Na str. 109. nie jest w przekładzie tak dobitnie jak w oryginale, że paź Mazeppa nie miał żadnego innego klejnotu ani bogactwa prócz otrzymanego od natury daru młodości i zdrowia. Na téjże saméj stronie przekład mówi wciąż o kochaniu się skrycie, gdy tymczasem w tekscie jest mowa o spotykaniu się z kochanką skrycie, co czyni jaśniejszemi słowa Mazeppy. Na str. 110. tłómacz kładzie w usta Mazeppie te słowa: „niegrzeczny djabeł zdrajcę naprowadził, lecz krzywdzę djabła, nie djabeł nas zdradził, pewno tam na ten związek cudzołożny jakiś świętoszek wylał jad pobożny“ — gdy tymczasem w oryginale jest: Djabeł w takich razach powinienby być grzecznym, — nie chcę go krzywdzić, więc *być może* że to jaki szkodliwy świętoszek, który nie mógł już wytrzymać i swój *gniew* pobożny wyjawił. Ucinki takiego autora jak Byron należy raczéj łagodzić jak zaostrzać i dla tego wolelibyśmy byli znaleźć w przekładzie *być może* jak *pewno, gniew* jak *jad.* O kilka wierszy daléj wyraz *z krzykiem* niestosownie jest dodanym. Na str. 112. wiersz: „Jakaś myśl w całém rozdrżała mu ciele“ nie oddaje pięknego wystawienia w oryginale, że rumak tak wyglądał jakby rączość myśli była w jego członkach, czyli jak gdyby był tak rączym jak myśl. Na str.

A których ledwiem mógł dojrzeć po górach,
Ni śladu ludzi. Rok właśnie przed nami
Turek z licznemi przeszedł tam wojskami,
A gdzie koń Spahów ziemię nogą zryje,
Grunt się skrwawiony trawą nie okryje.
Pochmurno było. Wietrzyk smętnym głosem
Zdawał nad moim użalać się losem,
A koń w tak strasznym pędzie się zaganiał,
Że mi i westchnąć i modlić się wzbraniał.
Na grzywę jego, którą wiatr rozwiewał,
Pot się mój zimny gęstym deszczem zlewał,
On zaś na oślep bez celu, bez drogi,
Pędził i chrapał ze złości i trwogi.
Nie raz myślałem, że za krótką chwilę
Musi nakoniec już upaść na siłe,
Gdzie tam! — zbyt wątłe i spętane ciało
Gniewnéj jędrności igraszką się zdało.
Każdy ruch, którym wyzwolić się chciałem,
Wścieklejszym jeszcze rozogniał go szałem.
Na głos mój z trudem z piersi wyciśnięty
Tak w bok uskoczył jakby prętem cięty.
Z każdym tym głosem rwał się tak szalenie
Jakby zasłyszał trąb wojennych grzmienie.
Strumień krwi czarnéj, co się z ran mych toczył,
Spływał po ciele i pęta mi broczył,
A jak piekielnym gorzący płomieniem
Język ognistém palił się pragnieniem.

---

118. „A chociaż rany wszystkie się zawarły zimnem okrzepłe, przecież ból przemógłem" — zaś w oryginale przyczyna jest przeciwnie podaną: Znalazłem siłę do zniesienia ran moich, albowiem (nie *chociaż*) zimnem się już zawarły. Na str. 127. tłómacz kładąc: „Wiatr to zapewne tak świszczał po boru" — odnosi to do rżenia, które z daleka Mazeppa dosłyszał, gdy w tekscie mowa jest nie o świście lecz o ruchu gałęzi i cały ten wiersz stosuje się nie do poprzedniego lecz do następnego obrazu: czy to wiatr porusza te gałęzie? Nie — nie, to z boru tętniące stado wybiega. Na str. 129. przy końcu ustępu któryśmy przytoczyli, opuszczonym został w tłómaczeniu wiersz, który wyraża, że dzikie stado pierzcha do lasów z instynktowego strachu przed okiem człowieka. Nieco daléj znajduje się to dziwne twierdzenie autora, że ludzie co w roskoszach żyli umierają spokojnie, często spokojniéj jak nędzarze, bo temu który po kolei użył wszystkiego co było piękném i nowém, nie pozostaje żadna nadzieja, żaden żal, żadna troska prócz przyszłości, (a na tę przyszłość patrzą ludzie nie według tego czy są podłymi czy dobrymi ale według tego jakie mają nerwy). Bardzo dobrze zrobił tłómacz że to opuścił cośmy tu zamknęli w nawiasie, ale trudno zrozumieć dla czego przełożywszy wszystko co poprzedza, nie wspomina o obawie przyszłości, a to jest przecież najważniejsze i jedyne wyrażenie, które dziwaczność tego ustępu mniéj przykrą czyni. Na str. 133. Mazeppa mówi w przekładzie: „Sen mój ostatni był jak gwiazda lśniąca, co wdzięcznie z dala znów bliżéj krążąca, wciąż mi się wolném przemykała snuciem" — gdy tymczasem w oryginale słowa: Sen mój ostatni był coś o lubéj jakiéjś gwiaździe, która z daleka wpatrywała się w moje zamglone oczy, — daleko wyraźniéj przygotowują obraz dziewicy któréj oczy wkrótce Mazeppa rozeznał wpatrujące się mu w oblicze. Na str. 135. może o kozackiéj prostéj dziewczynie za nadto tłómacz powiedział, gdy mówi, że bierze chorego „za puls, szuka go i bada," — w tekscie jest tylko, że położyła swą rękę na jego ręce.

Lecim do lasów — czernią się do koła
Dzikie, rozległe, okiem nieobjęte,
Sterczą potężne groźnych dębów czoła
Najsroższym nawet wichrem nieugięte,
Co wyjąc stepy Sybiru przelata.
I grzmiącym szturmem całe bory zmiata.
Rzadko tam stoją te pyszne ogromy,
Lecz gęsto wśród nich rośnie krzew poziomy
Przybrany w liścia uroczéj zieleni,
Nim je oberwie mroźny wiatr jesieni,
Nim je po lasach i borach rozwieje,
W przykrą i trupią czerwoność odzieje,
Co tak wygląda, jakby krew stężała
Na placu bitwy leżącego ciała
Którego żadna ręka nie pochowa,
A tak niejedna stwardzi noc zimowa,
Że i dziób nawet żarłocznego kruka
Po zmarzłém licu jak po lodzie stuka.
Puszczę tę zarósł gąszcz młody, zielony,
Gdzieniegdzie stały dęby, sosny, klony.
Szczęściem że z rzadka — gdyż w takim rozgonie
Stokroćbym pewno roztrzaskał się o nie.
Gnące się krzewy ciała mi nie darły,
A chociaż wszystkie rany się zawarły
Zimnem okrzepłe — przecież ból przemogłem
A żem był w pętach, z konia spaść nie mogłem.
Szumiąc po liściach z całéj pędził siły
Wśród drzew, wśród wilków, co za nim goniły,
A które ciągle tuż za naszym śladem
Mordem dyszące całém biegły stadem
Tym długim cwałem, co nieraz w manowcach
I gniew i zapał znuży w psach i łowcach:
O kilka kroków w dzień już prawie biały,
Widziałem jak się przez gąszcz przewijały,
A w nocym słyszał jak chrzęszcząc liściami
Zdradnym poskokiem suwały za nami.
O jakbym chętnie z nimi bój był toczył,
Rąbał, mordował, miecz mój krwią ich broczył,
I gdym koniecznie już miał paść ich łupem,
Przynajmniéj licznym otoczył się trupem!
Z razu gdy koń mój z takim pędził szałem,
Chciałem by ustał — a teraz się bałem
Czy ujdzie wilkom: — lecz próżnóm się lękał,
Dziki syn stepu twardych sił nie znękał.
. . . .
Z południa było, gdym już przebył bory,
Drżałem od zimna choć wśród letniéj pory,
Może iż skryty w żyłach dreszcz mię ziębił,
Bo kogoż długi ból by nie przygnębił.
. . . .
Ziemia się gięła pod końskich nóg grzmotem,
Chmury mi wstecznym uciekały lotem;
Zdało się żem miał już na ziemię runąć,
Lecz dla pęt moich nie mógłem się zsunąć.

Serce pękało, — skroń głazem ciężyła,
Krew w niéj chwilami biła, znów nie biła,
Nieba się wielkiém kołem obracały,
I jak pijane drzewa taczać zdały.
Jakiś błysk ciągle z pod mych tryskał powiek
I znów ciemniało, — Konający człowiek
Bardziéj nie kona, niźli ja konałem.

. . . .

Wracam do zmysłów — cóż to? zkądżem cały
Tak odurzony, tak zimny, skościały?
Słabe, leniwe serca mego bicie
Powolne w ciele mém rozbudza życie:
Gdy wtém ból straszny nagle krew mi całą
Na wstecz odlunął, choć zimną, stężałą.
Dziwny szum, szelest bije mi o uszy
I jakiś mroźny przestrach czuję w duszy.
Widzę nakoniec — lecz cóż mi to oczy
Jakąś powłoką grubą, szklanną mroczy?
Może ja marzę jaką wód nawalę . . . .
W głębi pod sobą widzę niebo całe,
Jasne gwiazdami. — Nie! — sen mię nie zwodzi!
Dziki mój rumak w dzikszych wałach brodzi.
Szerokiéj rzeki lśniące się bałwany
Szumią białemi warzące się pjany.
Pół ja dopiero byłem przebrnął rzeki
Od nieznanego brzegu tak daleki.
Czuję żem ożył, że silniejszy jestem,
Zimnym wód rzecznych orzeźwiony chrzestem.
Dzielny mój rumak śmiało i zuchwale
Piersią rosnące wciąż przecinał fale,
Płynął, aż wreszcie całą szerz ich przebył,
Lecz brzeg ten dla mnie portem szczęścia nie był,
Gdyż wszystko za mną mgłą się kryło ciemną,
A noc i przestrach czerniły przedemną.
Nie wiem jak długo, i czy w nocy, we dnie,
Te między życiem i śmiercią pośrednie
Trwały męczarnie . . . .

Z ciekącą grzywą, lśniąc się, kurząc cały,
Silił się, parżchał rumak zadyszały,
Chwiał się, a przecież potężnemi kroki
Wdzierał się na brzeg stromy i wysoki.
Wdarł się nakoniec. Przestrzeń nieprzejrzana
Szerzy się grozą i nocą zalana,
I tak wciąż naprzód szerzy się bezkreśnie
Jak czarna otchłań wymarzona we śnie.

. . . .

Koń mój biegł ciągle — lecz tak dzika siła,
Z którą tak pędził, już złamaną była:
Słaby, dyszący i z spienionym bokiem
Cięższym, leniwszym posuwał się krokiem;
Każdy mu wówczas byłby mógł poradzić,
Dziecięciu nawet dałby się prowadzić,
Lecz nic to mojéj nie ulżyło męce,
Miałem związane i nogi i ręce,

A choćbym nawet i od pęt był wolny,
Nie byłbym może sobą władać zdolny.
Chciałem raz jeszcze z memi walczyć pęty
Któremi byłem tak silnie ujęty,
Lecz tylem mojém miotaniem się zyskał,
Żem jeszcze mocniéj węzły moje ściskał.
Płonne więc odtąd zaniechałem boje,
Co rozjątrzały tylko rany moje.
Zdało się, że koń mój już wkrótce legnie,
Choć nie wiedziałem gdzie jeszcze zabiegnie.
. . . .
Błysnął dzień jasny — mgłę rozproszył ciemną,
Leży świat blaskiem rozświecony słońca,
Tak pusty w koło — za mną — i przedemną...
I po cóż pędzę przez ten step bez końca,
Przez lasy, rzeki. — Nikt tu stopy swemi
Śladu w téj bujnéj nie wytłacza ziemi
Ni zwierz, ni człowiek. — W żadnéj roku porze
Nikt tu nie przejdzie, nikt nigdy nie orze;
W całém powietrzu cisza tak straszliwa,
Ptaszek się ranną piosnką nie odzywa,
Nie słychać nawet ni z trawy ni z krzaczka
Cichego brzęku drobnego robaczka.
Koń mój werszt kilka biegł tak zadyszały,
Jakby w nim wszystkie żyły pęknąć miały,
Widocznie przecież w każdéj słabiał chwili,
Samiśmy tylko — ciągle sami byli . . .
Aż gdy tak coraz bardziéj słabiał, dyszał,
Naglem gdzieś zdala rżenie konia słyszał,
Lecz nie — z błędnego sądziłem pozoru
Wiatr to zapewnie tak świszczał po boru.
Nie! nie! — z tych puszczy całe stado tłumnie
Sypie się — zwiększa — tętni — pędzi ku mnie
Wielkim, rozległym pułkiem rozwinięte!
Chcę krzyknąć — próżno — usta na śmierć ścięte.
Pędzą w swéj całéj wolności i pysze,
Lecz cóż to? — ludzi ni widzę, ni słyszę.
Któż je prowadzi? — bez jeźdźca, tysiące!
Rozwiane grzywy, kity pływające,
Nozdrza nawalnym oddechem rozwarte,
Pyski ni uzdą ni kiełznem nie darte,
Boki kolcami nie kłute ostrogi.
I nigdy podków nie znające nogi.
Tysiączny hufiec, dziki, wolny, śmiały,
Pędzi jak morza goniące się wały,
Pędzi — grzmi — tętni — cały step przelata,
Jakby chciał witać nieznanego brata.
Widok ten chwilę krzepi go i cieszy,
Zrywa się niby i choć słabo spieszy,
Sili się, cichém rżeniem odpowiada;
Chwieje się — plącze — i nakoniec pada
Leży i dyszy z okiem już zmartwiałem,
Z stęgłém, bezwładném, kurzącém się ciałem.
Skończył już bieg swój pierwszy i ostatni.
Przybiegłe stada patrzą na zgon bratni,

Dziwi je moja postać rozciągnięta
I krwawe z koniem wiążące mię pęta,
Patrzą się — stoją — trwożném mierzą okiem,
Wietrzą — strachliwym przebiegają krokiem,
To się przybliżą, to znów pierzchną społem,
To w końcu wielkiém oblatują kołem,
Aż wreszcie nagły na nie postrach pada,
Pędzą za jednym jakby królem stada,
Który tak kruczą maścią lśni się cały
Że jéj nie plami i jeden włos biały.
Pienią się — chrapią — rżą — od trupa stronią,
Płoszą — pierzchają — i po lasach chronią. —
Sam odtąd z wszelkiéj nadziei wyzuty
Zostałem w stepie — do trupa przykuty. . . .

Piękność i siłę takiego przekładu każdy czytelnik oceni. My téż nie potrzebujemy pochwalnego naszego sądu przymierzać do pojedynczych ustępów. Lecz niepodobna nam wstrzymać się od powtórzenia przynajmniéj tych trzech tak dzielnych wierszy:

Tłum mię sług porwał, na grzbiet konia cisnął,
Na dłuż rozciągnął, rzemionami ścisnął,
I puścił nagle. —

W tych wierszach, które raz przeczytane na zawsze w pamięci zostaną, tłómacz przewyższył autora i dał krótki, a wielce wysoki wzór przymiotów, które jego przekładowi przyznaliśmy.

Po *Mazeppie* następuje *Oblężenie Koryntu.* Jeźli gdzie, to w tym poemacie można Byronowi zarzucić wielką niedbałość, którą aż nadto opłaca tylu szczytnemi pomysłami i obrazami, ale która często aż do znużenia dokuczliwą się staje dla czytelnika, a cóż dopiero mówić o tłómaczu? Pełno tu niepotrzebnych powtórzeń, pojedyncze części okresów plączą się między sobą, wiersze rzucane jakby od niechcenia, ciągną się, wysnuwają jedne z drugich, niepotrzebnie podwajają, nie raz zdaje się, że tylko dla rymu i że autor punktu położyć nie chce, lub nie umie. Tu więc doświadczona zręczność i styl jasny naszego poety były koniecznie potrzebnemi. Dokazał téż wiele, a jeźli niekiedy oryginał silniejszym się wydaje, to wyjąwszy wskazanych miejsc w przypisku, jedynie dla tego, że tłómacz musiał zachować równość toku i miarę wiersza, które wciąż autor zmienia i najdziwaczniéj pogwałca. Dajemy jeden tylko wyjątek, ale dwie odmienne sceny w sobie zawierający. (C.)

Wzięła go za dłoń — lekko jéj dotyka —
Cóż to za dziwny dreszcz mu w kości wnika?
Czuje w swéj piersi jakiś pomróz skryty,
Patrzy — słupieje — i stawa jak wryty.

(C) Są opuszczenia i zmiany w przekładzie niniejszego poematu, które znajdujemy aż nadto usprawiedliwionemi; są inne lubo w daleko mniejszéj liczbie, którym według nas brak dostatecznego powodu. Wdzięczni jesteśmy tłómaczowi, że opowiadanie bitwy jaśniéj wyłuszczył, że śmierć Alpa treściwiéj wystawił, że w obrazie wysadzonego Koryntu nie zamieścił skrzeczenia żab, które gdyby nawet były skrzeczały, co nad morzem przy dniu i przy huku trudno przypuścić, to z przestrachu powinny były ucichnąć. W następujących jednak kilku przypadkach wierność nie byłaby zaszkodziła. Na str. 145 opuszczone są cztery wiersze, w których autor czyni wzmiankę o oswobodzeniu Grecyi w naszych czasach. Na str. 151. wyrażenie: „Pójdą, aż na niéj już ostatni zginie" nie tak łatwo daje się zrozumieć od razu jak słowa oryginału,

Tak słabo zimny uścisk go ujmuje,
A przecież dłoń swą jak przykutą czuje.
Dziwna rzecz! ręka ściska go tak droga,
A krew mu w żyłach nagła ścina trwoga,
Te długie palce i tak wątłe, białe,
Życie w nim prawie wymroziły całe.
Skroń mu febrycznym już nie płonie żarem,
Serce wciąż większym opada ciężarem
W miarę jak patrzy w jéj rysy mu znane. . . .
Jakże straszliwą spostrzega w nich zmianę!
Piękna — lecz piękność ta w zwiędłości znika,
Żadnego duszy nie widać promyka,
Co tak gra twarzą każdą piękną, młodą,
Jak dzień słoneczny iskrzącą się wodą.
Wyraz jéj zimny, postać jak grobowa,
Usta bez ruchu, bez oddechu słowa,
Pierś się nie wznosi skrytych uczuć bojem
I krew w jéj żyłach skrzepłym zda się zdrojem.
Z stęgłych już powiek lśniącém błyszczy okiem,
Ale z tak dzikim i niezmiennym wzrokiem,
Z jakim marzący ciężko i boleśnie
Idzie lunatyk obłąkany we śnie,
Lub jak ta postać z goblinu patrząca,
Którą wiatr rusza, a lampa gasnąca
Ćmiąco objaśnia — postać przeraźliwa
Bez iskry życia, a przecież jak żywa,

---

które są: Pójdą, a szczeblem dla nich będzie ten co ostatni ginie. Na stronie 152. „z głuchym pomrukiem“ nie wyraża myśli autora: I łagodnie jak strumyk mruczały, podobnież: „Ucichły morza śpiących wiatrów ciszą“ — nie wyrównywa słowom tekstu: Wiatry się do snu na falach usłały. Na str. 156. nie znajdujemy dwóch wierszy dość znaczących: Nie wiedzą jak nienawiść może gorzeć w sercach, które z łagodnych w srogie się zmieniły. Na str. 159. gdzie mowa jest o białéj śniegów osłonie na górze delfickiéj, tłómacz tak rzecz daléj prowadzi; „Wolność się z ziemskim żegnając padołem — Nad gór ją wzniosłych zawiesiła czołem — Wieńcząc te szczyty etc.“ W tekscie ustęp ten brzmi daleko mocniéj. Jest tam mowa nie o ziemskim w ogólności padole, ale o Grecyi, nie o wieńczeniu ale o pokryciu śmiertelném odzieniem. Byron powiada że ta osłona śniegów wydawała się: Z kształtu jak szczyt ostry, z wysokości jak obłok z wątku, jak powiewne czechło, które przy rozstaniu wolność tam w górze rozpostarła, gdy uchodząc z ulubionego sobie kraju, raz jeszcze zatrzymała się na téj wyżynie. Na str. 160. ślicznie oddany jest ustęp o sławie wielkich mężów. Zdaniem naszém nicby on nie był stracił, gdyby był tłómacz zatrzymał wiersz o szaréj, samotnéj kolumnie, która stojąc na grobie bohatera, spokrewniła się z jego ciałem. Na str. 163, przekład mówi o „paszczękach już wiekiem stępiałych“ — tekst zaś o paszczękach, których ostrze stępiało. Zapewne jednobrzmienność wyrazów (*age* wiek i *edge* ostrze) znowu omyliła tłómacza. Tamże nie rozumiemy co znaczy: „Poznał ich z czerepów długich i zwieszonych.“ W oryginale jest: I każda czaszka miała jeden długi kosmyk włosów. Wiadomo bowiem i tłómacz to w przypisku dodaje, że według wiary muzułmańskiéj, prorok za ten kosmyk unosi poległych do raju. Bez tego wyrażenia ciemném staje się następne, że psy rwały czaszki owikłanemi we włosy zębami. Na str. 164. wiersz: „Niż na tych, którzy już cierpieć przestali“ — lepiéjby był wyświecił cały obraz, gdyby był wierniéj z tekstem powiedział, że snadniéj patrzeć na rannych i umierających, niż na *niszczenie* ciał już po zgonie. Na str. 165. tłómacz mówi, że czas „tyle tylko zwalisk nam zostawił, by w téj prze-

Co zda się wryte oko gniewem mroczyć,
Z ocienionego muru ku nam kroczyć
I w miarę jak nią rzuca wiatrów wianie
Lub się przybliża lub cofa ku ścianie.
„Jeźli dla siebie zbyt wiele wymagam,
W imię więc Boga raz cię jeszcze błagam,
Zedrzéj ten turban z twéj niewiernéj skroni
I przysiąż twojéj nie obracać broni
Przeciw ojczyznie — gdyż z grzechy takiemi
Zginiesz — nie ujrzysz — nie mówię téj ziemi,
(Gdyż z ziemią tobie już się rozstać trzeba,)
Ale nie ujrzysz nigdy mnie, ni nieba.
Jeźli usłuchasz Anny twojéj głosu,
Choć już ciężkiego nie unikniesz losu,
Niebo pół twojéj zbrodni ci przebaczy
I może kiedyś zlitować się raczy.
Chwilę masz jeszcze by ten grom odwrócić,
Który na swego zdrajcę Bóg ma rzucić,
Spojrzyj raz jeszcze — spojrzyj ostatecznie
Na te niebiosa, co się zamkną wiecznie;
Widzisz tę chmurkę, co tam w górze płynie,
Wkrótce ten księżyc oćmi — przejdzie — minie,
Jeźli w tym czasie, nim ten żagiel mglisty
Przejdzie, odsłoni krąg ten promienisty,
Serce się twoje na lepsze nie zmieni,
I Bóg i ludzie zostaną pomszczeni:

---

szłości przyszłość nam objawił" — a w oryginale jest, że czas tylko tyle z przeszłości zostawia, by przyszłość miała nad czém płakać. Na str. 166. w opisie zupełnéj ciszy na morzu tłómacz dodaje, że żagle były ciche i spokojne. W tekście niema nic o żaglach, bo też w ciszy żagli rozwiniętych nie bywa. Na str. 167. cztery wiersze przestrach Alpa opisujące, gdy nagle ujrzawszy Annę i drzącą ręką nie zdołał się przeżegnać tym krzyżem który już za boski nie uznawał, chciał on go w téj chwili ponowić, lecz sumienie odebrało mu siłę, — cztery te wiersze tak są w przekładzie ułożone, iż przy pierwszém czytaniu zdawać sie może że to mowa o Annie nie o ręce. I znowu na następnéj stronie nie jest tak dobitnie w tłómaczeniu jak w tekście powiedzianém, że nim Anna odrzekła raz do góry podniosła rękę, która tak bladą i przejrzystą była, że księżyc zdawał się przez nią przeświecać. Z tłómaczenia zdawałoby się, że ciągle ta ręka była podniesioną. Na str. 171. wiersz: „Co tak gra każdą twarzą piękną, młodą" — wyraża ogólne spostrzeżenie, gdy natomiast w oryginale jest, że Alp ujrzał twarz Anny bez tego duszy promienia, który zwykł był grać we wszystkich jéj rysach. Tamże: „Z stęgłych już powiek lśniącém błyszczy okiem" nie jest tak dokładném wysłowieniem jak: oczy jéj blask rzucały, lecz powieki były nieruchome. Na str 180. tłómacz dodał dwa wiersze, których nie ma w oryginale: „Dzisiaj i jednéj kropli krwi nie zronił, jak gdyby Bóg sam swą go tarczą bronił" — a opuścił to, że Minotti tyle matek swym mieczem synów pozbawił, nim jeszcze lat dwadzieścia przeżył. Na str. 184. w przekładzie „strzał z wieży kościoła powalił zdrajcę" — w oryginale zaś strzał ten pada z portyku ode drzwi kościoła. Na str. 186. nie ma objaśnienia które znajduje się w oryginale, że ostatni chrześcianie bronią się w kościele z którego strzał padł na Alpa i na wpół pomścił miasta upadek. Na str. 188. tłómacz powiada, że „wściekła tłuszcza zewnątrz i wewnątrz krwawy szturm przypuszcza" — ale już walki nie było zewnątrz, dla tego tekst mówi: wewnątrz i naprzód.

Straszny los będzie zdrajcy kraju, wiary,
Straszniejszą jeszcze nieśmiertelność kary!"
Podniósł Alp oczy i ujrzał jak w górze
Chmurka po czystym płynęła lazurze,
Ale zbyt krwawą była jego rana
A duma jak on niczem niezłamana.
Ten to szał pychy jego pierś zapalał
I jak płomienny potok serce zalał?
On błagać łaski! On się o nią korzyć!
Wróżbą lękliwéj dziewicy się trwożyć!
Onby swym wrogom — potwórcom przebaczył!
On, co im zemstę, co im śmierć przeznaczył!
Nie! — niech w téj chmurze jak w groźnym orkanie
Zagrzmią pioruny — śmiało czeka na nie.
Nic jéj nie odrzekł — zimno się wpatrywa
W drobny obłoczek — widział jak przepływał,
Płynął — przepłynął! — a gdy blask księżyca
Pełném znów światłem jego oblał lica,
Rzekł: Nie wiem jaki los dla mnie wskazany,
Lecz już zapóźno — i nie cierpię zmiany,
Trzcina się w szturmie stokroć gnie, pokłada,
I znów powstaje — dąb na zawsze pada.
Jestem ja dziełem wrogów moich złości,
Dla ciebie czuły — dla nich bez litości!
Uszłaś im szczęściem — ujdź ze mną, zawoła,
Lecz zkądże nagle patrzy się do koła?
Znikła! — kamienne tylko słupy stoją.....
Dziwne się mary w głowie jego roją,
Miałażby, miała w istocie mu zginąć,
W ziemię się zapaśdź, lub téż w mgłę rozpłynąć?

Noc przeszła. — Słońce tak świetnie jaśniało
Jakby radośny dzień oświecać miało.
Z każdą się chwilą bardziéj rozwidniony
Ranek z swéj mglistéj dobywał osłony
Straszny skwar wróżąc. — Ciszéj! czy słyszycie
Te grzmiące trąby i to bębnów bicie,
Te dzikich rogów przeraźliwe dźwięki,
Szelest sztandarów, strzelb i kordów szczęki,
Ten gwar obozu i to rżenie koni
I to wołanie: do broni! do broni!
Wznoszą buńczuki — i zbrojno, gotowo,
Stoją na straszne oczekując słowo.
Turcy, Tatarzy, spuszczajcie namioty,
Spieszcie się wesprzeć szturmujące roty,
A wy znów Spahy, na koń — pędźcie — bieżcie,
Okrążcie pola, każdéj drogi strzeżcie,
By żaden starzec, dziecię wam nie zbiegło
I wszystko w twierdzy lub za twierdzą legło,
Kiedy wtém pieszy hufiec swym ogromem
Krwią ubroczonym wedrze się wyłomem.
Chrapią rumaki na kiełzna swe gniewne,
Zgięte ich karki i grzywy powiewne;
Żują wędzidła pjaną ich zbielone,
Wzniesione piki, lonty zapalone,

Działa gotowe do celnego strzału
I do zwalenia wstrząśniętego wału.
Alp swych janczarów w groźny zastęp ściska,
W nagiém ramieniu nagi miecz mu błyska,
Już chan, baszowie stoją na wojsk przedzie
Stoi i wezyr, co wszystkich powiedzie,
Ruszy on z pierwszym strzałem własnych szańców,
Wytnie, wysiecze wszystkich klas mięszkańców.
Padną ołtarze, kapłan przy kapłanie,
I z tyłu gmachów kamień nie zostanie,
Bóg sam i prorok! wszystkie rykną głosy,
I dzikie Allah! będzie bić w niebiosy.
„Oto jest wyłom, a drabiny macie,
Macie i oręż — więc mi Korynt dacie.
Kto pierwszy krzyż ów zwali i roztrzaska
Niech żąda nagród — żaden dar, ni łaska —
Nie miną męztwa! — Tak Kumurgi rzecze;
Wzniosły się liczne na odpowiedź miecze,
Wściekłość się krzykiem radości ozwała,
Ciszéj! — słuchajcie — wystrzelono z działa.

Tak wiele przytoczywszy, nie możemy dać więcéj jak parę strof z *Paryzyny*, któréj przekład, lubo jak nam się zdaje nieco pospieszniejszy, nosi przecież cechy znakomitego pióra. Poemat ten tak się otwiera: *(D.)*

Oto godzina, gdzie z pośród drzew cienia
Najuroczniejsze słowik leje pienia,
Gdzie tysiąc zaklęć miłośnéj osnowy
Zdają cichemi rozpływać się słowy.
Głośniéj zdrój płynie, wiatr miléj szeleści,
Dźwiękiem ich ucho samotne się pieści,
Każdy kwiat lekko wonna skrapia rosa,
Pierwszemi gwiazdy iskrzą się niebiosa.
Wszystko ciemniejszą przybiera osłonę
I błękit wody i drzewo zielone,
A na lazurze to światło pół mgliste
Tak mile ciemne i tak ciemno czyste,

(D) Nazwaliśmy przekład *Paryzyny* nieco pospieszniejszym, a to dla tego, że naprzód spotykają się tu czasami wiersze, które nie mają wdzięku zwykłego poetycznemu stylowi tłómacza, a powtóre częściéj tu się zdarzają zboczenia od tekstu żadną koniecznością nie usprawiedliwione. Co do pierwszego, przytoczymy wiersze następujące:

I gdy na całą wieczność zbudzonego
Przed niebios, ziemi wezwie go sędziego . . . . .
Nie patrzy na jéj łzy w oczach wezbrane
Bardziéj dla niego, niżli dla niéj lane . . . .
A które były tak miléj białości
Że się zdawały wzywać ust miłości . . . . .
Co zaś do życia, któreś mi tu nadał
Na to, abym je tak wcześnie postradał . . . . .

Co do drugiego zwróćmy uwagę tylko na wstęp w górze umieszczony. Przekład brzmi bardzo mile ale w oryginale lepiéj jest oznaczoną cała scena i akcya. Jest to godzina (mówi Byron) w któréj kochanków zaklęcia zdają się tak lube w każdym cicho wymówionym wyrazie . . . . . gdy pomrok (zmierzch, nie *zorza*) taje w świetle księżyca . . . . . Paryzyna do altany (nie do *gajów*) Esta wchodzi . . . , Kochanka (nie-

Co po skonaniu dnia jeszcze jaśnieje,
Gdy księżyc wschodzi, a zorza blednieje.
Ale nie zdroje spadające nęcą
Z złotych jéj gmachów małżonkę książęcą,
Nie na to nocnym powierza się cieniom
Aby gwiaździstym dziwić się sklepieniom.
Do gajów Esta Paryzyna wchodzi,
Ale nie kwiatów woń ją tam przywodzi:
Słucha i czeka nie słowiczych jęków,
Choć równie słodkich oczekuje dźwięków.
Ktoś się w gęstwinę śmiałą wściska nogą,
Lica jéj błędną, serce bije trwogą . . . . .
W tém ciche słowo wsuwa się miłośnie,
Wraca rumieniec i pierś szczęściem rośnie,
Chwila już tylko — jedna chwilka mała,
Ujrzy kochanka — stało się, ujrzała.

O pięknym przekładzie więźnia Czyllona niepotrzebujemy nic mówić (*E*). Umieszczony w zbiorze poezyi dawniéj przez jenerała Morawskiego ogłoszonym, był niejako zapowiedzią i skazówką, czego po dalszych téj ręki

---

tylko go ujrzała, ale) ujrzała u nóg swoich. Małe to są różnice przecież miejscowość i rzecz dobitniéj wyrażają. Podobne wciąż tu znachodzimy, z większych bardzo mało. Z tych ostatnich wytkniemy następujące: Na str. 212 jest niestosownèm, że Hugo powiada ojcu iżby się był dobił takiego hełmu, jaki monarszéj tylu Estów skroni przez cały ciąg ich wieków nie ozdobił. Tekst mówi nie o świetniejszym, ale o równie świetnym hełmie, a raczéj piórze. Na str. 213 jest mowa o potarganiu najświętszych węzłów, gdy w oryginale Hugo powiada, że jego dusza nie mogła znieść żadnéj powagi, władzy nad sobą. Na str 216 „Ślepo się w zbrodni rzuciła bezdroże, a swéj rozpaczy wstydu znieść nie może,“ — nie odpowiada tekstowi, który mówi: Każda jéj namiętność była bodźcem, który naglił do zbrodni, a przecież znieść nie może odkrycia téj zbrodni i rozpaczy. Na str. 228 wiersze: „Żadnéj nadziei spotkania się z temi, co już duszami złączyli się swemi“ — zdają się znaczyć że dusze kochanków połączyły się i że są w jakiéjś krainie szczęścia, któréj osiągnąć Azo nie ma żadnéj nadziei, co wszystko tak byłoby w istocie saméj fałszywém jak jest niezgodném z tekstem, który brzmi: Bez żadnéj nadziei spotkania ich tam gdzie połączone dusze dzielą się swojém szczęściem.

(*E*) Co do tłómaczenia ***Więźnia Czyllonu,*** mamy naprzód zrobić uwagę, że jak we francuzkiém tak w angielskiém wymawia się ***Szylonu,*** w angielskiém pełno jest tak wymawiających się wyrazów n. p. Charlotte, Chamois etc. Zaś ze względu mniéj ścisłego przełożenia uderzyły nas tylko następujące miejsca. Na str. 237, gdy więzień opowiada że głos jego i braci się zmienił, tłómacz pisze: „Zmiana ta może urojeniem była, przecież srogością prawdy mię dręczyła,“ — tekst zaś mówi po prostu: Może to było urojenie — lecz dla mnie nasze głosy nie brzmiały jak nasze własne. Na str 239 tłómacz mówi, że wody z głuchym warząc się łoskotem, z strasznym się nad więźniami rozbijały grzmotem, gdy tymczasem w oryginale jest tylko, że wody pluskały, szepleniły, bo autor chciał naprzód wystawić zwykły, spokojny czas, a dopiero potém burzę opisuje. Na str. 246 wiersze: „Lecz jakaś przestrzeń wymarłéj pustości, jakaś zastałość, jakaś wrytość w czczości“ — są dość silne, ale nie zupełnie tém samém co w tekscie; czczość pochłaniająca przestrzeń i wrytość bez stałego miejsca. Na str. 253 w przekładzie więzień mówi: „Zdało się jakbym do życia wróciwszy, nagle i wiecznie zapadł w grób strasźliwszy,“ — w oryginale zaś są te słowa: Było to jakby świeżo grób wykopany, gdy się zamyka nad tym, któregośmy pragnęli uratować.

tłómaczeniach należało się spodziewać. Że to oczekiwanie zawiedzionêm nie zostało, dostatecznie już okazaliśmy. Niedokładności wytknięte w przypiskach są raczéj skutkiem naszéj zapewne zbytecznéj wymagalności, niż niedostatku w pisarzu. Żaden przekład na świecie nie zdoła dogodzić krytykowi, który wciąż się wczytuje w oryginał i słowo po słowie rozbiera. Sama odmienna natura dwóch języków stoi temu na przeszkodzie. My téż z nieśmiałością podajemy nasze spostrzeżenia, nie upieramy się stanowczo przy żadném, ale jeżli tłómacz choćby małą ich cząstkę przyjmie i niektóre z wskazanych miejsc przed wydaniem następnéj edycyi przejrzy, to już sowicie za nasz trud nagrodzonymi się poczytamy. W każdym razie niech nam wolno będzie powtórzyć: przekłady te noszą na sobie najoczywistsze świadectwo, iż wieszcz angielski znalazł w jenerale Morawskim prawdziwego wieszcza i jakby sobie przynależnego tłómacza. Wiadomo bowiem iż Byron, lubo w istocie zwolennik szkoły romantycznéj, zawsze najwyższe uwielbienie dla klasycyzmu objawiał i cenił Popego wyżéj nad wszystkich poetów swego kraju. Również jenerał Morawski, stojąc pośrodku między klasykami i romantykami, zdołał w poprawności i ogładzie zachować wierność dla pierwszych a przyjąć od ostatnich jakąś nadobność świeżości i urok młodzieńczego polotu. Być może iż w części tu leży przyczyna dla czego się najsposobniejszym do przekładu dzieł Byrona dotąd ze wszystkich naszych pisarzy okazał. Uznajemy przeto te przekłady za rzeczywiste wzbogacenie piśmiennictwa ojczystego. Są one niezawodnie dobytkiem, jakim w dzisiejszych czasach literatura nasza nie co miesiąc, ani nawet co rok poszczycić się może. Ale mamy nadto inne jeszcze powody do powitania téj pracy z wysokim szacunkiem. Nie można dość zalecić i wynieść przed oczy młodzieży naszéj przykładu, jaki tém nowém dziełem sędziwy wieszcz daje. Głośny tylu oryginalnemi płodami, nie spoczywa on na swéj dobrze zarobionéj sławie, ale podejmuje chętnie i mozolnie pracę, od jakiéj dziś młodzi pisarze nawet poczynać nie chcą, bo pragnąc stanąć bez trudu i od razu w rzędzie oryginalnych autorów, uważają wszelkie przekłady za zbyt drobne i podrzędne zadanie. Niepodobna nam nakoniec zataić nadziei, które w nas wyjście tego dzieła obudza, i pozwalamy sobie rokować, iż nasz wieszcz wielkopolski, raz zacząwszy wydawać swe pisma, wszystkie tak po kolei w bliskiéj ogłosi przyszłości. Czas już aby zebrać razem tyle płodów rozpierzchniętych po rozmaitych pismach peryodycznych, czas już wydobyć z ukrycia tyle pięknych wierszy, dotąd zaledwie bliższym przyjaciołom znajomych, czas wielki na wydanie tego wzorowego przekładu *Andromaki*, który już temu lat blisko trzydzieści za jeden z najcelniejszych pomników naszéj mowy uznanym został, ale czas największy na połączenie w jednym zbiorze tych wybornych bajek, których tak wielka liczba była już trzech pokoleń roskoszą i nauką, a które bawić i uczyć będą, dopóki kraj dbać o swą literaturę nie przestanie.

Wspomnienie o Kownie, przez Bonawenturę z Kochanowa. Poznań nakładem J. K. Żupańskiego, 1854.

Dzięki kilku szczegółom tyczącym się pobytu Mickiewicza w Kownie książeczka ta daje się czytać. Szkoda przecież, że autor domięszał tam kilka rozpraw niemal żadnego związku z głównym przedmiotem nie mających. Prawi o historyi, o cudzoziemszczyznie, o kobietach, wszystko chyba dla tego, aby podnieść do większego rozmiaru pracę, która inaczéj zaledwie wystarczyłaby na artykuł do jakiego pisma peryodycznego. Nawet historya Kowna, po większéj części z Michała Balińskiego przeniesiona, nie ko-

niecznie wydaje się tu potrzebną. Przytaczamy wyjątek z głównego rozdziału nadmieniając, że rady starego prefekta którego piszący w nieco śmiesznym wystawia sposobie, zasługiwały na posłuchanie, oraz, że autor byłby ułatwił zaufanie w wiarogodność podanych przez siebie szczegółów, gdyby był tyle romansowéj barwy na opowiadanie nie rozlał i gdyby był nie kładł w usta Mickiewiczowi wierszy, o których wątpić można by wtedy już były napisane.

Autor zwiedza dolinę Mickiewicza przy Kownie, opisuje ją i tak daléj rzecz prowadzi:

Już słońce coraz wyżéj wznosić się zaczynało, gdy ujrzałem z daleka idącego ku mnie poważnego starca. W dryliszkowéj kapócie, w słomiannym kapeluszu z szerokiemi brzegami, długie białe włosy na ramiona spływały, miał gruby kij w ręku, na nim się podpierał. Zbliżywszy się nawzajem, oddaliśmy sobie ukłon za ukłon.

„Pan pewnie nie tutejszy?“ zapytał mnie starzec.

„Jestem z Polski, z za Warszawy, odpowiedziałem, wczoraj wieczór po raz pierwszy przybyłem do Kowna, a dzisiaj równo ze świtem pospieszyłem odwiedzić dolinę naszego wielkiego poety.“

„A znałżeś go pan?“

„Znałem na wygnaniu, rzekłem, on na niém pozostał, ja powróciłem do kraju: ale pan, dodałem, czyś od dawna już w Kownie?“

„Od lat czterdziestu kilku tutaj mieszkam, odezwał się nieznajomy, i tutaj stare położę kości.“

„Więc znać także musiałeś Adama?“

„Jakto czy znałem? Byliśmy tu razem kolegami, z tą jednak różnicą, że on był nauczycielem, ja zaś prefektem tutejszéj szkoły.“ Te ostatnie słowa wymówił pan prefekt z pewnym rodzajem zadowolonéj dumy. . . . . .

Było to w 1820 roku, rzekł starzec, kiedy z nauczyciela literatury łacińskiéj i polskiéj, oraz historyi, postąpiłem na prefekta tutejszéj szkoły. Miano przysłać mojego następcę, już się kończyły wakacye, uroczysty obchód otwarcia szkolnego roku się odbył, odbywały się od dni kilku zapisy wracających uczniów od rodziców, a następcę mojego widać nie było.

Razu pewnego pod wieczór z całą rodziną ot w tamtym obok dworku siedziałem przy wieczerzy, gdy drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek, bardzo skromnie ubrany, ukłonił się grzecznie i o prefekta szkół kowieńskich zapytał. „Ja nim jestem, odpowiedziałem wstając od stołu, ale z kim mam zaszczyt mówić?“ dodałem. „Z Adamem Mickiewiczem,“ odezwał się cichym głosem młodzieniec; naznaczony jestem na nauczyciela do tutejszéj szkoły; poczém oddał mi list i plikę papierów od rektora uniwersytetu wileńskiego. Zaprosiłem go na wieczerzę, obok siebie posadziłem, darem bożym z nim się podzieliłem; i odtąd dzień ten, w którym pod tym dachem zasiadł po raz pierwszy do mojego stołu, zapisałem na zawsze w pamięci serca mojego.

Po wieczerzy nowego kolegę poczęstowawszy fajeczką, przerzuciłem nadesłane papiery, poczém do późna rozmawialiśmy z sobą i rozpoczęła się znajomość z czasem zamieniona w przyjaźń, niczém nienaruszoną, trwałą aż do grobowéj deski.

Nazajutrz pana Adama wprowadziłem do naszéj szkoły, zainstalowałem w nowym obowiązku. Przez czas niejaki nie widywałem go tylko podczas godzin szkolnych, gdyż zaraz po lekcyi czém prędzéj wracał do siebie, zamykał w swoim pokoju, lub stroniąc od ludzi szukał samotności w najodludniejszych miejscach, zapuszczał się w najgęstsze bory, krył po urwiskach górzystych brzegów Niemna. Od tego czasu ulubioną jego przechadzką, czy na wiosnę wśród majowych kwiatów, czy w lecie wśród burzy, błyskawic i grzmotu, czy wśród zimowéj zamieci, stała się owa dolina sławą jego imienia uwieczniona!

Z początku koledzy brali go za dziwaka, ja zaś powiedziałem: albo zakochany, albo poeta! Niepokoił mnie jednak ubior na nim zawsze ten sam, coraz bardziéj wytarty; niepokoiło żem nie wiedział, gdzie się stołuje, co je: a myśl, że może niedostatek znosi, boleśnie mnie trapić zaczynała, tém bardziéj, że nowy nasz kolega akuratnością w pełnieniu obowiązków, obejściem słodkiém i cierpliwém z uczniami, poszanowaniem i poważaniem starszych, wszystkich przyciągał do siebie.

Wnet się dowiedziałem, że: *omnia mecum porto* znajdowało się na nim, a para koszul w szufladzie, płaszcz którym się okrywał i przykrywał, oraz skórzanna poduszka, całą jego garderobę i pościel stanowiły. Dowiedziałem się, że pieczone w piecu kartofle służyły mu za codzienne pożywienie, a całym jego zbytkiem była herbata i kawa, całą pociechą fajka tytuniu. Do wygód życia nie przyzwyczajony, nie dbał o pokarm ciała, duszę karmił natchnieniem!

Mój kawalerze! mówił daléj zagrzany opowiadaniem swojém pan prefekt; łatwiéj przyswoić dzikiego niedźwiadka, unosić jastrzębia, nauczyć kanarka po serynetce śpiewać, jak przyciągnąć do siebie, ugłaskać odludka, jak otworzyć zasznurowane usta, odemknąć zaryglowane serce.

Ponieważ mnie jednak coś mimowolnego do naszego ciągnęło młodzieńca, udobruchać go, do poufałości zbliżyć, do zaufania nakłonić przedsięwziąłem. Nie łatwa to była pensa, ale kto chce ten wiele może. Po dwumiesięcznych staraniach zbliżyliśmy się do siebie, niby niechcący, i do tego doszedłem, że często bywał u mnie na obiedzie, a w końcu stołować się zaczął. Żona moja kazała mu uszyć tuzin koszul, opatrzyła jego garderobę, a nie chcąc skromności obrazić, wydatek na kupione przedmioty wytrącała sobie miesięcznie z jego pensyi.

Razu pewnego przyszedłszy do pana Adama pod wieczór, zastałem rozebranego, z rozczochranemi włosami, z fajką w gębie; w szerz i wzdłuż po pokoju chodził. Usta stłumione i niewyraźne słowa zdawały się wymawiać, oczy pałały niezwykłym gorączkowym ogniem, lica zazwyczaj blade siną przybierały barwę. Albo chory, albo rozkochany, pomyślałem w duchu. Skoro mnie ujrzał wchodzącego do pokoju, uspokoił się nieco, skłonił uprzejmie, na stołku posadził. Zaczęła się rozmowa, ale szła jakoś niegładnie; on był smutny, mało mówiący, zdawało się, jakby co tylko się zbudził, co tylko powracał do rzeczywistości życia z krainy urojeń, snów i marzeń! Ja zaś więcéj z przywiązania niż z ciekawości chciałem go wybadać, wyrozumieć; wywiedzieć o cierpieniu fizyczném lub moralném, abym mógł przyjść z pomocą albo li téż z pociechą!

„Panie Adamie, zapytałem, czy jesteś chory?“ — „Być może, odpowiedział, głowa mnie boli.“ — „Może serce?“ dodałem. — „Serce!“ powtórzył!

Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę, *)
Iskry czuję w źrenicach, a na twarzy bladnę;
Niejeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,
Albo o mym rozumie, coś na ucho powie.
Tak cały dzień przemęczę; gdy na łoże padnę
W nadziei że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w méj głowie!

„To waćpan podobno poetą, zawołałem. Mój młody kawalerze, słuchaj zdrowéj rady na doświadczeniu opartéj; porzuć poezyą, ta ciebie do niczego nie doprowadzi, wróć lepiéj do poczciwéj prozy. Proza umysł naucza, a poezya go przewraca. Poezya rozkołysze twoją wyobraźnią, rozdrażni uczucie, nauczysz się latać po powietrzu, a po ziemi kiedy będzie potrzeba nie potrafisz chodzić. Zmarnujesz młode lata, żal mi twojéj młodości.“

Młodości! ty nad poziomy**)
Wylatuj, a okiem słońca

*) Sonet III. A. Mickiewicza.
**) Oda do młodości Mickiewicza.

Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

odrzekł, jakby w obłąkaniu. „Biada mi z tobą, zawołałem, zgubiony człowiek, nie ma co z tobą robić.“ Po kilku chwilach milczenia: „Panie Adamie, dodałem, masz dużo zdolności, ale jesteś jeszcze bardzo młody, nie masz doświadczenia. Zająłeś miejsce piastowane przezemnie przez lat kilkanaście; chcąc drugich nauczyć trzeba dużo umieć, a starszy wiekiem, naturalnie więcéj od młodszego posiada, bo miał więcéj czasu do nabycia. Z tego powodu chcąc ci dać dowód mojego przywiązania, ofiaruję spisane moje prelekcye, uwagi, spostrzeżenia; przydadzą ci się niezawodnie i pewny jestem, że z nich korzystać nie omieszkasz.“ To rzekłszy, oddałem mu seksterna własną ręką zapisane. Przyjął je z wdzięcznością, pocałował w ramię, i kiedym wychodził, podziękował i aż na schody odprowadził.

Szkoda mi go, pomyślałem wracając do domu, dobry chłopiec, zdatny, potulny, usłuchany, ale ta nieszczęsna poezya głowę mu całkiém zawróci.

W kilka dni późniéj, po wieczerzy, rozmawiając z nim w tym samym przedmiocie, zbijając o ile mógłem wzrastający poetyczny nałóg, jak go wtedy zwałem. „Panie prefekcie, zawołał, powstajesz przeciw poezyi, a ręczę, że sam wiersze piszesz.“ Zarumieniłem się nieco, bo mnie jakby na uczynku złapał; przyznałem się do winy i dowieść chciałem, że poezya dla młodego jest niebezpiecznym szałem, dla starego przyjemną rozrywką. Czym go przekonał? wątpię; ale gdy mnie naglić zaczął, abym mu co z utworów moich przeczytał, dopełniłem żądania. Słuchając mojéj ramoty, uśmiechał się czasami, a gdym o zdanie pytał, bo któryż z piszących nie ma miłości własnéj? chwalił, niektóre czynił uwagi; on młodszy mnie starego zachęcał, poprawiał, a ja go wtedy już jak mistrza słuchałem! Byłoż to przeczucie?

Minęła zima, nastąpiła wiosna, a nic się w trybie życia Adama nie zmieniło; dopełniał obowiązków swoich z najsumienniejszą akuratnością, ale zawsze smutny, zamyślony, odludek; u mnie jednego bywał, z resztą nie uczęszczał u nikogo. Już niektóre ulotne jego wiersze przebiegały z rąk do rąk, już Warcaby do brata, Odę do Lelewela napisał; powiadano, że pracuje nad ważniejszym poematem, jednak tak jak jego długie wycieczki za miasto były dla wielu zagadką, to co pisał było dla wszystkich tajemnicą.

Nastąpił roczny egzamin, a po nim wakacye; młodzież się rozjechała do rodzicielskich domów, prawie wszyscy nauczyciele opuścili miasto; ja z rodziną odpoczywałem po całorocznéj pracy pod tą wiejską strzechą, a Mickiewicz pozostał w mieście.

Dowiedziawszy się, że trzech uniwersyteckich kolegów przyszło z Wilna do Kowna piechotą, z odwiedzinami do naszego Adama, chęć mnie wzięła poznania się z nimi. W tym więc celu razu pewnego pod wieczór udałem się do miasta. Zapukawszy do drzwi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ rzekłem do pokoju wchodząc. „Na wieki wieków amen,“ odpowiedziano ze środka. Adam zerwał się z miejsca, przywitał ze mną, poczém obróciwszy się do towarzyszy swoich: „Przedstawiam panu prefektowi,“ rzekł do mnie, „moich przyjaciół i towarzyszy.“ Piękna to była młodzież, śliczni kawalerowie, przywoici, grzeczni, uprzejmi i skromni. Wnet się znajomość zawarła; zasiedliśmy w koło prostego stołu, podano herbatę i fajki.

Spoglądając na to nowe pokolenie, słuchając ich, podziwiając trafne spostrzeżenia głęboką a tak przedwczesną naukę, i ten pogląd na rzeczy tak postępowy, tak zgodny, z ewangelicznem słowem, z czystą moralnością, z prawdziwym duchem narodowym; serce w piersiach moich rosło, błoga przyszłość dla kraju roztaczała się przed oczami, pomyślałem w duchu: szczęśliwa matko, będziesz miała z takich dzieci pociechę!

Rozmowa coraz się ożywiała, blade lica krasiły się rumieńcem, ogień błyszczał w oczach, rozpromieniały się czoła myśleniem!

W tém Mickiewicz powstał i z pamięci opowiadać nam zaczął pierwszą pieśń Grażyny. Słuchaliśmy z zachwyceniem. Kiedy pierwszy każde słowo pożerał, drugi

czerwienił się i bladnął na przemiany, trzeci na skrzydłach zachwytu razem z poetą przenosił się w daleką przeszłość, widział Grażynę jaśniejącą młodością, wdziękiem, urodą; mnie po licach spływały łzy rozrzewnienia. Poeta skończył, nastąpiło milczenie i trwało przez chwil kilka; bo każden lękał się go przerwać, przerwać urok, pod którym tak mu dobrze było! „Adamie, odezwałem się nakoniec, rok temu powitałem ciebie kolegą moim, potém radziłem porzucić poezyą, radziłem powrót do poziomej prozy, a teraz witam ciebie pierwszym polskim wieszczem! Krańce ziemi dla ciebie za ciasne, tyś jest orłem, tobie potrzeba przestrzeni z burzą, z błyskawicą, z piorunem; twa sława dla twojéj ojczyzny puścizną, a dla ciebie nieśmiertelność!"

Północ wybiła, pożegnałem towarzystwo, a wziąwszy Mickiewicza na stronę: „Mistrzu!" rzekłem do niego, „oddaj mi moje seksterna, moją ramotę, na nic ci się nie przydadzą. Nie mnie dawać tobie nauki, ale uczyć się od ciebie, podziwiać, uwielbiać twój gieniusz wypada." A uścisnąwszy go serdecznie, święty znak krzyża złożyłem na jego czole. „Seksterna twoje," odpowiedział, „zachowam na pamiątkę przyjaźni, rad i nauk starszego zawsze słuchać będę, a znak krzyża świętego z wdzięcznością przyjmuję, jako błogosławieństwo ojcowskie!"

Całe wakacye koledzy Mickiewicza przepędzili z nim w Kownie. Razem zwiedzali piękne okolice miasta, ustronia Pożejścia, Czerwonego dworu mury, i ową Wielonę, pod któréj murami Giedymin śmierć chwalebną znalazł *); i brzegi Niemna najeżone szczątkami znikłéj krzyżackiéj potęgi! Ale ulubioną ich przechadzką była nasza dolina.

Po rozstaniu się z nimi, czy ożywiony przyjacielskiéj dłoni ściśnieniem, czyli w skutek lepszego umysłowego usposobienia, mniéj unikał ludzi, w niektórych towarzystwach uczęszczać zaczął. Wszędzie zapraszany, przyjmowany, chwytany; płeć piękna za nim szalała, czytała jego wiersze, uczyła się ich na pamięć; Mickiewicz był w ustach wszystkich, w sercu nie jednéj!

Drugi rok szkolny się ukończył, Adama Mickiewicza powoływano do nowego obowiązku, do Wilna. W wilją swego wyjazdu z Kowna, zaproszony przez nas został na podwieczorek do doliny. Liczne zebrało się towarzystwo płci obojéj, odgłos muzyki rozlegał się echem po pobliskich wzgórzach i gajach; wesołość ogarnęła serca, spacerowano, rozmawiano, bawiono się ochoczo; miła i błoga panowała swoboda. Podano wieczerzę; zasiedliśmy do porozstawianych po łące stołów. Rozjaśniło się zwykle chmurne czoło poety, kiedy na prośby nasze niektóre ulotne wiersze, ustęp z Grażyny opowiadać nam zaczął. Przy końcu wieczerzy jedna z pięknych obywatelek tutejszych, na ten obchód przez nas na gospodynię wybrana, wziąwszy w rękę kieliszek szampańskiego wina: „Piję", rzekła, „za zdrowie naszego wieszcza, a zarazem wnoszę, aby dolina, którą tak polubił, kędy szukał i znajdywał natchnienia, kędy każden oddech wiatru ochładzał czoło rozognione myślami, a śpiew ptaków był jego pieśni wtorem, przezwaną odtąd została:

„DOLINĄ ADAMA MICKIEWICZA!"

Powstaliśmy z miejsc z zapałem, spełniliśmy drogie nam zdrowie, a jednogłośnie podzielając szczęśliwy pomysł, potwierdziliśmy nazwanie, które w późne wieki zostanie relikwią przeszłości dla Kowna!

Mickiewicz ze łzą wdzięczności w oku dziękował wszystkim, ściskał podane sobie dłonie, poczém w téj tak bliskiéj chwili rozstania się z nami, oddalenia się od miejsc tak ukochanych, kędy tyle przemyślił, tyle przedumał, tyle przetęsknił gotując się do téj przyszłéj walki, która się chyba po za grobem kończy; raz jeszcze spojrzał na swoją dolinę, a w jego spojrzeniu ostatnie było pożegnanie; już jéj więcéj oglądać

---

*) Na gruzach Wielony krzyżacy z rozkazu wielkiego mistrza Konrada Jungingen wznieśli warowny zamek Friedbergiem przezwany. (Dzieje krzyżaków p. Leona Rogalskiego.

nie miał. I zachodzące słońce wyjrzało z za chmury, raz jeszcze ozłociło i błonia i wzgórza i lasy, jakby raz jeszcze wieszcza naszego pożegnać chciało. Wracając do miasta towarzystwo całe wstąpiło do mnie i tu pod moim dachem do późnéj bawiąc nocy, po raz ostatni oglądaliśmy kochanego naszego poetę.

A tam na dolinie, kędy przed chwilą było wesoło, gwar, śmiech, odgłos muzyki się rozlegał, głucho i pusto; kędy dzień był pogodny i jasny, noc ponura i czarna, jak grób na smentarzu, jak przeczucie wielkiego nieszczęścia.

Nazajutrz Adam Mickiewicz wyjechał do Wilna, i odtąd nie powrócił do nas. Wiem dobrze, mówił daléj starzec, z coraz wzrastającém wzruszeniem, że go w tém życiu więcéj nie obaczę; może szczęśliwszym będziesz odemnie, może cię kiedy losy zaniosą na zachód, kędy on na wygnaniu odbywa smutną pielgrzymkę, nazwaną życiem; powiedz mu, żeś mnie poznał, żeśmy razem po jego dolinie chodzili, żeśmy długo o nim rozmawiali z sobą; powiedz mu, żem ci pokazywał tę tabakierkę, dodał wydobywając ją z szuflady. Przysłał mi ją z Paryża, jako drogi upominek niczém nienadwerężonéj przyjaźni. Oto są listy pisane do mnie z Petersburga, z Moskwy, z Odessy! Poczém szanowny starzec poszedł do szafy, wyjął z niéj papier: oddaj mu to odemnie, ciągnął daléj, jest to modlitwa, ułożyłem ją dla niego, dla niego w niéj proszę Boga, o pomyślność, szczęście, błogosławieństwo; proszę, aby przed śmiercią mógł jeszcze dolinę swoją oglądać!

Recherches historiques et statistiques sur les peuples d'origine Slave, Magyare et Roumaine par N. A. Kubalski. Ancien fonctionnaire public en Pologne. Paris chez Delarue — 1852 — Deux parties. Str. 338 i mappa.

Autor w przedmowie pracę swoją podaje jako wypadek mozolnych a rozległych poszukiwań. Bardzo rozumiemy że pośród dzisiejszych okoliczności miałoby wpływ pismo o Polsce pomyślane i przedstawione właściwie i dla tego żałujemy że owym *poszukiwaniom* nie możemy przyznać téj ważności, ważności nawet skromniejszéj, ograniczonéj.

Autor zaczyna swój wywód wiadomościami przedwstępnemi które czytając uśmiechaliśmy się i zasmucali kolejno. Jakież dziwotwory przedstawia Francuzom! Naprzykład.

Hunnowie mieli podbić Sławian. Podobno nie. Stosunek Sławian i Hunnów raczéj był przyjazny i z téj zapewne przyczyny czasami Sławian Hunnami mianowano. Sławianie nie mieli powodu nienawidzenia Hunnów którzy złamali panowanie Gotów. Autor Mongołów prowadzi z Kaukazu, a prowadzi we środku szóstego wieku! Najazd tych Mongołów szóstego wieku zmusić miał Sławian do przejścia nad brzegi Dunaju. Mongoły zniknęły i dopiero naówczas (kiedy? autor milczy), Sławianie zajęli opuszczone przez Gotów krainy Elby i Wisły. To czytamy na stronnicy trzeciéj, a na stronnicy piątéj znajdujemy następne *poszukiwanie*: „Mongołowie przy końcu XII wieku najechali ziemie sławiańskie, naówczas wiele pokoleń sławiańskich osiadło nad brzegami Dunaju i założyło królestwo Kroacyi, Sławonii, Serbii, Bosnii i Bulgaryi i t. d. Autor przeto wyszukał dwa najazdy Mongołów, w VI i XII wieku, dwa pochody Sławian nad i za Dunaj w VI i XII wieku. Autor wyszukał także że Sławianie dopiero w VI wieku nad brzegami Wisły i Elby zasiedli. Autor widzi czego dotąd nie widziano. Dla niego Finowie i Normandowie jest to jeden i tenże sam ród, a miasta Psków i Nowogród przez Normandów zamieszkane być miały! Pomniki pisane czeskie i polskie mają pochodzić z VI wieku. To może być, ale nie wahamy się wyznać że o tém dotąd nie słyszeliśmy a bylibyśmy najciekawsi poznać

zabytki pisane polskiéj mowy, wydobyte z VI wieku. Literatura czeska najokazaléj rozkwitnąć miała w XIV wieku. Jest to także nowość. Język polski ma być narzeczem czeskiéj mowy. Język polski w XIV wieku zaczął być osobnym językiem, a połączywszy się z ruskim także rozkwitnął. Niestety! Wedle poszukiwań innych społeczność czeska wyszła z polskiéj, literatura czeska najokazaléj rozkwitnęła w XVI wieku. O kwitnieniu polskiéj literatury w XIV wieku nic a nic nie wiemy, i podobno nie potrzebowaliśmy pomocy Rosyi, abyśmy nasze piśmiennictwo rozwinęli. Zkąd pochodzi mowa litewska? Autor śmiało odpowiada: z keltyckiéj albo fińskiéj, jedna albo druga do wyboru. Bopp w swéj porównawczéj gramatyce język litewski wyprowadza ze sanskrytu. Widocznie Bopp nie wiedział co pisał, a z poszukiwań autora wysuwa się nadzwyczajne i przez nikogo nieprzeczuwane odkrycie o jedności pochodzenia Finnów, Normandów i Keltów! Autor coś zasłyszał o Bulgarach którzy od Wołgi za Dunaj przeszli i założyli państwo. Otóż wierzy najpewniéj że ci sami Bulgarowie istnieli przez średnie wieki, że ich Turcy ujarzmili. Ztąd się okazuje najpocieszniejsze zamięszanie. Autor byłby się dowiedział najłatwiéj, gdyby był chciał, że Bulgarowie Wołgi bardzo prędko zniknęli, między Sławianami zesławianieli, że przeto mieszkańców Bulgaryi w średnich wiekach za potomków Bulgarów Wołgi na żaden sposób uważać nie można.

Przynajmniéj co do początków Sławiańszczyzny autor ma najfałszywsze wiadomości, co dowodzi że o nowszych badaniach dotąd jeszcze nic a nic nie słyszał.

Części statystycznéj dzieła nie brak zalet. Chcielibyśmy w niéj atoli więcéj jasności, więcéj porządku. Wymaganie nasze tém jest słuszniejsze, że autor łatwo mógł znaleźć i przepisać gotowe tablice i rachunki.

Ludność całéj Sławiańszczyzny autor podaje na 68,000,000 na rok 1848, wyrachowanie niezawodnie za niskie. Ludność sławiańskich krajów pomnażać się ma corocznie na każdy milion o mniéj więcéj 60,000, byłoby więc teraz 84,000,000. Jeżeli nas pamięć nie zawodzi, Szafarzyk roku 1842 podał około 74,000,000 Sławian. Przyjmując atoli liczby podane przez autora, Rosya ma 34,000,000 samych Sławian, Polska 16,000,000, Austrya, Prusy i Saksonia 7,000,000, Węgry i Siedmiogród 6,000,000, Turcya blisko 4,000,000 Sławian, Sławiańszczyzna cała z ludnościami w niéj zamkniętemi ma blisko 97,000,000, potęga ogromna, któréj ujęcie pod swój kierunek zamierza Rosya, a ku czemu są podobieństwa, jeżeli Europa nie przyjmie innéj polityki. Autor ludność Polski w granicach r. 1772 jéj mieszkańców sławiańskich podał na 22,000,000. Ludność polska 1777 zdaje się nam do 25,000,000 może być podniesiona. Niepewność wyrachowań autora pokazuje się z miasta Warszawy, która ma mieć 130,000 mieszkańców, kiedy Warszawa téj chwili ma niezawodnie stałéj ludności przeszło 160,000. Podajemy ludność miast znaczniejszych dawnéj Polski wedle autora: Gdańsk 65,000, Lwów 52,000, Wilno 42 000, Poznań 36,000, Kraków 35,000, Brody 25,000, Elbląg 24,000, Toruń 22,000, Berdyczów 20,000, Mohilów 20,000, Kamieniec Podolski 15,000, Witebsk 15,000, Mińsk 15,000. Powtarzamy, rachunkom autora nie można śmiało ufać. Wedle niego ludność królestwa kongresowego 4,330,000, lecz wedle urzędowych rosyjskich podań ludność królestwa dochodzi 5,000,000. Polska austryacka do któréj włącza i wielkie księstwo Krakowa, ma mieć wedle autora 4,974,000, lecz wedle podań urzędowych ludność tych ziem przenosiła 5,000,000.

Rozkład téj 22 milionowéj Polski, co do stanów, co do zatrudnień, jest następny: Niewolników 7,209,000, włościan wolnych 8,905,000, mieszczan 4,418,000, właścicieli ziemskich 1,474,000. Jaka ogromna a konieczna praca, aby żywioł włościański, ciemny, niepewny, nierozwiniony, podnieść materyalnie i duchowie uzacnić! Żywioł naszych miast ani jest zupełnie pol-

ski, ani rozwiniony, ubogi prawie, żaden pod względem umysłowym. Najmocniejszym przeto i niejako wyłącznym działaczem naszéj narodowości jest to, co nosi nazwisko szlachty ziemskich właścicieli.

Autor podaje dochód rządowy Polski roku 1777 wyrachowany na 628,780,988 fr. Jest tu coś czego nie rozumiemy, co wymaga objaśnień których nie znajdujemy. Dochód królestwa na rok 1830 autor naznacza na 45,000,000 fr, niezawodnie za mało. Autor do budżetu wnosi 45,000,000 fr. powinności czyli pańszczyzny *corvées*. Odrąciwszy przeto owe *corvées*, dochód który Polska dostarcza Rosyi, Prusom i Austryi wynosiłby 314,000,000 fr. Rozdział tych milionów bardzo ciekawy a nauczający. Rosya wzięła sobie 172,000,000, Austryi zostawila blisko 100,000,000 fr. a Prusom 42,000,000.

Polska 1772 dostarcza trzem mocarstwom 367,730 wojska. Rosya ma 223,200, Austrya 67,220 a Prusy 77,210.

Autor poczynił różne uwagi o stosunkach handlowych politycznych. Nie powiemy aby one fałszywemi być miały. Lecz w nich nie ma nic. Przy obecnych ważnych zdarzeniach, przy najwyższém wzruszeniu umysłów, przy niejakich zapowiedzeniach wojny, coś innego francuzkim językiem Europie przedstawić należało. *Listów Sławiańskich* p. Krystyna Ostrowskiego nie mieliśmy przyjemności czytać; lecz z tego co o nich dzienniki nadmieniły, nie śmiemy mieć nadziei, aby niemi Europa zbudowana i objaśniona być mogła. Zbiór pism urzędowych, przez człowieka poważnéj nauki i patryotycznéj odwagi wydawany, jest ciekawy i nie będzie bez wpływu, lecz po tém co angielskie dzienniki o naturze rosyjskiéj dyplomacyi, o jéj przyrzeczeniach i zamiarach głosiły, żadnych nowych i mocniejszych dowodów nie znajdzie. Powtarzamy: Polska miała i ma obowiązek wymówić swoje słowo, albowiem jeżeli kiedy, teraz na Polsce przeważy się los człowieczeństwa. Jeżeli Europa Polski nie wezwie, Rosya pójdzie dalej, nic jéj nie zatrzyma,

Na końcu swego pisma p. Kubalski zamieścił wyjątek z różnych dzieł o Rosyi. Szkoda że takich wyciągów nie dał więcéj że, niemi całych dwóch tomików nie zapełnił. Są nieoszacowanemi a stanowczéj ważności świadectwa przeciw Rosyi, składane przez samychże Rosyan, przez jéj cara Aleksandra.

Mówiliśmy dawniéj i powtarzamy: jest potrzeba mówienia do Europy o nas, a przez nas samych. Europa nie wie co się u nas wewnątrz naszych krajów dzieje, my sami nawet dokładnie nie wiemy. Głos spokojny, umiarkowany, a zawsze oparty na czynach zrobiłby swój wpływ powoli, zniósłby uprzedzenia przeciw nam, upowszechnione i utrzymywane najzręczniéj przez naszych nieprzyjaciół.

Progress of Russia in the West, North and South, by David Urquhart. Second edition. London 1852. Str. 438 i mappa.

Polska zna bardzo mało nieugiętego, wypróbowanego przeciwnika Rosyi w Anglii, a znaćby powinna przez wdzięczność za posługi, które pośrednio i jéj sprawie wyświadczył. Dawid Urquhart od lat dwudziestu niezmordowanie przeciw Rosyi pracuje. Sekretarz ambasady angielskiéj w Konstantynopolu za króla Wilhelma, układał tam niejako za upoważnieniem swego rządu zamiary bardzo rozległe. On co w znacznéj mierze urządził powstanie Czerkasów, późniéj jako członek parlamentu i publicysta czynił wszystko, aby oświecić swój kraj o grozącém od wschodu niebezpieczeństwie. Do dziś dnia stoi pierwszy na wyłomie i najczynniejszy udział w agitacyi za Turcyą bierze.

Urquhart cierpiał i cierpi prześladowanie ze strony Rosyan i ze strony Anglików zaprzedanych Rosyi [1]) albo dobrowolnych jéj stronników. Znieważają go pismem i czynem [2]), ogłaszają za szaleńca. Niedawno jeszcze czytaliśmy po dziennikach: „Nieszczęśliwy Urquhart oszalał i cierpi pomięszanie zmysłów.

Urquhart w pismach swoich dotyka najdelikatniejszych skrytości politycznych Rosyi i Anglii, ma najsmutniejsze przewidzenia. Widzi tryumf Rosyi. Urzymuje, że rząd angielski czynił wszystko i wszystko uczyni w celu uzyskania przyjaźni rosyjskiéj, że prędzéj czy późniéj Anglia zostanie wciągnięta do wojny z Francyą i w końcu upadnie przez Rosyą.

W grubym tomie, którego tytuł wypisaliśmy, znajdują się rozprawy w rozmaitych czasach pisane a wszystkie dowodzące, że przez niedołężność gabinetów europejskich lub z ich przyzwoleniem Rosya ciągle wzrasta w potęgę.

Książka dzieli się na trzy części noszące napisy: *zachód, północ, południe.* W nich Urquhart przechodzi kolejno sprawy hiszpańskie a mianowicie wojnę z r. 1823. i kwestyą małżeństw królowéj, tudzież jéj siostry, wypadki węgierskie z r. 1848. i 49., i kwestyą następstwa tronu w Danii, w końcu sprawy naddunajskie i tureckie, pokazując wszędzie sprężyny dyplomacyi rosyjskiéj i niewstrzymany postęp rosyjskich usiłowań. Wszystko objaśniają wypisy z dokumentów publicznych, z których te lub owe mniéj są znane w Europie.

Urquhart skreślił mappę i napisał cyfry które wiele mówią. Wojska rosyjskie postawione na ostatecznéj swego kraju granicy są bliżéj Indyi jak Petersburga. Rosya włada Kaspijskiém morzem i na wybrzeżu południowém tego morza posiada Astrabad punkt niezmiernéj ważności którędy szli zdobywcy Indyi. W stronę Europy rosyjska granica posunęła się od lat kilkadziesiąt ku Wiedniowi i Berlinowi o 700 mil angielskich, ku Konstantynopolowi o 500.

Dnia 13. sierpnia 1853. r. pisał Urquhart (dziennik *Morning Avdertiser* z 15. sierpnia): „Strach wojny sumiennie wzbudzony albo zdradziecko podsuniony wprowadził Anglią i Europę na obecne śmieszne i poniżające stanowisko. .... Jest zbrodnią nie wypowiadać wojny jeźli sprawiedliwa, równie jak jest zbrodnią wypowiadać ją bez przyczyny i konieczności. Nie macie wyboru wypowiadać wojnę albo nie jeżeli słuszna, albowiem niesprawiedliwość jest czynem innych. Ale jeżeli o was wiedzą że jesteście gotowi poddać się przez strach jéj następstw; te następstwa których chcecie uniknąć, spadną na was niezawodnie. Jeżeli o was wiedzą, że macie ducha, więcéj was to zabezpieczy, aniżeli floty i wojska. Jedno tylko niebezpieczeństwo grozi dzisiejszemu pokoleniu, oto rachunek oparty na waszém tchórzostwie. Pokój niech będzie celem ale sprawiedliwości środkiem. Pokój wzięty za środek prowadzi do wojny,

[1]) Tyle pisano o przedajności polskiéj i nie powiemy aby ku temu nie dały powodu pewne osobistości i rodziny w zeszłém stuleciu. Godziłoby się przecież zrobić porównanie i w dawniejszych czasach i teraz. Lingard pisze, że Karol II. król, jego ministrowie i parlament angielski przyjmowali francuzkie pieniądze. O jednym ciekawym fakcie wspomina Urquhart. Piotr I. którego Urquhart nigdzie Wielkim nie nazywa, nałożył samowolnie cło wynoszące 100,000 funt szt. rocznie na tytuń wywożony z Londynu do Moskwy i tę sumę ofiarował margrabi Carmarthen, zaczém uzyskał zezwolenie Anglii na wyrwanie Szwedom téj właśnie ziemi na któréj zbudowano Petersburg.

[2]) Przed laty czternastu zdarzyło się, że Urquhart przemówił w zwykły sobie sposób na publiczném jedném zgromadzeniu. Po skończeniu swéj mowy przy drzwiach był napastowany i znieważony. Wtedy wrócił na salę a ukazując publiczności twarz we krwi rzekł: „Widzicie jak się Rosya mści nawet na angielskiéj ziemi, teraz możе uwierzycie temu co wam opowiadają o czynach jakie się w Polsce dzieją.“

„a jeszcze wojny następującéj po upodleniu. Chciałbym, żeby zwrócono „uwagę na czyn następny: Rosya jest ciągle w stanie wojny z resztą „świata, nie myśli się przecież gniewać gdy to nazywacie pokojem. Jeżeliby dla poniżenia Rosyi wojna okazała się konieczną, nie zaczniecie jéj „nigdy, albowiem jéj umysłowi nie jesteście równi. Jednak można przypuścić, że stopniowo potęga Rosyi znajdzie się na miejscu gdzie walka stanie się nieuchronna, że jéj duma dojdzie tak daleko, iż uległości znieść „nie będzie podobna. Owoż i wtedy nie przyjdzie do wojny, gdyż w pierwszém przypuszczeniu Rosya nie może walczyć z wami, a w drugiém „wy walczyć nie będziecie zdolni. Obadwa kraje przejdą z jednego stanu „w drugi nie powolném stopniowaniem ale w jednéj chwili, w mgnieniu „oka, w chwili któréj nie zdołacie przewidzieć, w mgnieniu którego nie dostrzeżecie. Rozwiązanie zagadki Turcya trzyma w swych rękach. Dopóki ona będzie chciała walczyć za niepodległość, jesteście bezpieczni, „skoro straci nadzieję zachowania bytu, cała przewaga nachyli się do Petersburga. Wówczas to bezcelny trójząb Anglii padnie przy strzaskanym „mieczu Polski. Jedna godzina da Rosyi panowanie nad Wschodem, a W. „Brytanii odejmie panowanie nad morzami. Przetoż bezrozumnemu światu mówiłem głośno a nadaremnie. Dopóki zajmujecie Dardanelle, Rosya uledz musi waszemu postanowieniu, później wy będziecie musieli „uledz jéj czynom. Powtarzam moje ostrzeżenia przerażonemu światu; „powtarzam kiedy wasze okręta stanęły na kotwicy u samego wejścia, pragnąc a nie śmiejąc wpłynąć."

Dardanelle i Sund to podwójny cel usiłowań Rosyi. Cesarz Aleksander mówił: „Dardanelle są kluczem mego domu." Do Napoleona odzywał się: „Pół Europy za Sund, drugi klucz mego domu." Anglia doskonale wie o zamiarach Rosyi względem Sundu, jakże skorzystała z téj wiadomości? Oto na dniu 8. maja 1852. r. podpisała układ o następstwo tronu Danii, układ wyłączający domy książęce posiadające najbliższe prawa, razem 20 osób, a przybliżający do dziedzictwa korony cesarza Mikołaja, którego Urquhart nazywa „ogólnym dziedzicem." Niechaj Rosya poczeka, wiemy że Rosya umie czekać, a posiędzie Danią na mocy prawa. Sund obejmie w skutek układów.

Swoje osobno i nieco dawniéj ogłoszone dziełko: *Danemark and the dutchies* Urquhart przypisał królowi duńskiemu, a to w następujący sposób: „To dzieło ofiaruję królowi Danii, który jako ojciec kraju pierwszy „czuje i opłakuje jego poniżenie, a ma jeszcze siłę wstrzymania go od „upadku." Wezwanie daremne! Król i sejm Danii układ z 8. maja na naleganie Anglii zatwierdzili.

Thiers któremu przenikliwości odmówić nie można, przewiduje zajęcie Dardanelli a Sundu przez Rosyą i obawia się tych faktów. Wedle niego wolność będzie wtedy musiała przenieść się do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Oto wyrazy Thiersa: „Przez ustąpienie Finlandyi Rosyanom, dane „im środki posunięcia się bliżéj ku Sundowi, ku miejscu, z którego będą „jeszcze groźniejszymi. W chwili kiedy rosyjski kolos stanąwszy jedną nogą „na Dardanellach a drugą na Sundzie cały świat zrobi swym niewolnikiem, „wolność wtedy uniesie się do Ameryki. Wszystko to chociaż dziś może „się wydać urojeniem ciasnym umysłom, stanie się kiedyś okropną rzeczywistością — albowiem szalona Europa podzielona tak, jak kiedyś miasta „Grecyi w obec królów makedońskich, prawdopodobnie takiemuż samemu „ulegnie losowi."

Urquhart jak wiemy również do powątpiewań, do smutnych przewidzeń się nachyla; słowo Thiersa wziął on za godło téj części swego dzieła gdzie o Danii mówi. Inne pismo swoje *Tajemnice Dunaju* (The Mystery of Danube. London 1851.) przypisał obywatelom Zjednoczonych Sta-

nów Ameryki. Dla jakich powodów? „Przedzieleni od nas oceanem, po„wiada, jesteście dla nas przyszłym wiekiem. Przeciw moim ziomkom do „was zanoszę odwołanie, oczekując od was nietylko sądu ale i napra„wienia."

Czy przyszłość urzeczywistni czarne proroctwa, czy jest przeznaczone znamienitemu publicyście angielskiemu odegrać w obec Europy rolę trojańskiéj Kassandry, o tém dziś wyrokować nie podobna. W każdym razie pisma i mowy Urquharta obudzając czujność Europy, usługę światu oddały.

ROZMAITOŚCI.

Zakład narodowy imienia Ossolińskich.

Po raz pierwszy od lat wielu zakład imienia Ossolińskich odbył na dniu 12. października uroczyste publiczne posiedzenie.

Dzień 12. października jest dniem oktawy imienin cesarza Franciszka I., zaś jak wiadomo ś. p. Ossoliński rozporządził aby „na zachowanie wdzięcznéj w narodzie pamięci o łaskawém przychyleniu się N. cesarza Franciszka I. do niniejszego ustanowienia literackiego i zaszczycenia go najwyższą swoją opieką, oktawę imienin tego monarchy po wszystkie czasy uroczyście w tych murach obchodzono."

Wedle *Gazety Lwowskiéj* wielka liczba osób na posiedzenie się zgromadziła.

Za przybyciem p. Gołuchowskiego namiestnika Galicyi zabrał głos hr. Maurycy Dzieduszycki kurator zakładu i w mowie któréj słuchano z zajęciem oddał naprzód hołd zasługom ś. p. Ossolińskiego, następnie skreślił dzieje późniejsze zakładu wspominając ofiary obywatelskie hrabiny Worcellowéj, tudzież gorliwość poprzednika swego zgasłego niedawno ks. Henryka Lubomirskiego.

Po sprawozdaniu p. Bielowski August bibliotekarz zakładu odczytał biografią Lindego i skreślił plan i myśl przedsięwziętéj wielkiéj pracy rozpowszechnienia słownika Lindego, którego nowy nakład instytut rozpoczął.

W końcu p. Karol Szajnocha kustosz biblioteki odczytał ciekawe ustępy z życia Klementyny Sobieskiéj, zebrane z rękopismów znajdujących się w bibliotece.

Przy okoliczności wspominamy, że przed kilku miesiącami *Gazeta Warszawska* umieściła list w nieprzyjaznym duchu dla kierowników zakładu Ossolińskich napisany.

Na list o którym mowa odpowiedział w *Gazecie* p. Karol Szajnocha. Odpowiedź p. Szajnochy zajmującą z wielu względów skwapliwie powtarzamy:

Szanowny Redaktorze!

W numerze 204 tegorocznéj gazety twojéj umieszczona została korespondencya, ze Lwowa dnia 30. lipca datowana, któréj autor zdanie dawniejszego twego korespondenta o Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich przytoczywszy, usiłuje zbić takowe, wytaczając różne przeciwko temuż Zakładowi zarzuty. Jak nieznani nam są owi korespondenci, tak też o pochwałach jednego a naganach drugiego dowiedzieliśmy się nierychło. Gazeta bowiem warszawska, jakkolwiek jest pismem z wielu względów

szacownėm, nie łatwo w strony nasze dochodzi: wybaczą nam przeto jėj czytelnicy, że na słowa w miesiącu lipcu do nas wystosowane, dopiero w październiku odpowiadamy.

Zarzuty przez korespondenta owego zakładowi zrobione są:

1) Że od czasu objęcia Kuratoryi literackiėj przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego, to jest 1go lipca 1851 r. żadnego znaku życia na zewnątrz nie okazał.

2) Że zakupuje same dzieła religijne, a na inne literackie i historyczne pisma funduszów mu nie staje.

3) Że nie wydaje pisma peryodycznego.

4) Że słownik Lindego nie uzupełniać ale skracać zamyśla.

Przejdziemy po kolei każdy z tych zarzutów, aby czytelnika postawić w możności osądzenia, o ile słowa korrespondenta na wiarę zasługują.

Do pierwszego robi on wstęp tak: „Nie należę, powiada, do składu urzędników bibliotecznych, nie umiem więc powiedzieć czy co do wewnętrznego gospodarstwa, do porządku i karności domowėj pan M. D. istotnie to uczynił, co korespondent (pierwszy) powiada.” Na to odpowiadamy. Z czynności zakładowych zdaje się sprawa publicznie od czasu do czasu. Trzy takie sprawozdania od objęcia Kuratoryi przez M. hr. D. drukowane są w dodatkach do Gazety urzędowėj lwowskiėj, mianowicie w numerze 5 Dodatku z r. 1852 w takimże numerze 5 Dodatku do Gazety Lwowskiėj z r. 1853 i w numerze 52 Dodatku z tegoż roku. W nich każda czynność czy to do wewnętrznego czy też do zewnętrznego zarządu Zakładu ściągająca się nietylko poszczególniona jest, ale nawet sposób wykazany w jaki dopełniona została. Nie potrzebuje więc korespondent być urzędnikiem Zakładu, aby się o czynnościach jego dowiedzieć, lecz tylko zajrzeć do gazety. A jeźli korespondent tego nie zrobił i zganił czynności zakładowe nie postarawszy się o zasięgnienie dokładnėj o nich wiadomości, daje więc powód do mniemania, że mu nie chodzi o prawdę, ale że osobistość jakaś piórem jego kieruje. Otoż odpowiadając na pierwszy zarzut, jakoby Zakład pod dzisiejszym swoim zarządem „nie dał żadnego znaku życia na zewnątrz” przytaczamy z pomienionego sprawozdania fakta następujące:

Przy objęciu Kuratoryi przez M. hr. D. stan funduszów zakładowych był tak opłakany, iż Zakład walczył między życiem a śmiercią: długi bowiem przewyższały dochody, które nadto nie wpływały regularnie do kasy, ale były pod rozmaitemi pozorami zatrzymywane. Taki stan rzeczy zastawszy M. hr. D. doprowadził do tego, że już w pierwszém półroczu jego zarządu długi Zakładu znacznie się zmniejszać poczęły, jakoż do dnia dzisiejszego zapłacono ich 11,312 złr. mon. konw. czyli przeszło 6,750 rsr. Wydano nadto kosztem Zakładu czwarty tom Ossolińskiego „Wiadomości historyczno-krytycznych w r. 1852” o 34 arkuszach druku; postarano się o przekład całego Tucydidesa na język polski, który to przekład przez jednego z biegłych helenistów polskich, za stosownėm wynagrodzeniem, z oryginału w znacznėj części już dokonany, znajduje się w bibliotece; zaliczono też w tym oto 1853 r. tysiąc złr. na rozpoczęcie druku słownika Lindego. Zbiory naukowe i artystyczne, które dawniejsi zawiadowcy Zakładu tylko hurtownie sobie z rąk do rąk oddawali, mianowicie: rękopisma, autografy osób znakomitych, dyplomata, obrazy, przedmioty mineralogiczne i starożytności, otrzymały w tym przeciągu czasu po raz pierwszy inwentarze dokładne, czém i od straty zostały zabezpieczone i publiczności ułatwiono ich przegląd; przeskontrowano następnie z największą dokładnością całą bibliotekę, a czytelnia publiczna dopiero w r. 1850 otworzona, odwiedzana jest tak licznie, że każdego dnia prócz świąt i niedzieli, ma w przecięciu około 50 czytelników. Oto jest objaw życia Zakładu na zewnątrz;

podaliśmy go tu tylko w rysach główniejszych, a po szczegóły drobniejsze do pomienionych sprawozdań odsyłamy.

Co do drugiego zarzutu W miarę wzrastających funduszów kupujemy brakujące w bibliotece dzieła, tak dawniejsze jako i nowsze. Zasada jaką się w wyborze tych dzieł kierujemy jest: aby kupować dzieła dobre bez względu na to, czy autor ich z jednego lub téż drugiego stanowiska na świat się zapatruje. W liczbie tedy ksiąg nabytych w przeciągu dwóch lat ostatnich, a która to liczba jak ze sprawozdania (Dod. do Gaz. Lw. z t. r. str. 206) przekonać się można, 592 dzieł w 981 tomach wynosi, znajduje się kilkadziesiąt dzieł treści lub dążności religijnéj jak np. dzieła Montalemberta; Cretineau-Joly: *Histoire religieuse, politique et litteraire de la Compagnie de Jesus.* Roux Ferranda: *Histoire des progrès de la civilisation en Europe depuis l'ère Chretienne.* Beauforta: *Histoire des Papes* i t. p. Czyśmy te i tym podobne dzieła z biblioteki Zakładu wykluczyć byli powinni? niech czytelnicy osądzą. Jeźli zaś w przeciągu dwóch lat nie zdołaliśmy jeszcze nabyć wszystkiego, coby dla biblioteki téj potrzebne być mogło, tedy spodziewamy się znaleźć wyrozumiałość na to u każdego rozsądnego człowieka, który wie, że w tak krótkim czasie wszystkiego zrobić nie można

Przejdźmy do trzeciego zarzutu. W §. 37 ustawy głównéj zakładu Ossolińskich powiedziano: Dyrektor biblioteki wydawać powinien dziennik pod tytułem: „Wiadomości o dziełach uczonych.” Dyrektorowie dawniejsi wydawali je pod rozmaitemi nadpisami i w rozmaitych obrębach a czasem zgoła nie wydawali. Stosowali się oni nie tyle do ustawy, ile do okoliczności. I tak wiadomo, że od połowy roku 1834 aż do roku 1841, przez lat siedm blisko, nie wydawał Zakład pisma żadnego; równie téż nie wydawał w latach 1835 i 1846, nakoniec nie wydawał od miesiąca kwietnia 1848 do tegoż miesiąca 1850. W tych zaś latach, w których pismo wychodziło, wydawano na nie znaczne kwoty pieniężne, które niekiedy dwa tysiące złotych reńskich mon. konw. rocznie przenosiły. Jaka zaś wartość pisma tego była wewnętrzna, o tém zapewne wiedzą w Warszawie. Dziś Zakład wprawdzie pisma nie wydaje, ale ztąd nie wypływa, że go nigdy wydawać nie będzie; owszem, pomyśli o tém stanowczo, skoro się ku temu złożą okoliczności. Dla czego zaś nie wydaje teraz, nie trudno jest odgadnąć. Kiedy bowiem Kuratorya dzisiejsza rząd Zakładu obejmowała, stan funduszów jego był taki, że tylko zaprowadzeniem jak największéj oszczędności w wydatkach można go było podźwignąć. Ta to oszczędność, koniecznością nakazana, nie dozwoliła nawet Kuratoryi stałych urzędników zamianować. lecz po większéj części, mimo nawału pracy, pomagać sobie tymczasowymi zastępcami, a to tak długo, pókąd wszystkie długi zakładowe nie zostaną spłacone. Nie ma więc Zakład dyrektora aktualnego, zastępuje go tylko August Bielowski, kontentując się płacą kustosza. Również zastępczo pełni swój urząd Karol Szajnocha, przestając dotąd na płacy skryptora. Co atoli Zakład w tym wyjątkowym stanie swoim, przy tak znaczném uszczupleniu sił materyalnych dokazał, wykazano to w sprawozdaniach i tego tu powtarzać nie będziemy; ciekawi mogą porównywać czynności dzisiejsze z czynnościami Zakładu w owych czasach, gdy był w stanie swoim normalnym i w komplecie aktualnym swych urzędników i wyciągać ztąd wnioski. Że zaś obecnie Zakład na cele czysto naukowe, (jakiemi jest téż wydawanie pisma peryodycznego) większych funduszów łożyć nie może, jest to naturalném następstwem stanu owego, w jakim go dzisiejsza Kuratorya objęła.

Korespondent powiada dalej, że wydawanie pisma peryodycznego jest obowiązkiem ważniejszym, niż wszelkie inne wydawnictwo. W téj mierze można być zdania innego, niż korespondent, a to z powodów następujących: Oto przez wiele lat wydawał Zakład pismo, wkładając w nie główne

swoje starania, a doświadczenie pokazało, że pismo to przez publiczny Zakład wydawane, nietylko nie wyrównało dobrym przedsiebiorstwom prywatnym tego rodzaju, jakie się od owego czasu aż dotąd po różnych stronach kraju pojawiają, ale było od nich nie w jednym względzie poślednijsze. Tymczasem w nierównie większym przeciągu lat, bo od roku 1814 aż dotąd, nie znalazł się żaden prywatny przedsiębiorca, któryby się odważył na wydanie słownika Lindego. Teraźniejsza więc Kuratorya oglądając się na to, iż by w stanie obecnym Zakładu, z mozołem wydobytych funduszów użyć jak najkorzystniéj dla dobra powszechnego, zamierzyła przedewszystkiém przysłużyć się narodowi tém, czém żaden przedsiębiorca prywatny przysłużyć mu się nie jest w stanie, i mniema, że w téj mierze przyzna jéj słuszność każdy z dobrze myślących.

Jak dalece podoba się wszystkim to przedsiębiorstwo, czuje to i korespondent, dla tego stara się rzucić cień na nie, rozpuszczając najmylniejsze wieści. Powiada więc, że przedsiębiorstwo to jest już od dwóch lat tylko projektem; że o uzupełnieniu słownika Lindego nikt tu nie myśli; że przeciwnie skracać go zamierzają. Wiadomo ci zapewne najlepiej, Szanowny Redaktorze, że dopiero dnia 15 kwietnia t. r. rodzina ś. p. Lindego dała swe przyzwolenie Zakładowi do wydania słownika. Od daty więc jéj listu, do daty listu lwowskiego korespondenta, upłynęło trzy miesiące i dni piętnaście. On jednakże naliczył już dwa lata. Wszakże gdyby między stanowczém powzięciem zamiaru a rozpoczęciem druku dzieła tak obszernego, istotnie dłuższy przeciąg czasu upłynął, dowodziłoby to tylko, że Zakład nie lekkomyślnie do przedsiębiorstwa tego przystępował, lecz się sposobił pierwéj we wszystko, co w ciągu druku okazać się może potrzebném. Mylne téż jest i to, co korespondent mówi o skracaniu słownika. Już bowiem w liście do rodziny ś. p. Lindego nadmienione było o sposobie, w jaki wykonać myślimy to przedsiębiorstwo, a obszerniéj wyłożył to na posiedzeniu publiczném dnia 12 października t. r. odbytym w Zakładzie, Bielowski. Nie myślimy więc wprawdzie improwizować jakiegoś słownika nowego, w którym Linde wchodziłby tylko jako materyał, ale téż bynajmniej skracać go nie będziemy; owszem, wychodząc z tego przekonania że praca Lindego oparta jest na zasadach pewnych i z konsekwencyą przeprowadzona, pozwolimy sobie sprostować w niéj te tylko błędy, które jako takie zostały udowodnione, a słowa w niéj brakujące, ze źródeł różnorodnych, według naszéj możności zebrawszy, podamy w osobnym dodatkowym tomie tak, jak to już zamierzał sam Ossoliński.

We Lwowie 27 października 1853 r.

Karol Szajnocha.

Odkrycie pomnika Mikołaja Kopernika w Toruniu.

W dniach 24. i 25. października r. b. odbyła się w Toruniu uroczystość odkrycia posągu Kopernika, na którą zjechało bardzo wiele osób. Jego kr. Mość Fryderyka Wilhelma IV. opiekuna towarzystwa Kopernikowego (Copernikus-Verein) zastępował naczelny prezes Eichmann.

Na dniu 24. października zebrani goście byli przytomni fecie muzycznéj, wysłuchali mów obchodowych i znajdowali się wieczorem w teatrze, gdzie słuchając mniéj szczęśliwego natchnienia przedstawiono sceny z życia Kopernika.

Nazajutrz dzień już o 8méj rano dał się słyszeć z wieży ratuszowéj chorał na trąbach. O 12téj w obec zakrytego jeszcze posągu miał mowę przewodniczący w towarzystwie Kopernika, poczém na znak dany przez p. Eichmann zasłona opadła.

Obrzęd zakończył się śpiewem, defiladą orszaku przed p. Eichmann i odwiedzinami domu w którym się urodził Kopernik, a na którym wizerunek jego zawieszono.

Wieczór oświecono pomnik ogniami bengalskiemi.

Statua jest ze śpiżu na podstawie granitowéj.

Znajdował się na obchodzie umyślnie zaproszony delegowany od Uniwersytetu Jagielońskiego. Ten w czasie wielkiego obiadu, jaki miał miejsce 25go, podziękował w imieniu staréj krakowskiej szkoły tym, co powzięli i co wykonali myśl równie piękną. Odpowiadając mu jeden z przytomnych zasługi Uniwersytetu Jagielońskiego wysoko postawił.

NEKROLOGI.

Fryderyk Ozanam.

Wspomnieliśmy pokrótce w przeszłym numerze o dotkliwéj stracie jaką Francya, jaką kościół katolicki przez zawczesną śmierć Fryderyka Ozanama poniosły. Dziś pamięci tego wzorowego chrześcianina, znamienitego uczonego, człowieka pełnego zacności, poświęcamy obszerniejszą wzmiankę.

Fryderyk Ozanam był synem doktora z Lyonu; urodził się w Medyolanie za czasów panowania francuzkiego 23. kwietnia 1813. r. Pierwsze nauki odbył w szkołach lyońskich pod dozorem ojca, który sam tradycye uczoności z dawna w rodzinie istniejące starannie przechowywał; na uniwersytet udał się wkrótce po rewolucyi lipcowéj do Paryża, gdzie zapisał się na wydział prawny.

W Lyonie i późniéj jeszcze doświadczył całéj goryczy powątpiewań religijnych, ale gorąca jego i czysta dusza prawdy silnie łaknąca rychło spoczynek pod skrzydłami wiary znalazła. Nie stawały mu na przeszkodzie obyczaje bo od młodu brzydził się zepsuciem i złego unikał, nie stawała duma umysłu bo pokorne a poświęceniem żyjące serce jego łatwo wznioślejszych natchnień się imało.

Popędem dusz wybranych wiedziony wszedł Ozanam w Paryżu w stosunki przyjaźni z kilku podobnymi sobie młodzieńcami. Wszyscy religijni pragnęli oni religii przez siebie wyznawanéj uczynkami dać świadectwo. Owoż jak w gronie ośmiu studentów paryzkich do których Ozanam należał, powstało dziś po całym świecie rozpowszechnione stowarzyszenie ś. Wincentego a Paulo.

Powróciwszy do Lyonu ze stopniem doktora prawa, zapisał się Ozanam na listę adwokatów. Wkrótce potém został profesorem prawa handlowego, jednakże niedługo oddawał się temu zawodowi. Skłonność wyraźna do studyów literackich ciągnęła. Opuścił więc Lyon i w Paryżu miejsce profesora retoryki w gimnazyum ś. Stanisława przyjął.

Języki starożytne znał ze szkół, sam późniéj wyuczył się języków nowszych a mianowicie włoskiego, hiszpańskiego, niemieckiego i angielskiego.

Zawód piśmienny rozpoczął jeszcze w r. 1831. ogłaszając w Lyonie pełną sądu zdrowego broszurę ***Reflexions sur la doctrine de St. Simon.*** W kilka lat późniéj wydał bardzo zajmującą rozprawę pod tytułem ***Les deux chanceliers d'Angleterre*** (Ś. Tomasz Becket i Bakon.) Ale szczególniéj ściągnął na siebie uwagę świata uczonego, kiedy zwróciwszy się wyłącznie do literatury i stopień doktora nauk wyzwolonych otrzymawszy, ogłosił drukiem tezę swoję doktorską. Było to w roku 1839. Teza owa

raczéj znamienite dzieło *Le Dante et la philosophie catholique au XIII. siècle* dziś znana jest i ceniona powszechnie. Wspomnimy że pracę tę uzupełnił późniéj autor ogłaszając w r. 1845 ważny dodatek pod tytułem *Etude sur les sources poètiques de la Divine Comédie.*

Wkrótce po wydrukowaniu dzieła o Dantem świetnie odbyta proba konkursowa zapewniła Ozanamowi katedrę nauczycielską w Sorbonie.

O konkursie owym tak wspomina ówczesny profesor Sorbony Karol Lenormant w nekrologu w piśmie *Le Correspondent* (z miesiąca września) ogłoszonym. „Nie zapomnę nigdy wrażenia jakiego doznałem wówczas. Nigdy zwycięztwo nie było wyłączniéj osobiste. Między sędziami nie zasiadał ani jeden z profesorów Ozanama, ani jeden taki coby go był znał pierwéj, jemu samemu brakowało wszelkiéj tradycyi uniwersyteckiéj; ale cóż się mogło oprzeć téj niewyczerpanéj nauce, téj obfitości pojęć, temu żywemu, porywającemu i pełnemu barwy wykładowi? Wstępnym bojem zdobył sobie Ozanam pierwsze miejsce; zaś wtedy kiedy już wszyscy tryumfu jego byli pewni, on jeszcze skromnie wątpił."

Ozanam objął w Sorbonie katedrę literatury zagranicznéj naprzód jako zastępca Fauriela a po jego śmierci jako profesor rzeczywisty.

Sami należymy do tych co od początku w r. 1841. uczęszczali na świetne prelekcye o literaturze niemieckiéj w wiekach średnich i zachowujemy niezatarte wspomnienie wysokiéj, serdecznéj, przekonanie niosącéj, płodnéj w dobre natchnienia wymowy profesora.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziéj pociągającego jak talent i osobistość Ozanama. Oto jak je charakteryzuje p. Lenormant: „Nikt żywiéj nie „czuł, jak Ozanam, owoz z tego nadmiaru uczucia płynęły u niego udrę„czenia życia, razem siła talentu. Obojętnych wrażeń nie znał, kłopotał się „wszystkiém a każda rzecz czysta i wzniosła mocno go porywała. Miał „czystość dziewiczą, szlachetność bez granic, miłosierdzie nieskończone, obok „tego umysł niesłychanie potężny.... Nikt nie posiadał wdzięczniejszéj zdol„ności improwizowania. Nieszczęściem ta zdolność podkopywała jego siły. „Nieśmiałości nigdy nie pozbył. Przed każdą prelekcyą tak był zmięszany „jak gdyby miał po raz pierwszy wstępować na katedrę. Wchodził do „sali blady i niespokojny, ztąd często słuchacze byli skłonni litować się „nad nim. Ale owo wzruszenie aż nadto szczere, stawało się środkiem „najpotężniejszego wpływu. W niém on czerpał natchnienie, któremu nie„podobna się było oprzeć. Poruszał do głębi duszy. Młodzi i starzy słu„chacze przywiązywali się do niego."

Zostawszy profesorem rzeczywistym ożenił się Ozanam z córką swego dawnego rektora z Lyonu; szczęście przecież domowe nie odciągnęło go od pracy.

W r. 1847 ogłosił ważne dzieło: *Les Germains avant le Christianisme,* które uzupełnił w r. 1849 drugim tomem noszącym tytuł: *La civilisation chrètienne chez les France.* Dzieło to uzyskało wielką nagrodę z zapisu p. Gobert.

Dla poratowania zbyt rychło nadwątlonego zdrowia wysłał był p. Salvandy w r. 1846 Fryderyka Ozanam z misyą naukową do Włoch. Owocem téj podróży są dwa dzieła ważne naukowo a mianowicie: *Documens inédits pour servir à l'histoire littéraire de l'Italie dépuis le VIII siècle jusqu' au XIII* (1850) tudzież: *Les poètes Franciscaine en Italie au XIII siècle* (1852). Jak widzimy Ozanam torem prawdziwie wysokich umysłów wracał z upodobaniem do jednéj epoki, prawie do jednego przedmiotu. Dodamy że praca jego o poetach franciszkańskich jest pełna siły i wdzięku.

Z Włoch powrócił Ozanam z uniesieniem dla Piusa IX zbyt tylko upojony nadziejami. Wtedy to napisał w *Le Correspondent* gorący artykuł zakończony wykrzykiem: „Passons aux barbares."

Rok 1848 poruszył go do żywego. Wówczas w téj czystéj ale skłonnéj do urojeń duszy znalazł odbicie zamiar uświęcenia ruchu na drodze serdecznego z nim przymierza. Tak powstało pismo *Ere nouvelle*.

Nagle po sobie następujące zmiany polityczne poruszały do głębi wrażliwe serce Ozanama; powoli téż i zdrowie się jego pogorszyło.

Ostatnie prelekcye miał w r. 1852. Prelekcye wstępne tego kursu o których wspomnieliśmy obszernie na początku roku bieżącego, wyszły osobno pod tytułem: *Du progrès dans les siècles de décadence.*

Ozanam pozostał do końca wierny chorągwi postępu chrześciańskiego, do końca należał do współpracowników pisma *Le Correspondent,* które teraz piękną jego dotąd nieznaną pracę *Un pèlérinage au pays du Cid,* wspomnienie z wycieczki w r. 1852 do Hiszpanii odbytéj, umieściło.

Gdy w roku 1852 wody mineralne pirenejskie nie wiele choremu pomogły, wyprawili go doktorzy na zimę do Włoch.

We Florencyi jeszcze się krzątał, pisał, widywał ludzi, o większych pracach myślał. W przeszłym numerze daliśmy wyjątki z mowy, którą tam powiedział na stowarzyszeniu Ś. Wincentego, a w któréj dzieje początków stowarzyszenia skreślił.

Na wiosnę używał wód Łukieskich i te mu zrazu pomogły; niebawem jednak nadeszło pogorszenie.

Czując zbliżający się koniec żądał żeby go do Francyi przewieziono i zaraz wstępując na ziemię francuzką w Marsylii 8go września w objęciach kochającéj żony ducha oddał.

Drogie zwłoki przywieziono naprzód do Lyonu, gdzie je uczczono uroczystém nabożeństwem, następnie do Paryża.

Na pogrzebie w Paryżu uważano przedewszystkiém członków stowarzyszenia Ś. Wincentego, którego Ozanam był wiceprezesem i członków rady stowarzyszenia ku rozkrzewianiu wiary do któréj należał.

Hołd pamięci zmarłego oddał p. Leclerc dziekan wydziału nauk wyzwolonych, w mowie zakończonéj następującém przytoczeniem:

Di me non pianger tu, chè i miei di fersi
Morendo, eterni, e nell' eterno lume
Quando mostrai di chiuder gli occhi, apersi. *)

Z Nekrologów wymienimy wspomniony już przez nas artykuł p. Lenormant i artykuły p. Ampère w *Journal des Débats.*

Ale najpiękniejsze świadectwo wzorowemu życiu Ozanama uwieńczonemu chrześciańską śmiercią, daje testament jego, z którego przytaczamy co następuje:

Wyjątek z własnoręcznego testamentu A. F. Ozanama, zmarłego w Marsylii w dzień Narodzenia N. Panny, 8go września 1853 r.

„W imię Ojca i Syna i Ducha Śgo Amen.

„Dziś dwudziestego trzeciego kwietnia 1853 r. w chwili w któréj kończę rok życia czterdziesty, złożony ciężką chorobą, cierpiący na ciele ale zdrowy na duchu, napisałem w kilku słowach moją wolę ostatnią, obiecując sobie, że ją dokładniéj wyrażę, skoro będę miał sił więcéj.

„Oddaję duszę Jezusowi Chrystusowi Zbawicielowi mojemu. Przerażony memi grzechami, lecz ufny w łasce nieograniczonéj, umieram na łonie kościoła katolickiego, rzymsko-apostolskiego. Znałem wątpliwości obecnego wieku, ale całe me życie przekonało mię, że dla ducha i dla

---

*) Nie płacz mnie: Śmierć to nieśmiertelność, co się zaczyna — i kiedy się zdawało że zamknąłem oczy, jam je otworzył na światło wiekuiste.

serca nie ma pokoju tylko w wierze kościoła i pod jego władzą. Jeźli przywięzuję jakąkolwiek wartość do mych długich nauk, to tylko tę, że one mi dają prawo upraszać wszystkich, których kocham, aby się wiernie trzymali religii, w której znalazłem światło i pokój.

„Prośbą moją ostatnią do méj rodziny, do méj żony, do mego dziecka, do mych braci, szwagrów i wszystkich co z nich się zrodzą, jest, aby wytrwali w wierze pomimo wszelkich upokorzeń, oszczerstw i odstępstw, których będą świadkami.

. . . .

„Dziękuję tu raz jeszcze tym, którzy mi oddawali usługę. Przepraszam za moją żywość i zły przykład. Błagam o modlitwy całą mą rodzinę, zgromadzenie ś. Wincentego i moich przyjaciół w Lyonie.

„Nie ustawajcie w modlitwach choć wam powiedzą: On jest w niebie, módlcie się zawsze za tego, który was bardzo kocha, ale który wiele grzeszył. Przy pomocy waszych modlitw, drodzy moi przyjaciele, opuszczę świat ten z mniejszą bojaźnią. Mam nadzieję, że się nie rozłączymy i że zostanę między wami aż wy do mnie przyjdziecie.

„Błogosławieństwo Boga Ojca, Syna i Ducha Sgo niech będzie z wami. Amen."

Piza, 23. kwietnia 1853.

A. F. Ozanam.

Zwłoki Ozanama ostatecznie spoczywać mają w Lyonie.

Edward Bazelaire.

We wrześniu umarł w Lyonie, a umarł przedwcześnie Edward Bazelaire pisarz katolicki bardzo pracowity, człowiek pobożny i zacny. Bazelaire przetłómaczył na język francuzki dzieło dzisiejszego kardynała Morichini o zakładach dobroczynnych w Rzymie, za co od papieża Grzegorza XVI. videa otrzymał, należał późniéj do redakcyi pisma *Revue de la Société de Saint Paul*, oprócz tego napisał życie błogosławionego Piotra Fourier. Za panowania Ludwika Filipa Bazelaire był urzędnikiem w ministerstwie oświecenia; w ostatnich latach do zawodu handlowego się zwrócił.

F. Collombet.

Także w Lyonie, już w miesiącu październiku rozstał się z tym światem bardzo uczony pisarz katolicki F. Collombet, autor życia Śgo Hieronima, wielu innych dzieł, broszur polemicznych rozmaitéj treści, tudzież artykułów drukowanych po pismach czasowych. Pełen dobroci w stosunkach osobistych, Collombet był bardzo drażliwy i gwałtowny w polemice. Co go cechowało zawsze, to wielka śmiałość i niepodległość zdania. On jeden z pierwszych obrócił się przeciw księdzu de Lamennais po jego odstępstwie. Wielu ludzi znamienitych, mianowicie Chateaubriand, Ballanche, Sainte-Beuce stosunki przyjazne z nieboszczykiem zachowywało.

Franciszek Arago.

Zgon wielkiego francuzkiego astronoma choć przewidziany od kilku miesięcy, niemniéj wrażenie w całym świecie naukowym uczynił.

Oto w krótkości żywot Franciszka Arago.

Urodził się w Estagel pod Perpignan 28. lutego 1786. r., pierwsze nauki odbył w mieście rodzinném, zkąd mając lat 18 udał się do Paryża by tam do szkoły politechnicznéj wstąpić. Po zaszczytném ukończeniu dwuletniego kursu szkoły, został Arago w r. 1805. sekretarzem *du bureau des longitudes*, zaś w r. 1806. z rozporządzenia Napoleona w towarzystwie Biota, tudzież hiszpańskich komisarzy Chaix i Rodriguez pojechał prowadzić daléj od Barcelony, do wysp Balearskich dzieło wymiaru południka przez Delambre i Méchain zaczęte.

Bardzo są zajmujące szczegóły téj uczonéj wyprawy dokonanéj z zapałem i zapomnieniem o sobie przez wszystkich co w niéj udział mieli.

Wybuch powstania hiszpańskiego zastał Franciszka Arago na wyspie Majorce. Uwięziono go tam i zaledwie po kilku miesiącach wolność odzyskał. Ale nie tu koniec niepowodzeń. Kiedy z Algieru dokąd się zrazu udał, płynął do Francyi, zdarzyło się ze statek na którym się znajdował, został zabrany przez korsarza hiszpańskiego. Tak po raz drugi Arago w hiszpańską poszedł niewolę i na pontonach w Palamos jakiś czas przecierpieć musiał. Uwolniony na żądanie deja algierskiego wraz z całą załogą fregaty, znowu wyprawił się do ojczyzny, ale znowu naprożno. Burza zagnała go na brzegi sardyńskie, zkąd trzeba było wrócić do Algieru. W Algierze z okoliczności zaszłéj śmierci deja jeszcze niemałych doznał kłopotów. W końcu przecież udało mu się w r. 1809. do Marsylii zawinąć.

W nagrodę za tyle trudów został 23letni Arago członkiem akademii umiejętności (zajął tam miejsce po sławnym Lalande) i profesorem analizy tudzież geodezyi w szkole politechnicznéj. Tę ostatnią posadę, którą zachował aż do r. 1831., otrzymał z nominacyi cesarza Napoleona.

Taki jest punkt wyjścia długiego zawodu umiejętnego i odznaczonego szczęśliwemi poszukiwaniami na polu astronomii i fizyki.

Odkrycia p. Arago co do polaryzacyi chromatycznéj, elektro-magnetyzmu i magnetyzmu obrotowego znane są powszechnie.

W towarzystwie p. Gay Lussac założył on pismo *Annales de chimie et de physique*. Sam od r. 1828. wydawał głośne *Annuaire du bureau des longitudes*.

Mało który uczony tyle sławy i tyle zaszczytów za życia pozyskał. Akademia jedna po drugiéj wzywały go na członka; miasta szkockie Edinburgh i Glasgow ofiarowały mu obywatelstwo; wiele innych odznaczeń spotykały go nieprzestannie.

We Francyi został z biegiem lat sekretarzem dożywotnim akademii umiejętności i dyrektorem paryzkiego obserwatoryum.

Jako sekretarz akademii ożywił posiedzenia poniedziałkowe swemi zdaniami sprawy pełnemi bystrych spostrzeżeń i naukowéj ścisłości, razem dziwnie przystępnemi nawet dla mniéj przygotowanych.

Jasność i przystępność to były dwie wielkie zalety i ustnego i pisanego wykładu Franciszka Arago. Nikt bardziéj od nich nie popularyzował umiejętności, nikt lepiéj zastosowań nie wyprowadzał. Prelekcye o astronomii które dawał od czasu do czasu dla ludzi światowych, rozprawy w *Annuaire des longitudes* umieszczane przyczyniły się niezmiernie do rozszerzenia jasnych pojęć o téj trudnéj gałęzi wiedzy ludzkiéj.

Zawód polityczny Franciszka Arago rozpoczął się po rewolucyi lipcowéj. Został on w r. 1831. deputowanym z Perpignan i na lewéj stronie miejsce zajął. Obierano go odtąd ciągle, ciągle téż do opozycyi należał. Przemawiał w Izbie dosyć często: wrażenie zrobił w mowach o zaprowadzeniu kolei żelaznych i o oszańcowaniu Paryża.

W r. 1848. powołany został Arago na członka rządu tymczasowego. Tam trzymał ze stroną umiarkowańszą.

Wypadki czerwcowe dotknęły go boleśnie i już głosu więcéj nie podniósł.

Kiedy Ludwik Napoleon cesarstwo przywrócił, Arago odmówił mu przysięgi, nie został jednak od przewodnictwa obserwatoryum odsunięty.

Godzi się wspomnieć, że zawsze był przychylny Polsce i Polakom, i że chętnie młodym wygnańcom wstęp do szkół wojskowych ułatwiał.

Umarł na chorobę serca w dniu 2. października.

Jerzy Onslow.

W październiku umarł we Francyi Jerzy Onslow sławny kompozytor muzyczny. — Onslow był rodem Anglik; przyszedł na świat w r. 1796. i żył jakiś czas w Wiedniu, ostatecznie we Francyi osiadł. Pisał opery i symfonie, ale najwięcéj zasłużył się prawdziwéj sztuce kwartetami i kwintetami, które się surowością stylu i doskonałością kompozycyi odznaczają.

Jerzy Andrzéj Gabler.

W drugiéj połowie września umarł w Berlinie Jerzy Andrzéj Gabler profesor filozofii na uniwersytecie.

Był on synem sławnego protestanckiego teologa. Urodził się w Altdorf w r. 1786.

Kiedy ojciec jego został profesorem w Jena r. 1804., wszedł na tamtejszy uniwersytet i szczególniéj kursów Hegla z zamiłowaniem słuchał.

Po skończeniu nauk uniwersyteckich przyjął miejsce nauczyciela domowego w rodzinie poety Szyllera, następnie został profesorem gimnazyalnym.

Ze szczebla na szczebel doszedł Gabler do tego, że go w r. 1835. na długo wakującą po Heglu katedrę filozofii powołano.

Ciekawy jest wstępny programat Gablera w Berlinie: ***De verae philosophiae erga religionem christianam pietate.*** Chce tam wykazać zgodę filozofii Hegla z dogmatami chrześciańskiemi.

W późniejszych czasach bronił Gabler piórem nauki swego mistrza przeciw zarzutom Trendelenburga.

KRONIKA ZDARZEŃ W ŚWIECIE KATOLICKIM.

RZYM.

Konsystorz papiezki.

W dniu 12. września odprawił Ojciec ś. w pałacu apostolskim na Kwirynale konsystorz tajny, na którym przedstawił następujące kościoły:

Kościół biskupi Sabiny dla Jego eminencyi kardynała Ferretti wielkiego penitencyarza.

Kościół biskupi w Terni dla J. W. Józefa Maryi Severa przeniesionego ze stolicy biskupiéj w Citta-della-Pieve.

Kościół biskupi w Guadelupie w Antyllach dla J. W. Teodora Augustyna Forcade biskupa z Samos *in partib. inf.*

Kościół biskupi w Citta della-Pieve dla J. ks. Emidio Foschini duchownego z Massa-Lombarda w dyecezyi Imola, arcyprezbitera.

Kościół biskupi w Ruvo i Bitonto dla J. ks. Henryka Wincentego Materozzi duchownego neapolitańskiego, rektora parafii San-Lucia-a-Mare.

Kościół biskupi w Wrocławiu dla J. ks. Henryka Förster kanonika katedry wrocławskiéj, dokt ra teologii.

Kościół biskupi w Guadalaxara w Ameryce północnéj dla J. ks. Piotra Espinosa, duchownego tamtejszéj dyecezyi, doktora teologii, kanonika archidiakona katedralnego i wikaryusza z ramienia kapituły.

Kościół biskupi w Chacopayos w Ameryce południowéj dla J. ks. Piotra Ruiz, duchownego tamtejszego, rektora seminaryum w Chacopayos, examinatora prosynodalnego i wikaryusza kapitulnego.

Następnie wniesiono o pallusz dla nowo ustanowionéj metropolii w St. Francisco w wyższéj Kalifornii, a mianowicie dla J. W. biskupa Józefa Alemanny.

Wyrok ś. Kongregacyi Indexu.

Wyrokiem świętéj kongregacyi indexu z dnia 5. września zatwierdzonym dnia 10. września przez Ojca ś., następujące dzieła umieszczone zostały na indexie:

Il Mechitarista di S. Lazaro di Venezia. Osservazioni critiche sopra l'opuscolo intitolato: „memoria diretta a sviluppare i motivi delle imputazioni che si riproducono a carico della Congregazione de' Monaci Armeni Mechitaristi."

Contro lo anonimo autore del libello intitolato: „Il Mechitarista di S. Lazzaro di Venezia, breve riposta nella sua specialita, del prete Veneziano Giuseppe Cappelletti." Damnatur utrumque opus ut libellus famosus.

Les origines de l'Eglise romaine par André Archinard pasteur de l'Eglise de Genève. Opus jam damnatum in regula II. indicis, ut alia it genus sive Haereticorum, sive Incredulorum scripta.

L'Univers-Histoire et descriptien de tous les peuples. Dictionnaire Encyclopédique de la France, par M. Ph. Le Bas.

Palestine. Description géographique, historique et archéologique par S. Munk, employé au département des manuscrits de la Bibliothèque royale.

Sull' evidenza del Christianesimo — Lezioni — Firenze 1850.

Rękopis zawierający opisanie uwięzienia Piusa VI.

Rękopis zawierający opis uwięzienia Piusa VI. spoczywał długi czas u kartuzów we Florencyi, późniéj nie wiadomo jakim sposobem dostał się w prywatne ręce. Pius IX. wykupił teraz za drogie pieniądze ten szacowny zabytek i przeznaczył go do archiwa watykańskiego.

Nowy zakład wychowania w Sinigaglia.

Ojciec ś. wzniósł w Sinigaglia rodzinném swojém mieście wielki zakład wychowania na całą dyecezyę. Oprócz zwykłych nauk gimnazyalnych będą tam wykładać filozofią, teologią, prawo kanoniczne, prawo kryminalne i prawo cywilne. Kierunek téj szkoły powierzył Pius IX. OO. jezuitom.

Dom poprawy dla młodych winowajców.

Bracia ś. Józefa z instytutu istniejącego w Le Mans we Francyi, mieli już w Rzymie trzy zakłady dobroczynne. Teraz Ojciec ś. powierzył im

jeszcze przewodnictwo zakładu poprawnego dla winowajców liczących niżéj dwudziestu lat wieku. Młodzi winowajcy będą się tam uczyć rolnictwa i rzemiosła

Arcybiskup z Cagliari.

Wygnany z Cagliari arcybiskup prowadzi w Rzymie życie surowe, tudzież odosobnione i zajmuje się tłómaczeniem psalmów Dawida.

Wyjazd p. Buteniewa posła rosyjskiego z Rzymu.

W dzienniku Univers z 21. paźdź. czytamy co następuje pod rubryką korespondencyi z Rzymu:

„Słychać tu o niełasce w jaką popadł p. Buteniew i o odwołaniu „go do Petersburga. Mówią że cesarz znajduje swego posła za mię-„kim w postępowaniu, że mu zarzuca iż nie zdołał przeszkodzić pomy-„ślnemu ukończeniu procesu beatyfikacyi błogosławionego Boboli, jako „i że nie dość chętnie i nie dość starannie dogląda Rosyan i Polaków „katolików bawiących w Rzymie.

„Wedle nas nieukontentowanie cesarza ma inny powód. Początek „doń dała następująca okoliczność. Przysłano z Polski do Rzymu pe-„wnego księdza w zamiarze aby ten ksiądz wyrobił sobie zatwierdzenie „na jednę z wakujących tam posad biskupich (na arcybiskupstwo war-„szawskie). Rząd rosyjski silnie popierał swego kandydata który miał „pieniędzy podostatkiem, odznaczał się przebiegłością tudzież duchem „intrygi a niepomiarkowanie pragnął dojść do celu. Mimo tego wszyst-„kiego nie udało mu się i wrócił tak jak przyjechał tylko zawiedziony „w nadziei. Owoż duchowny o którym mowa, całą odpowiedzialność „za zły obrót swojéj sprawy zrzucił na posła cesarskiego w Rzymie „i jak słychać przesłał o tym dyplomacie raporta bardzo niekorzystne. „Że osoba wzmiankowana pokazała wielką gorliwość w służbie cesar-„skiéj, mianowicie urządzając w Rzymie i w Paryżu policyą religijną, „zarazem dostarczając dokładnych wiadomości o emigracyi polskiéj, „przegrana jéj dotknęła cesarza, który sobie mógł bardzo życzyć podo-„bnego biskupa."

Rzeczywiście p. Buteniew wyjechał z Rzymu nie obiecując rychłego powrotu.

Nowy nuncyusz do Paryża.

Nuncyuszem do Paryża mianowany został dotychczasowy nuncyusz w Monachium J. ks. Sacconi arcybiskup nicejski.

Jak słychać księdza Sacconi w Monachium zastąpi J. ks. di Luca biskup z Aversa, założyciel publikacyi *Annali delle scienze religiose.*

Uroczysta beatyfikacya błogosł. Andrzeja Boboli.

Na dniu 30. października odbyła się w kościele świętego Piotra uroczystość, co pociechą napełniła wszystkie serca katolickie w Polsce.

Opis tego pięknego obchodu bierzemy w zapowiedzianéj przez nas książce *Żywot błogosławionego Andrzeja Boboli*, która właśnie w tych czasach z druku wychodzi.

Oto rozdział poświęcony święłu beatyfikacyi.

ROZDZIAŁ 3.

Opis obchodu uroczystego beatyfikacyi wielebnego Andrzeja Boboli odbytego w kościele świętego Piotra w Rzymie dnia 30. października R. P. 1853, a naprzód o dawności zwyczaju i obrzędu kościelnego wpisywania w poczet świętych, świątobliwych zmarłych, znanego pod imieniem kanonizacyi i beatyfikacyi. *)

Za czasów zakonu Mojżeszowego napotykamy już ślad zwyczaju przyznawania czci publicznéj a religijnéj świątobliwym zmarłym. Bellarmin (l. VII.) słusznie uważa iż Ekklezyastyk kanonizował, to jest wpisał w kanon albo poczet świętych Noego, Abrahama, Izaaka Jakoba i innych sprawiedliwych starego zakonu (XLIV-L) mówiąc: *Wysławiajmy męże chwalebne i ojce nasze w rodzaju swoim* i t. d. Wszakże chcemy tu mówić o zwyczaju i obrzędzie jaki w téj mierze powstał i rozwinął się w kościele Chrystusowym na ziemi.

W początkach kościoła pierwszymi Świętymi byli męczennicy, którym wierni oddawali cześć publiczną. Spisywanie aktów męczeńskich odnoszą niektórzy aż do czasów Klemensa I. papieża, gdy postanowił ku temu siedmiu notaryuszów w Rzymie. Wznoszono na ich grobie ółtarz, sprawiano na nim świętą ofiarę, i na tém zasadzał się wtenczas obrząd kanonizacyi. Mamy tego przykład w aktach śgo Ignacego i w liście kościoła smyrneńskiego o męczeństwie śgo Polikarpa. Baroniusz przytacza pod r. 166 iż śty Pius I. papież dowiedziawszy się o śmierci Weka biskupa wienneńskiego, pisząc do śgo Justa, polecił mu chować ciała świętych męczenników jako członki Chrystusowe w taki sam sposób, w jaki sami apostołowie chowali zwłoki śgo Szczepana pierwszego męczennika. Męczeństwa te zowie świętemi i przez Ducha Świętego stwierdzonemi: *Martyria Sancta Spiritu Sancto probata.* Kościół potwierdzał wtenczas bez trudności cześć, jaką wierni, pełni sami łaski Bożéj i duchem kościoła przejęci oddawali świętym. Wszakże z postępem czasu biskupi poczuli potrzebę i obowiązek dokładania większéj ostrożności, aby przypadkiem nie oddawano komu czci religijnéj, któryby na nią nie zasłużył. Niekiedy bowiem różnowiercy i odszczepieńcy bywali zabijani od prześladowców, dla tego jednak nie wpisywano ich w poczet męczenników, albo w święte dyptyki lub katalogi utrzymywane od początku po kościołach. [1]) W wieku trzecim śty Cypryan poleca wprawdzie gorąco duchowieństwu swemu zapisywać z pilnością te dnie szczęśliwe, w których święci wyżsi nad męczarnie, chwalebne życie chwalebną kończyli śmiercią; wszakże poleca zarazem największą sumienność i ostróżność w rozróżnianiu prawdziwych od fałszywych męczenników podług prawidła które następnie śty Augustyn treściwie orzekł mówiąc: *Causa fecit martyriam, non poena.*, to jest: sprawa stanowi męczeństwo nie cierpienie.

Macri i inni uczą nas w jaki sposób brano się w téj mierze do rzeczy w wiekach następnych. Biskup w którego dyecezyi był kto umęczony, uwiadomiał o tém prymasa prowincyi. Ten po dojrzałéj naradzie ze swoimi spół-biskupami zebranymi w Sobór (jak się działo w Afryce) wyrokował czy miała być wprowadzona cześć onego męczennika. Najdawniejszy przykład takowego postępowania mamy w biskupie z Tagastu, który za świadectwem śgo Augustyna przedstawił był akta męczeń-

*) Sądzę że ten krotki wstęp nie będzie nikomu przykry a niejednemu może i pożyteczny.

[1]) Patrz Sebastiano Donati w księdze *dei Bittici.*

skie Mansuryuszowi biskupowi kartagińskiemu. Ztąd opat milewitański przytacza iż Cecylian archidyakon kartagiński zgromił Lucyllę opiekunkę donatystów za to, iż przed przystąpieniem do Stołu Pańskiego całowała oszczątki albo relikwie męczennika jeszcze nieuznanego. Taki bowiem którego cześć już była pozwolona, zwany był *Martyr Vindicatus* męczennik dowiedziony, dziśbyśmy powiedzieli beatyfikowany albo i kanonizowany.

Po wieku czwartym osądzono za słuszne oddawanie czci religijnéj nietylko męczennikom ale i świątobliwym wyznawcom zmarłym, zawsze wszakże jak przynajmniéj świadczy Sarnelli [2]) w moc wyroku sobornego. Stawiano wtenczas podobnie ółtarz na grobie świętego wyznawcy, sprawiano na nim przenajświętszą ofiare, pozwalano wznosić ółtarze i kościoły pod jego nazwą i na tém zależał w ten czas obrząd beatyfikacyi albo kanonizacyi.

To samo czynili także rzymscy papieże [3]) ze zwykłą téj najpierwszéj Stolicy dojrzałością, dowiadując się od biskupów i kardynałów, badając życie, cnoty i cuda zmarłego. Wszakże do katalogu świętych dotychczas zwanego *Martyrologium* kościół rzymski wpisywał samych tylko męczenników [4]) aż do roku 608, w którym papież Bonifacy IV poświęcił starożytny Panteon na kościół Najświętszéj Panny *ad martyres*, nie czyniąc żadnéj wzmianki świętych wyznawców. Cześć ich jednak potwierdzona przez Synody albo Sobory prowincyonalne weszła w powszechny zwyczaj jak naprzykład śgo Antoniego opata, śgo Hilaryona, śgo Grzegorza nysseńskiego, śgo Jana Chryzostoma, śgo Augustyna, śgo Hieronima, śgo Ambrożego i innych. Tak co do rzeczy, od początku było w kościele rozróżnienie *świętych i błogosławionych*, *kanonizacyi i beatyfikacyi*. Ci ze świątobliwych zmarłych, których cześć była przyznana od biskupów, Synodów lub Soborów prowincyonalnych i rozciągała się tylko w dyecezyach ich władzy podległych, odpowiadali dzisiejszym błogosławionym beatyfikowanym; ci zaś których papieże wpisywali do katalogu rzymskiego, albo których cześć ograniczona i miejscowa zrazu stawała się powszechna w kościele przynajmniéj za milczącém przystaniem papieży, odpowiadali dzisiejszym świętym kanonizowanym.

Wszakże wyraz sam kanonizacyi uroczystéj posłyszany był po raz pierwszy w kościele dopiero w wieku dziesiątym, za zgodą większości pisarzy, którzy téż twierdzą iż papież Jan XV. zwany XVI. Rzymianin kanonizował pierwszy śgo Udalryka biskupa zmarłego r. 973 a to przez konstytucyą albo wyrok soborny, *Cum Conventus*. [5]) Toż czynili i jego następcy. Dowiadujemy się jednak od śgo Piotra Damiana [6]) iż jeszcze w wieku jedenastym, biskupi zebrani w Sobór kanonizowali wielu świętych za jego czasów. Niekiedy papieże upoważniali wprost od siebie biskupów do kanonizowania jak naprzykład Urban II upoważnił osobną bullą Bizantyna arcybiskupa z Trani do wpisania w poczet świętych Mikołaja zwanego pielgrzymem, na którego cześć poświęcony jest wspaniały kościół téj metrepolii. Wszakże kanonizacya śgo Gwalteryusza z Pontoise w Rouen r. 1153, ostatni nam przedstawia w dziejach przykład tego obrzędu przez kogo innego jak przez samychże papieżów dokonanego. W rzeczy tak ważnéj i delikatnéj nie można było być za

---

[2]) Patrz Pompeo Sarnelli Seltere Ecclesiastiche, tom II. p. 75. Dell'uso antico delle Canonizazioni dei Santi.

[3]) Tenże Tom IV p. 80.

[4]) Tenże. Tom VI. p. 93. w liście XXXVIII.

[5]) Czytaj w tomie Iszym Bullar. Rzymskiego str. 288. u Labbégo, Harduina, Mabillona i Fontaniniego.

[6]) Epist. 16. c. 29.

nadto ostrożnym, bo cały kościół cierpiałby mówi *Bergier*, gdyby kto choć częściową i ograniczoną cześć religijną odbierał a był jéj niegodny. Owoż dotychczas nie raz wystarczało, aby biskup jaki pojedynczy poświadczył o cnotach i cudach jakiego zmarłego dość było aby pozwolił malować lub rysować jego wizerunki z promieniami lub obwódką (nimbem aureolą) na głowie, wywiesił obraz nieboszczyka na bramie kościoła, przy grobie jego lampę zapalił, już to mówię starczyło aby i proces i obrząd beatyfikacyi był dokonany i cześć nowego świętego wyprowadzona.[7]) Niedbałość przeto niektórych biskupów zmusiła papieży nie poprzestawać na cichém przystawaniu, ale użyć w téj mierze jak w wielu innych swego prymatu władzy w kościele, gdy obietnice dane katedrze Piotrowéj dają wszelkie bezpieczeństwo że oni się nie pomylą. Naprzód tedy usunięty został zwyczaj pierwotnego kościoła ogłaszania kogo świętym okrzykiem wiernych, gdy już wierni nie żyli ogólnie tak ściśle połączeni z Bogiem jak dawniejsi oczekujący lada chwila męczeństwa; a z drugiéj strony władza kościelna więcéj miała wczasu i środków do rozpoznawania ze ścisłością sądową spraw tego rodzaju. Nie raz bowiem lud czy to pozorami świętości zmarłego czy nieroztropną gorliwością albo rodzajem patryotyzmu miejscowego uwiedziony, czy pod jakim wpływem chwilowym działający, mógł przyznać komu cześć nienależną. Rzeczywiście Aleksander III. (Bandinelli) r. 1180 musiał zakazać aby pewien zmarły zabity w stanie nietrzeźwym nie był od ludu czczony i w skutek tego dekretacyą swoją ***audivimus***[8]) wzbronił oddawania komukolwiek czci publicznéj bez wiedzy kościoła rzymskiego i zachował prawo kanonizowania samym tylko papieżom.[9]) Innocenty III. potwierdził to postanowienie bullą XXXI. *cum secundum*, wydaną dnia 3. kwietnia r. 1200 z rzeczy kanonizacyi śtéj Kunegundy cesarzowéj zmarłéj r. 1040,[10]) O Lambertini[11]) zwraca uwagę że pierwszy regularny proces sporządzony był w sprawie śgo Rajmunda z Pennafort, zmarłego r. 1275. W średnich wiekach papieże polecali sporządzanie i prowadzenie procesów kanonizacyjnych najwyższemu trybunałowi rzymskiemu *Roty*, a gdy kardynałowie i prałaci rzymscy rozpatrzywszy się w nich pokazywali się przychylnymi, wydawali wyrok jak szeroko opisuje tylko co przytoczony pisarz. Nareszcie wielki Syxtus V. konstytucyą ogłoszoną r. 1587 ustanowił osobną kongregacyą świętych obrzędów ***Rituum***, złożoną z kardynałów i prałatów konsultorów, któréj też wyłącznie zlecił sprawy kanonizacyjne. Następni papieże w 17tym i 18tym wieku, a mianowicie Urban VIII., Alexander VII., Innocenty XI. i Benedykt XIV. dodatkowemi ustawami surowość procedury w tego rodzaju sprawach aż do najdrobniejszych szczegółów tak urządzili i zaostrzyli, iż gdyby Stolica apostolska nie miała nawet sobie obiecanéj szczególnéj opieki Bożéj, jeszczeby wierni mogli bezpiecznie na jéj wyrokach polegać. Mogli się o tém czytelnicy nasi dostatecznie przekonać w drugiéj

[7]) Patrz Lambertini (późniéj Benedykt XIV. de Canonizatione XLI. Tom. II. pag. 281.

[8]) W księdze III. Dekretaliów Bonifacego VIII. tyt. 45. de relig. et Venerat. Sanctorum.

[9]) Bull. Rom. tom III. pars. 1 pag. 99.

[10]) Paschales III jeden z antypapieżów przeciwników Aleksandra III kanonizował był Karola W. 29. grud. 1163. r. Wszakże kanonizacyi téj nigdy kościół rzymski nie potwierdził ale tylko ją cierpiał, tak, że najwięcéj uważać go można za błogosławionego jak mniema Lambertini (Deterv. Dei Beat. L. I. P. 9 n. 4. p. 47). I z tąd pochodzi, że w wielu kościołach mianowicie belgijskich, francuzkich i niemieckich czczony jest jako święty choć nie jest wpisany do Martyrologium rzymskiego. (Patrz Bolland. pode dniem 28. stycznia p. 374. Spondan. pod r. 874. §. 5.

[11]) L. II. C. 3.

części téj książki, gdzieśmy mówili o niesłychanych trudnościach w przeprowadzeniu beatyfikacyi błogosławionego Andrzeja Boboli i przeto na tém poprzestaniemy; przytoczymy tylko uczący i budujący szczegół który zapisał O. Daubenton w swojém życiu śgo Franciszka Regis. [12]) Jeden z prałatów rzymskich dał znajomemu sobie angielskiemu protestantowi do czytania akty zawierające dowody wielu cudów. Odczytał je z wielką uwagą cudzoziemiec i zwracając papiery kapłanowi dodał: gdyby wszystkie cuda przez kościół rzymski ogłaszane tak dobrze były dowiedzione, nie mielibyśmy najmniejszéj trudności pisać się na nie. Wiedzże, odpowiedział prałat, iż ani jednego z tych cudów nie przyjęła kongregacya obrzędów dla niedostateczności dowodów. Zdziwiony protestant wyznał szczerze, iż nigdy nie przypuszczał takiéj surowości ze strony kościoła katolickiego w rozpoznawaniu cudów i dobrze teraz widzi że tylko ślepe uprzedzenie może powstawać przeciw obrzędowi kanonizowania świętych.

Wzmiankowany papież Urban VIII. postanowił, iż nikt odtąd nie może być kanonizowany i cześć jego rozciągniętą do całego kościoła, kto wprzódy nie będzie beatyfikowany, i jeżeli się osobnym procesem nie dowiedzie dwóch nowych cudów za przyczyną błogosławionego po beatyfikacyi sprawionych. Także dziś beatyfikacya jest pierwszym i niezbędnym stopniem do kanonizacyi; to też na aktach spraw wprowadzanych przed kongregacyą pisze się zarazem sprawa beatyfikacyi i kanonizacyi. Wszakże wzmiankowany papież przypuścił beatyfikacye równoznaczne *Equipollentes*, kiedy się przed kongregacyą obrzędów dowiedzie czci jakiego błogosławionego wprowadzonéj od niepamiętnych czasów *ab immemorabili*. W taki sposób ś. p. Grzegorz XVI. beatyfikował naszą błogosławioną Bronisławę. Gdyby jednak chciano starać się o kanonizacyą takiego błogosławionego, oprócz dwóch cudów wymaganych jedynie od beatyfikowanych podług dzisiejszéj procedury, trzebaby jeszcze z dobrych źródeł i poważnych świadectw dowieść heroiczności cnót. Różnica jednak między beatyfikacyą a kanonizacyą nietylko na tém zależy, że pierwsza przyznaje cześć ograniczoną do pewnych miejsc jak naprzykład błogosławionego Andrzeja Boboli w dyecezyi Łuckiéj i po kościołach Ojców jezuitów [13]), ale głównie w tém jeszcze że przez beatyfikacyą papież *pozwala* tylko oddawać komu cześć religijną a w kanonizacyi występuje jako sędzia wyrokujący *Ex Cathedra* i cześć tę nowemu świętemu oddawać wszystkim wiernym nakazuje. Zatém beatyfikacya słusznie jest zwaną kanonizacyą niedokonaną; to też prócz innych różnic liturgicznych błogosławieni nie mogą być obierani za opiekunów miast i narodów chyba za indultem apostolskim. Tak naprzykład Klemens X. przez brewe swoje *Ex injuncta* z r. 1674 ogłosił błogosławionego Stanisława Kostkę (kanonizowanego późniéj od Benedykta XIII.) jednym z głównych opiekunów narodu polskiego z prerogatywami właściwemi innym głównym naszym patronom [14]); obrządek też wyraża tę różnicę między beatyfikacyą a kanonizacyą, bo przy pierwszéj jedna

---

[12]) Paryż 1716 księga IV.

[13]) Wszakże za indultem apostolskim, cześć ta mogłaby być łatwo do innych dyecezyi polskich rozszerzoną.

[14]) Śty Stanisław Kostka jest najmłodszym ze świętych kanonizowanych. Są przykłady, że Stolica apostolska potwierdziła cześć dziatek zamordowanych od Żydów z nienawiści do wiary chrześciańskiéj, naprzykład trzyletniego bł. Szymona z Trydentyna, ale formalnéj kanonizacyi w drugim podobnym razie Benedykt XIV konstytucyą Beatus Andreas z d. 23. maja 1755 (T. XIX. Bull. mag. P. 120) odmówił: 1. dla nowości, — 2 dla niespodziewierania kanonizacyów zbyt częstém ich powtarzaniem, — 3. bo tak młode dziatki nie mogą przedstawić wiernym cnót do naśladowania.

tylko kaplica oświecona gdy przy drugiéj oświeca się cały kościół. Przy ogłaszaniu błogosławionych i mszy ich papież się nie znajduje, gdy tymczasem przy kononizacyi sam mszę śtą śpiewa i t. p. Ale o uroczystości kanonizacyi da Bóg obszerniéj powiemy, gdy nasz błogosławiony w liczbę świętych policzony zostanie, albo przy innéj jakiéj sposobności; teraz już przystąpimy do opisania obchodu beatyfikacyi błogosławionego Andrzeja Boboli.

Dawniéj te obchody szczególnie błogosławionych zakonników nie raz się odbywały w głównym kościele zakonu lub narodowym. Ale Benedykt XIV. bullą ad sepulchra apostolorum z d. 23. listopada 1741. [15]) ostatecznie i wyłącznie Bazylikę Watykańską na wszelkie tego rodzaju obrzędy wyznaczył. Dnia tedy 30. października 1853 zrana lud rzymski i mnóstwo cudzoziemców zdążało do kościoła śgo Piotra, już dla nowości obchodu, już dla zyskania odpustu zupełnego, ktorego papieże od Honoryusza III 1218. udzielają tym którzyby po spowiedzi śtéj i kommunii w dzień taki nawiedzili Bazylikę, lub byli na mszy śtéj po ogłoszeniu beatyfikacyi. Nad bramą główną w przedsionku widać było obraz błogo. Andrzeja Boboli do poły obnażonego, przywiązanego do drzewa i męczonego przez kilku siepaczy z następującym podpisem u spodu:

BEATUS ANDREA BOBOLA.
A nefariis hominibus captus
Ac veste detracta flagellis dive caeditur

(Błogosławiony Andrzéj Bobola od niegodziwych ludzi ujęty i ze szat obnażony, biczami okrutnie sieczony).

Po lewéj stronie obrazu napis następujący:

Et dominabitur a mari usque ad mare
Et a flumine usque ad terminos orbis terrarum. *Ps. LXXI*

(I będzie panował od morza aż do morza i od rzeki az do krajów okręgu ziemi). — Po prawéj stronie zaś:

Custodit Dominus omnia ossa eorum unum ex his non
conferetur. *Ps XXXIII.*

(Strzeże Pan wszystkich kości ich, jedna z nich się nie skruszy.) Cały kościół wewnątrz obity był czerwonemi adamaszkami i galonami i frenzlami złotemi, ale szczególniéj téż kaplica w głębi kościoła pomiędzy grobem świętych apostołów a konfesyą czyli katedrą śgo Piotra, w któréj się obrząd beatyfikacyi odbywa. Cała ta kaplica trzęsła się od światła i zaraz na wejściu czarowne sprawiała wrażenie. Przed balustradą odgradzającą tę kaplicę od reszty kościoła można było czytać na bocznych pilastrach zawieszone dwa następujące napisy: Po stronie lewéj:

BEATUS ANDREAS.
CHRISTOPHORI FILIUS BOBOLA
Summo loco in. pol. ad. grandia
Natus. An. Rep. Sal. M. D. I. I. C.
In Societate Jesu sese totum Deo devovit.
praeclaris Sanctimoniae argumentis
Spem de se maximam excitavit.
Sacerdotio initiatus
fretus Religionis studio
Opum Contemptu Constantia eloquentia
Sacras expeditiones suscepit
Quo in vitae genere sui.

---

[15]) Bull. Vat. T. III. p 310.

to jest: błogosławiony Andrzéj Bobola z wysokiego domu w Polsce do zaszczytów urodzony roku naprawionego zbawienia 1598 cały się Bogu w towarzystwie Jezusowém oddał, świetnemi świątobliwości oznakami najwyższe o sobie obudził nadzieje, na kapłana poświęcony, zapalony gorliwością o wiarę z pogardą bogactw, stałością, wymową, na święte puścił się wyprawy (misye), w którym tu rodzaju życia siebie całkiém zapomniawszy, zajmował się jedynie zaopatrywaniem dusz zbawienia. I przez to pobożnych ku sobie miłość obudził, niepoczciwych zajadłość zapalił.

Zaś po stronie prawéj:

BEATUS ANDREAS
Acceptissima Victima
In hominum nefariorum manus venit.
fidem suam ultro testatus.
fidem unam ad Salutem necessariam praedicans.
Illi contra martyrem fustibus caedunt
facibus comburunt, fidiculis constringunt.
Arundinibus intra angulos fixis torquent.
Capite manibus humeris pellem detrahunt.
Linguam eruunt.
hoc Vitae.
Pius IX. P. M.
III Kal Nov An. An. rep Sal. MDCCCLIII.
minores coelitum honores
illi in hac Petri Basilica decernit.

to jest: błogosławiony Andrzéj najwdzięczniejsza Chrystusowa ofiara w ludzi niegodziwych ręce popadł, wiarę swoją dobrowolnie wyznawszy, jedną wiarę za niezbędną do zbawienia opowiada. Oni przeciwnie męczennika biczami sieką, łuczywem opalają, powrozami krępują, drzazgami pod paznokcie wbijanemi męczą, z głowy, rąk, bark skórę zdzierają, wyrywają język, głowę rozszczepiają, zabijają. Tym rodzajem życia i śmierci poruszony Pius IX. papież dnia 30. października roku odkupienia 1853 niższe niebian zaszczyty jemu w téj Piotrowéj świątyni przyznaje.

W środku kaplicy nad dwoma trybunami przygotowanemi po bokach dla śpiewaków, wisiały dwa wielkie obrazy wystawiające 1) uleczenie młodéj Florkowskiéj, 2) uleczenie syna Chmielnickiego. (Patrz część IIga r. 2.)

W głębi po bokach katedry śgo Piotra wisiały herby Ojca śgo. Zwykle drugi herb bywa króla którego błogosławiony poddanym się rodził, albo jeżeli zakonnik jenerała zakonu, do którego należał. Tą razą słusznie herby wyłącznie były papiezkie, bo on nam i najwyższym kapłanem i królem serc naszych, Jemuśmy po Bogu winni tego nowego opiekuna w niebie. Czyż promotor wiary którego rzeczą i obowiązkiem jest wynajdywać trudnoście nie prosił w końcu także o tę beatyfikacyę imieniem zakonu Jezusowego, ***i całego narodu polskiego podziwiającego takiego męża*** totius gentius Poloniae quae tantum virum demiratur.

Nareszcie u góry nad katedrą śgo Piotra w rodzaju glory wisiał obraz błogosławionego ale jeszcze zakryty. Z rzeczy kanonizacyi naszego śgo Stanisława Szczepanowskiego w Assyżu (17. września 1253) wprowadzony został ten zwyczaj zawieszania w presbiteryum albo części wyższéj konfesyi świętych apostołów, sztandaru lub też obrazu wyobrażającego świętego w chwale, bo zaledwo dał był swój wyrok Innocenty IV. i podczas gdy siedział jeszcze na tronie, ukazała się w po-

wietrzu chorągiew barwy czerwonéj podtrzymywana przez aniołów a na niéj widać było biskupa w szatach arcykapłańskich. Oglądali to dziwo wierni obecni jak pisze nasz Długosz i Bollandyści. [16])

O godzinie dziesiątéj weszli do kaplicy kardynałowie w kapach fioletowych, prałaci i konsultorowie składający kongregacyą obrzędów i zajęli miejsca po stronie Ewangelii, podczas gdy od strony Epistoły zasiadła kapituła watykańska ze swoim kardynałem archipresbiterem. Wtenczas postulator sprawy w towarzystwie prałata sekretarza wystąpił z mową łacińską do kardynała Patryzi zastępującego kardynała prefekta kongregacyi, a pochwaliwszy w krótkości sługę Bożego Andrzeja Bobolę przedstawił mu brewe apostolskie jego beatyfikacyi i prosił by było ogłoszone ze zwykłą uroczystością. Kardynał Patryzi w krótkiéj przemowie odesłał go do kardynała Barbesyniego archipresbitera Bazyliki celem otrzymania od niego ku temu pozwolenia. Po otrzymaniu takowego podług zwyczaju także po raz pierwszy wprowadzonego przy kanonizacyi naszego śgo Stanisława męczennika, prałat sekretarz stanąwszy na pulpicie naumyślnie wyniesionym, od strony Epistoły odczytał donośnym głosem brewe apostolskie *quae duo in primis* [17]) a ze wszystkiego wywód słowny spisywał notaryusz téjże kongregacyi obrzędów. Natenczas przy grzmocie dział zamku śgo Anioła, przy uroczystém brzmieniu wszystkich dzwonów Bazyliki zdjęto zasłonę z obrazu błogosławionego i ujrzano go z rękami podniesionemi w górę, z wieńcem męczeńskim w prawicy niesionego przez aniołów do chwały niebieskiéj. Krzyż światły wznosił się nad nim aż do stropu świątyni i korony świetne wisiały w około Lud tłumnie natłoczony upadł na kolana żebrząc sobie o pierwociny łask i opieki naszego świętego, wiele wtenczas gorących modlitw podniosło się do tronu najwyższego za naród i kościół do którego błogosławiony na ziemi należał. Ale cóż się działo w sercach obecnych rodaków, co w sercach wygnańców dobrowolnych czy przymuszonych z polskiéj ziemi? Cóż się dziać musiało w sercach samychże OO. jezuitów polskich od lat trzydziestu wygnanych z przyrodzonego pola ich apostolskiéj gorliwości?? Łatwiéj to poczuć, łatwiéj to pojąć tém bardziéj sercu polskiemu niż wyrazić. Wszystkie te uczucia zlały się w wielki hymn dziękczynny serc, gdy celebrujący biskup kanonik śgo Piotra zanucił Te Deum prowadzone daléj przez dwa dobrane chory śpiewaków. OO. jezuici rozdawali tymczasem żywoty i obrazki błogosławionego Andrzeja większe i ozdobniejsze dostojnikom kościelnym, mniejsze reszcie wiernych. Zaglądając choć przelotnie w te żywoty, przypatrując się obrazkom szczególniéj wystawiającym scenę męczeństwa, mienili się na twarzy, podziwiali moc taką wśrod takich cierpień i tém jaśniéj pojmowali słuszność i potrzebę podobnego opiekuna w czasach tak powszechnéj miękkości i letniości a to wśród tylu obecnych i tylu jeszcze grożących niebezpieczeństw i przeto wszyscy zdwajali gorliwości w modlitwie. Tymczasem celebrujący okadziwszy po trzy kroć relikwie błogosławionego, zaczął czytać mszą śtą: [18]) „Będzie się weselił sprawiedliwy w Panu, i będzie w nim miał nadzieję i będą pochwaleni wszyscy prawego serca. Wysłuchaj Boże prośbę moję gdy się modlę: od strachu nieprzyjaciela wybaw duszę moję," a następnie modlitwę: „Boże który w wyznaniu prawdziwéj wiary błogosławionego Andrzeja rozlicznym mąk rodzajem utrapionego świetnym uwieńczyłeś męczeństwem, spraw to prosimy, abyśmy w téjże saméj wierze wy-

---

16) Pode dniem 11 maja T. II. p. 260.
17) Patrz w Annexach
18) De Com. mart 3. loco.

trwali, wszystkie raczéj przeciwieństwa z mocą wycierpieli niż szkodę na duszy ponieśli;" [19]) Ewangelią zaś czytał następującą: *Math. 10.* „Onego czasu rzekł Jezus uczniom swoim. Nie jest nic skrytego coby odkryte być nie miało, ani tajemnego czegoby wiedzieć nie miano. Co wam w ciemności mówię powiadajcie na świalle, co w ucho słyszycie przepowiadajcie na dachach. A nie bójcie się tych którzy zabijają ciało a duszy zabić nie mogą, ale raczéj bójcie się tego który i duszę i ciało może zatracić do piekła. Iżali dwu wróblików za pieniądz nie przedają a wzdy jeden z nich nie upadnie na ziemię bez ojca waszego. A wasze i włosy wszystkie na głowie są policzone. Nie bójcie się tedy lepszyście wy niż wiele wróblików. Wszelki tedy któryby mię wyznał przed ludźmi, wyznam ja go téż przed ojcem moim który jest w niebiesiech."

Przy Ofertoryum mówił: włożyłeś na głowę jego koronę z kamienia drogiego. Żywota prosił u Ciebie i dałeś mu. Alleluja. *Ps. 20.* Ale téż po kommunii ogłosił warunek do tego. Jeźli kto mnie służy niechże za mną idzie a gdziem ja jest tam i sługa mój będzie." *Joa. 12.* A zakończył znowu modlitwą kościoła: „Gdyżeśmy tych świętości Panie na cześć błogosławionego Andrzeja męczennika twego z ółtarza zakosztowali, daj łaskawie aby któregośmy uczeni przykłady niezłomną stałość naśladowali" [20]) Bóg mówi różnemi sposoby do człowieka, mówi szczególnie przez pismo święte, tę mannę mającą wszystkie smaki podług usposobienia i potrzeb każdego. Liturgia kościelna, to słowo Boże do którego kościół oblubienica Chrystusowa dodaje swoje modlitwy. Czytamy w życiu śtéj Gertrudy iż Chrystus Pan mówił zwykle do duszy téj miłéj sobie oblubienicy słowami Liturgii śtéj. Niechże się nikomu dziwném nie zda że obszerniéj przytaczam słowa Liturgii przepisanéj na święto naszego błogosławionego. Nie mogę się powściągnąć od jednego jeszcze przytoczenia. Dnia tego 30 października, pierwsza i jedna tylko msza na cześć błogosławionego była śpiewana u śgo Piotra, którąśmy powyżéj przytoczyli, ale wszyscy inni kapłani czytali mszę pozostałą tego roku po 4téj niedzieli po trzech królach, i na tę niedzielę przeniesioną. Jakże była pocieszająca i jakby do nas umyślnie zastosowana. W Introicie przez Jeremiasza (29) proroka żałoby mówi Pan: „Ja myślę myśli pokoju a nie udręczenia, będziecie mnie wzywać a ja was wysłucham i wrócę niewolę waszą ze wszystkich miejsc. Ubłogosławiłeś Panie ziemię twoją, przywiódłeś pojmanie Jakóba." *Ps. 84.* Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu, jak była na początku teraz i zawsze

---

[19]) Patrz w Annexach.

[20]) Ponieważ obchód roczny błogosł. Andrzeja wyznaczony jest na dzień 23. maja, przeto w czasie paschalnym będzie msza następna. W Introicie wyznaje jakoby bł: „Obroniłeś mię Boże od zboru złośników Alleluja — od mnóstwa działających nieprawości Alleluja, Alleluja. Ps 63 Ucząca i pocieszająca jest lekcya wzięta z ksiąg mądrości Sal Tedy staną sprawiedliwi z wielką stałością przeciwko tym którzy je cisnęli i którzy pracę ich odjęli. Ujrzawszy będą zatrwożeni bojaźnią straszliwą i zdumiewać się będą w prędkości niespodziewanego zbawienia, mówiąc sami w sobie, pokutę czyniąc i dla ucisku ducha wzdychając; cić to są ktorésmy niekiedy mieli za pośmiech i za przysłowie urągania. My głupi mieliśmy żywot ich za szaleństwo i za sromotne ich dokończenie. Oto jako policzeni są między syny Boże i między świętymi dział ich jest" — a w Ewangelii Pan nas uczy: „Jam jest winna macica prawdziwa, a ojciec mój jest winogradnikiem. Wszelką latorośl która we mnie nie rodzi owocu odetnie ją. a wszelką która rodzi owoc tę ochędoży aby obfitszy owoc przynosiła. . . . Mieszkajcież we mnie a ja w was . . . Wyście latorośli, kto mieszka we mnie a ja w nim ten wielki owoc rodzi bo bezemnie nic czynić nie możecie. Jeźliby kto we mnie nie trwał precz wyrzucon będzie, jako latorośl i uschnie zbiorą ją i do ognia wrzucą i gore. Jeźli we mnie trwać będziecie a słowa moje w was trwać będą, czegokolwiek zechcecie, prosić będziecie i stanie się wam."

i na wieki wieków Amen. *Módlmy się.* Boże który wiesz iż śród tak wielkich niebezpieczeństw postawieni dla słabości ludzkiéj nie możem się utrzymać, daj nam zdrowie duszy i ciała, abyśmy to co za grzechy nasze cierpimy za pomocą twoją zwyciężyli. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa Syna twojego, który z tobą żyje i kroluje na wieki wieków Amen. W Graduale: Wybawiłeś nas od trapiących nas a mające nas w nienawiści zawstydziłeś. W Bogu chlubić się będziem przez cały dzień, a Imię twe wyznawać będziem na wieki. Alleluja, Alleluja. *Ps. 48* Ewangelia zaś przypadła następna: *Math. 8.* „Onego czasu gdy Jezus wstąpił w łódź weszli za nim uczniowie Jego. A oto wzruszenie wielkie stało się na morzu tak iż wały łódz okrywały a on spał. I przystąpili ku niemu uczniowie Jego i obudzili go mówiąc: Panie zachowaj nas, giniemy. I rzekł im Jezus: Czemuście bojaźliwi małowierni. Tedy wstawszy rozkazał wiatrom i morzu i stało się uciszenie wielkie. A ludzie się dziwowali mówiąc: Jakiż to jest ten że mu i wiatry i morze są posłuszne?" Pomimo tego jakoby nieuleczonym z małoduszności każe nam matka nasza przy Ofertoryum wołać z Dawidem *Ps. 129*: „Z głębokości wołałem do Ciebie Panie;" a Chrystus Pan sam nam po kommunii odpowiedział: „Za prawdę wam powiadam, wszystko o cokolwiek modląc się prosicie, wierzcie że otrzymacie a stanie się wam." Śród takich wrażeń myśli i wspomnień naszych dokonało się nabożeństwo i lud wierny zaczął wychadzać skupiony i uweselony z kościoła.

O godzinie czwartéj z południa Ojciec śty w towarzystwie kardynałów w szaty czerwone przybranych i w towarzystwie dworu swego przyjmowany od kapituły przyszedł oddać cześć swoją nowemu błogosławionemu. O co Ojciec śty głównie modlił Boga za przyczyną błogosławionego Andrzeja? łatwo pojmie każdy katolik i każdy Polak. Gdy powstał od modlitwy postulator sprawy ofiarował Jego Świątobliwości podług zwyczaju rycinę błogosławionego wraz z jego żywotem wspaniale oprawnym i pękiem kwiatów, podczas gdy inni OO. jezuici rozdawali także życie i obrazki błogosławiowego kardynałom prałatom z domu Ojca śgo równie jak jego i kardynalskim dworzanom i służbie. Tak się skończył dzień ten pamiętny i błogosławiony dla wszystkich ale szczególniéj dla nas Polaków. [21])

Przed laty 80 gdy się miały zacząć klęski naszego narodu, nuncyusz papiezki bawiący w Polsce przesłał do Rzymu opis następnego zjawiska oglądanego oczyma mnóstwa ludzi. Widziano na niebie mężczyznę silnego z rogatką na głowie przebitego kilkunastu mieczami i ostrzem w ustach. Boki miał przebite dwoma sztyletami a za nim działo. Na skrępowanych nogach i rękach czołgał się on boleśnie z północy na zachód. [22]) Było to godło narodu naszego grzesznego i poniewolnie cierpiącego. Dziś nam Rzym ukazał drugiego Polaka poranionego także i okrutnie umęczonego ale szczęśliwego z ran swoich. Okazał nam ten symbol i uosobiszczenie wszystkiego cośmy przed wieki od schyzmy ucierpieli, i wszystkiego cośmy dla jéj nawrócenia poczciwie czynili. Ukazał go nam z wieńcem tryumfalnym i ramionami męczeńskiemi wy-

[21]) Po upływie pewnego czasu ale zawsze w ciągu roku od beatyfikacyi odbywa się uroczyste Tryduum w kościele zakonu lub narodu lub innym do nowego błogosławionego. Zakończamy mszą uroczystą i panegirykiem błogosławionego I w ciągu trzydniówki Ojciec Śty odwiedza kościół w którym się odbywa, a przed tém postulator składa mu obraz olejno malowany przedstawiający jaki cud albo główną cnotę sługi Bożego i relikwie srebrne.

[22]) Patrz Theinera Życie Klemensa XIV. Nie mając dzieła pod ręką, przytaczamy z pamięci.

ciągniętemi do tronu wszechsprawiedliwego i wszechmiłosiernego a pływającego w blaskach niebieskiéj błogości i chwały. Oby jak pierwszy znak na niebie niezrozumiany od nas aż nadto nam jasno zapowiedział wszystko cośmy dotychczas cierpieli i cierpim jeszcze, tak ten znak drugi zapowiedział nam Boskie zmiłowanie; obyśmy chłostą nie poprawieni dali się ująć uśmiechowi dobroci Ojca naszego na niebie i kościoła Matki naszéj na ziemi i obmyci we łzach skruchy z nim i z nią dawny sojusz nietylko już pojedynczy i prywatny, ale publiczny i narodowy odnowili.

Z pism czasowych europejskich jeden *Univers* godnie obchód beatyfikacyi błogosławionego Boboli uczcił. Przytaczamy jego artykuł:

„Dzień 30. października 1853. r. liczyć się będzie między najpiękniejsze dni Polski katolickiéj. Do jéj dziejów przybyła świetna stronnica. Jeden z najpokorniejszych jéj synów, zarazem jeden z najdostojniejszych sług Bożych, Wiel. Ojciec Andrzéj Bobola profes Towarzystwa Jezusowego, został w tym dniu uroczyście na ołtarzu postawiony. Jeszcze jedno imię zapisać trzeba między święte imiona dwóch Stanisławów, Jana Kantego, Jacka i tylu innych co stanowią chwałę królestwa ozdobionego mianem królestwa Najświętszéj Panny. Nowy przyczyńca przed Bogiem, nowy opiekun dany został szlachetnemu a nieszczęśliwemu narodowi, który może jeszcze mieć nadzieję, dla tego że wiarę zachował.

Czytelnicy nasi wiedzą już kto był ten błogosławiony co go kościół czcić nam dzisiaj i kochać każe. Plemiennik ludu który dawał zawsze kościołowi walecznych obrońców a ojczyznie nieustraszonych żołnierzy, Andrzéj od młodości na służbę Bożą się poświęcił i wszedł w szeregi świętego zastępu, co po wszystkie czasy liczył się między najlepsze wojska armii katolickiéj. Jako jezuita był on wzorowym nowicyuszem, uczniem pilnym, nauczycielem doskonałym, kaznodzieją gorliwym i wymownym, misyonarzem niezmordowanym, wreszcie apostołem.

Wytrwały nieprzyjaciel błędnych nauk stanął naprzeciw schizmy i schizma go umęczyła. Nie będziemy na nowo powtarzać szczegółów tego nieporównanego męczeństwa. Dzieje pierwotnego kościoła nie przedstawiają nic piękniejszego. Wielki papież Benedykt XIV wyrzekając o charakterze i o prawdziwości tego umęczenia oświadczył, że kościół w nowszych czasach nic świętszego i nic chwalebniejszego nie przedstawia. Cóż moglibyśmy dodać po tym wyroku? Zaiste nie pozostaje nam jak wielbić największego męczennika katolickiego nowszych czasów i modlić się do niego.

Zamordowany z nienawiści dla wiary świętéj i dla polskiéj narodowości, Bobola, niewinna ofiara kozaków, został podwójnie drogi swoim rodakom. Grób jego z dopuszczenia Bożego otoczony szczególniejszemi łaskami, stał się śród zagrożonéj Polski niby nowém palladium, a gdy schizma i herezye które niestety znalazły wspólnika między katolickiemi mocarstwami, rozszarpały naród co pod murami Wiednia zbawił kościół i chrześciańistwo, nie podpadające zepsuciu ciało męczennika stało się dla tego katolickiego ludu zakładem nadziei i przyszłości. Do dziś dnia jest tam upowszechniona wiara, że religia przodków podniesie się z poniżenia skoro wielki męczennik stanie na ołtarzu.

Nie wiemy czy Pan Bóg ziści to oczekiwanie, czy prośb tych wysłucha, ale wiemy dobrze, że uroczystość 30. października już jest zwycięztwem odniesionem nad schyzmą i nad nienawiścią moskiewską. Męczennik doczekał się tryumfu nad swoim katem, Polska tryumfu nad Rosyą i kiedy działa zamku ś. Anioła łącząc huk swój z dźwiękiem

dzwonów Bazyliki obwieściły, że Andrzéj Bobola dostąpił zaszczytu jaki mu kościół od tak dawna gotował, te działa i dzwony zawodziły pieśń zwycięzką Polski katolickiéj, obwieszczały przegraną Rosyi schizmatyckiéj. Tak samo zawsze rzecz zrozumiał wróg Polski i kościoła. Od kiedy sprawa beatyfikacyi przez sto lat przeszło dla nieszczęśliwych okoliczności przerwana, została na nowo wprowadzona za Grzegorza XVI, cesarz nie przestał robić uwag, intryg zawiązywać, groźb powtarzać... Wola cesarska tak była jawna i jego zabiegi tak zręczne, że wątpliwość najlepsze umysły ogarniała. A przecież chwila naznaczona przez Opatrzność juz była nadeszła. Przedstawienia i groźby potężnego cesarza obróciły się na jego zawstydzenie, zaś Pius IX. w przemówieniach swoich w dzień Wniebowstąpienia i w dzień św. Jana dowiódł raz jeszcze, że kościół choć słaby i opuszczony potężniejszy jest jak najpotężniejsze monarchie i że sługa sług Bożych bez wojsk i bez dostatków silniejszy jest i niepodleglejszy od najbogatszego i największego mocarza Europy.

Jakikolwiek los zgotowany jest Polsce, jakikolwiek wpływ beatyfikacya jéj męczennika wywrzeć ma na jéj przeznaczenie, dziś już powiedzieć można, że Bóg ziścił jéj oczekiwania i że podniesienie jéj błogosławionego syna jest zarazem podniesieniem kościoła katolickiego.

Kto wie zresztą czy w chwili kiedy huk dział uroczystego obchodu rozlegał się nad brzegami Tybru, inne mniéj spokojne wystrzały nie wstrząsały brzegami Dunaju? Ta myśl nasunęła się każdemu. Rosya i jéj stronnicy liczą na stanowcze zwycięztwo na wschodzie, głoszą że Turcya w niedalekiéj przyszłości dozna losu Polski. Ach jeźli gniew Boży pozwoli na urzeczywistnienie tych nadziei, jeźli papież moskiewski postawi swoją katedrę zepsucia w *prawowiernéj* Bazylice św. Zofii, jeźli grób Zbawiciela wpadnie w jego ręce, ci którzy zaprzeczają niebezpieczeństwom jakie religii katolickiéj i oświacie od strony ambicyi moskiewskiéj grożą, może nakoniec otworzą oczy. Dla nas niebezpieczeństwo jest już dzisiaj widoczne, wszelako ufamy w Bogu. Pan Bóg w ręce nieprzyjaciela religii prawdziwéj, papieża i świętych kościoła swojego nie wyda. W naszych oczach ubłogosławienie O. Boboli jest zadatkiem opieki i zwycięztwa. Módlmy się tylko do Pana Boga aby za przyczyną wielkiego męczennika sprawił, by błędy ludów i rządów katolickich nie udaremniły tego czynu i aby poniżył nieprzyjaciela kościoła.

Są katolicy co uniesieni zbyteczną pobłażliwością chcą tłómaczyć cesarza Mikołaja i zapewniają, że monarcha ten nie wie o wielu szkaradnych prześladowaniach kalających jego panowanie. Tym odpowiadamy, że powinien o nich wiedzieć i że będąc władzcą absolutnym dzieli odpowiedzialność z ajentami swoimi. A choćby nawet nie wiedział o tym lub owym szczególe, toć przecie nie podobna twierdzić, że nie zna swojego tyrańskiego prawodawstwa. Możnaż zresztą utrzymywać, że niepamięta uroczystéj obietnicy uczynionéj przy koronacyi kardynałowi Bernetti wysłańcowi Leona XII jako będzie szanował niewzruszenie wolność sumień unitów i jako nie przestanie katolikami się opiekować? Możnaż utrzymywać, że zapomniał przyrzeczeń zrobionych Grzegorzowi XVI. w czasie pamiętnych odwiedzin z r. 1845.? Możnaż twierdzić, że nie zna artykułów konkordatu zawartego w r. 1847. z Piusem IX.? Obietnice, zobowiązania traktaty, wszystko to cesarz Mikołaj pogwałcił, pogwałcił nie raz ale wszędzie i zawsze, pogwałcił z wytrwałością systematyczną. Od lat dwudziestu kilku oszukuje kościół, tak jak od ośmiu miesięcy oszukuje Europę. Będzie to zresztą hańbą jego panowania. Historya powie, że ten władzca tak dumny, tak upojony swoją potęgą, nigdy nie miał szczerości prawdziwéj sile odpowiedniéj.

W każdym razie ubłogosławienie wielkiego polskiego męczennika śród okoliczności dzisiejszych winno być uważane przez katolików jako jedna z tych łask szczególnych, które Pan Bóg w sam czas przysyła. Jeźli nieprzyjaciel kościoła świętego zostanie poniżony, uznamy że to pierwszy promień dnia wielkiego, zorza wyzwolenia i tryumfu. Jeźli przeciwnie do większéj przyjdzie potęgi, śmierć męczennika stanie się dla wszystkich katolików poddanych jarzmu prześladowcy nauką, tudzież przykładem; zaś przyczyna błogosławionego sługi Bożego uprosi dla nich łaskę wytrzymania ucisku aż do śmierci, byleby tylko w wierności Bogu i jego świętemu kościołowi pozostać.

Dwie uroczyste beatyfikacye.

W dniach 13 i 20 listopada odbyły się u ś. Piotra jeszcze dwa obchody beatyfikacyjne. Kościół postawił na ołtarzu błogosławionego Jana Grande przezwanego *el peccador* i błogosławioną Maryę de Paredes.

O tych błogosławionych później obszerniejszą damy wiadomość.

Zdanie Ojca ś. o kręcących się stołach.

Ostatnich dni listopada jedna z bawiących w Rzymie Polek na posłuchaniu u Ojca ś. zapytała się go z uszanowaniem jaka jest reguła kościelna w kwestyi kręcących się stolików. Papież surowo się wyraził o ciekawości tych co próby robią, oświadczył że zgoła nie wolno katolikom wdawać się w podobne rzeczy i pozwolił by to jego zdanie rozgłosić.

KOSCIOŁ POLSKI.

ARCHIDYECEZYA GNIEŹNIEŃSKA i POZNAŃSKA.

Polemika ks. Sumińskiego z Gazetą Krzyżową.

W numerze 290 dziennika *Czas* znajdujemy co następuje:

„*Kraków 19. grudnia.* Korespondenci nasi poznański i berliński wspominali nie raz o zajściach między władzą świecką i duchowną w W. Ks. Poznańskiém. Dzienniki niemieckie fałszywe w tym przedmiocie, gdzie jak wszędzie o prawo kościoła katolickiego chodziło, podawały sprawozdania, a zwłaszcza *Kreuzzeitung*. Dziennik ten który na polu teoryi tak wymownie broni wolności kościoła jak się o tém nie raz czytelnicy z przytoczonych przez nas wyjątków przekonać mieli sposobność, w praktyczném zastosowaniu ulegając przesądom i namiętnościom, zwykle kłam zadaje wygłaszanym przez siebie samego zasadom. Tak też i w sprawie Najprzewielebniejszego Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego i Naczelnego Prezesa W. Ks. Poznańskiego zabrał głos podając fakta i zdania błędne. Sprostował takowę szanowny ks. I. Sumiński kapelan Arcybiskupi artykułem który *Kreuzzeitung* na mocy prawa drukowego zamieścić była przymuszoną. Artykuł ten w polskim przekładzie przesłał nam szanowny jego autor z zawiadomieniem, że Jego Wysokość Arcybiskup Gnieźnieński uznał za stosowne aby w kolumnach pisma naszego został powtórzony, celem wyświecenia wszędzie prawdy. Pospieszamy zadość uczynić tak zaszczytnemu dla nas wezwaniu.

Podając go, pozwolimy sobie powtórzyć piękne wyrazy *Korespondencyi Austryackiéj* z artykułu zamieszczonego w sobotnim numerze: „Jeżeli władze kościelne w zamiarze wykonania zadania swojego, wła-

„śnie teraz, kiedy w skutku poprzedniéj burzy uczucie religijne rozbudziło „się na nowo, dążą do jego utrwalenia i coraz większego przejęcia „niém wszystkich stanów i klas, tudzież do pozyskania samodzielniej„szego stanowiska niżeli dotychczasowe, domagają się praw w organi„zmie kościoła uzasadnionych; natedy pełnią tylko swoją powinność: „z drugiéj zaś strony byłoby aktem sprawiedliwości dozwolić takowéj, „i możnaby to nazwać mądrą polityką, jeżeli się władzom kościelnym „przyjacielsko dopomaga, zamiast stawiać przeciw nim nieufność i prze„szkody. Przez uznanie praw kościoła, nietylko że państwu nie zagraża „najmniejsze niebezpieczeństwo dla jego praw i interesów, ale jest ono „warunkiem rozwiązania własnego zadania i czynnością niezbędną dla „powszechnego dobra. Byłoby przytém niesłusznie gdyby w naszych „czasach chciano władzom kościelnym odmawiać uznania czystości dą„żeń ich, jakoby nie były wymierzone ku wypełnieniu wielkiego i świę„tego zadania kościoła"...

Wyrazy te pełne wysokiéj i wzniosłéj prawdy nigdy dość powtarzać nie można.

Nadesłany nam artykuł pod datą Poznań 19. listopada, brzmi jak następuje:

„Nowo-Pruska-Gazeta" zamieściła w kolumnach swoich na dniu 13. listopada artykuł tu ztąd datowany pod napisem: „Arcybiskup i Naczelny Prezes", artykuł, który zawiera szereg częścią *zupełnie poprzekręcanych*, częścią *czysto zmyślonych* wypadków, a który przeto przez tutejszych katolików, lubo dosyć do cierpliwości przyzwyczajonych, z najżywszém oburzeniem przyjęty został. Lubośmy w pierwszéj zaraz chwili byli w stanie sprostować fałsz a przedłożyć pod każdym względem zupełną prawdę, musieliśmy przecież najpierw przezwyciężyć tę nie błahą wątpliwość, czyby tym tak bijącym w oczy fałszywym obwinieniom tą razą nie wypadało przeciwstawić pogardliwego milczenia. Atoli w obec rozpowszechnienia, jakiego artykuły tego rodzaju doznają, widzieliśmy się zmuszeni, już ze względu na tych, którym osoby i rzeczy nie są znane, do następującéj *umiarkowanéj* odpowiedzi.

Na wstępie zaraz zadziwia nas nie pomału, z jakim bezwstydem autor rzeczonego artykułu śmie odwoływać się na swe dawniejsze doniesienie o nieporozumieniach między Arcybiskupem a Naczelnym Prezesem, kiedy insynuacya jego ówczesna nietylko publicznie jako z gruntu *fałszywa* zbitą zostałą, lecz nadto jemu, któremu oczywiście przysługiwały akta, wiadomém być musi, że istotny powód tych nieporozumień przed wyższą i najwyższą władzę był wytoczony, uznany, i że niezbędne honorowe odwołanie nastąpiło. Któż wówczas wszczął ową ciężką urazę, i kto potém publicznie inną podsunął przyczynę, i któż teraz nową sieje niezgodę? W tém mamy już wskazówkę jakiego usposobienia jest autor artykułu.

Przystąpmy do rzeczy! W sprawie względem udzielania stypendyów, przeznaczonych dla studentów teologii z Wielkiego Ks. Poznańskiego, lubuje sobie autor z widoczną zajadłością, przekręca rzecz główną, i ściąga ją coraz niżéj, aż pod poziom ucywilizowanego świata! Nie chodzi tu, jak przeciwnikowi naszemu wiadomém być powinno, wcale o to, „kto ma stypendya", „„fundusz rządowy"" (są to naturalnie czysto kościelne fundacye!) „rozdzielać", ale pewną i wyraźną kwestyą było to, czy Arcybiskup ma sam urządzać i dozorować wykształcenie aspirantów do stanu duchownego, lub czy Naczelny Prezes może mu w tém stawiać przeszkody i ograniczać go. Obowiązkiem biskupa katolickiego było i jest wprawdzie zawsze kierować nauką aspirantów do

stanu duchownego, wskazywać im nauczycieli zaufanie jego posiadających, zapewniać im przysposobienie do prawdziwie kapłańskiego życia i poznawać dokładnie ich zdolności i godności; obowiązek ten nigdy jednak nie był tak naglącym jak w naszych czasach, kiedy tak nazwani teologowie kurs swój wprawdzie co do formy kończą, a nawet stopień akademiczny uzyskują, nie mając wszakże do stanu duchownego szczególnego przygotowawczego wykształcenia, bez kościelnie pobożnego usposobienia, w niewypowiedzianéj niewiadomości zasadniczych nauk kościoła, a jak akta ku wielkiemu zmartwieniu dowodzą, bez katolickiego, niekiedy nawet bez chrześciańskiego przekonania.

Arcybiskup odwołuje się na dane prawo Boskie, odpowiednie ciążącym na nim powinnościom. Pius VII. w deklaracyi swéj do książąt niemieckich zastrzegł sobie mianowicie to prawo: Biskupom wolno z prawa boskiego nauczać tych, którzy chcą wstąpić do stanu duchownego, w teologii i innych świętych wiadomościach, lub kazać ich uczyć nauczycielom, którzy ich zaufanie posiadają, a prawo to według zasad katolickich, przez władzę cywilną nie może być ani zakłócone ani ograniczone."

Stosownie do tego, bierze najprzewielebniejszy Arcypasterz najczynniejszy udział w kształceniu swych przyszłych kapłanów w seminaryum duchowném, i to nawet przez udzielanie tygodniowych lekcyj i bezpośredni nadzor, i odnośnie do tego istniał i istnieje przepis dyecezalny, że zazwyczaj każdy student teologii winien najprzód wstąpić do wzwyż wzmiankowanego seminaryum. Tak już było za śp. Arcybiskupa Dunina, i od 1840 r., od p. Flottwella począwszy, Naczelni Prezydenci *wyraźnie* uznawali i szanowali tę ustawę władzy dyecezalnéj, i nie kusili się o to, aby ją przez udzielanie stypendyów bez przyzwolenia lub zgoła wbrew woli Arcybiskupa usunąć; teraz ona dopiero pominiętą została. Jeżli tedy Arcybiskup z tego powodu oświadczył, że młodzieńcy, którym oznajmiono ustawę dyecezalną względem wstępowania do seminaryum, a którzy mimo to bez pozwolenia gdzieindziéj do stanu duchownego się gotują, późniéj do grona kleru archidyecezalnego nie będą przyjęci, to, jako prosta konsekwencya, nikogo uderzać zaiste nie może. Jeżli przeciwnie Naczelny Prezes w tém lecie przez dyrektorów gimnazyalnych abituryentów zawiadomia, że kto chce katolickiéj teologii na uniwersytecie słuchać, celem pozyskania stypendyum do niego udać się winien, tedy to zapewne zadziwiać musi.

Co zaś o owym młodzieńcu czytamy, który chciał do seminaryum wstąpić, jest zgoła fałszywe. Tenże dawniéj niż przed dwoma laty został już na gimnazyum, jako członek alumnatu duchownego, dokładnie z istnącą ustawą obeznany, i nie był, jak głosi artykuł, odwołany z uniwersytetu. A następujący zaś wymysł tak jest oburzający i nieprzyzwoity, iż się prawie wzdrygamy dosłownie go oddać. Jest on przecież charakterystyczny, a nieprzyzwoitość jego spada nie na karb tego, który nań go przytacza, ale na karb tego, który go wynalazł. Wyrażenie się zmyślonéj odpowiedzi: „Wer dich bisher gefüttert hat, mag dich ferner füttern!" nie istnieje w polskiém, a po *polsku* toczyła się rozmowa. Takie przecież wyrażenia i frazesy są właśnie piętnem nieprzyzwoitego, nierozumnego wymysłu i podejrzywania. Niemniéj i o „wypchnięciu z dyecezyi" mowy być nie mogło, jak to ze stanowiska katolickiego samo przez się jest jasne i acz zbyteczne, tu się wspomina.

Dalsza osnowa okazuje jeszcze wyraźniéj, jak dalece można minąć się z prawdą, opierając się na nieuzasadnionych przypuszczeniach. — Pod dniem 13go stycznia r. b. (1853) żądano natychmiastowéj suspensy księdza G. w urzędzie dziekańskim. Że przecież samo tylko obwinienie

ciążyło na nim, że mu jeszcze nie wytoczono skargi, a nawet i śledztwa nie rozpoczęto, że więc wina jego nie była usubstancyonowana, a przeto przez wymierzenie cenzury (kary) kościelnéj nie mogła zostać naprzód uznana, jak to zażądane zdania, mianowicie téż oświadczenie się syndyka archidyecezalnego wywiodły: musiano zadosyćuczynienie żądaniu *na późniéj* odłożyć. Z tém stoją w związku dalsze wymysły. Księdzu komendarzowi Sz—czowi nie odebrano żadnych „pobocznych beneficyów," iż miał podobno zeznać przeciwko księdzu G—skiemu; *o wiele bowiem prędzéj* uznał konsystorz tego potrzebę i zamianował, na usilne i uzasadnione prośby parafian pod dniem 12 stycznia r. b., księdza kommendarzem i prebendarzem w M—sie, a późniéj, gdy tenże umarł, w krótkim czasie powierzył obadwa te miejsca księdzu N—ch wskutek jego wniosku, który je téż jeszcze aż do dziś dzierży. Ksiądz G—ski nie mógł zatém mieć ich sobie powierzonemi. Innych zaś pobocznych beneficyów w M—sie nie ma. Powodem do tego wymysłu może być tylko to, co następuje. Dziekanowi powierzono plebanią w B—czkach, co się ze strony konsystorza na zupełnie uzasadnione prośby parafian czysto w interesie pasterstwa dusz pod dniem 5 marca przeszłego roku (1852) *prawie rok prędzéj* stało, nim o obwinieniu onego księdza była i mogła być mowa. Niemniéj błędną jest rzeczą, że ksiądz „Sz—cz obecnie na inne miejsce ma być przeniesiony." Powodem do tego wymysłu wietrzącemu wszystko, a u nas dobrze znanemu autorowi, mogło być tylko to: Konsystorz w istocie nakazał księdzu Sz—czowi w tym roku, iżby zerwał stosunki z familią, któréj głowa przez wyrok sądu świeckiego, ostatnim razem za przewinienie z nieszczęsnego 1848 roku ciężko ukarana została. O przeniesieniu na inne miejsce nie mogło być przy téj sposobności wcale a wcale mowy.

Dalsze niegodne przedstawienie i przekręcenie szlachetnego i czysto kościelnego usiłowania arcybiskupiego zgoła niczém usprawiedliwić się nie da, skoro autor nieporozumień, jak o tém aż nadto cytaty z korespondencyi z Naczelnym Prezesem świadczą, akta miał pod ręką. — Arcybiskup, tak jako i poprzednicy jego, starali się niezmordowanie o to, aby pozyskać na nowo klasztory, mianowicie zakonu świętego Franciszka ostrzejszéj reguły. W tém, kiedy wiele usiłowań nie otrzymało pożądanego skutku, zjawia się nareszcie — my w tém widzimy działanie Opatrzności — pięciu kapłanów tegoż zakonu, mężów wielce szanownych, najlepszemi swych przełożonych duchownych jako téż i władzy świeckiéj świadectwami poleconych, gotowych z klasztoru Łąckiego (prata Mariana) w zachodnich Prusach celem założenia nowicyatu przesiedlić się do archidyecezyi. Że zaś w W. Księstwie Poznańskiém gmachy klasztorne wszystkie na inne jak na fundacyjne cele użyte zostały, i że w samym tylko Ołoboku pozostał klasztor przez sędziwe zakonnice zamieszkały, który się w chwili emanacyi najłaskawiéj nadanéj konstytucyi jeszcze w posiadaniu kościoła znajdował: musiano tego klasztoru użyć ku pomieszczeniu w nim OO. reformatów. Nim jeszcze ci przecież przybyli, chodzi już wieść, że radzca ziemiański polecił żandarmom, aby żadnego *franciszkana* do klasztoru nie wpuścili. Arcybiskup udaje się z prośbą do Naczelnego Prezydenta, iżby w łaskawém uwzględnieniu wielkiego braku duchowieństwa w archidyecezyach (gdzie jeden duchowny trzema, nawet czterema beneficyami zawiaduje, gdzie jeden pasterstwo dusz nad 7520 parafianami sprawuje), i gotowéj a odpowiednéj pomocy, jako też i życzeń tak wielu katolików, które się w całym kraju głośno dały słyszeć, iżby mówię, zezwolił przynajmniéj na tymczasowy pobyt OO. S. Franciszka w Ołoboku, tak długo, dopókiby klasztór w Miejskiéj Górce, który na ten cel chce szlachetny

książe Sułkowski odkupić, nie został urządzonym. Odpowiedź, którą autor nieporozumień tylko w fałszywym podaje związku, brzmi w téj myśli, że własność królewska nie może być Arcybiskupowi do dyspozycyi zostawiona. Równocześnie napisał Naczelny Prezes do właściwéj władzy Prus Zachodnich, aby *OO. franciszkanom*, którzyby chcieli przesiedlić się do W. Księstwa Poznańskiego, nie wydawała paszportów. Arcybiskup widział się spowodowanym to tymczasem nadeszłe tu pismo władzy prowincyonalnéj przedłożyć p. ministrowi, który je należycie oceni. Że zaś od konsystorza nadeszło doniesienie, iż kommendarz N—ch, od dość dawna już pod śledztwem zostający, na żaden sposób w Ołoboku dłużéj pozostać nie może, a że konsystorz chwilowo żadnego księdza nie ma do dyspozycyi, postanawia Arcybiskup tymczasowo oddać także i zarząd parafii księżom franciszkanom. To jest prosta rzeczy osnowa.

Nie będziemy tu wyliczali, jak wiele klasztorów archidyecezyi z funduszami lub bez funduszów dano w ręce protestantów, częstokroć w ręce kilku tylko rodzin, ku użytkowi kościelnemu; to przecież wydaje nam się być absolutnie rzeczą surową, jeżli władza katolikom jednego klasztoru, którego jeszcze prawnymi są właścicielami, a który na żaden świecki cel przez rząd użyty nie został, celem zapobieżenia najgwałtowniejszéj kościelnéj potrzebie wręcz odmawia. Spodziewamy się od ministerstwa, któremu tę sprawę przedłożono, pomyślniejszego orzeczenia.

Idziemy daléj. Rektor W—g w G. wyprowadził i w tym roku młodzież szkolną za miasto na tak zwaną majówkę, która pod tém imieniem z powodów łatwych do zrozumienia czestokroć nieco późniéj się odbywa. Nadmieniamy z góry, że według wywołanego tym wypadkiem rezolutu właściwéj władzy, uroczysty pochód dzieci odbył się zupełnie tak jak w dawniejszych latach. O jakiémś śpiewaniu „polskich pieśni *narodowych*" nic rezolut nie wie, chociaż przedmiot ten wszechstronnie rozbiera; będzie to dodatkowy środeczek do celu, jak go słusznie przy tylu przekręceniach przypuścić możemy. Niesiono przytém chorągiewki kolorów prowincyonalno-narodowych, lecz, głosi rzeczony rezolut: „zeznania wiarogodnych osób udowodniły, że to się w saméj rzeczy od kilku lat działo, niechaj przeto i obecne na poprzednim, przez urząd policyjny niewzbronionym zwyczaju oparte uniewinnienia, za wystarczające ujdą." Nad Renem zaprawdę nie rażą bynajmniéj przy procesyach chorągwie podobnych zupełnie kolorów prowincyalnych z wszystkich domów powiewające. Zaniedbanie względem doniesienia policyi o majówce, przy któréjmby i wybór dnia — 7go czerwca — przyszedł był na stół, nie uszedł płazem. Jako nieposłuszeństwo zaś gani rezolut to, że rektor na wezwanie intermistycznego, w tym roku nowo-przybyłego radczy ziemiańskiego Dehn, który dzieciom na przechadzkę towarzyszył, chorągiewek im nie odebrał. Rektor został natychmiastowém usunięciem od urzędu ukarany. A cóż uczyniła władza duchowna? Choć władza świecka nie zawiadomiła jéj o tém, to przecież Arcybiskup, lubo wakująca w G. jedna posada proboszczowska wymagała koniecznie obsadzenia, a brak duchowieństwa tak jest wielki, odpowiedział konsystorzowi, żeby księdzu W. w G. nie dawał posady, skoroby tenże przez to w jakikolwiek stosunek miał wnijść do tamtejszéj szkoły. Jakżeż zupełnie inaczéj postąpiono sobie, kiedy dawniejszy nauczyciel gimnazyalny G., który przez długie lata podkopywał wiarę młodzieży (dyrektor liczy rocznie trzecią część klasy), a potém formalnie został protestantem, mógł w K—ynie zostać dyrektorem szkoły powiatowéj czy realnéj, która przynajmniéj téż wspólnie i dla katolików przeznaczona i fun-

duszami klasztornemi jest wyposażona. Przytaczamy to dla tego tylko, iżby obowiązków wyrozumienie ze strony Arcybiskupa przez przeciwstawienie bezwzględności z drugiéj strony wystawić w zupełném świetle. Następnie przeznaczył konsystorz księdza W. do Oloboka na tymczasowego zawiadowcę — *o udzieleniu* probostwa nie powinien był autor artykułu mówić — z powodu, że wzmiankowani zakonnicy nie zostali dopuszczeni, że parafianie usilnie i kilkakrotnie żądali księdza, słowem, że nie było innego duchownego pod ręką. Komendarzowi ks. Sz—czowi, choć to autor nieporozumień tu powtórzył, nie odebrano probostwa w M—sie; owszem, ma je i mieć będzie. Nareszcie nie miał „Arcybiskup nic donieść Naczelnemu Prezesowi" o onych, w mowie będących (i zmyślonych) „rozporządzeniach." Na to odpowiadamy, że obadwa konsystorze mają polecenie o wszystkich tymczasowych obsadzeniach, które do ich zakresu należą, donosić Arcybiskupowi i *Naczelnemu Prezesowi.* Że się to przy rzeczywistych obsadzeniach działo, przy zmyślonych zaś obsadzeniach lub translokacyach dziać nie mogło, nie podlega rozumie się żadnéj wątpliwości. *Mendacem memorem esse oportet*

Pozostaje nam jeszcze coś do nadmienienia, nim sie zupełnie z autorem nieporozumień rozstaniemy. W przeszłém doniesieniu, na które się zuchwale powołuje, podał on spór względem prawa patronatu, które sobie fiskus bez kanonicznego tytułu prawnego do niektórych probostw przywłaszczał, jako powód do zupełnie innego rodzaju nieporozumień. Że to przecież nie był właściwy powód, zostało od dawna ze wszech stron uznaném, a i w niemieckiéj *Volkshalle* udowodnioném. Mimo to, musimy obecnie dla dalszego postępu téj sprawy powiedzieć o jéj położeniu słów kilka. Autor ówczesnéj „dyfferencyi" (i nowych „dyfferencyi") dla tego podsunął sprawę patronatu, że był w tém swéj rzeczy zupełnie pewnym, i że władza duchowna zupełną miała niesłuszność! Boć przecież z właściwą sobie dyskrecyą ogłosił należycie z akt co mu przysługiwało, i zawezwał publiczność, która o tém dostateczny sąd wydać może, do zadecydowania sporu! Najwyraźniejsze pouczenia, najdobitniejsze kościelno-jurystyczne dowody, które ze strony władzy duchownéj też przecież znajdowały się w aktach, zostały przytém, jak się spodziewać możemy, zupełnie pominięte. Władza prowincyonalna wydawała w istocie rozporządzenia, w których grożono przymusowém obsadzeniem, zatrzymaniem dochodów tym księżom, którzyby w myśl reskryptów ministeryalnych, przez Arcybiskupa (za pośrednictwem konsystorzów) tymczasowo zamianowani zostali. Na jednym duchownym, którego nic okrom niemieckiego nazwiska nie polecało, a który tylko na próbę przez Arcybiskupa przyjęty został, postanowiono rzecz tę przeprowadzić. Ale królewskie ministeryum z uczucia sprawiedliwości, przejmuje sprawę zupełnie z rąk władzy prowincyonaléj, prowadzi układy przyzwoicie daléj, zakazuje Naczelnemu Prezesowi prezentować księdza o którego chodziło, i przywraca, zupełnie po woli Arcybiskupa sprawę do stanu, w jakim się przed objęciem urzędu przez teraźniejszego Naczelnego Prezesa znajdowała. *Hinc illae lacrymae.*

Na to następuje jak pierwéj, ze strony autora nieporozumień nowe *miotanie* podejrzenia.

Tak dalece jak dawniéj, nie ośmiela się przy tém nikt posunąć. Kiedy się bowiem przy urzędowém wystawieniu powoływano na stwierdzone aktami oświadczenia, musiał Arcybiskup urzędowo podjąć tę sprawę. Atoli wnet pokazało się, że akta, które owe oświadczenia w dostatecznéj liczbie zawierały, i na które się powoływano, wcale nie istniały i że nareszcie urzędownie musiano przyznać, iż *nigdy* nie istniały!

W świeżéj to jeszcze było pamięci; zostało też zapublikowane. W ten sam sposób więc nie dało się działać, ale bezimienność i gazety stały do rozporządzenia. Tymczasem pierwsza próba w *Niemieckiéj Poznańskiéj i Nowo-Pruskiéj Gazecie* tak niezgrabnie wypadła, iż sami królewscy radzcy rejencyjni, którzy po owych podejrzliwościach także i odpowiedź w niemieckiéj *Volkshalle* czytali, z zadziwieniem oświadczyli, iż rzecz ta „arcygłupio" jest założona. Brak roztropności i przezorności przy drugiéj próbie, miało więc zastąpić mnóstwo, grad poprzekręcanych i zmyślonych faktów. Ale z naszego prostego przedstawienia rzeczy pokazuje się na nowo, że sprawy prawdziwéj i szlachetnéj nie można ściągać w błoto, bez oznaczenia bardzo nisko swego własnego stanowiska. Niechże młodociany autor nieporozumień i podejrzywań już przez drugą teraz chłostę, jaką sobie sam zgotował, nauczy się, że przed silném i prawdziwém słabowite i pełzające ustąpić musi, i że na takiéj drodze nie można się ostróg dosłużyć.

Lecz nie chcemy tém zakończyć! Niech nam wolno będzie wypowiedzieć zaufanie nasze do wysokiego ministeryum, które też zapewne takim wybrykom przeciw najwyższym dygnitarzom kościoła chrześciańskiego położy koniec! Niech nam wolno będzie wypowiedzieć zaufanie nasze do naszego powszechnie ulubionego Monarchy, do którego Najprzewielebniejszy Arcypasterz z powszechnie znaną gorącą czcią i wiernością jest przywiązany! Mamy przedewszystkiém ufność w Bogu, który zapewne w sam raz położy koniec wszelkiego rodzaju uciskom, jakie na dobro swego kościoła dopuszcza.

Smierć ostatniéj zakonnicy w Sremie.

W dniu 28 września umarła w Śremie ostatnia zakonnica ze zniesionego przez rząd klasztoru franciszkanek. Nazwisko jéj było Salomea Puacz. Liczyła lat 87.

Końcowe lata sierocego swojego życia przeleżała i przecierpiała ta prawdziwa męczenniczka.

Pomnik O. Karola Antoniewicza w Obrze.

W dniu 14 listopada jako w rocznicę śmierci opłakiwanego zawsze O. Karola Antoniewicza, odbyło się w Obrze nabożeństwo żałobne, w czasie którego ks. Aleksy Prusinowski gorąco i pięknie przemówił.

Przy téj okoliczności odsłoniono pomnik nad grobem O. Antoniewicza ze składek wzniesiony.

Jest to tablica przystająca do muru, cała z marmuru błękitno-szarego, wysokości 8 stóp 3 cale. U góry jéj znajduje się popiersie nieboszczyka z marmuru kararyjskiego, niżéj napis:

R. P. CAROLUS BOŁOZ ANTONIEWICZ
Societatis Jesu Presbiter
Superior Missionum
In Galicia, Silesia et M. Duc. Posnaniensi
Vir religiosis et apostolicis virtutibus conspicuus.

tu następują daty, a jeszcze niżéj wiersz polski:

Z krzyżem w ręku nad polskim górujący ludem
Starłeś go i podniosłeś słowa twego cudem.
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą
Dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą.
Dziś cię szuka w twym grobie, przez łzy widzi w niebie
I modląc się za tobą modli i przez ciebie.

Pożar tumu.

W nocy z dnia 29 na 30 listopada zajął się pożar na dachu niższym przykrywającym tylne kapliczki blisko kaplicy królów polskich, gdzie właśnie od jakiegoś czasu odbywały się naprawy i upiększenia kosztem J. O. Arcypasterza.

Powód do pożaru dała nieostrożność robotników, którzy odchodząc zostawili węgle rozpalone.

Wielka klęska groziła staréj poznańskiéj katedrze, szczęściem pożar nie rozszerzył się na gmach cały.

Straty są znaczne ale wszystkie nagrodzić się dadzą. Kaplica królów polskich tylko zewnątrz i z góry ucierpiała. Zniszczały świeże malowidła ale te łatwo powtórzyć lub zastąpić.

Co wszystkich smutkiem przejęło to wspomnienie na ciągłą koléj klęsk jakie dotykają najszanowniejsze nasze pomniki.

Misye OO. jezuitów.

Zaproszeni przez nowego a gorliwego proboszcza ks. Aleksego Prusinowskiego OO. jezuici, udali się w pierwszych dniach października do Grodziska i z wielkiém powodzeniem misyę odprawili.

Teraz w pierwszéj połowie grudnia z niemniejszym owocem odbyła się misya w Krotoszynie, gdzie dzięki gorliwości proboszcza ks. Nowakowskiego wszystko jak najlepiéj poszło. Dla katolików Niemców była osobna misya w języku niemieckim. Późniéj dwóch misyonarzy gimnazyastów w Ostrowie spowiedzi słuchało.

W ostatnich czasach toczyła się ważna kwestya azali władza zakonna nie cofnie OO. jezuitów do Galicyi, gdzie im rząd chce powierzyć nowe zakłady i obiecuje dawniejsze oddać. Skończyło się na tém, że na teraz pozostawiono Ojców w Wielkiéjpolsce i tylko dwóch, O. Czeżowskiego i O. Markiewicza do Galicyi powołano.

POLSKA POD RZĄDEM AUSTRYACKIM.

Stuletni obchód koronacyi cudownego obrazu w Leżajsku.

Znajdujemy w Nrze 239 dziennika *Czas* następujące dla katolików ważne opowiadanie.

„Dnia 8. września b. r. odbył się w Leżajsku obchód, który uroczystością swą i rzadkością ściągnął nadzwyczajną liczbę ludu i duchowieństwa. Była to stuletnia rocznica koronacyi Matki Boskiéj Leżajskiéj, cudami słynącéj. Nim atoli przystąpię do opisu samego obchodu, przedstawić muszę w krótkości historyę tak miasta Leżajska jak obrazu, w przekonaniu, że nie jeden z czytelników *Czasu* jéj nie zna; znajomość zaś przeszłości miejsca, lub rzeczy o któréj mówić chcemy, uprzytomniając je myśli, czyni obraz zupełniejszym i bardziéj interesującym.

Leżajsk, które w różnych przywilejach nosi nazwisko *Lezenska, Layzayska, Lanzayska*, znajdujący się dziś o ćwierć mili od Sanu, był początkowo wsią położoną przy samym Sanie, tam gdzie teraz jest wieś *Staromieście.* Władysław Jagiełło zamieniając ją w r. 1397. w miasto, chce aby się zwało *Krolowomyesto*. Nazwisko wszakże pierwotne ciągle się utrzymało. Na wydzielonéj milowéj przestrzeni po obu stronach Sanu między rzekami Ozaną i Kolną, prędko osiadali mieszkańcy ściągani licznemi przywilejami. Tym sposobem rósł szybko Leżajsk w ludność i pomyślność, gdy począwszy z r. 1500, kilkakrotne napady Tatarów położyły temu koniec, w gruzy miasto zamieniając.

Zasmucony tém nieszczęściem Zygmunt Stary, świadek naoczny zniszczenia, jak sam powiada w przywileju z r. 1524, przenosi miasto z nad Sanu „w miejsce wałami i błotami od saméj natury obronne „i małym nakładem mogące być umocnione, które odtąd i na przyszłość ma się nazywać *Leżajsk Zygmuntowski* (Sigismundi Lyezensko).” — To jest dzisiejszy Leżajsk, który z czasem z dzierżawy królewskiéj przeszedł w starostwo niegrodowe. Doznał i on nie raz jeszcze srogiego losu od ognia i oręża tatarskiego, szwedzkiego i kozackiego. — Ostatnim starostą w r. 1772 był Józef Potocki, krajczy koronny. — Następnie miasto przeszło w ręce hr. Miera, a teraz jest własnością hr. Alfreda Potockiego.

Tego to miasta mieszczanin, Tomasz Michałek, dnia niektórego, jak pisze P. H. Pruszcz w *Morzu Łaski Bożej*, r. 1590 wyszedłszy do boru przyległego dla zbierania drewek, zoczył w miejscu, w którém zwykł się był modlić, w wielkiéj jasności Matkę Boską z Dzieciątkiem, która mu rozkazała, aby tamże za staraniem starszych miasta był zbudowany kościół pod jéj Imieniem. Gdy atoli Michałek lękając sie, aby widzenie nie było jakiém złudzeniem, taił je, pokazała mu się jeszcze razy kilka Najświętsza Panna w témże miejscu.

Wtedy poszedł do starszych i powiedział rzecz całą. Widać jednak, że mu nie bardzo wierzono, kiedy zamiast kościoła, pozwolono zaledwo postawić Bożą Mękę w miejscu widzenia. Ale wnet się tam zaczęły dziać cuda i lud tłumnie zbiegający się, za przyczyną Panny Maryi łask bożych doznawał. Czém urząd duchowny i świecki przestraszony, kapliczkę zbudował; a gdy póżniéj Sebastyan Talarczyk pasąc bydło, widział tamże Matkę Boską z Dzieciątkiem w wielkiéj światłości i słyszał głos dzwonków kościelnych, jak gdy Najświętszy Sakrament podnoszą; bieżał natychmiast do proboszcza, który przybrany w szaty kościelne, udał się procesyonalnie na miejsce z wielkim gminem i kościół założył, do którego wybudowania z drzewa przyczynił się najwięcéj staraniem swém i kosztem ówczesny dzierżawca Leżajska, Kasper Gołuchowski. W r. 1606 ks. biskup przemyski Maciéj Pstrokoński OO. bernardynów wprowadził, którym około roku 1625 wymurował kościół i klasztor z pomocą króla Zygmunta III. starosta Łukasz Opaliński. To tedy miejsce gdy coraz bardziéj cudami słynąć poczęło, dla większéj pobudki do nabożeństwa, *Erazm* malarz, mieszczanin leżajski, człek bardzo pobożny, wzywając na pomoc Najświętszéj Panny, obraz jéj wymalował, który 8go września 1752 r. ukoronował ks. Wacław Sierakowski biskup przemyski. Ku temu aktowi kościół był na nowo al fresco odmalowany, a starosta Kalinowski sprawił organy należące do największych w Europie.

Stuletnia przeto rocznica koronacyi przypadła na rok przeszły, lecz że hrabiostwo Alfredowie Potoccy umyślnie na ten akt przedsięwzięli własnym kosztem odnowić kaplicę, która to czynność nie mogła być na czas ukończona, zatém uroczystość dopiero w tym roku odbyła się z całą świetnością. Narodu zebrało się do 60ciu tysięcy, księży przybyło 105.

Już d. 5go września zjechał do Leżajska najprzewielebniejszy biskup przemyski ks. Wierzchlejski i przez cały czas trwania uroczystości, przewodniczył duchowieństwu w gorliwości i pracy. Tegoż dnia przyjechał przewielebny ks. Ostrawski, infułat kapituły lwowskiéj. Staraniem przełożonego klasztoru, wielebnego ks. Mikosza, który nie szczędził trudów na urządzenie uroczystości, zaproszonym był także najprzew. ks. biskup przemyski grecko katolickiego obrządku, ale dla słabości zdrowia nie przybył.

Pierwsze nieszpory d. 5go celebrował ks. biskup Wierzchlejski, nazajutrz summę ks. infułat Ostrawski. Dnia 6, 7 i 8go było 40-godzinne nabożeństwo. Przez wszystkie trzy dni miewali naprzemian kazania rano i popołudniu kaznodzieje zakonu OO. bernardynów, ks. Hieronim Mianowski, ks. Serafin Leja i ks. Ludwik Możdżyniewicz. Konfesyonały oblegane od ludu, nieustannie były zajęte przez gorliwych kapłanów tak świeckich jak zakonnych.

Dnia 8 września po solennéj summie odprawionéj przez najprzew. ks. biskupa przemyskiego, pasterza dyecezyi w któréj znajduje się Leżajsk, wyjęty został obraz Matki Boskiéj cudownéj z ołtarza i w procesyonalnym pochodzie obnoszony na zewnątrz kościoła. Obraz nieśli: Przewielebny prowincyał OO. bernardynów, ks. Gabryel Winkanty, wielebni exprowincyałowie ks. Pius Burdziński i ks. Roman Józefowicz, oraz wielebny ks. Leopold Lewicki, proboszcz z Tarnawca. Na wielkim placu przed kościołem, który tłum ludu zalegał, postawionych było 4 ołtarze, przy których odśpiewano 4 Ewangelie. Za ukazaniem się obrazu, lud potężnym, bo sześćdziesięciotysięcznym głosem powitał Opiekunkę swą i Dobrodziejkę, wołając: *o Matko nasza, o Pani nasza, przyczyń się za nami!* Za obrazem postępował z Przenajświętszym Sakramentem ks. biskup celebrujący.

Po odbytéj procesyi w progach kościoła celebrant zaintonował Hymn *Te Deum laudamus*, po którym na konkluzyą miał kazanie znakomity koznodzieja, wyż rzeczony ks. Hier. Mianowski; potem supplikacye i dopiero o godzinie 4éj skończyło się nabożeństwo, zaczęte o 10éj, poczém lud procesyonalnie ze śpiewami zaczął opuszczać Leżajsk.

Na pamiątkę téj stoletniéj rocznicy, zakon z własnych funduszów zajął się reparacyą sławnych organów i w tym celu wszedł już w układy ze znanym ze swéj rzetelności, znajomości sztuki i niezmordowanéj pracy orgarmistrzem ze Lwowa, p. Ducheńskim.

Gdy zważę, że od r. 1590 do dziś dnia, ten sam lud i w tém samém miejscu, zawsze i z jednakową wiarą i nabożeństwem czci i wielbi tęż samą najlepszą Matkę i Panią; gdy widzę stare, poczerniałe i podarte chorągwie naszych kościołów, zużyte w służbie Króla królów, których prawowierny naród nie dał sobie wydrzeć żadnym niedowiarstwom i nowościom, wielką i serdeczną raduję się radością. Oby i ci, których zagraniczne doktryny i nowinki (jak je nazywali niegdyś Skargowie, Birkowscy), obałamuciwszy, pozbawiły szczęścia wiary, mogli przyjść do tego, iżby z tąż samą miłością i ufnością wołać mogli razem z ludem: o Matko nasza, o Pani nasza! ujrzeliby, że nie ma filozofii nad religię, nie ma szczęścia nad wiarę, nie ma pociechy nad modlitwę; przekonaliby się, że one jedne wlewają w duszę pokój i otuchę, których na próżno w czém innéra szukają.

Lecz może i nad nimi Bóg swą łaskę zaczyna pokazywać, bowiem nie mała liczba, podług pospolitego wyrażenia, *Panów i Pań*, z miejsc oddalonych przybyła pieszo razem z ludem na obchód leżajski. A niedawne jeszcze czasy, kiedy uważano za wyższość umysłową litować się nad tymi, którzy podejmowali podobne trudy.

Dzięki także niech będą oddane duchowieństwu wszelkiego stopnia i reguły, że przez podobne obchody stara się nietylko utrzymać ale coraz więcéj ożywiać ducha religijnego, bo niech sobie co chcą gadają nowatorowie, nabożeństwa okazałe, modlitwy i śpiewy wspólne, cześć jawna i głośna Bogu, są najsilniejszą tarczą przeciw niedowiarstwu, najdzielniejszą pobudką na obojętność i religijne ospalstwo.

Leżajsk z przyległym krajem, długo będzie pamiętać uroczystość 8go września, a kroniki tyle zasłużonego u nas zakonu OO. bernardynów, z radością go zapiszą na swych kartach. F. K.

Sekundycye kapłańskie.

W dyecezyi tarnowskiéj dwóch kapłanów odbyło niedawno sekundycye, mianowicie ks. Rechowicz w Mogilanach kanonik honorowy tarnowski, urodzony w r. 1776 a ordynowany w r. 1803 i ks. Sieprawski proboszcz w Wietrzychowicach obwodu bocheńskiego, urodzony r. 1778 a święcony także roku 1803.

Jest jeszcze w téjże saméj dyecezyi ks. Jak. Cabalski proboszcz w Gawłuszowicach obwodu tarnowskiego, kanonik honorowy tarnowski, który także doczekał się pięćdziesięcioletniéj rocznicy kapłaństwa, ale odłożył tę uroczystość aż do ukończenia restauracyi kościoła parafialnego, którą własnym kosztem przedsięwziął.

Poświęcenie kościoła w Samoklęskach.

Dnia 23go października w Samoklęskach dobrach p. Steinkelera poświęcono nowy murowany kościół. Obrzędu dopełnił ks. Fryderyk Otto dziekan żmigrodzki.

Jezuici w Galicyi.

Dziennik belgijski *Journal de Bruxelles* umieścił następującą korespondencyę:

Rząd austryacki chce powierzyć jezuitom w Galicyi trzy gimnazya i jedno seminaryum puerorum z dodatkiem potrzebnych funduszów. Jeźli Ojcowie przyjmą tę propozycyę, natenczas pozwolono im zostanie wrócić do dawniejszych kollegiów w Tarnopolu i Sączu.

Wiadomo jest że Galicya otworzona została jezuitom przez cesarza Franciszka w r. 1820 po ich wygnaniu z Rosyi i że ich kollegium tarnopolskie tak zakwitło, iż nawet ludność miasteczka o połowę się zwiększyła.....

Kollegium w Sączu wybudowane zostało przez Galicyan jako dowód wdzięczności, gdy piorun w r. 1831 spalił kollegium w Tyńcu. Nieszczęście to albowiem przypadło wtedy właśnie, gdy Ojcowie rozproszyli się byli aby nieść pomoc i pociechę w czasie grasującéj cholery, która w saméj Galicyi 97,000 ofiar zabrała.

Kollegia zniesiono i zabrano na skarb w r. 1848. Teraz rząd cesarski postanowił pójść za głosem sprawiedliwości i restytucyi dokonać....

Dawniejszy nowicyat w Staréjwsi założony przez biskupa przemyślskiego wpierw już zwrócony Ojcom został.

Należy się także spodziewać że w dawném ich kollegium we Lwowie ci Ojcowie przynajmniéj co przy kościele ŚŚ. Piotra i Pawła duchowne posługi pełnią, znajdą należyte pomieszczenie.

Szanowni zakonnicy Towarzystwa Jezusowego pracują dla Pana Boga w Szląsku jednym i drugim, w Poznańskiém i Prusach Zachodnich z roztropnością i umiarkowaniem, jakich nietylko czasowe okoliczności wymagają ale jakie nakazują Kościół i Ewangelia.

Śmierć Ojca Jana Leszczyńskiego.

Pierwszych dni bieżącego miesiąca grudnia umarł w Krakowie Ojciec Jan Gwalbert Leszczyński starzec 77letni, od lat 67 zakonnik reguły śgo Dominika.

Jan Gwalbert a przed wstąpieniem do zakonu Stanisław Kostka Leszczyński, wszedł do Dominikanów mając lat 14 i zastał tam jeszcze nauki kwitnące, tradycyę dawnych czasów niezatartą. Sam obdarzony bystrém pojęciem, pamięcią i rozumem wykształcił się znamienicie. Mało już kto dzisiaj filozofię scholastyczną tak jak ś. p. Ojciec Jan Gwalbert posiada. Oprócz tego znał wyśmienicie klasyków łacińskich.

W zawodzie kaznodziejskim od razu zajął niepoślednie miejsce i wpływ nie mały wywarł. Ale w czém mu szczególniéj Pan Bóg błogosławił to w osobistych z ludźmi stosunkach. Wiele on na téj drodze dusz oświecił, rozumów naprostował.

Lud prosty miłował bardzo. W Tatrach dokąd dawniéj co roku jeździł, nazywali go górale białym księdzem.

Kraj pamiętał w świetnych czasach i wiernie go kochał, bolejąc nad jego klęskami.

Powieki zamknął odmawiając Ewangelię Ś. Jana: *In principio erat verbum*.

Ks. Leszczyński był jednym z tych dominikanów, co przypominali zasługi zakonu który niegdyś u nas jaśniał świętością ŚŚ. Jacka i Czesława, zalecał się nauką Mościckiego, Bzowskiego, Birkowskiego.

POLSKA POD RZĄDEM ROSYJSKIM.

Egzamin u kks. bernardynów w Warszawie.

Czytamy w *Pamiętniku religijno-moralnym:*

„Dnia 13 lipca r. b. w klasztorze OO. bernardynów przy ulicy Krakowskie przedmieście, młodzi studenci tegoż zgromadzenia, kapłani i klerycy składali egzamin z przedmiotów teologicznych w obec najprzewielebniejszego Ojca Franciszka Morańskiego ministra prowincyała, prałatów, ex-prowincyałów, jubilatów, gwardyanów i lektorów zakonu, tudzież gości zaproszonych z duchowieństwa świeckiego i zakonnego. Zadawano pytania z wymowy świętéj historyi kościelnéj, teologii dogmatycznéj i moralnéj, tudzież z archeologii biblijnéj i prawa kościelnego. Studia teologiczne w tém zgromadzeniu są na drodze widocznego postępu. Czternastu młodych zakonników odbywało ten egzamin.

Smierć ks. Marcina Schure.

Dnia 3 lipca umarł w Łowiczu ks. Marcin Schure archidyakon kollegiaty łowickiéj, oficyał foralny, w 73cim roku życia.

Ks. Schure wstąpił zrazu do zakonu karmelitów trzewiczkowych w r. 1797. Wysekularyzował się w r. 1810 i dostał wtedy probostwo orłowskie. Kanonikiem łowickim został w r. 1832.

Założenie nowego kościoła w Mokotowie.

Dnia 8 września we wsi Mokotowie pod Warszawą położono kamień węgielny na budowę nowego kościoła. Ksiądz kanonik Naruszewicz proboszcz parafii Ś. Aleksandra dopełnił obrządku religijnego Książę namiestnik założył pierwszy kamień. Dziedzice Królikarni pp. Ksawerowie Pusłowscy przeznaczyli wieczysty fundusz na utrzymanie kapelana po rubli srebrnych 300 rocznie. Dozwolono przez rok jeden zbierać dobrowolne składki na budowę téj świątyni.

Otwarcie nowego szlacheckiego instytutu w Warszawie.

Dnia 15 września otworzony został nowo wystawiony w posesyi Tivoli przy ulicy wiejskiéj instytut szlachecki. Poświęcenia gmachu dopełnił ks. kanonik Przewłocki nauczyciel religii w instytucie; następnie J. W. J. ks. Fijałkowski biskup sufragan dyecezyi płockiéj, administrator dyecezyi warszawskiéj, otoczony liczném duchowieństwem, w obec zaproszonych osób, tudzież zgromadzonych uczniów instytutu w liczbie 210 na siedm klas podzielonych, przystąpił do poświęcenia zewnętrznych murów kaplicy, poczém uroczyście wprowadził wszystkich wewnątrz i benedykcyą według rytuału odbył. Mowę w kaplicy miał ks. kanonik Przewłocki. Zaczém zaintonował Veni Creator i przystąpił do odprawienia mszy śtéj. Po mszy przemówił jeszcze J. W. biskup. Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem *Te Teum* i modl tw za cesarza i jego rodzinę, tudzież błogosławieństwem biskupiém.

Polacy rozstrzelani w Bucharešcie.

Rozeszła się pogłoska, że kilku Polaków którzy oświadczyli że im sumienie nie pozwala bić się za tryumf schyzmy, zostało rozstrzelanych w Bucharešcie.

Owoż jak o tym wypadku dziennik *Univers* pisze:

„List z Bucharestu datowany 31 października podaje nam fakta, za „których autentyczność możemy zaręczyć. Gdy ogłoszono pierwszy „manifest cesarza Mikołaja kończący się wyrazami: *Naprzód w obronie „prawowiernéj religii*, dwóch Polaków służących w pułku stojącym „w Bessarabii udało się do swego pułkownika i oświadczyło mu: *Prze-„czytaliśmy manifest cesarski a że chcemy się zachować jak na dobrych „żołnierzy przystało, prosimy o uwolnienie od służby. My katolicy nie „możemy walczyć za wiarę grecką.* Pułkownik zażądał instrukcyi z Pe-„tersburga i otrzymał rozkaz rozstrzelania żołnierzy. Czterech innych „którzy pozwolili sobie podobnychże przełożeń, także w Mołdawii roz-„strzelano.

„Powtarzamy że możemy zaręczyć za prawdziwość téj wiadomości. „Chwała Polsce katolickiéj! Chwała Panu Bogu, który jéj męczenników „daje! Chwała krwi co płynie za prawdę. Tak jest, Polska żyć będzie, „kiedy jéj dzieci umierać umieją. Dzień Boży i dla niéj i dla jéj prze-„śladowcy nadejdzie.”

(Dalszy ciąg kroniki religijnéj w przyszłym numerze)

Do prenumeratorów Przeglądu.

Przegląd w roku następnym w tenże sam sposób i pod temi samemi warunkami wychodzić będzie.

W przeciągu roku wydamy ośm numerów siedmioarkuszowych.

PRZEDPŁATA wynosi rocznie złt. polsk. 36 czyli tal. 6, — półrocznie złt. polsk. 18 czyli tal. 3.

Przedpłatę przyjmują, ale roczną tylko, wszystkie Urzęda pocztowe w Państwie Pruskiém. Przesyłka pocztą jest na koszt administracyi Przeglądu. Tę drogę przedewszystkiém się zaleca.

Przyjmują także przedpłatę:

W POZNANIU	księgarnia	J. K. ŻUPAŃSKIEGO.
„ „	„	N. KAMIENSKIEGO i Sp.
„ „	„	NOWA (A. Popliński).
„ LESZNIE	„	E. GÜNTHERA.
„ PLESZEWIE	„	L. PUTIATYCKIEGO.
„ GNIEŹNIE	„	J. B. LANGE.
„ WROCŁAWIU	„	FERDYNANDA HIRTA.
„ PARYŻU	„	POLSKA, rue de Seine St. Germain 20.

Wszystkie przesyłki do Redakcyi uskuteczniać się mają pod adresem księgarni Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor odpowiedzialny
Ks. Dr. RESPĄDEK,
przy Tumie w Poznaniu.

